



Sharon Owens



*Tawerna
przy Klonowej*

TAWERNA

Pierwotnej nazwy tawerny przy ulicy Klonowej od wielu lat nikt nie pamiętał, każdy nazywał ją po prostu Tawerną Beaumontów. Należała do Jacka Beaumonta i jego niezwykle pięknej żony Lily, którzy mieszkali tam szczęśliwie przez całe swoje dorosłe życie.

Tawerna mieściła się w samym sercu Belfastu, na końcu wąskiego brukowanego zaułka przy Royal Avenue. Klonowa była ślepą uliczką zamkniętą dla ruchu, jako że nawet mały samochód nie zdołałby na niej zawrócić.

Sąsiadujące z tawerną budynki miały dwa, trzy piętra i okna pokryte warstwą spieczonej sadzy i szarego kurzu. To jednak było bez znaczenia, stanowiły bowiem zaplecza sklepów, gdzie dało się zobaczyć niewiele poza wieszakami na ubrania w środku i szeregiem metalowych kubłów na zewnątrz. Na Klonowej nie rosły drzewa, w tym półmroku tylko chwasty miały szansę. Mało kto zadawał sobie pytanie, dlaczego nazwa ulicy wywodzi się od klonów, skoro ich tu nie ma, ale jeśli komuś już taka myśl przyszła do głowy, konkludował, że to tajemnicza sprawa.

Tawerna według miejskich standardów była małym lokalem. W długiej prostokątnej sali po prawej ciągnął się rząd ośmiu mahoniowych boksów, z których każdy miał własne drzwi, po lewej bar, a w środku stało kilka okrągłych stolików i krzesła. Cieszyła się popularnością wśród studentów i dżentelmenów na emeryturze, którzy nigdzie się nie śpieszyli. Powodem były najniższe w mieście ceny, a także to, że Jack i Lily nie mieli pretensji, jeśli klient cały dzień spędzał nad jednym czy dwoma kufkami piwa. Niski sufit z szerokimi drewnianymi krokwiemi sugerował, że budynek jest wiekowy. I była to prawda: nad drzwiami wryto datę 1834, choć nadgryzionego zębem czasu nazwiska założyciela nie sposób było odcyfrować. Grube kamienne ściany i ciężkie zasłony z brokatu skutecznie głużyły odgłosy ruchu na Royal Avenue. Godzina szczytu nadchodziła i mijała, a w środku zadymionego baru nie było słychać ani jednego klaksonu.

Przy drzwiach koło wieszaków na ubrania stał solidny zegar z popękaną żółtą tarczą. Nie działał od lat, lecz to nie stanowiło problemu dla gości. U Beaumontów czas stał w miejscu, i to dosłownie; nikt nie odczuwał konieczności pośpiechu. Było to senne miejsce, nietknięte przez współczesny świat.

Lily Beaumont wlała szklankę złotej brandy i filiżankę soku ze świeżych pomarańczy do żeliwnego rondla, w którym wznosił się kopczyk suszonych owoców, i postawiła garnek na starym piecu. Kiedy po kilku minutach niewielką kuchenkę wypełnił oszałamiający aromat gotującego się alkoholu, dodała garść pokrojonych lepkich fig i rodzynek, po czym starannie wszystko wymieszała drewnianą łyżką, płaską i cienką na krawędziach od wieloletniej wiernej służby. Uśmiechnęła się do siebie, wzdychając radośnie. Do Bożego Narodzenia pozostało tylko sześć tygodni. Wreszcie rozpoczęło się

odliczanie do wielkiego dnia. Gdy nadchodziła pora pieczenia ciast, Lily czuła, że wydarzy się coś naprawdę magicznego. Wiedziała, że to niemądre i dziecinne, ale mroczne popołudnia i mroźne powietrze kryły w sobie tajemnicę, zapowiedź przybycia Świętego Mikołaja i cudownych niespodzianek. Pamiętała też to Boże Narodzenie sprzed wielu lat, kiedy jej mąż odziedziczył tawernę, i to w chwili, gdy ich sytuacja wyglądała naprawdę niewesoło.

Jack nie miał wtedy pracy; wciąż nie otrząsnął się po szoku, o mało bowiem nie zginął w zamachu bombowym. Lily przerwała studia w college'u i była taka biedna, że nie mogła sobie pozwolić na nowy zimowy płaszcz. Oboje jednak marzyli o wynajęciu mieszkanek, w którym mogliby razem zamieszkać. Namiętność między nimi zapłonęła niczym pożar w lesie, chociaż poznali się w nie najlepszych okolicznościach. Stało się to latem 1984 roku w kolejce po przecenione artykuły spożywcze przy straganie na Royal Avenue. Kilka godzin później całowali się już namiętnie na niewygodnej ławce nad brzegiem rzeki Lagan. Lily z całej siły pragnęła kochać się z Jackiem, ale oboje mieszkali w rodzinnych domach, gdzie ciągle kręciło się młodsze rodzeństwo i sąsiedzi wpadali na herbatę i plotki.

Po sześciu tygodniach znajomości Lily wiedziała, że Jack to mężczyzna, za którego chce wyjść. Policzki miała opalone od randek na świeżym powietrzu. Opuściła tak wiele zajęć (Jackowi mówiła, że są odwołane), że w końcu ją zawieszono i nigdy nie ukończyła college'u. Rodzice przez wiele miesięcy nie chcieli z nią rozmawiać. Wciąż pamiętała, jak ojciec ostatecznie skomentował całą sytuację i co powiedział o Jacku.

— Rząd zapewnia waszemu pokoleniu bezpłatne wykształcenie, a szanowna pani co z tym zrobiła? Odrzuciła szansę, wołała zadawać się z bezrobotnym darmozjadem. A w ogóle co z nim jest nie tak? Prawie wcale się nie odzywa. Wstyd mi za was oboje, tyle ci powiem.

Okrutne słowa w sytuacji, gdy co drugi młody mężczyzna w mieście nie miał pracy. Zamykano wielkie fabryki. To była era thatcheryzmu i zysku ważniejszego od ludzi. Lily nigdy nie wybaczyła ojcu jego braku serca wobec Jacka. To nie z winy ukochanego przerwała studia, Jack zresztą próbował ją przekonać, żeby zrobiła dyplom, ale Lily stwierdziła, że woli poszukać pracy, bo na luksus zajmowania się sztukami pięknymi w pełnym wymiarze godzin jej nie stać. Przez krótki czas pracowała jako sprzątaczką w hospicjum, potem przeniosła się do szwalni koszul. Jacka okresowo zatrudniono przy wywózce śmieci. Obojgu te zajęcia nie dawały szczęścia. Wynajmowali pokój w suterenie, z wilgocią spływającą po ścianach i rodziną szczurów w ogrodzie. Nie było to najbardziej romantyczne miejsce na zakładanie domu, a już na pewno okoliczności nie sprzyjały temu, by Jack i Lily zaczęli tu poznawać wzajemnie swoje ciała. Postanowili, że trochę poczekają, i spali obok siebie na nierównym łóżku, w grubych swetrach na piżamach.

A potem wszystkie ich modlitwy zostały wysłuchane: dobrotliwy stary kawaler Ernest Pottinger odszedł na wieczny spoczynek i zostawił swój ukochany pub najstarszemu wnukowi ulubionej siostry. Gdy dwa dni po pogrzebie odczytano testament, bliźsi i dalsi krewni zareagowali żywiołową zazdro-

ścią, ale Jack z Lily natychmiast przeprowadzili się do pubu. Nie otwierali drzwi tym, co pod pretekstem złożenia życzeń liczyli na darmowe drinki przez cały wieczór, i odmawiali przyjmowania do pracy bezrobotnych kuzynów i znajomych. Nie było to łatwe, ale zdawali sobie sprawę, że zbankrutują, jeśli będą prowadzili pub, kierując się sentymentami. Lokal po prostu nie zapewniał wystarczających zysków, by kogoś zatrudniać. Chłód pomiędzy Lily i Jackiem a ich licznymi krewnymi tylko się pogłębił.

Wbili ostatni gwóźdź do trumny rodzinnych relacji, kiedy w tajemnicy pojechali do Szkocji, gdzie wzięli cichy ślub, nie wyprawiając hucznego wesela. Krewni z obu stron mówili: a czego się tu spodziewać po śmieciarzu i dziewczynie, co wyleciała z college'u? I nigdy więcej nie skontaktowali się z Lily i Jackiem.

Im to jednak nie przeszkadzało. Byli w sobie bez pamięci zakochani, reszta świata przestała dla nich istnieć. Siebie nawzajem widzieli w jaskrawych barwach, wszyscy inni byli czarno-biali. Kiedy wreszcie po raz pierwszy kochali się na ogromnym łóżku z brązu, które odziedziczyli razem z tawerną, Lily cieszyła się, że poczekali. Pasowali do siebie idealnie. Jako kochanek Jack w niczym nie przypominał spokojnego, cichego chłopaka, którym był na co dzień. Lily zdumiała namiętność okazywana przez męża w sypialni. Był czuły, silny, zmysłowy, łagodny, romantyczny, wielkoduszny. Stanowił uosobienie marzeń wszystkich samotnych i nieszczęśliwych kobiet. Później nie wypuszczał jej z objęć, zasypiając z nosem wtulonym w jej szyję, wdychając perfumy i muskając ciepłym oddechem nagie ramiona żony.

Lily była kobietą wrażliwą i jej szczęście mącił strach, że zdarzy się coś, co ich rozdzieli. Jack w głębi duszy obawiał się tego samego, dlatego też tawerna stała się dla nich schronieniem, w którym mogli ukryć się przed całym światem i Belfastem. Zdecydowali, że nie zatrudnią pracowników i nie będą starali się w żaden sposób zwiększać obrotów. Bo kiedy odniosą sukces finansowy, pojawią się bojówki i zażądają udziału. Tak więc żyli sobie spokojnie, nie wadząc nikomu i nie kłując w oczy swym szczęściem.

Młoda para spędziła tamtą Wigilię na sprzątanii i pucowaniu nowego domu. Później udekorowali małą choinkę w salonie. Lily zrobiła anioły ze srebrnego i złotego papieru, a Jack na strychu znalazł gwiazdę. Za zyski z pierwszego tygodnia Jack kupił żonie piękny wełniany płaszcz, który do dzisiaj nosiła podczas mrozów. Zima była szczęśliwą porą roku dla Lily i Jacka.

Lily wyłączyła gaz pod garnkiem, zostawiła jednak naczynie na ciepłym palniku, pozwalając parującym owocom dojść przez chwilę, po czym wrzuciła kawałek niesolonego masła do wielkiej misy. Ciemny cukier i przesiana mąka już czekały w szklanych miseczkach, podobnie jak przyprawy korzenne i cztery wielkie jaja. Pomyślała, że przegotowanie zawczasu wszystkich składników to świetna zabawa. Mogła niemal udawać, że występuje w telewizyjnym programie kulinarnym. Szybko zamieszała masę łaśliwą ręczną trzepaczką, po czym dodała nasiąknięte alkoholem owoce — i już trzeba

było przekładać błyszczące ciasto do wysmarowanej tłuszczem formy. Wsuwając ją do piekarnika dłonią owiniętą w gruby ręcznik, Lily wypowiedziała w myślach życzenie. Aromat roztopiającego się masła był cudowny. Nie mogła się już doczekać Wigilii, kiedy będzie lukrowała keks; miała zamiar ozdobić wierzch stożkami białego lukru i suszonymi w piecu pomarańczami. Przygotowała nawet pomarańczową wstążkę z szyfonu do obwiązania ciasta.

Świąteczny keks był głównym punktem uroczystości w domu Beaumontów. Jack i Lily zawsze chodzili na pasterkę i zapalali świecę dla Ernesta, a następnego dnia wysypiali się do południa. Potem wkładali indyka do pieca i wracali do łóżka z dwoma ogromnymi kubkami herbaty i solidnymi kawałkami ciasta. Po śniadaniu wręczali sobie prezenty i otuleni w koce oglądali stare filmy na wideo, póki nie upiekł się indyk. Na przekąskę wybierali „To wspaniałe życie” z Jamesem Stewartem. W połowie „Świętego Mikołaja z Trzydziestej Czwartej Ulicy” Lily wyskakiwała z łóżka, żeby wsunąć do pieca warzywa. Jeśli starczało czasu, oglądali też współczesny film, komedię w rodzaju „Zagubieni w Raju”, albo się kochali, wolno i delikatnie, napawając się spokojem i ciszą dnia. Dopiero potem wstawali i wkładali swoje najlepsze ubrania. Zwykle dopiero po piątej siadali do uroczystego posiłku przy małym sosnowym stole w kuchni. To była dla Lily najpiękniejsza chwila całego roku. Pili białe wino, robili sobie zdjęcia i tańczyli do świątecznego wydania listy przebojów.

— Pragnę, byśmy z Jackiem na zawsze mogli pozostać w naszym przytulnym domku — szepnęła Lily, po raz ostatni spoglądając na nieupieczone ciasto, i zamknęła drzwi piekarnika, które jak zwykle przeciągle zagrzechotały, po czym zabrała się do sprzątanania.

Stojącego za barem Jacka na dźwięk trzepaczki ogarnęło miłe uczucie. Kiedy Lily piekła ciasto, świat wydawał się piękny. Lily od czasu do czasu pracowała jako ilustratorka, wykonując na zlecenie finezyjne kartki bożonarodzeniowe. Siadała wtedy przy kuchennym stole z ogromnym pudłem pastel. Wysyłała swoje projekty do Niemiec, gdzie awangardowe wydawnictwo drukowało je i rozpowszechniało. Pieniądze, które za to dostawała, stanowiły rozsądne wynagrodzenie za poświęcony czas. Najlepsze zaś było to, że żadne z nich nie musiało wychodzić do pracy i mogli być razem. Lily u boku męża obsługiwała klientów, przyrządzała kanapki i nalewała piwo w porze lunchu, a także gawędziła ze stałymi bywalcami. Nie doczekali się dziecka i mieli niewielu bliskich przyjaciół, ale to im nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Żyli dla siebie. W trakcie ich trwającego dwadzieścia lat małżeństwa nie było dnia, żeby sobie nie powiedzieli: „Kocham cię”. I za każdym razem mówili szczerze.

Jack, choć skończył dopiero trzydzieści dziewięć lat, włosy miał zupełnie siwe. Z dnia na dzień straciły swą kruczoczną barwę, gdy był dziewiętnastolatkiem. Nikt nie wiedział, co było powodem. Niektórzy wskazywali pewien grudniowy dzień w 1984 roku. Jack stał wówczas pod kamiennym murem, kiedy po drugiej jego stronie eksplodowała potężna bomba.

Czekał na przystanku, podmuch rzucił go na ulicę, ale wyszedł z incydentu bez jednego zadrapania. Przez miesiąc źle słyszał, ale poza tym czuł się dobrze. W tamtych czasach nie wymyślono

jeszcze pomocy psychologicznej dla ofiar wypadków; policjanci powiedzieli mu tylko, że miał wielkie szczęście, i kazali wracać do domu i o wszystkim zapomnieć.

Lily o mało nie umarła, kiedy usłyszała o wybuchu, bo wiedziała, że jej ukochany Jack przebywa w tej części miasta. Pobiegła go szukać. W tumanach pyłu, pośród ogarniętego paniką tłumu przysięgli sobie, że nie pozwolą, by znowu coś między nimi stanęło. To wtedy Jack poprosił Lily, żeby została jego żoną, mimo że chodzili ze sobą dopiero od pół roku i oboje byli bardzo młodzi.

Niewiele kobiet może się pochwalić, że ukochany oświadczył im się nad lejem po bombie. Lily bez namysłu się zgodziła. Ale od tamtego dnia Jack miał siwe włosy i w mieście, w którym przewiska są na porządku dziennym, rzeczą nieuniknioną było, że nazwano go Borsukiem Beaumontem. Zwracali się tak do niego wszyscy — z wyjątkiem Lily. To byłoby dobre imię dla właściciela pubu, mówili, i dziwnym kaprysem fortuny kilka tygodni później Jack odziedziczył tawernę.

Obecnie Jack golił głowę, by ukryć powiększającą się łysinę, tak więc przezwisko straciło uzasadnienie, wciąż jednak używane było przez sąsiadów i właścicieli innych pubów. Pomimo siwizny nadal uważano go za przystojnego mężczyznę. Wysoki i dobrze zbudowany, miał oczy tak ciemne i skórę tak śniadą, że można by go wziąć za Włocha, szerokie słowiańskie kości policzkowe, długie czarne rzęsy i ładnie zarysowaną szczękę. Przez siedem dni w tygodniu nosił bawełniane koszule i spłowiałe niebieskie dżinsy. Powieki zwykle miał w półprzymknięte w ochronie przed dymem z kominka oraz papierosów i fajek gości, przez co wyglądał na starszego niż w rzeczywistości, ale to nie odbierało mu atrakcyjności. Nie odznaczał się żywiołowością, nie był interesującym typem, rodzajem jowialnego właściciela pubu, który opowiada pikantne dowcipy i niesamowite historie albo śpiewa kolędy w okresie Bożego Narodzenia. Przeciwnie, był cichy i spokojny. Swoje sprawy zachowywał dla siebie, jak ujmowali to miejscowi. I z tego właśnie powodu Lily tak bardzo go kochała. W jego introwertycznej naturze odnajdywała erotyzm i tajemniczość. Jack nigdy nie podniósł na nią głosu i wiedziała o nim rzeczy, o których nikt inny nie miał pojęcia. A ponieważ był do niej bardzo przywiązany, nie musiała dzielić się nim z szerokim kręgiem przyjaciół i znajomych.

Jack spojrział na zegarek. Była dziesiąta, pora rozpalenia ognia. Co rano wymiatał popiół z ogromnego ceglanego kominka na tyłach sali, a na jego miejsce kładł białą podpałkę i cienkie suche patyczki. Zapalał stos długą zapalką i patrzył, jak płomień się rozprzestrzeniają, po czym ostrożnie dokładał kilka brykietów torfu ze starego wiklinowego kosza. Torf kupował co tydzień od Arnolda Smitha, przedsiębiorcy z hrabstwa Fermanagh. Jack często powtarzał, że zapach żarzącego się torfu daje pubowi duszę. Bez jaskrawoczerwonych płomieni, bez trzasków i iskier tawerna byłaby niczym więcej niż mroczną i ponurą jaskinią zapełnioną zakurzonymi starymi gratami. Kiedy jednak płomień tańczył wesoło na tle pokrytych sadzą cegieł, we wnętrzu panowała cudowna, serdeczna atmosfera. Wielobarwne szklane butelki na parapecie, które zbierała Lily, zapalały się milionami iskier. Zdało się, że pub ożywa i szepcze o tajemnicach sprzed wieków.

Jack rozpaliał ogień codziennie, nawet latem, kiedy upał groził wysuszeniem zbiorników wodnych w Silent Valley, nawet w niedzielne wieczory, gdy bar był zamknięty. Siadali wtedy z Lily przy kominku i rozmawiali o ludziach i miejscach, które znali, o wydarzeniach z przeszłości, o tym, co może przynieść przyszłość. Jack nie pamiętał, by przez te dwadzieścia lat kominek był pusty i zimny.

Harry Frew, pracownik browaru, który wyglądał jak sobowtór Henryka VIII, kiedyś powiedział, że Jack i Lily na swojej kopalni złota powinni zarobić fortunę. Z lokalu tak starego da się wyciągnąć wiele tysięcy funtów rocznie, ale muszą się wokół tego zakręcić. Radził, żeby przyciągnęli bogatych zagranicznych turystów, potroili ceny i zaczęli serwować dania firmowe. Kwoty, jakich niektóre puby w centrum żądają za mały gliniany talerz zapiekanki pasterza, to rozbój w biały dzień. Powinni zatrudnić ładne kelnerki i ubrać je w obcisłe białe bluzki i krótkie czarne spódniczki. To zwabi młodych mężczyzn, za którymi wkrótce przyjdą młode kobiety gnane swym wiecznym pragnieniem miłości i romantyzmu. Niech Jack zbada historię budynku i dowie się, kto go zbudował — może dogrzebie się czegoś interesującego. Przydałby się też nowy szyld i reklamy w Internecie. Może jakiś producent miejscowej telewizji szuka scenarii dla koncertów grup folkowych? Na litość boską, niewykluczone nawet, że słynny reżyser filmowy dałby fortunę za nakręcenie tutaj paru ujęć. Johnny Depp w cylindrze! Możliwości było wiele.

Ale Jack odpowiedział, że nie ma podciągniętego Internetu, a wieczory z muzyką folkową tylko zepsują spokojną atmosferę, do której przyzwyczajeni są jego stali goście. Inne lokale oferują mecze piłki nożnej na wielkich ekranach, muzykę na żywo w weekendy oraz wszelkiego rodzaju gorące i zimne zakąski przez cały dzień. Jego tawerna natomiast jest wyjątkowa, ponieważ ma do zaoferowania wyłącznie ciszę, a w roku 2004 cisza i spokój to cenne towary w świecie zachodnim. Facet z browaru smutno pokręcił głową. Są ludzie, którzy nie wiedzieliby, jak zarobić pieniądze, nawet gdyby ich życie od tego zależało, westchnął. Jak Belfast może dorównać wielkim europejskim miastom, skoro w nowym tysiącleciu wciąż pokutuje w nim małomiasteczkowe nastawienie?

Wielokrotnie mówiono Jackowi, by sprzedał bar, póki jest rentowny, ale on tylko się uśmiechał i odpowiadał, że poważne decyzje podejmuje Lily. A Lily chce tu zostać. To przynajmniej człowiek z browaru potrafił zrozumieć. Gdyby miał żonę taką jak Lily, też spełniałby każde jej życzenie. Lily była śliczną kobietą. Miała drobną twarz w kształcie serca, ogromne zielononiebieskie oczy, nad którymi idealnym łukiem wznosiły się brwi, skórę tak gładką, że mimo swych trzydziestu ośmiu lat nie musiała robić makijażu. Uwagę przyciągały jej ciemnoczerwone usta i długie ciemne włosy splecione w połykliwy warkocz. Wrażliwa, obdarzona intuicją, poruszała się z wdziękiem i miała długie szczupłe palce. Często ją pytano, czy wystawia swoje prace i czy to przynosi jej pieniądze. Skończyła wydział grafiki czy malarstwa? Doprawdy niektórzy mieszkańcy Belfastu mieli w żyłach ciekawość zamiast krwi.

— Nie, nie wystawiam zbyt często — odpowiadała Lily ostrożnie; nie zamierzała ujawniać, że w zrobieniu dyplomu przeszkodziła jej przemożna namiętność do Jacka. Albo że odrzuciła szansę na

kariere, bo wolała spacerować z nim nad brzegiem Laganu. Naciskana wyjaśniała, że lubi projektować kartki bożonarodzeniowe.

Lily nosiła długie powłóczyste płaszcze i szale wykonane z dziwnych materiałów, ozdobione skomplikowanymi haftami i piórami. W pluszowy lawendowy kapelusz wpinała wielką fioletową broszę z kamienia księżycowego. Mała gobelinowa torebka ze skórzanymi uchwytami liczyła wiele lat. Dłonie Lily ozdabiały tanie pierścionki ze szkiełkami i posrebrzane bransolety z Indii. Jej parasolka miała rączkę w kształcie końskiej głowy, a aromat perfum pozostawał w powietrzu długo po tym, jak wychodziła z pokoju. Wyglądała jak dama z wiktoriańskiego obrazu i Jack ją uwielbiał, to było oczywiste dla każdego. Wodził za nią swymi ciemnymi połyskliwymi oczami, kiedy krzątała się po barze, witając klientów i układając czyste talerze na kanapki. Nie raz przyłapywano Jacka i Lily na namiętym uścisku, bo myśleli, że w barze nikogo nie ma. On dłonie miał wsunięte pod jej bluzkę, ona gładziła go po łysinie. Tak, byli ze sobą bardzo szczęśliwi.

Zajmowali nad barem mieszkanie z wysokimi sufitami, które było elegancką jadalnią w czasach, gdy tawerna zapewniała gorące posiłki dla podróżujących dyliżansami gości. W kuchni stał stary piec z rurką do suszenia ścierek — Lily uwielbiała na nim gotować. Często powtarzała, że piec zajmuje w jej sercu drugie miejsce — zaraz po Jacku. W piecu paliła torfem i drewnem, w zimowe dni zapach dymu był cudowny. Czasami zostawiali otwarte drzwiczki i siedzieli przed paleniskiem, snując marzenia na jawie, ale nie mogli robić tego zbyt często z obawy, że od strzelających iskier zajmie się drewniana podłoga.

Niekiedy Jack martwił się, że torfowisko w Fermanagh, gdzie kupował opał, objęte zostanie ochroną. Bóg wie, że przez wszystkie te lata musieli spalić setki worków, próbował więc dowiedzieć się u dostawcy o stan prawny. Ale Arnold Smith nie był zbyt chętny do takich pogawędek.

Inne kraje zaczęły troszczyć się o swoje zasoby naturalne i było tylko kwestią czasu, kiedy to samo nastąpi w Irlandii. Wcześniej ciągle zamieszki sprawiały, że tego rodzaju sprawy schodziły na drugi plan, ale teraz rzadko mijał tydzień bez gorącej dyskusji o jakimś aspekcie środowiska naturalnego. Rządy bardziej interesowały się motylami i orchideami niż ludźmi. Może powód był prosty: ludzi na świecie nie brakowało. Tak czy owak Jack był przekonany, że nic nigdy nie zagrozi rajowi, który z Lily dla siebie stworzyli.

Dlatego takim zaskoczeniem była wizyta grupy elegancko ubranych panów z wydziału planowania, którzy w pewien ponury listopadowy dzień przyszli do tawerny z informacją, że wielki przedsiębiorca budowlany z Dublina zamierza wyburzyć całą przecnicę i na tym miejscu zbudować centrum handlowe. Przyznali, że tawerna mieści się w pięknym starym budynku i zamknięcie jej byłoby wielką stratą. Ale czy nie można by jej rozebrać i przenieść gdzie indziej?

Powiedzieli, że zwabił ich korzenny zapach świątecznego ciasta, a z głodu ledwo trzymają się na nogach. W tej samej chwili z góry zeszła Lily z tacą kanapek. Natychmiast wyczuła, że Jack czymś

się gryzie: czoło przecinała mu głęboka zmarszczka. Spojrzała na nowo przybyłych i nim myśl zdążyła nabrać kształtu, Lily wiedziała już, że przynieśli złe wieści.

— Panowie mówią, że niedługo buldożery zrównają nas z ziemią — powiedział Jack do żony, próbując się roześmiać. Pomysł taki nie mieścił mu się w głowie, wzięwszy pod uwagę, że tawerna przetrwała nietknięta sto siedemdziesiąt lat. Mężczyźni z ożywieniem powitali Lily i gości popijających piwo w mrocznej sali. Postawili swoje kosztowne aktówki na kontuarze i poprosili o menu w nadziei, że znajdą w nim piezzonego indyka z bekonem i innymi dodatkami. Byli bardzo rozczarowani, gdy się dowiedzieli, że mogą zamówić kanapki z cheddarem albo bekonem i pomidorami, ale nic poza tym. Na pocieszenie poprosili o whisky, po czym wyjęli swoje supernowoczesne telefony komórkowe i zarezerwowali stolik w tajskiej restauracji na Botanic Avenue. Czekać niecierpliwie na reakcję Jacka, sprawdzili, czy nie dostali jakichś esemesów.

— No więc? Co pan o tym sądzi, hm? — zapytali.

— To było dobre, chłopaki — wyjąkał Jack. — Nabraliście mnie. Muszę przyznać, że się wam udało.

— To najprawdziwsza prawda — odparł jeden. — Nie żartujemy, proszę pana.

— Ma rację — dodał drugi. — Całe miasto jest odnawiane. Feniks powstający z popiołów, można powiedzieć. Zresztą w samą porę.

— O, tak. Mamy sporo do nadrobienia, a to doskonale miejsce na handel — oznajmił pierwszy, osuszając szklaneczkę i mrugając znacząco do Lily.

Lily go zignorowała. Wzięła czystą szmatkę i zaczęła wycierać szklanki, ociekające z wody na suszarce. W głowie jej się nie mieściło ani jedno słowo, które usłyszała. Wszyscy biznesmeni lubili uważać się za komików, wiedziała o tym z doświadczenia nabytego za barem. Jeśli tylko mieli szansę, godzinami opowiadali jej okropne dowcipy, aż twarz bolała ją od śmiechu. Uznała, że ci tutaj po prostu bawią się kosztem Jacka.

Ale Jack czuł ściskanie w żołądku, które mówiło mu, że to prawda. Przypominał sobie, że kilka miesięcy wcześniej widział geodetów w odblaskowych kurtkach, którzy dokonywali pomiarów w zaułku. Rozpaczliwie usiłował sam siebie przekonać, że jego cudowne życie nie zostanie rozbite w proch.

— A może nowe centrum zostanie zbudowane gdzieś w pobliżu, a nie tutaj? — zapytał cicho.

— Nie, z całą pewnością na lokalizację wybrano Klonową — odparli z przekonaniem.

— To musi być jakiś błąd, nieporozumienie. Przecież cała ta uliczka jest w stylu wiktoriańskiego gotyku — mówił Jack zduszonym głosem. — To część naszego dziedzictwa narodowego. A sama tawerna znajduje się na liście zabytków. Nigdy nic tutaj nie zmienialiśmy.

— My nie żartujemy, panie Beaumont — oznajmili z wielkim entuzjazmem goście. — Na własne oczy widzieliśmy projekt. Wielkie szklane centrum z sześcioma piętrami biur nad sklepami, fon-

tannami na każdym kroku i podziemnym parkingiem na osiemset samochodów. Jak w Kalifornii. Cała krew odpłynęła Jackowi z twarzy.

— Jak się nazywa ten przedsiębiorca? — zdołał wykrztusić. Choć to i tak było bez znaczenia. Jeśli właścicielom zaoferują potężne sumy pieniędzy, czy on i Lily jako jedyni odmówią? I czy pozostali będą obwiniać ich, jeśli projekt nie dojdzie do skutku? Co się stanie, gdy inni kupcy z Klonowej dowiedzą się, że Beaumontowie pogrzebali ich szansę na wcześniejszą emeryturę? A nawet gdyby zdecydowali się tu pozostać, czy to oznaczałoby, że ze wszystkich stron otoczą ich ściany centrum handlowego? Czy ci pewni siebie eksperci od planowania naprawdę pozwolą, żeby staroświecki charakter zaułka ustąpił miejsca współczesnemu potworowi ze szkła i stali? Jack ze smutkiem uświadomił sobie, że to możliwe.

— Jego nazwisko? Och, na razie to wielka tajemnica. Obawiam się, że nie możemy powiedzieć, kim jest ten człowiek. Ale wszyscy właściciele z tej okolicy dostaną spore sumy na przeprowadzkę, tyle mogę powiedzieć. Na pana miejscu targowałbym się, podbijając cenę wyjściową o dwadzieścia tysięcy funtów, a potem się zgodził. Zarobi pan fortunę!

Lily upuściła szklanę, która na kamiennej podłodze rozbiła się w drobny mak. Wszyscy umilkli i spojrzeli na nią.

— Ta tawerna nie jest na sprzedaż — powiedziała wolno. — Ani teraz, ani nigdy.

Wieczorem tuliła się do Jacka i gorzko płakała. Mimo łagodnej poświaty różowych lamp przy łóżku i migoczących na parapecie świeczek w fioletowych szklanych pojemnikach sypialnia wydawała się zimna i przerażająca. Jack wygrzebał czerwone światełka z pudła w holu i zawiesił na łóżku, próbując poprawić żonie nastrój. Włączył nawet płytę kompaktową Tori Amos, którą Lily uwielbiała (choć jemu zwykle wydawała się zbyt ponura), ale wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Drobiazgi, które zwykle poprawiały Lily humor, dzisiaj wieczorem tylko pogłębiały jej zdenerwowanie.

— Niektórzy ludzie mają tupet! — wyrzekała. — Chciwcy! Niedługo cały świat będzie pokryty betonem i chromem. Klonowa to nasz dom!

— Ciekawe, co myślą inni? Jeśli jako jedyni odrzucimy dobrą ofertę, nie będą darzyć nas nadmierną sympatią. — Jack zdradził, co mu leży na sercu. Zastanawiał się, jak wybrną z sytuacji. Skoro wiek tawerny nie wystarczał do jej uratowania, jak ten projekt wpłynie na resztę ich życia? Jak sobie poradzą, mieszkając na jakimś nowoczesnym osiedlu za miastem? Będą pracować w różnych miejscach, może nawet na zmiany, i wiele godzin spędzać na dojazdach w godzinach szczytu. A skoro o tym mowa, żadne z nich nigdy nie zadało sobie trudu zrobienia prawa jazdy. W promieniu mili od ulicy Klonowej nie było wolnych miejsc do parkowania, więc nie widzieli takiej potrzeby. Innymi słowy, jak sobie poradzą z życiem w prawdziwym świecie? Było im bardzo przytulnie w tej tawernie. Może zbyt przytulnie? Przez dwadzieścia lat żyli jak w bajce. Książę i księżniczka, szczęśliwi w swym piaskowym zamku. A teraz jak Zła Wróżka pojawił się przedsiębiorca budowlany, żeby im to odebrać.

— Nie będziemy z nim rozmawiać. Zignorujemy listy — zarzekła się Lily, opierając głowę na piersi Jacka.

Jack przesunął palcem po delikatnych ramionach żony. Jej naga skóra połyskiwała jak skorupka jajka w migoczących płomykach świec. Rozplótł jej warkocz i przykrył włosami szczupłe plecy.

— Poczekamy, zobaczymy.

— Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Nie będziemy zwracać na to uwagi. Powinniśmy pozwać tego przedsiębiorcę do sądu za szkody moralne, jakie nam wyrządził.

— Lily, koteczku. Musimy być bardzo ostrożni — powiedział Jack. — Przedsiębiorcy tacy jak on są potężni. Mają koneksje i kontakty wśród wysoko postawionych osób. Rada miejska na pewno stanie po jego stronie. Kochają szum towarzyszący nowym projektom.

— Masz rację, Jack, ale pomimo wszystko nie mogą nas zmusić do opuszczenia naszego domu. Jak myślisz?

— Naprawdę nie wiem, kochanie. Będę musiał zapytać kogoś, kto się na tym zna. Ciekawe, jakie opłaty za poradę biorą prawnicy od ludzi w naszej sytuacji?

— Ale co my zrobimy? Dokąd pójdziemy? To im się nie może udać. To takie niesprawiedliwe. — I znowu wybuchnęła płaczem.

— To dla nich nie pierwszozna, serduszko. A nawet gdyby udało nam się tu zostać, zakładając, że zmieniono by projekt centrum, czynsze pójdą w górę. Kiedy w okolicy pojawiają się szyldy z popularnymi nazwami, czynsze rosną czterokrotnie. Nie wspominając już o bałaganie podczas budowy. Mogą nam odciąć prąd, wodę. A na pewno w ciągu wielu miesięcy będą stałe przerwy. Porozmawiam z adwokatem i dowiem się, co robią inni właściciele. Obawiam się jednak, że musimy przygotować się na najgorsze.

— Ach, do diabła z nimi wszystkimi! — szlochała Lily. — Dlaczego nie mogą wybudować sobie tego głupiego centrum gdzie indziej? Dlaczego wszyscy zawsze chcą budować w tym samym miejscu? Upychają sklep na sklepie i korkują ulice. W Belfaście pełno jest działek, na których nie ma nic prócz zielska i śmieci. Ale oni wolą zburzyć nasz dom i na jego miejscu zbudować jakiegoś potwora ze sklepami odzieżowymi. Jak ja ich nienawidzę!

— Uspokój się, kochanie — powiedział Jack łagodnie. — Dopóki mamy siebie nawzajem, wszystko będzie dobrze, prawda? Przecież to jest najważniejsze. Pamiętasz czasy, kiedy nic nie mieliśmy? Nie wystarczało nam nawet pieniędzy na ciepły płaszcz dla ciebie. Teraz przynajmniej na początek będziemy mieć trochę gotówki.

— Masz rację — zgodziła się Lily. — To prawda. Ale sam wiesz, że nie mamy wielkich nadziei na znalezienie nowej pracy. Z naszymi kwalifikacjami? Nie chcę całego dnia spędzać w jakiejś hałaśliwej fabryce czy za ladą sklepową. I nie chodzi o to, że jestem snobką, wcale nie. Strasznie będę za tobą tęsknić.

— Ale kto wie, słoneczko, może złożyć nam naprawdę szczerą ofertę. Niewykluczone, że będzie nas stać na kupno nowego pubu.

— Nie licz na to, Jack, to mało prawdopodobne przy obecnych cenach nieruchomości sięgających ponad dach. Wybacz kalambur. A ile możemy dostać za nasz pub? Obawiam się, że niewiele, nawet Opatrzność nam nie pomoże.

— To prawda — powiedział Jack cicho. — Ale jest wyjście: możemy zwrócić się do banku o kredyt.

— I do końca życia urabiać sobie ręce po łokcie, żeby go spłacić? Nie, Jack, to mi się nie podoba.

— W najgorszym razie kupimy stary dom na obrzeżach miasta i wyremontujemy go. I może znajdziemy pracę w pobliskim pubie albo restauracji?

— Może. — Lily wytarła oczy chusteczką. — Chyba rzeczywiście tylko to nam pozostanie. Będziemy jeździć na rowerze do pracy w cudzym barze. W takiej sytuacji znajdziemy się oboje za rok. Och, nigdy nie myślałam, że dożyję dnia, kiedy wyprowadzę się z Klonowej!

— Koteczku, będzie dobrze — uspokajał ją Jack. — Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

— Kochaj się ze mną — powiedziała Lily z tragiczną nutą w głosie. Zawsze kiedy zdarzało się coś niedobrego, instynktownie szukała bliskości męża. Jakby przez kochanie się z nim mogła uniknąć najgorszego. A ponieważ Jack nigdy nie potrafił jej odmówić, w środku takiego jak ten kryzysu zaczynał całować śliczne ramiona żony. Lily wzdychała uszczęśliwiona i zamykała oczy. Czekala, aż Jack sprawi, że wszystko będzie lepiej. Poręcze z brązu połyskiwały w słabo oświetlonym pokoju. Jack zdjął żonie piżamę. Zastanawiał się, czy będą mogli rozebrać łóżko i zabrać je do nowego domu. Nie zniósłby myśli o pozostawieniu go. Wiązało się z nim tyle pięknych wspomnień o nocach z Lily.

I był jeszcze piec kuchenny, zabytkowe meble, piękne porcelanowe talerze, błyszczące sztuce z cyny. Wszystko to podarował im wspaniały Ernest Pottinger. Jaki los czeka ich oboje i te cudowne przedmioty? O Boże, co my poczniemy? modlił się Jack do krokwi nad ich głowami, podczas gdy Lily objęła go mocno pod ręknie szytą puchową kołdrą.

BYWALCY

Emerytowani malarze pokojowi Bernard Cunningham (Barney), Joseph Fontaine (Joey) i Francis Maclean (Mac) siedzieli w tym samym co zwykle boksie w Tawernie Beaumontów i rozważali informacje, która poprzedniego dnia odebrała im spokój. Wiadomość pojawiła się w porannych gazetach i w czterech lokalnych stacjach radiowych. Wielki przedsiębiorca budowlany z Dublina zamierzał zburzyć całą przecnicę i za ciężkie miliony zbudować kompleks handlowo-biurowy z podziemnym garażem. Więc to była prawda. Przedsiębiorca nazywał się Vincent Halloran. Plotki głosiły, że jest bardzo bogaty, ma rolls-royce'a i własny helikopter. Ludzie z wydziału planowania tylko o dzień wyprzedzili media.

Zarząd Komitetu Ochrony Zabytków Belfastu ruszył do ataku. Jego członkowie udzielali wywiadów, stojąc na Klonowej z podniesionymi kołnierzami w ochronie przed dokuczliwym zimowym wiatrem. Rzeźbienia na frontonie domu towarowego nie zostały odlane z formy, tylko wykonane ręcznie. Oburzająca jest sama myśl, że ktoś chce zburzyć historyczne budynki. A natężenie ruchu ulicznego będzie tu koszarne. I co ze starym kamieniem brukowym na Klonowej? W całym kraju zostało tylko kilka takich uliczek. Cały ten pomysł to czyste szaleństwo.

Jak się spodziewano, radni odpowiedzieli spokojnie (i z niejakim zadowoleniem), że miasto bardzo skorzysta na nowej inwestycji. Niewiele więcej mogli powiedzieć, skoro niedawno przegłosowali zamknięcie trzech przynoszących straty ośrodków rozrywkowych w. biedniejszych dzielnicach Belfastu. Tak, na uliczce znajdują się budynki o wartości historycznej, ale pewne ich detale architektoniczne można uratować i wykorzystać gdzie indziej. Co więcej, inwestycja da miejsca pracy mieszkańcom Belfastu. Nisko płatne posady w sektorze handlowym. Oczywiście. Ale tak czy owak zwiększy poziom zatrudnienia. A w części biurowej znajdzie się miejsce dla nowych firm.

Poza tym Vincent Halloran nie jest gwiazdą jednego wieczoru. Już zbudował nowoczesne apartamentowce nad rzeką, dwa mosty wiszące i światowej klasy centrum konferencyjne. W radiu uznali go za geniusza. Potrafi pokonać wszelkie przeszkody, wszelkie ograniczenia budowlane, sprzeciwy ludzi z komitetu. Mógłby zbudować sześciopasmową autostradę prowadzącą przez sam środek Waszyngtonu i umieścić budkę pobierającą opłaty w Gabinetcie Owalnym, gdyby taki kaprys przyszedł mu do głowy. Tak stwierdziła pewna kobieta, kiedy w Downtown Radio udzielała wywiadu Eddiemu Westowi, prezenterowi o chropawym głosie.

— Ten facet buduje na wszystkim, co stanie mu na drodze — ostrzegła. — Na cmentarzach, miejscach bitew, szkołach, po prostu wszędzie.

Barneyowi, Joeyowi i Macowi to się nie podobało. Słuchali radia, czekając na pierwszy kufelek tego dnia.

— Multimilionowe to, multimilionowe tamto — narzekał Barney, wyjmując z kieszeni blaszane pudełko z tytoniem i kładąc tweedową czapkę na ławce. — Co by zrobili, gdyby nikt nie wymyślił zwrotu „multimilionowe”? No, powiedzcie.

— Musieliby mówić o szalonych kosztach budynku — odparł Joey po krótkim namyśle. — W moich czasach tak mówili. Szalone koszty.

— Okrutny wydatek? — zasugerował Mac. — Moja mama, niech spoczywa w pokoju, mawiała, że nowe buty to okrutny wydatek. Było nas w domu trzynaścioro, więc ciągle to powtarzała, jak modlitwę.

Wszyscy roześmiali się na myśl o dobrze urodzonych spikerach BBC w różowych marynarkach i ręcznie malowanych krawatach, którzy mówią o szalonych kosztach albo okrutnych wydatkach. Pomyśleli też o dwanaścioru braciach i siostrach Maca, którzy już odeszli na wieczny spoczynek, a ziemskie zmagania o nowe buty stały się odległym wspomnieniem.

— Nic z tego nie będzie, jeśli ktoś by mnie pytał — powiedział Barney. — Kiedy chłopaki tego Hallorana podliczą koszty wykupu ziemi od obecnych właścicieli i kilku batalii sądowych ze zgłaszającymi sprzeciwy, a także honoraria architektów, nie zostanie dość na materiały budowlane. — Barney nabił fajkę lekko drżącymi palcami i zapalił, po czym uroczyście na powrót włożył czapkę. Zapalenie fajki z gołą głową było dla niego czymś w rodzaju rytuału. — No i co będą sprzedawali w tym tak zwanym centrum? Na pewno T-shirty i telewizory.

— Stawiam tę kolejkę — oznajmił Joey, gdy Jack przyniósł na tacy trzy kufle ciemnego piwa i postawił je na stole. — Schowajcie pieniądze, chłopaki! — Wszyscy się roześmiali, bo to i tak była kolej Joeya.

— To rzeczywiście jest prawda, Jack? — zapytał Mac. — I co, sprzedasz pub?

— Na razie nie dostałem oficjalnej oferty — odparł Jack ze smutkiem — ale dzisiaj rano słyszałem, że siedmiu właścicieli sklepów ma zamiar się zgodzić, bo nie są w stanie konkurować z wielkimi sieciami. Więc to nie wygląda dobrze dla mnie i Lily.

— Bardzo mi będzie przykro, jak Beaumontowie zamkną swoją tawernę — powiedział Joey, głęboko wzdychając. — Jestem do niej przywiązany z całego serca.

Wszyscy trzej byli bardzo przywiązani do tawerny. Po osiemdziesiątce, od dawna wdowcy, traktowali pub jak swój drugi dom. Za cenę kilku drinków przez cały dzień siedzieli przy ogniu. Czasami godzinami rozmawiali, kiedy indziej w milczeniu patrzyli, jak dym z fajki Barneya kręta smużką unosi się do krokwi. Boks, który zwykle zajmowali, pierwszy na prawo od kominka, praktycznie był zarezerwowany dla nich, bo Jack zasłaniał wejście koszem z torfem, dopóki staruszkowie nie przyszedli w porze lunchu. Trudno będzie znaleźć drugi pub, w którym panowałby taki spokój jak u

Beaumontów, nie zakłócany nieustannymi piskami automatów do gry, głośną muzyką i kłótniami bilardzistów.

— Nie poddamy się bez walki — powiedział Jack. — Tak w każdym razie twierdzi Lily. Nie jestem przekonany, czy mamy realne szanse na zwycięstwo, ale ona zdecydowana jest ruszyć na wojnę.

— Ho, ho! — wykrzyknął Barney. — Brawo dla Lily! Nie ułatwiał im tego, Jack.

— Lily ma rację — dodał Mac. — Nazywają to postęпом, ale bardzo się mylą. No bo wiesz, dokąd cały ten postęп nas doprowadzi? Niedługo wszyscy będziemy mieszkać w szklanych klatkach, jeść tabletki witaminowe i porozumiewać się za pomocą telepatii. Czy to jest postęп?

Odpowiedzieli mu śmiechem, bo wiedzieli, że Mac przesadza, ale była w tym nutka smutku. W gruncie rzeczy jeszcze trudniej się pogodzić ze zmianami, kiedy człowiek jest stary, pomyślał Jack.

— Co u was nowego, chłopcy? — zapytał, pragnąc zmienić temat.

— Zupełnie nic — odparł Barney, unosząc oszroniony kufel do ust. Pozostali poszli w jego ślady.

— Brak wiadomości jest dobrą wiadomością — stwierdził Joey rozsądnie.

— Zdrowie — dodał Mac.

Później tego samego dnia do baru przyszedł Liam Bradley i zajął miejsce przy stoliku koło kominika, blisko boksu, który zawsze zajmowali trzej staruszkowie. Liam był pisarzem i najbardziej lubił, gdy zwracano się do niego per „panie Bradley”, ale ludzie z branży wydawniczej ze względu na jego kosztowne gusta nazywali go Limo Bradley. To był stały żart krążący wśród księgarzy w Irlandii: Liam Bradley zawsze zamawiał długą limuzynę, kiedy jechał podpisywać książki, i nie miało znaczenia, czy księgarnia mieściła się w położonym za miastem centrum handlowym czy w małej wiosce. Przez cały czas nosił ciemne okulary i sprawiał wrażenie, że jest za pan brat z niebezpieczeństwem. Rzucił przyciężkie aluzje o umiejętności posługiwania się bronią oraz znajomości kick boxingu na takim poziomie, że zgodnie z prawem zobowiązany jest poinformować o tym ewentualnych przeciwników. Drobny, nosił szyte na miarę czarne garnitury. Krążyła plotka, że farbuje czarne jak sadza włosy.

Cztery lata temu wydał książkę. Kryminalną bzdurę pełną sprytnych rozwiązań i głupich kobiet, z intrygą zgraną do imentu. Główny bohater, ciapowaty detektyw rozwiedziony z wykształconą żoną (chwyt służący wyłącznie zaznaczeniu, że nie był gejem), nosił przydomek Pistolet Magee. Ulubione powiedzenie Magee brzmiało: „Jestem tu dzisiaj, bo nie grzałem tyłka na kaloryferze”. Liam zapożyczył je od prawdziwego policjanta, którego podsłuchał w eleganckim hotelu w Coleraine. Fikcyjny detektyw o gorącej głowie jakimś cudem zdołał rozbić trzy samochody, spalić całą ulicę i zastrzelić pięciu przestępców, nie tracąc przy tym pracy. Nie wspominając już o tym, że bez wysiłku uwiódł bardzo atrakcyjną patolożkę imieniem Claudia. Pewnej burzliwej nocy, zamiast szukać narzędzia

zbrodni na porośniętym wrzosem szczycie Cave Hill, oddali się porywowi namiętności. Pistolet był pijany wódką z colą, Claudia na lewej piersi miała wytatuowane serduszko przebite strzałą. Kompletny nonsens, zaopiniowali krytycy, ale czytelnicy płci męskiej rzucili się na książkę. Większość z nich marzyła o takim życiu, gdy jadąc do pracy, stali w pięciomilowym korku.

Na półkach księgarń w dwudziestu siedmiu krajach stała powieść Liama. Okładka przedstawiała matową broń z dymiącą lufą na błyszczącym tle, otoczoną sinymi odciskami palców. Z tyłu widniało zdjęcie Liama w markowej skórzanej kurtce, w której wyglądał swobodnie i cokolwiek niechluśnie. W roku 2000 odbył trzymiesięczną trasę promocyjną. W czasie jej trwania jego ego wystrzeliło w kosmos i nigdy nie powróciło. Zaczął szaleć, za dużo pił, wdawał się w kłótnie z innymi pisarzami, a nawet dziennikarzami. Ale jego agent, Perry Shaw z Agencji Literackiej Shaw Stories z Londynu, zapewniał go, że wszystko jest w porządku. Wszyscy pisarze są dziwakami, mówił Perry, istotami nieprzewidywalnymi i pełnymi temperamentu. To dowodziło tylko, że Liam jest urodzonym pisarzem, że nie zajmuje się literaturą wyłącznie dla pieniędzy. W tym aspekcie Perry się mylił, bo właśnie z tego powodu Liam pisał. Dla pieniędzy, coraz większych pieniędzy.

Wkrótce po szczególnie pijanej promocji książki w Paryżu (gdzie dwie gniewne feministki wyrzuciły Liama z księgarni, a jedna w dodatku uderzyła go w twarz) ogólnokrajowa telewizja brytyjska zwróciła się do niego z propozycją adaptacji powieści na sześcioodcinkowy serial. Liam wciąż spoglądał z billboardów i towarzyszył podróżnym na stacjach kolejowych. Perry nie narzekał na brak zajęć. W ostatnich czterech latach powieść Liama „Pif-paf” opublikowano w kilku językach. W studenckich sklepach na całym Zachodzie w sprzedaży były tysiące czarnych kurtek i czapek bejsbolowych z napisem „Pif-paf. W głowie się nie mieściło, ile pieniędzy zarobił Liam.

Nic dziwnego, że Perry rozpaczliwie domagał się od niego drugiej książki. Tylko że Liam cierpiał na chroniczną blokadę twórczą. Od chwili gdy jego pierwsza powieść wyszła z drukarni, nie napisał nic, co miałoby jakąkolwiek wartość. Zwodził sam siebie twierdząc, że czeka na odpowiednią chwilę i magazynuje pomysły w podświadomości. Kiedy będzie gotowy, napisze bestseller, który wstrząśnie międzynarodowym światkiem wydawców. Czeki z honorariami za „Pif-paf” regularnie pojawiały się w jego skrzynce na listy i oczekiwał, że zawsze tak będzie. Teraz jednak zaczynał uświadamiać sobie, czując przy tym, jak ściskają mu się wnętrzności, że nie ma nic do powiedzenia, a pierwsza powieść nie była niczym więcej jak szczęśliwym trałem.

Perry ostrzegł go, że zainteresowanie wydawców zaczyna słabnąć i o ile nie zaprezentuje następnej części, obaj znajdą się w kłopotach. Liam nie wiedział, czy Perry mówi prawdę czy też próbuje nastraszyć i skłonić do pracy swojego pisarza numer jeden, lecz i tak nie potrafił wymyślić oryginalnej fabuły. Spędził wiele bezsennych nocy, popijając kawę z wymyślnego ekspresu, który stał w jego nowoczesnej kuchni, i robił notatki na luźnych kartkach A4, by zaraz gnieść je w kulkę i wrzucać do kosza. Z frustracji wrywał sobie włosy z głowy, usiłując wymyślić historię, której wcześniej nikt nie

opowiedział. Ale jego pomysły nie odznaczały się świeżością. Ryzykowne porwania i chaotyczne pościgi samochodowe już były. Skomplikowane podchodzenie handlarzy narkotyków i ukrywanie się w przebraniu kobiety: mało oryginalne. Niesamowite wybuchy w fabrykach fajerwerków, skąd bohater ucieka w ostatnich dwu sekundach: jak wyżej. Śmieszne bójki trwające przez dwadzieścia minut, w czasie których żadna ze stron nie doznaje poważniejszych obrażeń: ziewnięcie. Wszystko to przewalkowano już do znużenia.

Perry co kilka tygodni dzwonił do Liama, który mieszkał przy Marlborough Avenue. Ze swego biura w Londynie mówił, że oferty na jego biurku pokrywają się kurzem. Proponują mu worki pieniędzy, ale on nie ma książki do sprzedania. W piwnicy rosną stosy maszynopisów niezłych pisarzy, którzy zrobiliby wszystko, byle wydać swoją książkę, ale wydawcy domagają się kontynuacji „Pif-paf” i materiału na kolejny serial.

— Powiedz, to rzeczywiście takie trudne? — pytał kojąco Perry. — Dajże spokój, Liam. Po prostu skleć jakąś bzdurną historię, dobrze? Piękna dziewczyna w za ciasnej bluzce. Kilka potężnych eksplozji. Magee wkracza do akcji, wszyscy źli faceci kończą w kajdankach. I po sprawie! Przecież to nie może być dla ciebie problem, Limo, to znaczy Liam. Daj mi tylko sto stron, razem dopiszemy resztę. Nie chcę cię martwić, ale musimy kuć żelazo, póki gorące.

Niezależnie od temperatury żelaza Liam nie byłby w stanie napisać stu stron, nawet gdyby ktoś przyłożył mu pistolet do głowy. Jego kreatywność skutecznie tłumila perspektywa krociowych zysków. A on bardzo potrzebował więcej pieniędzy. To co do tej pory zarobił, wydał na luksusowy dom przy Marlborough Avenue, czarny sportowy samochód ze składanym dachem i nowoczesną operację transplantacji włosów w dyskretnej klinice w Los Angeles. Liam podskakiwał na dzwonek telefonu, bo się bał, że Perry znowu będzie poganiał go do pracy.

A w dodatku Betsy ostatnio traktowała go nieprzyjemnie.

Jego żona od kilku tygodni była niespokojna, nieszczęśliwa i poirytowana. Od wydania pierwszej książki pozostawała w upojeniu wywołanym dżinem i zakupami, ale teraz Liam podejrzewał, że Betsy przeżywa jakiś kryzys.

Ich małżeństwo było otwarte, choć zwykle nie omawiali swoich romansów czy przelotnych związków. Liam uwielbiał wyobrażać sobie żonę w ramionach innych. Czuł się mężczyzną mrocznym i niebezpiecznym na myśl, że on i Betsy są dwojgiem złamanych dusz w zapalnej części świata. Albo parą zboczeńców, jak nazwał ich jeden z sąsiadów.

Liam był pewien, że Betsy ma na koncie więcej podbojów niż on, dysponowała bowiem wolnym czasem, którego jemu brakowało, ale nie zależało mu na poznaniu rzeczywistej liczby jej kochanków. Do obecnego rozwiązania dochodzili powoli, po wielu aluzjach Liama o urozmaiceniu związku. Betsy swoich partnerów poznawała w hotelowych barach i domach towarowych, Liam natomiast podrywał kobiety na targach książek i w pubach przy bocznych uliczkach. Betsy tolerowała

skryte usposobienie Liama i jego liczne romanse ze względu na pieniądze, które zarabiał. Na początku ich małżeństwa bardzo go pociągała swoją nieskrępowaną niczym szczerością i jowialnym poczuciem humoru, ale teraz był nią trochę znudzony. To nie było małżeństwo jak z bajki. Liam zaczynał żałować, że nie poślubił kobiety wyrafinowanej i spokojnej, takiej jak Lily Beaumont. Kobiety, która nie przestałaby go intrygować i interesować. Która nie przynosiłaby mu wstydu na przyjęciach literackich. Gdyby Lily była jego żoną, pewnie jej też nie byłby wierny; w tej kwestii nie istniała żadna gwarancja. Ale z całą pewnością dokładałby większych starań, żeby się dobrze sprawować.

Tymczasem on i Betsy żyli oddzielnie w supernowoczesnym domu w południowym Belfaście, ale Liam nie mógł się z nią rozwieść, ponieważ miała trzech braci adwokatów, najlepszych w zawodzie. Poznał ją w sklepie obuwniczym, choć teraz już tam nie pracowała. Co miesiąc dawał jej sporą sumę, z czego większość przepuszczała na kosztowne zabiegi upiększające i długie zakrapiane lunche w różnych hotelach. Schodziła mu z drogi, kiedy usiłował pisać, i nigdy nie odmawiała, gdy składał jej propozycje seksualne. Z tych też powodów nie starał się pozbyć Betsy i na jej miejsce znaleźć kogoś z większą klasą. Kilka razy w tygodniu odbywali namiętny stosunek: na ciężkim szklanym biurku w jego gabinecie, w kabinie, gdzie z kilku pryszniców lała się na nich gorąca woda. Nie bez znaczenia było też to, że Betsy niewiele mówiła. Liam nie musiał znosić nudnych pogawędek przed snem ani rojeń o usłanej różami wspólnej starości. Liamowi (i Pistoletowi Magee) taki układ bardziej odpowiadał.

Ale ostatnio Betsy straciła swoją zwykłą uległość. Wczoraj Liam podkraść się do niej, klepnął w tyłek i zaproponował, żeby zrobili to na stojąco w garderobie. Betsy miała na sobie nową spódnicę z błyszczącego materiału, co nagle i zaskakująco nawet dla niego bardzo go podnieciło. Tymczasem ona odsunęła się i przez cały wieczór siedziała nadąsana. Odrzuciła jego zaloty po raz pierwszy w ciągu dziesięciu lat ich małżeństwa. Dla obojga ten incydent był niejaki wstrząsem.

— Mam inne sprawy na głowie — poinformowała go, kiedy przed pójściem spać myli zęby przy bliźniaczych umywalkach w głównej łazience. — Wiesz, ty sobie myślisz, że jestem na każde twoje zawołanie. A ja nie mam zamiaru zniżać się do seksu w szafie pełnej worków z pralni. Rozum ci odebrało czy co?

— Przepraszam — powiedział Liam nieszczerze. — Nie wiem, co mnie opętało.

Przeprosiny Liama nie zrobiły na Betsy wrażenia. Spojrzała na jego odbicie w lustrze nad umywalkami. Ten odcień wyglądał bardzo nienaturalnie, pomyślała ze smutkiem.

— No, nieważne — mruknęła. — Zastanowiłeś się nad moją propozycją?

— Nie — odparł Liam. Ale zastanawiał się, i to długo.

Betsy chciała sprzedać ich cudowny dom położony niedaleko Malone Road w Belfaście i przeprowadzić się do Malahide, modnej dzielnicy Dublina. Powiedziała, że jest tam klub tenisowy, do którego mogłaby się zapisać. Pragnęła zawrzeć nowe znajomości w kręgu ludzi dorównujących im zasobnością portfela. Rozsądnie wskazała, że Liam nie musiałby oddawać haraczu fiskusowi. Pisarzom

mieszkającym w Republice Irlandii oszczędzone jest upokorzenie bycia towarem, który na wszystkie strony oglądają inspektorzy. Na kanale ARTE nazwali Irlandię Krainą Świętych i Artystów. A ponieważ ostatnio brakuje świętych, muszą szukać pomiędzy artystami.

Betsy była znudzona Belfastem. Rzadko wydawano tutaj wystawne przyjęcia, nie urządzano wielkich pokazów mody. Nie było też wysokiej klasy salonów kosmetycznych ani gabinetów dentystrycznych przeprowadzających na wzór amerykański zabiegi wybielania zębów. Nie mówiąc o restauracjach, których podwoje były zamknięte dla maluczkich! Żalotne, naprawdę. Jak na jej gust, Belfast pozostawał daleko za Dublinem. Co dwa tygodnie czytywała magazyn „VIP” i rozpływała się nad błyszczącymi fotografiami sław. Biedna Betsy, która wychowała się w bloku przy Falls Road, sądziła, że jest równa potomkom starej dublińskiej elity. Betsy Trotter, która klęła jak szewc, wypalała czterdzieści papierosów na dzień i piła mleko prosto z kartonu, wierzyła, że z otwartymi ramionami powitają ją znane na całym świecie ikony muzyki, teatru i mody. Liam przestał ją zabierać na podpisywanie książek, odkąd skompromitowała go przed przedstawicielem handlowym sieci księgarń Waterstone twierdząc, że w życiu nie słyszała o W. B. Yeatsie.

Wieczorem nie pocałowali się na dobranoc, a rano wcale nie było lepiej. Betsy ugotowała dla siebie jajko, a Liam sam musiał przygotować sobie śniadanie. Postanowił, że spędzi kilka dni, przenosząc się z pubu do pubu, dzięki czemu nie będzie zmuszony znosić skutków słabnącego libido Betsy, za to wzbogaci warsztat, podsłuchując przykłady barwnego użycia języka i zabawnych fraz. Zawsze chętnie korzystał w swej pracy z materiału zapożyczonego od zwykłych ludzi. Już wychodził z domu, kiedy zadzwonił telefon. To oczywiście był drogi Perry. Wciąż miał nadzieję na drugą książkę, ale informował Liama, że musi teraz zająć się maszynopisami innych początkujących pisarzy kryminalnych.

Po telefonie Perry'ego Liam był w fatalnym nastroju i wyładował go na jedynej osobie, którą miał pod ręką: swojej żonie. Powiedział, że z jej akcentem, szorstkim jak dupa sępa, nie wpuszczono by jej nawet tylnymi drzwiami do hotelu Clarence, Four Seasons czy innego dublińskiego lokalu z listy A. Może więc przestać liczyć dni do chwili, gdy on skończy nową powieść i będzie ich stać na szalbierskie ceny dublińskich agentów nieruchomości.

Czekając, aż Jack Beaumont przyjmie zamówienie, Liam wspominał rozmowę z żoną.

— Jesteśmy pospolici jak błoto, Betsy. Piekielnie pospolici. Musisz się z tym pogodzić.

— Miałbyś rację, gdybyś był kimkolwiek innym niż autorem — odparła cierpliwie. To była jedyna dobra cecha Betsy: potrafiła przyjąć nawet ostrą krytykę.

— Pisarzem — sprostował Liam. — Jestem pisarzem.

— Nieważne. Wiesz, o co mi chodzi, Liam. Kiedy jesteś pisarzem, piosenkarzem albo malarzem, pochodzenie robotnicze jest zaletą. Ktoś mógłby powiedzieć, że absolutną koniecznością. No bo jak możesz pisać o cierpieniu, skoro nigdy nie cierpiałeś?

— Jestem pod potężnym wrażeniem, Betsy, moja ty domorośla filozofko. I kto nauczył cię słów w rodzaju absolutna konieczność?

— Agent nieruchomości, skoro już chcesz wiedzieć.

— Richard Allen, tak się nazywa? Wciąż zadajesz się z tym gadem? A nie jest trochę za stary dla ciebie? Ile ma lat, pięćdziesiąt?

Betsy była niedojrzałą trzydziestotrzylatką, a Liam jeszcze bardziej niedojrzałym czterdziestolatkiem.

— Nie mam pojęcia, ile ma lat — warknęła z furją. — I wcale się z nim nie zadaję. Zapraszam go, żeby od czasu do czasu wycenił dom, to wszystko.

— Więc teraz tak to się nazywa! Urocze! — ryknął śmiechem Liam. Betsy od lat często spotykała się z Richardem Allenem, ale Liam wcale nie był zazdrosny. Miała prawo zabawiać się popołudniami w sposób, jaki jej odpowiadał. I było to tańsze od opłacania tych strasznych karnetów na siłownię.

— Tak czy owak to prawda — powiedziała Betsy. — Pochodzenie robotnicze to nic złego. Upierasz się, żeby tu zostać, a moglibyśmy żyć w luksusie nad morzem. To pewnie wyszłoby na zdrowie naszemu małżeństwu, Limo. — Skrzywił się, słysząc zniechęcające przezwisko. — To znaczy Liam. Oboje zaczęlibyśmy od początku, tylko ty i ja, bez komplikacji, bez osób trzecich. — Poprawiła swoje nowe implanty piersi i jednorazową zapalniczką z Portugalii zapaliła następnego papierosa.

Liam zaskoczyło, że ogarnęło go niejake współczucie dla tlenionej blond żony. Doszedł do wniosku, że może to lepsze niż brak jakichkolwiek uczuć. Przypomniał jej, że nie mogą wyjechać z Belfastu, ponieważ tutaj jest jego WPS, Wyjątkowy Punkt Sprzedaży. W Dublinie aż się roi od marnych naśladowców Jamesa Joyce'a. Nie można tam rzucić kamieniem, żeby nie trafić początkującego pisarza prosto w czoło. Liam Bradley jest wyjątkowy, ponieważ należy do nielicznych mieszkańców Ulsteru, którzy pozostali w prowincji po odniesieniu sukcesu. Pozostali uciekali za granicę, aż się za nimi kurzyło, jakby znowu wprowadzono obowiązkowy pobór do wojska, a po drodze paplali o zapierających dech w piersiach krajobrazach i ludziach z wielkim sercem. W rzeczywistości jednak wstydzili się, że pochodzą z północy. Chcieli pozbyć się twardego ulsterskiego akcentu i wtopić w bardziej prestiżowe południe. Betsy powiedziała mężowi, że jest niemożliwy; ona ma zamiar dalej kupować magazyn „VIP” i w Internecie sprawdzać ceny domów w Malahide.

Prawda leżała gdzieś pośrodku. Liam nie miałby nic przeciwko temu, gdyby mógł zaoszczędzić fortunę na podatkach, to oczywiste, ale martwił się, czy po przeprowadzce jego ulotna wyobraźnia nie opuściłaby go całkowicie. Był bardzo przesądny. Przez tych kilka lat w tylu wywiadach deklarował, że nigdy nie opuści Belfastu. Co pomyśleliby o nim wielbiciel, gdyby teraz przeniósł się do wytwornego domu w Dublinie? Poza tym nie znosił tych eleganckich przyjęć, na których tak zależało Betsie. Dla niej to była świetna zabawa: potrafiła tylko wydawać jego pieniądze na drogie stroje i co drugi dzień

chodzić do fryzjera. Kręciła się wokół sław, podczas gdy on kolejnym dziennikarzom opowiadał o swojej książce. To na niego kierowały się światła reflektorów, nie na nią. W dodatku czasami to były bardzo duszne i nieprzyjemne miejsca. Liam śmiertelnie obawiał się dublińskich epigonów Jamesa Joyce'a, ponieważ był oszustem i gdyby któregoś z tych pisarzy dopuścił do siebie, ów zorientowałby się w sekundę, z kim naprawdę ma do czynienia. Od dnia gdy w wieku piętnastu lat skończył naukę, nie przeczytał wartościowej książki, a jego często wspomniany dyplom magisterski z Queen's University był wytworem fantazji. Proszono go o wygłoszenie wykładów na temat literatury kryminalnej i prawie zabrakło mu już wymówek. Może powinien zacząć udawać, że staje się odludkiem, jak ten sławny artysta, który mieszkał samotnie w centrum Dublina w kamienicy w stylu króla Jerzego, a z domu wychodził co sześć tygodni tylko po to, żeby się upić? Ten facet wiedział, co robi. Trzymaj wszystkich na długość ramienia. Zachowaj odrobinę tajemniczości, jak Greta Garbo czy Jackie O.

Liam westchnął, kiwnięciem głowy powitał Jacka, po czym zamówił kufel lagera i kanapkę z serem.

— Jest szansa na roqueforta, Jack?

— Dostaniesz cheddar coleraine i będzie ci smakował — odparł Jack z błyskiem w oku. — Założę się, że gdyby zapakować ten cheddar w wymyślny papier i sprzedać Francuzom, piszczeliby z zachwytu. Zabijaliby się o najmniejszy kawałek.

— Warto spróbować — roześmiał się Liam. — Bóg kocha odważnych.

Liam rozejrzał się po barze, szukając apetycznej żony Jacka, ale Lily tego dnia nie pracowała. Szkoda. Lubił podziwiać ją w długich powiewnych spódnicach i wykwinnych, zapinanych na guziki czarnych trzewikach. To była przyjemna odmiana, kiedy próbował dostrzec fragment szczupłych kostek Lily albo cień koronkowego stanika pod lnianą bluzką, bo w domu na porządku dziennym miał rozcięte dżinsowe minispódniczki i miniaturowe T-shirty. Na tym polegał główny problem z Betsy: kiedy seks podawano na talerzu, nie smakował tak bardzo jak w sytuacji przeciwnej. Z biało-różowymi pasemkami i wytatuowanym zarysem ust żona kojarzyła się Liamowi ze striptizerką. Striptizerki były dobre na jedną noc, ale nie nadawały się na żonę.

Naturalnie prędzej mu kaktus na ręce wyrośnie, nim będzie miał szansę na przelotny romans z Lily Beaumont. Wiedział o tym dobrze. Namiętne uczucie Lily do Jacka było oczywiste nawet dla takiego jak on handlarza szmiry i seksistowskiego głupca. Miło jednak było pomarzyć. Przypominało to powrót do czasów przed targami o sześciocyfrowe honoraria i tymi wszystkimi wywiadami w telewizji śniadaniowej, przez które jego życie stało się tak stresujące. Pewnego dnia zdobędzie prawdziwą sławę i nie będzie musiał zabiegać o swój wizerunek. Niewykluczone, że nawet podpisze umowę na film, o ile oczywiście Perry Shaw zabierze się solidnie do roboty. A wtedy koniec z przeprowadzką do Dublina. Zrezygnowałby z pisania, rzucił Betsy jak gorący kartofel i kupił mały drewniany domek na Bahamach. Do końca życia nie robiłby nic, tylko oglądał fale rozbijające się o brzeg. Czułby gorący pia-

sek pod stopami i pił koktajle z rumem. I wynajęłyby jakąś kobietę, żeby mu gotowała. Zerwałby wszelkie kontakty ze światem wydawców, a ludzie by mówili, że jest geniuszem komedii. Do szczęścia brakowało mu drugiej książki, przypieczętowanej jego sukces. Gdyby tylko wpadł na pomysł czy nawet zaczątek pomysłu, przewyciężyłby pustkę w głowie i wrócił do pracy.

Przysłuchiwał się rozmowie trzech starszków w pierwszym boksie. Dyskutowali o możliwym zamknięciu pubu i z wielką nostalgią wspominali czasy, gdy pracowali jako malarze. Wracając do domu, zawsze wpadali na kufel zimnego piwa. Na początku, kiedy byli jeszcze czeladnikami, chodzili od domu do domu z puszkami farby olejnej i pędzlami, proponując odnowienie listew podłogowych w wielkich posiadłościach w Malone. Trudne dni, głodne noce, zebranie o dorywcze prace u arystokracji. Tu nie znajdę dobrej historii, pomyślał Liam, mimo to nadal nadstawiał ucha.

Serce mocniej mu zabiło, gdy na dół zeszła Lily. Zauważył, że oczy ma czerwone od płaczu. Fioletowa brosza w naciągniętym na uszy lawendowym kapeluszu zaśniła w świetle lamp mrocznym blaskiem. Na ramieniu niosła gobelinową torebkę, w ręku niezwykłą parasolkę z rączką w kształcie głowy konia. Mimo iż sprawiała wrażenie roztrzęsionej, przystanęła, by pocałować czule męża, co zawsze robiła, wychodząc na zakupy. Liam zastanawiał się, czy Betsy albo jakakolwiek inna kobieta pokocha go kiedyś na tyle mocno, by w taki sposób go całować. Szczerze mówiąc, wątpił w to. Oparł się o krzesło i zapatrzył w ogień na kominku. Poczł zapach perfum Lily.

Pewnie martwi się projektem nowego centrum, pomyślał Liam. Miał nadzieję, że nie przeniosą się zbyt daleko od Klonowej, kiedy będzie po wszystkim. Nie chciałby tracić kontaktu z Lily.

Żałował, że nie ma dość pieniędzy, by wykupić cały zaułek i podarować jej w prezencie. Ciekawe, czy z wdzięczności zgodziłaby się spędzić z nim noc? Co dałby za możliwość obejrzenia Lily nago? Odpowiedź: miliony. A gdyby to nie wchodziło w grę, to chociaż, żeby rozplotła dla niego ten ciasny warkocz...

Przestań snuć rojenia o szynkareczce i zajmij się intrygą, upomniał się w duchu. Pomyśl o tych wszystkich czekach z honorariami. Albo nie, lepiej o nich nie myśl. Wywołują zbyt wielki stres. Tak! Czas na analizę. Co jest nie w porządku ze współczesną twórczością?

Akcja większości poważnych dramatów kryminalnych, jakie oglądał w telewizji w ostatnich latach, działa się na zaniedbanych parkingach albo w brudnych, zasypanych śmieciami zaułkach. I zwykle jakiegoś biednego przemoczonego przechodnia spotykał fatalny los. Jeśli zbrodnia dotyczyła kobiety, film rozpoczynał się od krwawoczerwonych czółenek na niebotycznym obcasie, porzuconych w rowie. To wszystko było zboczne. Liam wołał wywołać ekscytację nieszkodliwą, przyjemną i zabawną.

Nagle przyszło mu do głowy: czy nie byłoby miłą odmianą, gdyby na miejsce swojej historii wybrał stary pub, taki jak ten? Krew szybciej zaczęła krążyć mu w żyłach. Tak. Jakaś absurdalna zagadka kryminalna osadzona w dziewiętnastowiecznym pubie. Powiedzmy, że prawie dwieście lat temu

popołniono tu morderstwo w afekcie. Sąsiedzi kryli sprawcę, bo wszyscy nienawidzili ofiary. Straszliwą tajemnicę przekazywano z pokolenia na pokolenie...

A potem gazownicy zaczynają kopać na podwórku i znajdują kości. Wzywają Pistoleta Magee. Zaczyna zadawać pytania, irytując ludzi i rzucając aluzjami. W piwnicy odnajduje stare listy i dokumenty. Odkrywa listę ewentualnych sprawców i kilka bardzo dobrych motywów. Wszyscy główni podejrzani naturalnie od dawna nie żyją, ale może wciąż pozostało kilku potomków? Emocjonalny wymiar historii w gruncie rzeczy nie miał znaczenia ani dla Liama, ani dla jego czytelników. Liczyła się wyłącznie intryga. Liam wyjął notes z kieszeni i zaczął gorączkowo skrobać.

Miejsce akcji: zabytkowa tawerna na samym końcu mrocznego i opuszczonego zaułka. Uliczka nie jest zaśmiecona i nie kręcą się po niej dziwki. W tle nie słychać typowej jazzowo-bluesowej muzyki, za to z tawerny dobiega irlandzka ballada. W porze zamknięcia pubu na bruk w poświacie księżyca kładą się długie cienie. Następnego dnia pracownicy przedsiębiorstwa gazowniczego odkrywają kości na podwórzu. Prace na jakiś czas są wstrzymane. Uliczka zostaje zamknięta. Kości jaskrawo bieleją na tle ziemi.

Czy kości przetrwałyby przez niemal dwa stulecia? Nieważne, w jego powieści to im się udało.

— To bardzo dobry początek — powiedział do siebie.

Wzywają Pistoleta Magee. Przedstawienie obecnych właścicieli pubu: to szczęśliwe małżeństwo, choć w łóżku niewiele znajdują uciechy. Podczas śledztwa Magee widzi dwa pojedyncze łóżka w sypialni. Dlaczego? Poszukać problemów medycznych.

Liam napił się piwa.

Magee szybko identyfikuje ofiarę po charakterystycznej biżuterii. Sygnet czy klamra paska?

Podoba mi się, pomyślał Liam.

Wątek poboczny: kłopotliwe spotkanie z Claudią, patolożką z kostnicy. Lodowa panna zmieniła się w agresorkę. Rozcina skalpelem pasek i Pistoletowi opadają spodnie. Musi uciekać z kostnicy w slipach. Claudia chce znowu się z nim spotkać, ale on nie ma ochoty z nią się zadawać, bo wpadła mu w oko właścicielka pubu. Claudia nie chce przyjąć odmowy do wiadomości i zaczyna doń w środku nocy wydzwaniać z pogroźkami. Skontrastować platynowe włosy i biały fartuch Claudii z kolorowymi strojami właścicielki.

Właścicielka będzie najpiękniejszą kobietą w powieści, w kwestii urody ładna lekarka nie dorasta jej nawet do pięt. Będzie wyglądała dokładnie tak jak Lily Beaumont. Liam znowu napił się piwa.

Piękną bohaterką tym razem jest właścicielka pubu. Ma ciemne włosy, jasną cerę i wielkie czujne oczy. Nosi długie do ziemi spódnice i obcisłe bluzki z koronki. Zapięta pod szyję, tłumi swoją urodę — dojrzała do zalotów Pistoleta Magee.

W tawernie odbędzie się wieczór tematyczny albo bal maskowy, na który sobowtór Lily włoży wiejską bluzkę z wielkim dekoltem. Liamowi dłonie trzęsły się z podniecenia. Z trudem udawało mu się prosto pisać.

Sprawdzić: bluzki i gorsety wieśniaczek z lat 1800-1850 na bal kostiumowy.

Zamówił następne piwo, przestraszony euforią, jaka go ogarnęła. Zawsze gdy tworzył, w głowie mu szumiało.

Niedługo po pojawieniu się Magee dojdzie do drugiego morderstwa. Zawsze gdy detektyw bliżki był odkrycia prawdy, popełniano jedną lub dwie zbrodnie. Druga ofiara może na przykład zginąć od strzału z zabytkowego pistoletu albo od ciosu jednego z mieczy, które wiszą na ścianach pubu. Hurra!

Drugie morderstwo jest zemstą za pierwsze, które miało miejsce wiele lat temu. Zbadać: broń z epoki. Do dzisiaj toczy się batalia o prawa własności do pubu pomiędzy żyjącymi krewnymi. Magee ustala prawowitego właściciela podczas długiej i bardzo emocjonalnej rozprawy sądowej. Pub zachować mają obecni właściciele; piękna gospodyni jest mu wdzięczna. Bardzo, bardzo wdzięczna.

Brawo! Magee rozwiąże zagadkę obu morderstw i uwiedzie właścicielkę. I przez całą powieść będzie żartował na temat dawnej bielizny. Liam wreszcie przezwyciężył swój problem. Napisze książkę obrazowo, żeby producenci telewizyjni nie musieli wysilać wyobraźni, przedstawiając ją na małym ekranie. Ci sami aktorzy mogą grać postaci ze współczesności i swoich przodków w retrospektywach. Liam dołączy też garść informacji o tamtych czasach. Tylko po to, żeby zrobić wrażenie na krytykach.

Głód, gniew i śmierć. Ludzie ogarnięci obsesją posiadania ziemi. Uwaga: niewiele się dzisiaj zmieniło, może z wyjątkiem głodu.

— Cudowny materiał — powiedział na głos. Przygotował całą intrygę, i to w jeden poranek. Kto mówi, że przesiadywanie w pubach to droga prowadząca donikąd? Liam taki był z siebie zadowolony, że omal nie eksplodował.

Miał miejsce akcji, historię i piękną kobietę. Teraz potrzebował tylko zbrodni gdzieś z roku 1830, plus minusz dziesięć lat, i sprawa załatwiona. To nie będzie trudne. Powiedzmy, że dwaj bracia walczą o nowo wybudowany pub, ponieważ ojciec zmarł, nie pozostawiając testamentu?

Dwaj bracia kłócą się o pub. Może są bliźniakami i nie wiedzą, który urodził się pierwszy, więc prawo syna pierwotnego w ich wypadku nie ma zastosowania? Wybuch gwałtowna bójka, w czasie której tłuką się butelki i łamią krzesła. Jeden topi drugiego w beczce z piwem w piwnicy? Jest w rozpaczliwej sytuacji, bo jego żona spodziewa się dziecka, a grozi im, że zostaną bez dachu nad głową. Grzebie zwłoki na dziedzińcu, a sąsiadom mówi, że brat wyemigrował. Nie wie, że brat ma syna z miejscową ladacznicą, której intuicja podpowiada, że jej kochanek został zamordowany. Ich syn wyrasta w zgorzkniałej nienawiści do bogatego stryja...

OK, dwaj bracia mogli wspólnie prowadzić tawernę, ale hej, to jest literatura. Tak! Drugie morderstwo zaczynało nabierać kształtu. Liam nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu i wytrze kurz z ekranu komputera.

Postanowił, że w drodze do domu wstąpi do biblioteki i sprawdzi, czy są jakieś materiały o Tawernie Beaumontów. Niewykluczone, że uda mu się wygrzebać coś, co przyda się do książki, a w najgorszym razie zapozna się z obowiązującym w tamtym okresie prawniczym żargonem. Cholera, już się czuję, jakbym zbierał materiały, pomyślał Liam. W końcu chyba jednak jestem prawdziwym pisarzem. Poszedł do męskiej toalety. Wpierw sprawdził, czy jest pusta, potem z wielkiej radości zaczął boksować powietrze. Wieczorem zadzwoni do Perry'ego Shawa i powie mu, że zaczął pisać drugą książkę. Po krótkiej chwili nad pisuarem wrócił do stolika. Zamówił trzeci kufel, wypił jednym haustem i zaczął notować opis tawerny.

Schodzone deski podłogowe, wyeksponowany ceglany komin (ogromny), palenisko na torf (wywołuje odpowiednią atmosferę), bardzo niskie drzwi (możliwość ciekawych urazów głowy), dużo butelek na parapecie (do zrzucenia i potłuczenia w scenie bójk), migoczące lampy gazowe na ścianach (potencjalne źródło wybuchu).

A potem dla zabawy ułożył kilka erotycznych scen. Zainspirowanych naturalnie osobą Lily Beaumont.

Kobieta w tanim stroju odsłaniającym piersi pokryte kropelkami potu błaga (wzrokiem) Pistoleta, żeby wziął ją do łóżka. Mąż najwyraźniej nie jest w stanie jej zaspokoić. Pistolet opiera się przez jakieś dziesięć sekund! A potem nasz bohater robi to, w czym jest najlepszy, spodnie już ma przy kostkach. Znowu! Właścicielka zakochuje się w nim, ale nie może odejść od chorego męża. Spędzają kilka romantycznych chwil, podczas gdy Magee rozwiązuje sprawę. Wkrótce jednak nasz detektyw musi naprawić złamane serce (oraz samochód spalony dzięki uprzejmości Claudii) i powędrować na następne miejsce zbrodni.

— Fiu! — szepnął do siebie Liam. — Specjalny program bożonarodzeniowy, to jest to!

Poczuł nagły przypływ adrenaliny. Może nawet spełni marzenie Betsy o przeprowadzce, jeśli nowa książka okaże się sukcesem. Byłoby miło, gdyby Betsy poznała w Malahide nowych przyjaciół, zanim Liam opuści ją na zawsze dla jaskrawego słońca i kołysanych wiatrem palm na Bahamach. Powie jej dzisiaj, że gotów jest poważnie rozważyć myśl o zmianie domu. Pod warunkiem że ona przeniesie się z głównej sypialni do pokoju gościnnego na piętrze. Na kilka tygodni, żeby miał spokój przy pisaniu nowej książki. Te jej wytatuowane usta przyprawiały go o dreszcze już od rana.

BARMANKI

Jack trzymał list. Była dziesiąta rano w sobotę dwudziestego listopada. Rozpalał ogień w kominku, kiedy brązowa koperta z cichym trzepotem wylądowała na wycieraczce. Chwilę przedtem Lily zeszła do baru z dwiema filiżankami herbaty i posmarowanymi masłem naleśnikami na tacy. Postawiła ją na kontuarze i spojrzała na Jacka z przerażeniem w oczach.

— Tak, to jest to, Lily — powiedział krótko. Lily kiwnęła głową.

Ostrożnie podniósł list i oboje usiedli koło kominka. Jack powoli otwierał cienką kopertę, jakby to mogło zmniejszyć wagę jej zawartości. List informował o niezwykle interesującym projekcie planowanym w ich okolicy. Nowa inwestycja wzbogaci centrum miasta i da wiele tak potrzebnych miejsc pracy w sektorze handlowym.

— A co z naszymi miejscami pracy? — zapytała Lily drżącym głosem i zakryła twarz rękoma.

— Nie płacz, koteczku — powiedział Jack spokojnie, przebiegając wzrokiem po stronicach. — To dopiero zapowiedź, nie nakaz eksmisji. Piszą, że większość nowych miejsc pracy zajmą wysoko opłacani profesjonaliści, głównie informatycy i ekonomiści, co jest doskonałą wiadomością dla gospodarki kraju.

— Też coś. Co jeszcze?

— Niech zobaczę. Tu przechodzą do sedna. Wyjaśniają, że możemy przyjąć albo odrzucić ofertę przedsiębiorcy budowlanego. Podają adres i nazwiska prawników.

— Ile proponują? — zapytała Lily.

— Wygląda na to, że musimy się z nimi spotkać, żeby się tego dowiedzieć. O szczegółach powiedzą nam osobiście. — Jack jeszcze raz przejrzał list, ale nigdzie nie znalazł żadnej sumy.

— Cóż za protekcyjność! Ha, mogą sobie wsadzić propozycję spotkania wiesz gdzie. Nie mam zamiaru zamykać pubu na pół dnia, żeby kłaniać się tym rekinom.

— Posłuchaj, Lily. To wiadomość, na którą liczyliśmy. Piszą, że ponieważ bar jest wpisany na listę zabytków, możemy zablokować jego zburzenie na podstawie ustawy o ochronie dziedzictwa narodowego. Wziąwszy jednak pod uwagę znaczenie nowego projektu, rada miejska udzieliła nam specjalnego zezwolenia na sprzedaż. I sprowadzą ekspertów z Anglii, żeby stwierdzili, czy tawernę można przenieść w inne miejsce.

— Co to znaczy, Jack?

— To znaczy, że możemy powstrzymać buldożery. Jeśli jednak wszyscy inni chcą wziąć swoje pieniądze i zniknąć, zostaniemy uznani za rozrabiaczy. To szantaż emocjonalny.

— Brudne zgniłe gady! Uważam, że musimy zapytać sąsiadów o zdanie. Osobiście. Chcę usłyszeć to od nich. Ten Halloran może nam wciskać kit.

— To nie wszystko, Lily. Piszą też, że w barze zarejestrowanych jest tylko dwoje pracowników, ty i ja. A oni planują zbudowanie ogromnych delikatesów i kawiarni zatrudniających... posłuchaj tylko!... czterdzieści pięć osób. Wyjdzie na to, że jesteśmy parą skończonych egoistów, którzy dla rozrywki prowadzą sobie pub.

— A, więc taki jest ich punkt widzenia? Za mało personelu? Świetnie.

— Coś ci powiem, kochanie, w najbliższym czasie potrzebna nam będzie twarda skóra.

W milczeniu patrzyła, jak Jack rozpala ogień. Z roztargnieniem popijali herbatę i wyobrażali sobie, jak kupcy z całej ulicy ustawiają się w kolejce, żeby odebrać czekci za wykup.

— Zostały nam jeszcze trzy miesiące, skarbie — powiedział Jack, przełknąwszy ostatni kęs naleśnika. — Wygląda na to, że szczęście przestało nam sprzyjać. Nawet jeśli przez wzgląd na nas zmienią projekt, atmosfera Klonowej zostanie nieodwołalnie zniszczona. Czy będziemy potrafili mieszkać w cieniu budowli Nowego Wspaniałego Świata?

— Ciii, Jack, myślę — szepnęła Lily.

Nie odzywali się przez prawie dwadzieścia minut, w milczeniu rozważając, gdzie będą spędzać Boże Narodzenie w przyszłym roku i we wszystkich następnych. Lily zadawała sobie pytanie, czy ich wszechogarniające wzajemne pożądanie wytrzyma konfrontację z prawdziwym światem. W porównaniu z tysiącami innych małżeństw nie musieli zbyt często stawiać czoła wyzwaniom. Jakie są szanse, że dostaną kwotę wystarczającą na otwarcie nowego baru czy innej firmy? Jack myślał, że może jednak powinien zrobić prawo jazdy, bo wtedy w najgorszym razie zatrudni się w przedsiębiorstwie taksówkowym jako kierowca autobusu albo ciężarówki. Lily wspominała kilka tygodni spędzone w szwalni koszul: nieustannie bolały ją plecy i musiała prosić o pozwolenie pójścia do łazienki. Każde z nich pogrążone było we własnych ponurych myślach, jakby koniecznie chcieli się uporać ze strasznymi nowinami.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Jack, kiedy Lily wstała, strzepując okruszki ze spódnicy.

— Ja zamierzam upiec ciasto, kochanie. Przy pracach kuchennych lepiej mi się myśli. Co powiesz na biskopt nasączany maderą?

— Brzmi zachęcająco — odparł Jack łagodnie.

Lily poszła do małej kuchni. Z półki nad zlewem wyjęła miskę, torebkę mąki i cukier, a z lodówki kilka jajek i masło. Kiedy krzątała się po swojej ukochanej kuchni z zasłonami w czerwoną kratkę i starannie ustawionymi w rzędy szklanymi pojemnikami, zwykle znajdowała rozwiązanie problemu, który akurat ją dręczył. Powiedziała sobie, że musi zachować spokój i otworzyć umysł na nowe idee. Jack sprawiał wrażenie, jakby już się poddał, co trochę ją irytowało. Ale przecież dlatego tak żar-

liwie go kochała, że był spokojny i racjonalny. Nie, nie będzie nakłaniać męża do żadnego radykalnego posunięcia, skoro sama nie ma pojęcia, co robić. Wymyśli jakiś plan.

Jack poprawił krzesła i przesunął spłowiełą ścierką po oknach. Wątpił, by można było powstrzymać wyburzenie całego zaułka za pomocą biskopka Lily, ale kochał żonę zbyt mocno, by krytykować jej wysiłki.

Musiał namówić Lily, żeby poszła z nim do adwokata, bo w przeciwnym razie nie będą wiedzieli, czego się spodziewać. A trzeba się rozejrzeć za nieruchomością, którą mogliby kupić za otrzymane pieniądze. Potem w nowym miejscu zaczną szukać pracy w barze albo sklepie. To był ponury plan, ale najlepszy, jaki przychodził mu do głowy. Może zapytają o pracę w tym nowoczesnym kompleksie? Czy byłoby to dla nich zbyt bolesne? Doszedł do wniosku, że lepiej zrobić, jeśli się wyprawdzą i zaczną od nowa.

Lily przesunęła palcem po krawędzi miski i z namysłem go polizowała. Surowe ciasto było prawie tak samo wyśmienite jak po upieczeniu. Smak poprawił jej samopoczucie, pocieszył. Miała ochotę wybiec na ulicę i głośno narzekać na niesprawiedliwość świata. Typowe dla kobiety. Lily wiedziała jednak, że musi zacząć myśleć jak mężczyzna. Teraz potrzebne były praktyczne rozwiązania, nie bezużyteczne emocje.

— W liście wspomniano o personelu. A raczej o jego wyraźnym braku — powiedziała czerwonym zasłonkom związanym ślicznymi wstążkami. Ha, z całą pewnością może kogoś zatrudnić. Zmienić charakter tawerny, rozreklamować ją w mieście. Przyciągnąć klientów i prosić o podpisanie wiążącej na ścianie petycji przeciwko budowie centrum. Ostatecznej odpowiedzi muszą udzielić do końca lutego. Może nawet uda im się przekonać innych kupców, żeby nie sprzedawali swoich działek? W najgorszym wypadku powinni zarobić tyle pieniędzy, ile się da, zanim odbiorą im klucze. Tysiące funtów tygodniowo. Tak przynajmniej mówił ten facet z browaru, Harry Frew: dawno mogliby tyle mieć, gdyby się zakręcili.

Lily i Jack nie byli materialistami. Dopóki wystarczało im na zapłacenie rachunków i prowadzenie pubu, byli szczęśliwi. Tym sposobem nie mieli kłopotów z personelem, ani tym bardziej z urzędem podatkowym. Teraz jednak wszystko miało się zmienić, i to natychmiast. Nie mogli sobie pozwolić na zmarnowanie nawet minuty. Lily wsunęła formę z ciastem do piekarnika i w pokrytym mąką fartuchu zbiegła na dół.

— Jack, wszystko będzie dobrze! Powiem ci, co zrobimy. Zatrudnimy personel. Zarobimy górę pieniędzy! Urządzimy te wieczory folkowe, o których mówił Harry. I będziemy serwować dania. Gorące smaczne dania, które przyciągną tłumy.

— Hej, spokojnie — odparł, łapiąc ją w pasie i całując. — Kochanie, odsuwasz tylko nieuniknione. I wykończysz się gotowaniem. Czy to nie był powód, dla którego wcześniej tego nie robiliśmy?

— Wcale się nie wykończę, Jack, tylko zaraz w poniedziałek rano zatrudnię kilka dziewczyn. One mi pomogą.

— Dziewczyny? Nie barmanów?

— Dziewczyny, bo bardziej przydadzą się w kuchni i lepiej wyglądają za barem. Wiem, że to seksistowskie podejście, ale poza tym nie stać nas na szefa kuchni z prawdziwego zdarzenia.

— To się nie uda — westchnął Jack. — Za mało czasu. I skąd w takim pośpiechu weźmiesz ładne dziewczęta?

— Posłuchaj, kochanie. Przez dwadzieścia lat prowadziliśmy skromny bar i byliśmy z tego zadowoleni. Mieliśmy czas dla siebie i żadnych prawdziwych stresów. Teraz nadeszła pora na zmianę taktyki. Rozkrzyczymy naszą nazwę po mieście. Staniemy się legendą! Zobaczysz.

Jack uśmiechnął się. Uwielbiał, gdy Lily była ożywiona i podniecona, ale obawiał się, że jej pomysły nie są realistyczne.

— Nie chcę tylko, żebyś pokładała w tym zbyt wielkie nadzieje, to wszystko.

— Jack, to na pewno się uda! Weźmiemy kilka dziewcząt, damy im niewygórowane stawki. Codziennie rano zrobię kilka zapiekaneł i będziemy je sprzedawać w kawałkach z sałatkami. I zupy. Mogę codziennie stawiać na piecu wielki gar. Będziemy liczyć trzy i pół funta za talerz. Zastawę na początek wypożyczymy. Och Jack, zgadzasz się?

— Jeśli to sprawia ci taką przyjemność, zajmij się tym. Tylko nie przesadz. Obiecujesz?

— Obiecuję. Sam powiedziałeś, że musimy zebrać tyle pieniędzy, ile się da, biorąc pod uwagę ceny nieruchomości. I w dodatku nowy dom musimy kupić od razu. Jeśli wylądujemy w jakiejś pracy, gdzie będziemy harowali za najniższą płacę, nigdy nie dostaniemy kredytu hipotecznego.

— To prawda, serduszko.

— Kocham cię — odparła czule.

— Ja też cię kocham.

Lily pobiegła do kuchni, by sporządzić bardzo długą listę zakupów, zapisać adresy dobrych dostawców oraz opracować nowe sposoby na zarobienie pieniędzy. Niemal zapomniała o cieście, taka była zaabsorbowana swoimi myślami. Kiedy wreszcie otworzyła piekarnik, biszkopt był cokolwiek przepieczony.

W poniedziałek rano Lily zadzwoniła do urzędu pracy i powiedziała, żeby natychmiast przysłali do niej kandydatów na barmanów. Postanowiła, że będzie rozmawiać ze wszystkimi, także z mężczyznami, bo tego wymaga prawo o równości płci, ale przyjmie tylko kobiety. Ściślej rzecz biorąc, ładne kobiety.

Nie musiała jednak martwić się, że złamie prawo. W mieście akurat nie było żadnego bezrobotnego barmana. Młody urzędnik, który odebrał telefon, powiedział, że zna cztery świetne dziewczyny, które doskonale nadadzą się do tej pracy. Zadzwoni do nich na telefony komórkowe i pewne jak

dwa razy dwa, że do końca dnia Lily będzie miała swoje kelnerki. Dziewczyny nazywają się Daisy Hardcastle, Bridget O'Malley, Marie Smith i Trudy Valentine. Ten młody człowiek potraktował mnie szalenie miło i uprzejmie, pomyślała Lily, odkładając słuchawkę. Nie mógłby okazać większego zaangażowania.

Nie minęła godzina, a cztery pełne nadziei kandydatki stały już na progu. Daisy miała ponad sześć stóp wzrostu i rude włosy. Bridget była drobna, z platynowymi lokami. Trudy swym wyglądem przypominała trochę Hiszpankę, ale była za mocno umalowana. Marie natomiast, która przyszła jako ostatnia, ślicznie się uśmiechała i miała spadające na plecy brązowe kędziory. Lily pomyślała, że wszystkie wyglądają odpowiednio i są zadbane, wyjątkiem była Daisy ze swoimi czerwonymi włosami i kolczykiem w nosie. Ale odcień można zmienić, a kolczyk usunąć. Lily podziękowała swej szczęśliwej gwiazdzie za to, że wszystkie są niezwykle atrakcyjne. Naturalnie, że je przyjmie, ale dla własnego dobra musiała odstawić szopkę. Oznajmiła więc, że po kolei przeprowadzi z nimi rozmowy w boksie koło stojącego zegara. Przyniesie tylko herbatę, a potem zacznie. Dziewczęta pokiwały nerwowo głową, sadowiąc się przy barze. Jeśli Jack był zaskoczony, że Lily tak szybko zaczęła rekrutację, nie okazał tego. Dalej spokojnie polerował kontuar i kroił cytryny ostrym nożem.

Brunetka z wielkimi piwnymi oczami odwróciła się do niego plecami, kiedy owiał ją ostry zapach. Jackowi wydawało się, że przedstawiła się jako Trudy Valentine, ale nie pamiętał dokładnie. Jakimś sposobem usunęła sobie brwi, a w to miejsce namalowała dwa ostre łuki. Wygląda na wiecznie zdziwioną, pomyślał Jack. Trudy miała mocny makijaż, a we włosy z kolorowymi końcówkami wpięła wiele spinek i grzebieni. Bardziej nadaje się na gwiazdę pop niż kelnerkę, stwierdził Jack w duchu. Westchnął cicho. Wcale nie chciał pracować z obcymi ludźmi. Już czuł presję, choć do lunchu było daleko.

Tymczasem Lily przyniosła herbatę i dokładała starań, by jak najlepiej przeprowadzić pierwszą w swoim życiu rozmowę kwalifikacyjną.

— Nazywam się Daisy Hardcastle — powiedziała wysoka dziewczyna z włosami koloru wozu strażackiego, ubrana w obcisłe dżinsy. — Ale chłopakom zawsze mówię, że jestem Daisy Chain. Zdziwiłaby się pani, przez ile miesięcy tak mnie nazywają, zanim się połapią.

— W to akurat mogę uwierzyć — odparła Lily, patrząc na bardzo długie nogi Daisy. — Jak by to ująć, zwracasz uwagę swoim wyglądem, Daisy.

— Dziękuję bardzo. Używam też innych imion. Rose Garden, Gaye Couple, Honey Comb i Penny Farthing, by wymienić tylko kilka. Lubię drażnić się z chłopcami, ale proszę się nie niepokoić, oni to lubią.

Obie się roześmiały; Lily pomyślała, że Daisy jest bardzo zabawna, ale zależało jej na przejściu do sedna.

— To wszystko jest szalenie zajmujące, Daisy, ale powiedz, pracowałaś wcześniej w barze? — zapytała Lily. — To nie jest takie łatwe, jak może ci się wydawać. Z niektórymi klientami, zwłaszcza gdy wypijają, czasami trudno sobie poradzić.

— No, mam dopiero dziewiętnaście lat, więc nie mogę pochwalić się wielkim doświadczeniem zawodowym. Obecnie studiuje sztuki piękne. Wspomniałam o tym? Ale pracowałam w barze. W zeszłe wakacje w Donegal, więc umiem nalewać piwo i obsługiwać dozownik do alkoholi. Za to nie bardzo znam się na koktajlach.

— Tak się składa, że rzadko podajemy koktajle, chociaż to się zmieni. Wydajesz mi się dostatecznie kompetentna. I jeszcze jedno, Daisy. Czy ten kolczyk z nosa można wyjąć?

— Och, proszę, pani B.! To jedna z moich najlepszych cech. Chłopcy go uwielbiają.

— Naprawdę? — zapytała Lily, zastanawiając się, jak poprosić Daisy, by nie nazywała ją panią B. przy innych.

— Taa. To świetnie pomaga przy rozmowach. Udają, że im się nie podoba, ale tak naprawdę żalują, że brakuje im odwagi, żeby przekłuć sobie nos albo uszy. W Art College praktycznie mam swój fanklub. Nazywają mnie tam Zwariowaną Daisy.

— W takim razie masz tę pracę. — Lily uśmiechnęła się do nowej podwładnej.

— Ojej! — zdziwiła się Daisy. — Dzięki.

— Podoba mi się twoje pozytywne nastawienie. Chcemy rozweselić nasz pub przed Bożym Narodzeniem i potrzebujemy ludzi z poczuciem humoru. Daj mi kartkę ze swoimi danymi i zapisz godziny, w jakich możesz pracować. Będziemy w kontakcie — uśmiechnęła się Lily. — Przyślij następną dziewczynę, dobrze?

— Jasne, pani B.

Daisy wybiegła na słabe listopadowe słońce, nie posiadając się z radości. Pośpieszyła Royal Avenue w kierunku college'u, prawie nie oglądając sklepowych witryn i zatrzymując się tylko raz, by w kiosku kupić cukierki sorbetowe. Nie mogła się doczekać, kiedy przyjacielom powie, że udało jej się dostać pracę w przytulnym małym pubie na Klonowej. Daisy nie zamierzała w Tawernie Beaumontów urabiać się po łokcie. Miejsce chyli się ku upadkowi, sądząc z jego wyglądu, pomyślała z radością. W trakcie jej pobytu tam prawie nikt nie przyszedł. To będzie super! Pieniądze za nic, na sto procent!

W pubie pełno było staroświeckich kamiennych dzbanów i ślicznych butelek, a w kącie siedzieli zgarbieni trzej zgrzybiali emeryci. Daisy planowała, że zapełni notatnik rewelacyjnymi szkicami, kiedy będzie za barem czekała na klientów. Całkiem nieźle jak na dziewczynę, którą wszyscy nazywali Zwariowaną Daisy.

Tymczasem w tawernie trwała druga rozmowa. Bridget O'Malley, lat dwadzieścia pięć, opowiadała o sobie: jest niezwykle doświadczoną kelnerką i wygrała kilka nagród w Ameryce za swoje kawy po irlandzku, jako że przez parę lat serwowała drinki w irlandzkim barze w Atlantic City, gdzie

nauczyła się wielu użytecznych rzeczy. Potrafi w rekordowym czasie przyrządzić każdy koktajl pod słońcem oraz z dokładnością do jednej kropli nalewać piwo. Lily słuchała jej z wielkim zadowoleniem.

Podobało jej się też, że naturalne jasnoblonde włosy tworzą wokół głowy Bridget anielską aureolę, a jej talia ma ledwie osiemnaście cali. Lily nigdy dotąd u nikogo nie widziała takich małych stóp, Bridget pewnie nosiła dwójkę. Co zresztą nie było zaskakujące, bo dziewczyna mierzyła jakieś pięć stóp dwa cale, nie więcej. Ubrana była w białą koronkową suknię i srebrne pantofelki na wysokich obcasach. Wyglądała jak bożonarodzeniowy anioł, który stracił gdzieś skrzydła. Lily zawsze miała słabość do aniołów i innych niebiańskich stworzeń i nie wątpiła, że Bridget została przysłana do niej przez jakąś siłę wyższą. Nie była dumna z tej myśli. Ocenianie wyglądu kandydatek trąciło niejaką lubieżnością, ale czasy były trudne, tawerna przypominała garnek z miodem w środku miasta, a każdy garnek miodu potrzebuje pszczoł robotnic. Atrakcyjne kelnerki ściągną gości, tak zawsze utrzymywał Harry Frew. Lily zamierzała wieczorami odsyłać kelnerki do domu taksówką, żeby oszczędzić sobie troski, że jakiś zadurzony klient będzie je zaczepiał.

Bridget powiedziała, że zrezygnowała z obecnej pracy w snobistycznym hotelu po głupiej sprzeczce z szefową. Przygryzła wargę, jakby walcząc ze łzami.

— W porządku. Powiedz mi w skrócie, co się stało — zaproponowała Lily.

— Poszło o drobiazg, pani Beaumont. Nieporozumienie. Ta biedna kobieta, moja szefowa, miała lekką paranoję. Chyba z powodu tego leku, który dostawała na depresję, a może zaczynało jej się mieszać w głowie. Tak czy owak oskarżyła mnie, że z biura dzwonię w sprawach prywatnych. Rachunek rzeczywiście był niebotycznie wysoki, ale nie z mojego powodu. Powiedziałam jej, że to śmieszne, całkowicie pozbawione podstaw oskarżenie. W hotelu ledwo miałam czas odetchnąć, a co dopiero zajmować się sprawami prywatnymi.

— Więc kto dzwonił? Dowiedziałaś się?

— No, nie lubię rozpowiadać plotek, ale to była córka właściciela, Tara. Nastolatka.

— Przecież na billingach były podane numery?

— Tak. W większości do wróżek. Nie mogłam udowodnić, że to nie ja, i nie chciałam wskazywać palcem Tary. To bardzo miła dziewczyna. Jedynaczka, rozumie pani. Współczułam jej i traktowałam jak młodszą siostrę. Nie mogłabym wpakować jej w takie kłopoty. Miała okropnych rodziców.

— Bridget sprawiała wrażenie przygnębionej i Lily cmoknięciem wyraziła współczucie.

— Nie ma sprawy, Bridget, takie rzeczy się zdarzają. A poza tym ich strata jest naszym zyskiem — podsumowała wesoło. — Mam nadzieję, że zgodzisz się pracować na cały etat?

— Z radością, pani Beaumont. Bardzo pani dziękuję.

— Cudownie. W takim razie porozmawiajmy o pieniądzach.

— Pieniądżach? No cóż, jestem bez dachu nad głową, bo zerwałam z chłopakiem, a mieszkałam u niego, więc potrzebuję przyzwoitej pensji. Takiej, żeby mi wystarczyła na wynajęcie własnego kąta.

Słyszając to, Lily na moment straciła dobry humor. Wcześniej miała nadzieję, że uda jej się zapłacić dziewczynom absolutne minimum, ale nie myślała o nich jak o prawdziwych osobach prowadzących prawdziwe życie. Biedna Bridget została bez domu i pracy, a mimo to nie straciła dobrego humoru i chęci na pogawędkę. I była starannie umalowana, w butach na wysokim obcasie. Cóż za inspiracja dla kobiet w trudnej sytuacji! Lily czuła dla niej wielki podziw. A potem Bridget rzuciła swoją bombę.

— Nie ma tu przypadkiem wolnego pokoju? — zapytała z nadzieją. Potarła się po ramionach i lekko zadrżała.

— Obawiam się, że nie — odparła Lily ze smutkiem, z całego serca żałując, że nie dysponuje przytulnym wolnym pokojem, który mogłaby zaproponować siedzącemu przed nią elfowi. Oczyma wyobraźni widziała, jak kupuje w domu towarowym Henry'ego kołdrę i aksamitne papucie dla Bridget, żeby było jej ciepło w stopy.

— A ile pokoi jest na piętrze? — zapytała Bridget od niechcienia. — Pytam z ciekawości. Dom wygląda na dość duży.

— Niestety, sypialnia jest tylko jedna, na drugim piętrze. W dawnych czasach był tam składzik. Mieszkamy z mężem nad pubem. Na pierwszym piętrze jest ogromny salon, który dawniej był jadalnią, ale on na nic ci się nie przyda.

— Nie szkodzi. Mam łóżko w studenckim mieszkaniu — odparła Bridget z wyrazem nieskończonego smutku w ogromnych niebieskich oczach. Nienawidziła mieszkania w studenckich kwaterach. Nigdy nie można było porządnie wysuszyć prania w zimnych wilgotnych pokojach starych kamienic. A czynsz za nowoczesne mieszkania wynosił kilkaset funtów. Bridget spojrzała na zegarek, jakby śpieszyła się na inne ważne spotkanie.

— Więc jak, Bridget? — zapytała Lily łagodnie. — Pełny wymiar godzin? I zaczynasz od razu? Może od jutra? — Tu podała wysokość pensji.

— Dobrze, pani Beaumont — westchnęła Bridget. — To chyba wystarczy na związanie końca z końcem.

— Świetnie. Została jeszcze jedna sprawa. Zamierzam serwować gorące dania; będziesz mi mogła pomóc w kuchni? Umiesz gotować?

— Nie zajmuję się przygotowywaniem jedzenia — odparła Bridget pośpiesznie, zbierając płaszcz i torebkę. — Przekonałam się, że niektórzy właściciele pubów wykorzystują personel w kuchni.

Gdybyś tylko wiedziała, pomyślała Lily, podczas gdy w jej piersiach wzbierało uczucie podobne do wyrzutów sumienia. Planowała dla wszystkich dziewcząt szesnastogodzinny dzień pracy.

— Bo wie pani, w ostatnim miejscu, zanim jeszcze doszło do tego incydentu z telefonami, nie miałam wolnej chwili — tłumaczyła Bridget. — Równocześnie smażyłam kurczaki, robiłam wymyślne

kanapki, nalewalam piwo i sprzątałam ze stołów. I nie mieliśmy przerwy na lunch, jeśli ktoś z dorywczych nie przychodził do pracy. Rozumie pani, że nie chcę znowu dać się złapać w taką sytuację. — A w dodatku para z frytkownicą kompletnie rujnowała jej loki.

— Nie ma sprawy — powiedziała Lily ze sztuczną wesołością. Trochę zbiła ją z tropu nagła zmiana, która nastąpiła w Bridget, nie chciała jednak tracić szansy na zatrudnienie doświadczonej kelnerki. — W takim razie umowa stoi. Nie będziesz pracowała w kuchni, Bridget. Poproś następną dziewczynę a zanim wyjdiesz, zostaw swoje dane.

— Oczywiście — Bridget podniosła się z krzesła. — Wielka szkoda z powodu tego pokoju. Miło tutaj, przytulnie i ciepło.

— A nie możesz wrócić do rodziny, zanim czegoś nie znajdziesz? Jestem pewna, że ucieszą się, jeśli będziesz w domu na Boże Narodzenie.

Bridget ponownie usiadła.

— Szczerze mówiąc, pani Beaumont, między mamą a mną nie układa się najlepiej. Matka traktuje mnie z góry, bo jestem zwykłą kelnerką. A tata zawsze bierze jej stronę. Tak to wygląda. — Bridget spuściła wzrok, wyraźnie zażenowana i zakłopotana.

— Rozumiem — powiedziała Lily ze współczuciem. Matka o mało nie doprowadziła jej do szaleństwa ciągłym narzekaniem, kiedy Lily straciła swoje cenne miejsce w Art College. Nie potrafiła zrozumieć, że Lily się zakochała i miłość była dla niej ważniejsza od wykształcenia. — A czy twoja mama zrobiła wspaniałą karierę? — Lily nie potrafiła się powstrzymać, by o to nie zapytać.

— O, tak — odparła Bridget pełnym podziwu szeptem. — Jest sprzedawczynią w dziale garmażeryjnym u Marksa i Spencera. Ma ocieplaną kamizelkę ze swoim monogramem. — Lily zakaszłała, ukrywając śmiech. Zupełnie zapomniała o niechęci Bridget do brudzenia sobie rąk w kuchni.

— Wiesz co, wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wynajmę ci pokój w tawernie pod warunkiem, że w okresie świątecznym będziesz pracowała we wszystkie piątki i soboty.

— Ale mówiła pani, że nie ma wolnego pokoju.

— Zmienię salon w sypialnię. Pomyślałam o tym przed chwilą. Będziesz miała tylko dla siebie wielką sofę i nowy telewizor. Jak to brzmi?

— Niech pani mówi dalej, pani Beaumont. Wydaje mi się, że umarłam i poszłam prosto do nieba. Wszystkie rzeczy mam w bagażniku i jeśli nie znajdę szybko pokoju, zapleśnieją.

— Czy czynsz w wysokości siedemdziesięciu pięciu funtów na tydzień uważasz za rozsądny? W tym elektryczność. Za telefony płacisz osobno. Łazienkę będziesz dzieliła z nami. I naturalnie musisz sama sobie robić pranie.

— Jest pani święta, pani Beaumont, po prostu święta. Zgadza się.

— Możesz jadać z nami i kiedy będziesz miała ochotę, częstować się kawą i kanapkami. — Lily czuła, że może spokojnie to zaproponować. Bridget sprawiała wrażenie, że je mniej niż wróblek.

— Zgoda. Och, jak się cieszę! — Bridget wytarła łzę szczęścia i ulgi z policzka.

— Witaj na pokładzie. — Lily czuła się świetnie. Cudownie było dzielić się własnym powołaniem z innymi. Zadawała sobie pytanie, dlaczego nie zatrudniali personelu już wiele lat temu.

— Kiedy mogę się wprowadzić?

— Od razu, Bridget. Przynies swoje rzeczy, a ja pošę męża, żeby kupił ci łózko.

— Będę miała nowe łózko? Super! Nic lepszego już nie może mi się dzisiaj przytrafić!

Lily dała swojej nowej pracownicy zapasowy klucz do drzwi frontowych i ciepło uścisnęła jej dłoń. Uszczęśliwiona Bridget wybiegła z tawerny.

— Gerry Madden może się wypchać — roześmiała się, mijając metalowe pojemniki na śmieci przy Klonowej. — Razem ze swoją wojskową fryzurą i bmw. I zapleśniałym materacem, który podobno jest francuskim zabytkiem. Będzie czekał, aż wieczorem wrócę błagając, żeby przyjął mnie z powrotem do tego swojego mieszkania w tak zwanej prestiżowej dzielnicy. A ja będę sobie leżała u Beaumontów w nowiutkim łózku! — Wygrzebała z torebki lśniący klucz do mieszkania Gerry'ego, pocałowała go na dobranoc i podrzuciła wysoko. Klucz trzy razy się obrócił, połyskując w słońcu, i wylądował na kratce ściekowej, gdzie przez chwilę się kołysał, po czym z pluskiem spadł w czeluść.

— To znak! — zaśpiewała Bridget. — Znak z nieba. Zaczynam wszystko od początku. Nowa praca, nowy dom, nowe łózko! Do kompletu brakuje mi tylko nowego faceta!

Tymczasem w pubie Jack usiłował przyswoić sobie słowa Lily. Stali obok zegara i rozmawiali szeptem, by pozostałe dwie dziewczyny nie mogły ich usłyszeć. Jack miał natychmiast pojechać do sklepu meblowego w Sprucefield i kupić łózko z szufladą. Później Lily dokupi odpowiednią modną pościel.

— I po co mam to robić? — zapytał zdumiony Jack. — Przecież mamy już łózko, porządne podwójne łózko.

— Wynajmuję salon Bridget. Już dałam jej klucz.

— Co? Jakiej Bridget? Lily zerknęła do notatek.

— Bridget O'Malley.

— Nawet nie pamiętasz jej nazwiska, Lily! — wykrzyknął Jack. — I dałaś jej klucz do naszego domu? Postradałaś rozum? Przecież ona może być przestępczynią.

— Będiesz tak dobry i zniżysz głos? To doświadczona kelnerka, Jack. Wygląda jak anioł, jest odważna, a ostatnio wiele przeszła. Wszystko załatwione. Biedactwo nie ma dachu nad głową, a za miesiąc jest Boże Narodzenie. Okrucieństwem byłoby jej nie pomóc.

— To nie nasz problem, Lily. Powinna się zwrócić do wydziału lokalowego, jeśli nie ma gdzie mieszkać. Nie ma sensu jej przyjmować, skoro sami niedługo możemy się stąd wyprowadzić.

— Jack, nie ma w tobie szczypty współczucia? To tylko kilka tygodni.

— Nie znamy jej, Lily. Nie mam ochoty mieszkać z obcą osobą nawet przez parę dni. To wszystko wymyka się spod kontroli. — Westchnął głęboko i podrapał się po głowie.

— Ona jest urocza, Jack. Poczekaj tylko, aż ją lepiej poznasz.

— Nie chcę zrzędzić, kochanie, ale lepiej by było, gdybyśmy mogli cieszyć się naszymi ostatnimi tygodniami w spokoju. Może powinniśmy zamknąć pub i po prostu odpocząć, dopóki nie będziemy musieli się wyprowadzić?

— Posłuchaj, mój drogi, wszystko zaplanowałam. Jeśli uda nam się pokonać budowlańców, zwolnimy dziewczęta i każemy Bridget opuścić pokój. Wszystko będzie tak samo jak dawniej. A jeśli przegramy, przynajmniej coś zarobimy. Siedemdziesiąt pięć funtów tygodniowo przez dziesięć, może dwanaście tygodni? To czysty zysk.

— Zupełnie nic nie wiemy o tej dziewczynie. Jeśli jest taka wspaniała, dlaczego nie ma się gdzie podziąć? I gdzie będziemy wieczorami odpoczywać?

— Wcale nie będziemy odpoczywać, Jack, tylko urabiać sobie ręce po łokcie, aż do samego końca.

— Och, Lily...

— A teraz idź po to łóżko. Ja muszę porozmawiać z Marie Smith i Trudy Valentine.

Jack z ociąganiem wyszedł na ulicę i przed ratuszem zatrzymał taksówkę. Czuł się podły jak Scrooge, kiedy wesoły kierowca wyskoczył i otworzył mu drzwi. W całym mieście przybywało świątecznych ozdób, w sklepach coraz liczniejsze tłumy poszukiwały prezentów i okazji. A on miał pretensje, bo Lily chciała pomóc jakiejś biednej, samej jak palec dziewczynie. Nie potrafił jednak pozbyć się myśli, że ich życie będzie odtąd o wiele bardziej skomplikowane.

Kiedy cztery śliczne dziewczyny tak od razu zapukały do drzwi, pomyślał, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Teraz wiedział, że będą z nimi kłopoty. Ta pierwsza to punkowa, na litość boską. Ma siedem kolczyków w każdym uchu i kółko w nosie. A Bridget jest za ładna, żeby dobrze pracować, choć opowiadała cuda o tym, czego niby nauczyła się w Ameryce. Co do Marie i Trudy, to tylko kwestia czasu, nim się dowiedzą, co z tą dwójką jest nie tak. Pewnie uciekają przed policją, jeśli Jack cokolwiek znał się na ludziach. Był w połowie drogi do Sprucefield, kiedy sobie uprzytomnił, że powinien był wpierw zadzwonić i upewnić się, czy łóżko zostanie dostarczone tego samego dnia. Zrobił to teraz z telefonu komórkowego i dowiedział się, że na dostawę trzeba czekać co najmniej trzy tygodnie. Przygryzł wargę sfrustrowany.

— Zmieniłem zdanie — powiedział kierowcy. — Przy Lower Ormeau Road jest mały sklep meblowy. Proszę tam jechać.

— Jasne — odparł taksówkarz i włączył kierunkowskaz.

Dwadzieścia minut później Jack wysiadł i zapłacił kierowcy, nie oszczędzając na napiwku. Miał ochotę natychmiast wrócić do domu i powiedzieć Lily, żeby zapomniała o swoich ambitnych planach

odniesienia sukcesu. Nie był wcale przekonany, czy zależy mu na cieszącym się popularnością pubie. Większość ludzi sukcesu, których znał, miała wrzody żołądka i cierpiała na bezsenność. Wiedział, że powinien wziąć sprawy w swoje ręce i powiedzieć Lily, że skoncentrują się wyłącznie na wynegocjowaniu dobrej ceny. Ale zaraz potem ogarniał go żal. Kochał pub tak samo mocno jak Lily. Był dla nich jak dziecko, ich obowiązkiem było troszczenie się o niego. Jack uwielbiał rano zapalać ogień w kominku i patrzeć, jak promienie słońca igrają w butelkach na parapetach. I lubił być właścicielem. Był dumny, widząc swoje nazwisko na szyldzie. Dobrze się czuł wiedząc, że należy do niego nieruchomości, nawet jeśli był to tylko zakurzony stary pub w zaułku z trzema emerytowanymi malarzami pokojowymi w charakterze stałych bywalców.

Postanowił, że będzie zgadzał się na wszystkie plany Lily bez względu na to, jak dziwne mu się wydają. Tak czy owak to tylko kwestia kilku tygodni. Kilku krótkich tygodni, powiedział sobie. Wytrzyma kilkutygodniowy zamęt, skoro ostatnie dwadzieścia lat życia miał spokojne i satysfakcjonujące. Wszedł do sklepu meblowego. Znudzony młody człowiek, który siedział przy przenośnym grzejniku, bardzo się ucieszył, że w końcu ma klienta, i zaproponował, że zaraz załaduje łóżko do furgonetki i jeszcze podwiezie Jacka do domu.

Wieczorem Lily naląła sobie do kubka gorącej herbaty i odcięła kawałek biszkopta z maderą. Jack był na dole, obsługiwał wieczornych gości. Pomagała mu Bridget, poznając przy okazji rozkład baru. Nowe łóżko, wciąż zawinięte w plastikową folię, stało pod ścianą w salonie. Za kilka minut Lily przesunie sofę i stolik do kawy bliżej okna, a łóżko ustawi w zacienionym kącie koło drzwi. Odkurzy pokój i zdejmie z kominka wszystkie fotografie w ramach. Będzie jej brakowało dekorowania żywej choinki w salonie, ale powiedziała sobie, że jeśli plan spali na panewce, nigdy już nie będzie dekorowała tam choinki. Lily miała tylko nadzieję, że Bridget nie kłamała i rzeczywiście potrafi robić koktajle, ponieważ przez całe popołudnie dzwoniła do różnych szkół wyższych z propozycją zorganizowania w pubie studenckich przyjęć bożonarodzeniowych. Zawiadomiła kobiety z domu kultury przy Ormeau Road oraz z grupy czytelniczej w Bangor, że w sobotę odbędą się w tawernie warsztaty plastyczne poświęcone kartkom świątecznym. Od dawna miała na to ochotę, ale dotąd brakowało jej odwagi, by to marzenie zrealizować. Teraz strach przed utratą dachu nad głową okazał się większy od obawy, że wyjdzie na idiotkę.

Po kolacji przyszykowała pokój dla Bridget, po czym z górnej półki szafy wyjęła wielkie pudło z materiałami plastycznymi. Musiała przygotować się na sobotnie warsztaty. Wyjęła kilka arkuszy kolorowej bibułki, biały papier do rysowania i sreberka i złotka, pudełko po herbatnikach pełne ołówków i ostrych nożyczek, a także ukochaną drewnianą skrzynkę z pastelami. Przed spotkaniem kupi jeszcze na pocztę klej. Siedziała do pierwszej w nocy, robiąc przykładowe kartki. Tłusty bałwan ze zgniecionej w kulkę bibułki, anioł ze złotymi skrzydłami, Święty Mikołaj na cienkich nogach. Kartki wyglądały na dzieło profesjonalisty, kiedy rzędem stały na stole. Kobiety czeka świetna zabawa, uznała Lily. O

ile oczywiście któraś zdecyduje się przyjść. Modliła się, by pojawiło się co najmniej dziesięć osób, mniejsza grupa będzie cokolwiek żenująca. Ziewając, zgasiła światło w kuchni i powędrowała do sypialni na strychu. Widok zamkniętych drzwi do pokoju Bridget wywołał u Lily gorzko-słodkie uczucie. Na jakiś czas utraciła swój cudowny salon, ale miała nadzieję, że to poświęcenie się opłaci.

Trudy i Marie zaczynały pracę za barem od wtorkowego wieczoru, ale Lily nie powiedziała jeszcze Jackowi, że Trudy jest nadmiernie wrażliwa na wszelką krytykę, ma alergię na cytryny i ostrą guzikofobię. Robi dyplom z geografii, powiedziała w czasie rozmowy wstępnej, i dlatego potrzebuje pracy dorywczej. Wydawała się miła i grzeczna, poza tym miała doskonale referencje. Dwudziestotrzyletnia, o długich czarnych włosach i myślących oczach. W dodatku z entuzjazmem zgodziła się pomagać w kuchni. Lily uznała, że to wszystko rekompensuje mocny makijaż, kolorowe przedłużenia we włosach i dość niesamowite brwi. A może straciłam kontakt z kulturą młodzieżową, pomyślała Lily. W dzisiejszych czasach takie rzeczy pewnie podobają się chłopcom, mówiła sobie, ze zmarszczonym czołem przyglądając się w lustrze swojej własnej nieskazitelnej cerze i staroświeckiej fryzurze. Z drugiej strony Lily była zadowolona, że osiągnęła cel. Zamierzała zatrudnić cztery śliczne dziewczęta i to jej się udało.

Dwudziestotrzyletnia Marie, czwarta z kelnerek, mówiła tak cicho, że często trudno było ją zrozumieć. Ale to była jej jedyna rzucająca się w oczy wada. Pod każdym innym względem była doskonała. Miała naturalne brązowe włosy i wielkie błękitne oczy, które ciągle się śmiały. Znała język migowy, mówiła po francusku i włosku. A chociaż istniała niewielka szansa, że te talenty znajdą zastosowanie w tawernie, miło było wiedzieć, że je posiada. Powiedziała Lily, że niedawno ukończyła college językowy i potrzebuje pracy na godziny, żeby się zastanowić, co chce zrobić z resztą życia.

Lily padała z nóg, kiedy wreszcie wsunęła się do łóżka, przytulając do ciepłego ciała Jacka. Natychmiast zasnęła i śniła o sobotnich zajęciach, wyobrażając sobie, jak powita swoje uczennice.

GERRY MADDEN I NOCNE ROZMOWY

Była trzecia nad ranem. Drobna, acz uparta mżawka padała z chmur wiszących nad miastem, zmywając dym i sadzę z powietrza na frontony budynków, gdzie spływały wąskimi strumyczkami. W tawernie Lily i Jack leżeli pogrążeni w głębokim śnie, obejmując się mocno. W kącie sypialni stały dwa wielkie kartonowe pudła: jedno zawierało przedmioty osobiste z salonu, drugie wypełniały papiery, pióra, cekiny i innego rodzaju drobiazgi, których przeznaczeniem było znaleźć się na barwnych świątecznych kartkach.

Na pierwszym piętrze Bridget O'Malley siedziała w łóżku i z radością przyglądała się swojemu luksusowemu otoczeniu. Nigdy nie potrafiła zasnąć pierwszej nocy w nowym miejscu, musiała przywyknąć do barw i faktur pomieszczenia, nim mogła się w nim odprężyć. Podziękowała swojemu szczęśliwemu niebieskiemu kamyczkowi (kupionemu w sklepie New Age w Kalifornii) za to, że lekcje aktorstwa w Ameryce nie poszły na marne. Nikt na świecie lepiej niż Bridget nie odgrywał osoby samotnej i opuszczonej. I tylko na nią popatrzcie. Czy jej się nie udało? Za jednym zamachem rozwiązała wszystkie swoje problemy. Telefon z pośredniaka i oszczędzony został jej rynsztok — po raz kolejny. Ucałowała kamyczek i wrzuciła go do torebki.

Nie była pewna, czy podoba jej się układ mebli w pokoju, ale to może zmienić w pierwszy wolny dzień. Chociaż miała dopiero dwadzieścia pięć lat, przeprowadzała się osiemnaście razy, odkąd opuściła ciasny szeregowiec rodziców w dzielnicy Markets. Wciąż pamiętała udrękę, jaką było dzielenie sypialni z trzema młodszymi siostrami, które ciągle podbierały jej kosmetyki i ubrania. Ale nowe lokum różniło się diametralnie od ponurego pokoju z dzieciństwa. Bridget położyła się wygodnie, studiując szczegóły. Ściany i sufit pomalowano na delikatny odcień błękitu, z krokwi zwisał ładny, sztucznie postarzony żeliwny żyrandol. Dywan w odcieniu bladego fioletu sprawiał cudowne wrażenie pod bosymi stopami. Okna ozdabiała purpurowe zasłony z gnieczonego jedwabiu. Lily Beaumont związała je paciorkami nawleczonymi na miękki drucik. Nad kominkiem wisiał piękny obraz przedstawiający anioła; Lily powiedziała, że namalowała go, gdy miała dziewiętnaście lat. Miał dla niej wielką wartość sentymentalną, ponieważ uczciła nim swoje małżeństwo z Jackiem.

— Popatrz tutaj — powiedziała, gdy po południu pokazywała pokój Bridget. — Anioł ma w dłoni dwie obrączki.

Tak, pokój był satysfakcjonujący. Bridget pomyślała, że przyjemnie będzie tutaj mieszkać. Co prawda planowano zburzyć tawernę i na jej miejscu zbudować centrum handlowe, ale tym się nie martwiła. Termin podjęcia ostatecznej decyzji przypadał za trzy miesiące, a w życiu Bridget O'Malley trzy miesiące to był niezwykle długi okres.

Łóżko było pojedyncze, ale tym też się nie przejmowała. Podwójne byłoby lepsze, choć w jej życiu uczuciowym niewiele na razie się działo. Niewykluczone zresztą, że nie był to dom, w którym mogłaby przyjmować mężczyzn na noc. Może w tych sprawach Lily i Jack Beaumontowie są dość rygorystyczni? Kiedy Bridget się zadomowi i znajdzie nowego kochanka, zapyta Lily, czy mógłby od czasu do czasu zostać u niej na noc. Na razie było tu bardzo wygodnie. Lily Beaumont prowadziła nieskazitelnie czysty dom, w tej kwestii nie było najmniejszych wątpliwości. Bridget nigdzie nie widziała drobin kurzu, nawet na ramie obrazu.

Pomyślała o swoich rodzicach i cicho westchnęła. Skłamała mówiąc, że mama pracuje w eleganckim domu towarowym. Oboje z ojcem bardzo lubili alkohol i od lat nigdzie nie pracowali. I rzadko zaprzęтали sobie głowę porządkami. Bridget nie pamiętała, by przez całe jej dzieciństwo matka choć raz posprzątała. Zwykle zajmowała się tym któraś z sąsiadek, traktując to jako przysługę wyświadczaną dzieciom. A z rodzicami nie układało jej się dlatego, że Bridget nie brała alkoholu do ust, przez co odnosili wrażenie, że córka patrzy na nich z góry. Trzy siostry Bridget wyjechały kilka lat temu do Londynu i nie miały zamiaru wracać na Szmaragdową Wyspę. Smutne, że rodzina tak się rozpieczęła, ale wielu Irlandczyków niosło ten sam krzyż, choć z różnych przyczyn. Bridget na myśl o siostrach poczuła ukłucie w sercu. Gdyby tylko mogły znowu być dziećmi! Zrozumiałyby, że trzeba cieszyć się każdym wspólnie spędzonym dniem, a nie kłócić się tygodniami o pożyczone ciuchy i złamane szminki. Postanowiła, że wyśle każdej śliczną kartkę na Boże Narodzenie, na której napisze:

Wyrazy szczerej miłości od starszej siostry Bridget.

Wzięła głęboki oddech, starając się myśleć o miłszych rzeczach. Jak na przykład tawerna przy Klonowej. Dom Lily był po prostu cudowny. Na Bridget doskonały wystrój zawsze robił wrażenie. Nigdy nie będzie miała dość dobrego gustu, by swój dom urządzić choćby podobnie. Każdy zakamarek przyciągał wzrok jakimś artystycznym detalem. Na schodach stał anioł z ceramiki, za telefonem zabytkowy świecznik, a koło fotela lampa z abażurem ozdobionym frędzlami, na ciężkiej podstawie z brązu. Na każdej klamce wisiał woreczek z suszoną lawendą. W łazience na tacy z mrożonego szkła leżał spory kawałek mydła o zapachu oliwki, na parapecie natomiast stało pięć zrobionych z gałązek serduszek. Wiklinowy kosz mieścił stos białych jak śnieg ręczników, nowoczesny płócienny pojemnik przeznaczony był na pranie. Bridget musiała zapamiętać, żeby nie wrzucać do niego własnych rzeczy, choć robiłaby to z wielką przyjemnością. Luksusu dopełniał wielki flakon perfum Chanel, który stał na półeczce nad wanną. Bridget spryskiwała sobie nimi przeguby za każdym razem, gdy wchodziła do łazienki. To było jak mieszkanie w pięciogwiazdkowym hotelu. Miała nadzieję, że pewnego dnia sama będzie gospodynią w takim ślicznym domu. Może w tawernie pozna bogatego mężczyznę, który poprosi ją o rękę, i zamieszkają w najlepszej dzielnicy w mieście. Zapamięta wszystkie te urocze drobiazgi i spróbuje u siebie odtworzyć takie samo wrażenie spłowiałej wykwinności.

Na razie sprawy wyglądały dobrze. Bridget miała cztery puszyste poduszki pod głową i ciepły czerwony koc na kołdrze, srebrny telewizor na stoliku na kółkach, który przysunęła do nóg łóżka, a także ogromny stos błyszczących magazynów Lily dla zabicia czasu. W rustykalnej kuchni stała dobrze zaopatrzona lodówka i Bridget nie będzie nawet musiała dla siebie gotować, a odznaczała się wilczym apetytem, który zaspokajała kilkoma przekąskami pomiędzy posiłkami. I Lily Beaumont powiedziała, że nie będzie miała pretensji o udko kurczaka czy solidny plaster cheddara. Myśl o serze sprawiła, że Bridget napłynęła ślinka do ust. Chwilę nasłuchiwała, czy w domu rozlegają się jakieś odgłosy, potem włożyła szlafrok i na palcach powędrowała do kuchni. Starając się nie narobić hałasu, przygotowała sobie potężny stos kanapek i czajnik herbaty. Zużyła cały chleb, ale była pewna, że Lily nie będzie miała o to pretensji. Przecież rano na pewno będzie dostawa świeżego pieczywa z piekarni.

W szafkach znalazła biszkopt, więc ukroiła sobie spory kawałek. Zaniósła załadowaną tacę do pokoju i umościła się wygodnie w łóżku. Cóż to za przyjemność pochłaniać kopczyk posmarowanych masłem węglowodanów, przeglądać błyszczące czasopisma i marzyć o dniu, gdy sama będzie bogata. Kiedy ten dzień nadejdzie, w sypialni będzie miała czerwoną wzorzystą tapetę, w łazience głęboką wannę i chromowane grzejniki, a w salonie wielki szklany stolik do kawy z grubymi świecami o zapachu czekolady, które kosztują dwadzieścia funtów sztuka i mają po trzy knoty.

Bridget wyjadła ostatnie okruszki, wsunęła talerz pod łóżko i zgasiła lampę. Minęła czwarta nad ranem i na Klonowej było cicho jak w grobie.

I właśnie wtedy zaczął dzwonić telefon w holu. Jego przeraźliwy dźwięk sprawił, że Bridget podskoczyła i zrzuciła z chwiejnego stolika najlepszy porcelanowy czajnik Lily. Czajnik pękł, odbijając się od ściany, a jego zawartość rozchlapała się na nieskazitelny fiołkowy dywan. Bridget zaklęła i zapaliła lampę. Zaklęła ponownie, gdy zobaczyła, że sporo ciemnej herbaty wsiąkło w miękki dywan. Na początku zignorowała telefon, próbując wytrzeć plamy jednym z najlepszych ręczników Lily. Miała nadzieję, że ten, kto dzwoni, zaraz zrezygnuje, ale to była najwyraźniej bardzo uparta osoba. Po kilku minutach Bridget usłyszała, że Lily wychodzi z sypialni piętro wyżej i ziewa.

— Do diabła, kto może dzwonić w środku nocy? Mam nadzieję, że nikt nie umarł, Jack. Za bardzo się boję, żeby odebrać.

— To pewnie pomyłka — odpowiedział Jack. — Ja odbiorę, ty wracaj do łóżka.

I znowu rozległ się głos Lily, która przypominała mu, żeby włożył szlafrok, bo teraz mają lokatorkę. Bridget wstrzymała oddech, kiedy Jack po skrzypiących schodach szedł na dół. Coś jej mówiło, że może dzwonić Gerry Madden, choć przecież nie podała mu nowego adresu. Bridget zanurkowała pod czerwony koc, słysząc delikatne pukanie do drzwi.

— Proszę — wykrztusiła, drzwi jednak pozostały zamknięte.

— To do ciebie, Bridget — powiedział Jack. — Niejaki doktor Gerry Madden, który twierdzi, że jest twoim chłopakiem.

— Bardzo mi przykro, panie Beaumont. On już nie jest moim chłopakiem, zerwałam z nim. Nie mam pojęcia, skąd wziął numer. Proszę mu powiedzieć, że nie chcę z nim rozmawiać — odparła drżącym głosem Bridget.

— Wolałbym się nie wtrącać, jeśli pozwolisz. — Jack ze znużeniem oparł głowę o drzwi. Lily powiedziała, że chce przyciągnąć do tawerny mężczyzn. Jej życzenie zaczęło się urzeczywistniać już dzisiejszej nocy.

— OK, idę — oznajmiła Bridget. — Chwileczkę! — Narzuciła swój przetarty szlafrok i wakacyjne espadryle, po czym pobiegła do drzwi, gotując się ze złości na byłego kochanka. Ostrożnie wyszła na korytarz. Dostrzegła jeszcze, jak muskularne łydki Jacka znikają na schodach. Słuchawka leżała na stoliku w kształcie półksiężyca. Podniosła ją z walącym sercem.

— Masz pojęcie, która jest godzina, Gerry? Skąd wiesz, że tu mieszkam?

— Powiedzieli mi w urzędzie pracy. — Gerry mówił spokojnie. Zbyt spokojnie.

— Podam do sądu tych starych capów — wycodziła Bridget przez zaciśnięte zęby. — Nie mają prawa podawać obcemu informacji poufnych. Nie jesteś nawet moim krewnym.

— Ale jestem lekarzem, Bridget. Ludzie mi ufają.

— Raczej ty ich oszukujesz. — Bridget sądziła, że Gerry w życiu jej nie znajdzie. Nigdy nie chodził do Tawerny Beaumontów, uważał, że jest tu za spokojnie. Zdaniem Gerry'ego to był pub dla starców.

— Bridget, przestań się wygłupiać i wracaj do domu. Wiesz, że nie przeżyjesz tygodnia beze mnie i mojego portfela.

— Ty brutalu, ale masz tupet. Zapomniałeś, dlaczego od ciebie odeszłam? Przekroczyłeś granice, Gerry. Wrzeszczałeś na mnie w środku przyjęcia, w obecności wszystkich gości.

— Wcale na ciebie nie wrzeszczałem, Bridget. Uderzyłaś mnie w ramię półką na kompaktki z litej sosny, na litość boską. Ja tylko żartobliwie krzyknąłem w samoobronie.

— Kłamca!

— Królowa dramatu! Rękę mam wciąż posiniaczoną. Jest cała w fioletowe i zielone plamy.

— Odkładam słuchawkę, Gerry. Zdradzałeś mnie i między nami wszystko skończone. Większość facetów ma na tyle przyzwoitości, że dopiero po ślubie zaczynają oglądać się za innymi kobietami.

— Bridget, to było bez znaczenia. Czuły pocałunek w policzek. To moja dawna dziewczyna.

— Oboje jesteście okropni.

— Oboje byliśmy wstawieni, Bridget. Z mojej strony to był przyjacielski gest, nic więcej. Za to ty kompletnie straciłaś rozum i zepsułaś przyjęcie. Słuchaj, wrócisz do domu? Już mi dałaś do zrozumienia, co myślisz.

— Nie licz na to. — Bridget zbyt dobrze się czuła w Tawernie Beaumontów, a poza tym kto wie, kogo może tu poznać. Później wytypuje najbardziej obiecujące kandydatury i wybierze najlepszego. Przecież dlatego została barmanką, To najlepszy w świecie sposób na poznanie mężczyzn.

— Powinniśmy porozmawiać o tym twoim problemie z zazdrością, Bridget. Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? — Głos Gerry'ego był lekko bełkotliwy.

Bridget wiedziała, że wypił, i to sporo, a nigdy nie miał oporów, żeby pod wpływem alkoholu prowadzić swój potężny samochód. Ogarnęła ją panika, że Jack i Lily ją wyrzucą, bo uznają, że sprawa za wiele kłopotów.

— Nie waż się wystawiać mnie na pośmiewisko w moim miejscu pracy. Słyszysz? Wezwę policję, tak zrobię. Każę cię aresztować za jazdę po pijanemu i napastowanie.

— Zaraz u ciebie będę, kochanie. Pakuj się. — Gerry przerwał połączenie.

— Gerry? Gerry, jesteś tam? Cholera jasna! Odpowiedz! — Bridget wyciągnęła szyję, zerkając na wąskie schody. Drzwi do sypialni Jacka i Lily były zamknięte, nie sączyło się spod nich światło. Bridget pośpiesznie wybrała numer Gerry'ego. Odebrał po minucie.

— Gerry, posłuchaj mnie uważnie. Spiłeś się jak bela. Teraz masz się położyć i przespać, żeby wytrzeźwieć. Między nami koniec, nie ma o czym mówić. Nie mogę ci ufać. Czemu nie zachowasz się przyzwoicie i nie zostawisz mnie w spokoju?

— Och, Bridget! Moja słodka Bridget z głową pełną zwariowanych loków. Tak bardzo cię kocham. Nie łam mi serca. Jesteś mi potrzebna, żeby nadać sens temu przerażającemu światu.

— Zamknij się, Gerry. Tylko po pijaku wygadujesz takie rzeczy.

— Zaśpiewam ci piosenkę, Bridget. To jedna z twoich ulubionych miłosnych piosenek wszech czasów. Jak to się zaczynało? Czekał, próbuję sobie przypomnieć słowa. *Na niebie jest gwiazda, choć nie wiadomo czemu* — zaśpiewał fałszując, po czym spadł ciężko z sofy na podłogę. — Auu! Moja biedna ręka! *Na niebie jest gwiazda!*

— Gerry, to nawet nie jest prawdziwa piosenka. Teraz ją wymyślasz.

— Wiem, ale dalej będzie lepiej, przyrzekam.

Cztery godziny później Bridget wciąż wisiała na telefonie, błagając Gerry'ego, by nie rzucił się z klifu. W gruncie rzeczy pożegnała się z nim dopiero wtedy, kiedy usłyszała, że w sypialni Lily i Jacka dzwoni budzik. Przemknęła przez hol i zamknęła za sobą drzwi na kilka sekund przed tym, jak Beaumontowie zeszli na śniadanie.

Lily w ten wtorkowy poranek przeżyła nieprzyjemny wstrząs, gdy się przekonała, że poprzedniego wieczoru Bridget wypila całe mleko. Lily nie potrafiła myśleć jasno bez porannego kubka herbaty z mlekiem. Nie miała innego wyjścia, nalała sobie czarnej herbaty i upiła ostrożnie. Herbata była strasznie gorzka.

— To tylko herbata, pamiętaj — powiedziała sobie. Zaraz jednak otworzyła pojemnik na chleb i zobaczyła, że on też jest pusty. — Ktoś urządził sobie ucztę o północy, Jack — westchnęła, gdy mąż wszedł do kuchni. — Jestem pewna, że wieczorem było jeszcze pół bochenka.

— A niech to — mruknął Jack, otwierając opakowanie pszennych herbatników z rodzynkami. — Jak myślisz, czy to nam wystarczy?

Cóż, będą musieli pamiętać, żeby w nadchodzących tygodniach robić większe zakupy. To nie wina Bridget, że w środku nocy poczuła głód. A z drugiej strony dziewczyna musi mieć apetyt większy niż słoń. Z lodówki ubył spory kawałek sera i prawie całe ciasto. Lily postanowiła, że nie zapyta Bridget o nocny telefon od Gerry'ego, choć umierała z ciekawości, czy para się pogodziła.

Gerry zadzwonił znowu w środę rano, a potem w czwartek, piątek i sobotę. I za każdym razem Bridget szukała pociechy w jedzeniu. Teraz już Lily musiała gryźć się w język, żeby nie krzyknąć. Bardzo chciałyby wiedzieć, czego do diabła ten facet chce? O czym oni rozmawiają? I dlaczego zawsze musi dzwonić o czwartej nad ranem? Pracuje na nocną zmianę czy to kompletny świr? Brakowało jednak czasu, by omawiać sprawy sercowe. Daisy, Trudy i Marie ciężko pracowały, a w pubie przybywało klientów. Po Belfaście rozeszła się wieść, że u Beaumontów dzieją się dziwne rzeczy. Zatrudnili personel i serwują dobre jedzenie. Poza tym interesujące były artykuły o sporze pomiędzy Vincen-tem Halloranem a komitetem ochrony dziedzictwa, zamieszczane w miejscowych gazetach. O wiele bardziej interesujące od sekciarskich polityków, których wypowiedzi zanudziły już wszystkich na śmierć.

Lily zauważyła, że Bridget dyryguje pracującymi na godziny dziewczętami. Najwyraźniej uważała, że do jej obowiązków należy utrzymywanie ich w ciągłej gotowości. Zabawnie było patrzeć, jak rozprawia się z górującą za barem Daisy, jak mówi Marie, że ma za długie włosy, i goni Trudy dokoła sali z połówką cytryny, aż biedaczka zaczynała błagać o litość. Jack nie był zadowolony z obecnego stanu rzeczy w pubie, ale nie mógł zaprzeczyć, że zyski definitywnie rosną. Tak więc wszyscy jakoś się dostosowali. Lily umieściła kilka ogłoszeń w gazetach, w których informowała mieszkańców Belfastu, że walczy z planem wyburzenia ulicy Klonowej. Mnóstwo ludzi przychodziło, żeby życzyć jej powodzenia i wyrazić swoje poparcie. Historia o Dawidzie i Goliacie zawsze ma wzięcie.

— Mogłabyś posprzątać bar, Bridget? — zapytała Lily, kiedy jej władczy bożonarodzeniowy anioł w sobotę rano wszedł do kuchni. — No wiesz, przejechać mopem i zetrzeć kurz? Zwykle robię to z Jackiem i nie prosiłabym cię o to, zwłaszcza że dopiero u nas zaczęłaś pracę, ale o dziesiątej spodziewam się grupy kobiet na zajęciach plastycznych i jeszcze wszystkiego nie przygotowałam.

— Niech pani ma serce, pani Beaumont. Od czwartej rozmawiałam z Gerrym.

— Co? Znowu z nim rozmawiałaś? Jak długo, do rana?

— Tym razem Gerry był w samobójczym nastroju. Bardzo za mną tęskni i nie miałam serca przerywać mu w pół słowa. — Gerry za każdym razem był w samobójczym nastroju, ale Lily Beau-

mont nie musi o tym wiedzieć. Bridget nie lubiła, kiedy inni ludzie orientowali się w jej sprawach prywatnych, wszystko jednak było lepsze od sprzątanía pubu.

— A teraz dobrze się czuje? — Lily nie potrafiła powstrzymać się od tego pytania.

— Jasne. Sprawy zawsze wyglądają lepiej, kiedy wschodzi słońce, to faktycznie jest prawda. Był kompletnie pijany, biedny głupek. Zawsze wpada w depresję, kiedy jest pijany. A prawie nigdy nie trzeźwieje.

— To straszne, Bridget. Biedaczysko musi być w strasznym stanie. Może powinien zwrócić się o pomoc? Nie mogłabyś go przekonać, żeby poszedł do lekarza, może nawet do psychiatry?

— Gerry jest psychiatrą.

— Naprawdę? — Lily była zdumiona. Często się słyszy, że lekarze nie potrafią zadbać o swoje zdrowie, ale aż dotąd w to nie wierzyła. — Cóż, w takim razie chyba sam wie, że potrzebna mu terapia. Przecież koledzy musieli zauważyć jego stan?

— Poddał się terapii. Trwała wiele lat i nic z niej nie wyniknęło. To kwestia zaangażowania. Gerry ciągle się zakochuje, ale boi się zaangażowania. No i psuje związek, wdając się w romans. A potem się upija, żeby uniknąć konsekwencji. Widzi pani, to się zaczęło, kiedy miał siedemnaście lat. — Bridget wzięła głęboki oddech, zamierzając mówić dalej, ale Lily jej przerwała.

— Posłuchaj, Bridget, to fascynująca historia, ale mnie naprawdę potrzebna jest pomoc przy sprzątaníu. A czas ucieka. — Każda wzmianka o alkoholizmie denerwowała Lily. Zwłaszcza teraz, gdy starała się sprzedać więcej alkoholu niż kiedykolwiek wcześniej. Próbowwała przekonać siebie, że do jej obowiązków nie należy kontrolowanie, ile wypijają klienci, ale wciąż ją to niepokoiło. Nie chciała odbierać pieniędzy głodnym dzieciom ani ludziom z problemami psychicznymi. Chociaż nie znała Gerry'ego Maddena, bardzo mu współczuła. Człowiek inteligentny na tyle, by skończyć studia i zostać psychiatrą, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności jest alkoholikiem.

— Właściwie nie sprzątam — przerwała jej rozmyślania Bridget. — Nie wspomniałam o tym w czasie rozmowy?

— Mówiłaś, że nie gotujesz.

— Tak jest, i nie sprzątam. Jestem barmanką, nie sprzątaczką. Ale coś pani powiem. Dzisiaj zostanę w barze aż do zamknięcia i nawet nie wykorzystam należnych mi przerw na herbatę, zgoda? — Po czym uśmiechnęła się przeproszająco, zniknęła we wspaniałym salonie i zamknęła za sobą drzwi.

Lily miała ochotę rozplakać się z frustracji, zamiast tego jednak posłała Jacka po zakupy i dziesięć tubek kleju, sama zaś weszła pod prysznic. Postanowiła, że w najbliższej przyszłości porozmawia spokojnie z Bridget o współpracy i pomaganiu innym, gdy tego potrzebują, ale najpierw musi przeprowadzić zajęcia.

Punkt dziesiąty Jack otworzył drzwi tawerny i stanął jak wryty na widok co najmniej pięćdziesięciu kobiet w średnim wieku, które wyraźnie spodziewały się, że je powita. To było jak scena z filmu

science fiction. Niektóre z tych kobiet wyglądały, jakby przyszły tutaj prosto od fryzjera, i miały na sobie kosztowne płaszcze i buty. Pozostałe sprawiały wrażenie bardziej przyjacielskich i dostępnych dzięki swym rozsądnym puchowym kurtkom i rozwianym ondulowanym włosom. Na twarzy wszystkich malowało się oczekiwanie.

— Chwileczkę — powiedział Jack, przymykając drzwi. — Ilu tych naśladowczyń Picassa się spodziewasz? — zapytał żonę szeptem.

— Może sześć? Dziesięć, jeśli będę miała szczęście. — Lily ustawiała na stolikach małe wiklinowe koszyki z papierem i suchymi pastelami. — Zawiadomiłam o zajęciach dość późno, ale te, z którymi rozmawiałam, obiecały, że powiedzą znajomym. Poza tym dziesięć funtów za udział dla większości ludzi może być za dużą kwotą.

— Nie wydaje mi się, żeby cena kogokolwiek zniechęciła, Lily. Przygotuj się — powiedział Jack, po czym otworzył drzwi i gestem zaprosił kobiety do środka.

Lily myślała, że ma halucynacje, kiedy zobaczyła niekończącą się procesję gawędzących pań, które po wejściu czekały cierpliwie, aż wskaże im miejsca. Policzyła je: okazało się, że jest w sumie sześćdziesiąt pięć potencjalnych projektantek kartek. I wszystkie patrzyły na nią z szacunkiem. Uznała, że najlepiej zrobi, jak zacznie zajęcia.

— Dobrze, szanowne panie. Witam na warsztatach plastycznych. I dziękuję wam za przyjsście, choć dość późno zawiadomiłam o terminie. Nie spodziewałam się tak liczego udziału, ale mam nadzieję, że wszystkie się pomieścimy. Proszę, żeby panie ustawiły się w kolejkę. Spiszemy nazwiska i pobierzemy opłatę, a potem usiądziecie i zaczniemy!

Lily wstrzymała oddech ze strachu, że któraś z uczestniczek zgłosi obiekcje co do wysokości kwoty, ale nic takiego się nie stało. Kobiety grzebały w torebkach w poszukiwaniu portmonetek i wskazywały przyjaciółkom, przy którym stoliku chcą usiąść. Jack uśmiechał się do żony, spokojnie rozpalając ogień. Wcześniej zaproponował, że zaparzy herbatę i przyniesie biszkopt, który Lily wieczorem upiekła. Na szczęście schowała ciasto za barem, w przeciwnym wypadku Bridget mogłaby znacznie uszczuplić zapas. Lily miała ochotę pocałować Jacka, najpierw jednak musiała zapracować na sześćset pięćdziesiąt funtów. Fiu, fiu, pomyślała, spodziewałam się, że dzisiaj rano nerwy będę miała w strzępach, a tymczasem zapowiada się doskonała zabawa!

Po krótkiej chwili zamętu, kiedy kobiety wieszały okrycia, z szuraniem odsuwały krzesła oraz dzieliły się papierem i kredkami, wreszcie zapadła cisza.

Lily uśmiechnęła się i wzięła głęboki oddech.

— Czy któraś z pań rysowała kiedyś stylizowanego anioła suchymi pastelami na chropawym papierze? — zapytała. Uczestniczki odpowiedziały gromkim śmiechem.

Warsztaty okazały się wielkim sukcesem. Początkowo w sali panowało skupienie, szybko jednak cisza ustąpiła wesołym pogawędkom. Kobiety starannie zwijały bibułkę w kulki i jak pro-

fesjonalistki kleiły delikatne piórka na skrzydłach. Powiedziały Lily, że strasznie się cieszą, iż mają okazję robić coś równie przyjemnego w tym pełnym bieganiny okresie przedświątecznym, że to doskonała odmiana od codziennych nużących obowiązków, zakupów i gotowania. Uważały też, że warsztaty bardzo im się opłaciły, każda bowiem za dziesięć funtów miała sześć ręcznie robionych kartek, za które w sklepie zapłaciłyby co najmniej dwa razy tyle. Nauczyły się, jak rysować anioły, wróżki, pulchne puddingi i bałwanki; naklejały papier na kartki, ozdabiały go brokatem i nawet udoskonaliły sztukę robienia kopert. Zapytały, czy w przyszłym tygodniu warsztaty również się odbędą, na co Lily odpowiedziała, że z największą radością pokaże im, jak pleść bożonarodzeniowe wieńce.

Kiedy w porze lunchu Jack podał uczestniczkom herbatę i ciasto, nagrodziły go ogłuszające oklaski. Jedna z kobiet oznajmiła, że widok równie przystojnego mężczyzny z tacą pełną filiżanek to najśłodsza rzecz, jaką widziała od lat. Czas minął szybko, kobiety z wielkim ociąganiem zabrały swoje cenne dzieła i opuściły tawernę. Niektóre wymieniały telefony i umawiały się na lunch w ciągu tygodnia. Kiedy ostatnie wychodziły, pojawili się Barney, Joey i Mac. Z ulgą przekonali się, że ukochany boks wciąż na nich czeka, chociaż stolik pokryty jest brokatem i klejem.

— Myślałem, że pomyliłem adres — powiedział Barney. — W życiu nie widziałem tylu kobiet w jednym miejscu.

— Taa. Łyknijny sobie whisky, żeby otrząsnąć się z szoku — dodał Joey. — Ja stawiam.

— Zdrowie — odparł Mac.

BRACIA DEVANEYOWIE

W niedzielę rano Lily w doskonałym nastroju wbiła do miski jajka i zaczęła roztrzepywać je widelcem. Aby uczcić powodzenie warsztatów plastycznych, postanowiła zrobić omlet z serem i grzybami. Wolałaby smażyć bekon i kielbaski, ale dzięki Bridget i jej wilczemu apetytowi pozostały im same resztki. Jack ułożył na stole sztucze i nalał soku pomarańczowego do trzech ładnych szklanek. W tej samej chwili do kuchni weszła Bridget, zasłaniając ziewnięcie noszącym ślady częstego kartkowania numerem „Vogue'a”.

— Zmęczona? — zapytała Lily i wlała jajka na wielką patelnię z przysmażonymi na maśle grzybami.

— Padam z nóg — jęknęła Bridget, sięgając po szklankę z sokiem.

— Wcale się nie dziwię. Wczoraj wieczorem doskonale nam poszło. Lekko licząc, było dwustu gości. — Lily starła nad jajkami kilka małych kawałków sera.

— Taa. Odkąd rozeszła się wiadomość o zamknięciu, coraz więcej ludzi przychodzi na pożegnalnego drinka — dodał Jack.

Czuł się niezręcznie, kiedy Bridget jadła z nimi, a dodatkowo w zażenowanie wprawiało go to, że dziewczyna ma na sobie przykrótki szlafrok. Wolałby, żeby ubrała się do śniadania. Klienci w barze widzieli anioła, dla niego natomiast był to niechlujny wygłodniały stwór, którego obecność musieli z Lily znosić co rano. Po śniadaniu Bridget spędzała wiele godzin w łazience, pracując nad swoją transformacją; podejrzewali, że korzysta przy tym z perfum Lily. Dzisiaj oboje zmarnowali pół godziny na rozważania, czy zabrać flakon z łazienki, ryzykując tym, że urażą Bridget.

— To nie przez pracę, tylko przez Gerry'ego. Znowu zadzwonił.

— Nie słyszałam telefonu! — wykrzyknęła Lily. — O której zadzwonił?

— O czwartej, jak zwykle. O północy wzięłam telefon do mojego pokoju, bo nie chciałam, żeby was obudził — wyjaśniła uprzejmie Bridget, wypijając sok jednym haustem. Uznała, że o wiele wygodniej będzie jej prowadzić długie rozmowy z Gerryem, kiedy ułoży się w pościeli.

— Cóż za troska — mruknęła Lily. Zaraz jednak poczuła wyrzuty sumienia z powodu swojej podłości, zapytała więc grzecznie, jak Gerry sobie radzi.

— Dzisiaj na dwa tygodnie wyjeżdża do Ameryki. — Bridget zmierzyła wzrokiem omlet skwierczący na patelni i sprawdziła, czy przygotowano dla niej nakrycie. Ucieszyła się, widząc trzy talerze. — Jakieś szkolenie, ale powiedział, że przez ten czas chce być ze mną w kontakcie. Tęskni za mną jak szalony, ale w końcu mu przejdzie. Pachnie cudownie, pani Beaumont.

— Rozumiem — powiedziała Lily, różowiąc się z niepokoju. — O ile oczywiście będzie płacił za rozmowy.

Zapadło niezręczne milczenie. Bridget znowu ziewnęła.

— Czy przewidziano dla mnie kawałek tego wyśmienitego omleta? — zapytała energicznie, podczas gdy Lily zręcznym ruchem odwróciła swoje dzieło za pomocą wielkiej łopatki.

— Oczywiście. Może wrócisz do łóżka, a ja przyniosę ci śniadanie na tacy? Grzanekę i herbatę też chcesz? Z marmoladą? Zaslugujesz na ucztę, skoro pocieszałaś biednego Gerry'ego przez pół nocy.

— Bardzo dziękuję, pani Beaumont. Jest pani wspaniała, naprawdę. Chyba przyjmę tę wielkoduszną propozycję — mruknęła Bridget; zaraz też zobaczyli, jak jej otoczona obłokiem białych loków głowa znika za drzwiami. — Ale za marmoladę dziękuję! Nie przepadam za nią! — zawołała, zamykając za sobą drzwi salonu.

— Jack, czy ta dziewczyna jest prawdziwa? Ja tylko żartowałam o podaniu jej śniadania do łóżka — szepnęła Lily; miała ochotę pójść za Bridget i natychmiast wyjaśnić sprawę perfum. — Jak ktoś tak drobny może być tak całkowicie skupiony na sobie?

— Może to jej sposób na przetrwanie w wielkim złym świecie? Przynajmniej wróciła do łóżka. Dzięki, dziecinko — powiedział cicho Jack. — Jej widok odbiera mi apetyt. Co za flejtuch! Miała tusz na brodzie.

— Więc nie wpadła ci w oko? — zapytała Lily z udaną zazdrością.

— W żadnym razie. Jeśli chcesz wiedzieć, boję się tej Bridget jak ognia. Założę się, że potrafi być bardzo złośliwa, jak ktoś nadeptnie jej na odcisk. A poza tym jest o połowę ode mnie młodsza.

— Niektórym mężczyznom to nie przeszkadza.

— Ja chcę tylko ciebie, Lily. Przecież wiesz. Uśmiechnęła się do niego. Wiedziała.

— Przypuszczalnie Bridget jest o wiele twardsza, niż się może wydawać. Teraz rozumiem, czemu biednemu Gerry'emu terapia nie pomaga. Ale chyba nie jest jej całkiem obojętny, skoro rozmawia z nim przez pół nocy.

Jack objął żonę, kiedy czekali, aż usmaży się omlet. Lily zadrżała na myśl o skazanym na niepowodzenie związku Gerry'ego i Bridget.

— Na litość boską, dlaczego nie mogą sobie wyjaśnić nieporozumień? — powiedziała z namysłem. — Kiedy myślę, co mogło ci się przytrafić w czasie tamtego zamachu, ogarnia mnie przerażenie. Co bym bez ciebie poczęła przez wszystkie te lata? Jak dałabym sobie radę?

— Cii, nie smuć się. — Jack pocałował ją delikatnie w policzek.

— Sama myśl, że mogę cię stracić, sprawia, że robi mi się niedobrze ze strachu. A potem czuję wyrzuty sumienia, bo mieliśmy szczęście i udało nam się przetrwać zamieszki, podczas gdy tylu innych zginęło. Chcę wiedzieć, dlaczego świat taki jest.

— Cóż, nie musiałaś radzić sobie beze mnie, Lily. Żyję. Nikt ci nie powie, dlaczego ja wciąż tu jestem, a inni nie. To kwestia przypadku, nie ma żadnej reguły. Jestem tu i to się liczy.

— Ale musi być powód, dla którego cierpią niewinni ludzie.

— Wracanie do tamtego dnia nic nie da, Lily. Musimy skupić się na przyszłości.

— Masz rację. Przepraszam, że tak się rozkleiłam.

— Hej, postaraj się dostrzec pozytywne strony — powiedział Jack wesoło. — Bridget nie lubi marmolady, a my w kredensie mamy trzy słoiki, co oznacza, że w Boże Narodzenie nie będzie nam groziła śmierć z głodu. Możemy zrobić zupę z marmolady, pieczone piersi z marmolady jako danie główne i marmoladowy pudding na deser.

Oboje zmusili się do śmiechu, choć zabarwionego nutką troski. Żadne dotąd nie poruszyło tego tematu. Czy w tym roku będą musieli dzielić się z Bridget swoimi cudownymi i romantycznymi świętami? Nie wspominała, czy zamierza ten dzień spędzić u rodziców albo u Gerry'ego. I znowu Lily poczuła wyrzuty sumienia, że chce się pozbyć lokatorki z domu na Boże Narodzenie. Jeśli Bridget nie będzie miała gdzie się podziać, może zostać z nimi, postarają się jakoś z tym pogodzić. Bardzo niewiele kobiet spotkało w życiu takie szczęście jak Lily, którą mąż kocha i uwielbia. Musi postarać się być mniej egoistyczna.

— Straszna ze mnie szczęściara, że mam ciebie — szepnęła. Jack znowu łagodnie pocałował ją w szyję.

— Te jajka są już gotowe? Umieram z głodu.

Lily przeniosła omlet na ciepły talerz, zadowolona i prawie szczęśliwa. Kiedy Jack ją pocieszał, nie potrafiła długo się smucić. Zanosząc Bridget śniadanie, powtarzała w myślach powody, dla których nie powinna się martwić. I dołożyła starań, by pozostać w dobrym nastroju, kiedy dostrzegła potłuczony czajnik.

— Przepraszam — powiedziała Bridget, wpychając do maleńkich usteczek ogromny kawał omleta. — Nie chciałam, to był wypadek.

Jakby to miało uwolnić ją od odpowiedzialności, pomyślała Lily. Albo od kupienia nowego czajnika.

— Nie ma sprawy — powiedziała cierpliwie. — Takie rzeczy się zdarzają.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała Jackowi przy śniadaniu, w czasie którego cieszyli się, że są tylko we dwoje. — Jeśli Bridget swoim apetytem nie doprowadzi nas do bankructwa, nie stłucze wszystkich cennych przedmiotów i nie nabije astronomicznego rachunku telefonicznego, wszystko będzie dobrze.

— Wiesz co? Nigdy nie lubiłem tego czajnika.

— A ja tak. Ale przynajmniej jesteśmy finansowo do przodu dzięki kartkom świątecznym.

Lily zarobiła fortunę na sobotnich zajęciach, a za tydzień miały się odbyć następne. Po namyśle doszła do wniosku, że zakup materiałów na świąteczne wieńce będzie bardzo kosztowny. Musi przygotować kręgi z pianki, drut, nożyce do drutu, gałązki ostrokrzewu i świerku, czerwone wstążki i róże dla sześćdziesięciu pięciu uczestniczek. Pojedzie do supermarketu i sprawdzi, czy nie uda się kupić przynajmniej części materiałów po obniżonej cenie. Prowadzenie zajęć sprawiało jej tak wielką przyjemność, że nie martwiła się znacznym obniżeniem zysków. Cieszyła się, że nerwy jej nie zawiodły.

— Wyśmienite — powiedział Jack, opróżniając talerz. — Co będziemy robili dzisiaj rano? Wystarczy nam czasu na krótki spacer po parku? Przydałby mi się łyk świeżego powietrza. Jedyny problem z większą liczbą klientów jest taki, że o wiele bardziej dymią.

— Nie, kochanie, przykro mi. Chcę przestawić meble w barze, a potem mam rozmowę z braćmi Devaneyami.

— Z kim?

— To nasz potencjalny zespół folkowo-bluesowy.

— Tylko mi nie mów, że banda zwariowanych starców będzie grała na skrzypcach i fletach, wypijając przy okazji naszą najlepszą whisky?

— Nie, najdroższy. To bardzo przystojni bliźniacy, David i Michael. Mają dwadzieścia cztery lata, noszą skórzane spodnie i są szalenie seksowni. Grają na gitarach akustycznych. Widziałam ich wczoraj, jak wracałam z banku. Stali przed Donegal Arcade. Byli rewelacyjni.

— W takim razie bierz ich. Co mamy do stracenia?

— Teraz mam zamiar przesunąć kilka stolików z lewej strony kominka, żeby zrobić dla nich miejsce — powiedziała Lily, wkładając naczynia do zlewu. — I wysłać do gazet ogłoszenia o naszych wieczorach folkowych.

— Sprowadzenie nowych klientów rzeczywiście będzie takie łatwe?

— Tak — odparła Lily stanowczo.

— A czy w porze zamknięcia nie zaczną się awantury? Takie folkowe wieczory przyciągają określony typ gości, jeśli wiesz, co mam na myśli. Rozpalonych patriotów, którzy nie panują nad swoimi odruchami. Wydaje im się, że występują w filmie. Wyrwują płyty z chodnika i rzucają nimi w policję.

— Wcale nie. Naprawdę, Jack, wpadasz w paranoję! Sam mówiłeś, że musimy skupić się na przyszłości. Tamto należy już do przeszłości.

— Uwierzę, jak zobaczę. Nie mogłabyś poprosić tych Devaneyów, żeby śpiewali rock i pop? Piosenki zespołów takich, jak Lloyd Cole and the Commotions albo Fairground Attraction? Żeby wszyscy byli zadowoleni?

— Nie wiem, czy mają w repertuarze popowe piosenki. Zresztą te zespoły dawno wyszły z mody.

— Lily, powiedz im, że albo będą śpiewać pop, albo wcale. Nie chcę, żeby zdemolowano mi pub.

— Dobrze — uśmiechnęła się Lily. — Ty tu jesteś szefem.

— Właśnie. I lepiej o tym nie zapominaj!

Kiedy w porze lunchu pojawili się bracia Devaneyowie, małą scenę już przygotowano. David był typem uroczego podrywacza z krótkimi sterczącymi włosami i złotym kolczykiem, Michael natomiast, nieśmiały i milczący, miał długie do ramion loki w typie Leo Sayera. Davidowi spodobał się wystrój tawerny; zaraz też sprawdził wielkość sceny. Michael tylko skinął głową Lily i Jackowi. Obaj bracia mieli pociągające podłużne twarze i niesamowicie muskularne uda. Obcisłe skórzane spodnie nie ukrywały tej cechy.

— Gdzie są moje okulary przeciwsłoneczne? — szepnął Jack, kiedy bracia pochylili się nad futerałami. Lily musiała stłumić chichot widząc, jak światło pada na jędrne pośladki młodych mężczyzn. — I skąd wzięli takie spodnie? Uliczne występy muszą się bardziej opłacać, niż nam się wydaje.

Daisy, Trudy i Marie, które właśnie przyszły do pracy, wieszały za barem swoje płaszcze. Cieszyły się, że zdążyły na czas i będą świadkami przesłuchania. Barney, Joey i Mac bezpiecznie zainstalowali się w swoim boksie z kufkami piwa i niedzielnymi gazetami. Devaneyowie przedstawili się Jackowi i Lily, wszyscy uścisnęli sobie ręce. Przyjęli propozycję wypicia filiżanki herbaty przed występem, a David zapytał, czy ktoś ma nietypową prośbę. Zaczął stroić gitarę, Michael natomiast dokładał starań, by się nie zarumienił, kiedy zauważył, że Marie nieśmiało się do niego uśmiecha.

— Ja mam nietypową prośbę — szepnęła Bridget, która zeszła na dół, żeby sprawdzić, co jest powodem tego zamieszania.

— Ale nie wiem, czy David jest tego rodzaju facetem.

— Ręce przy sobie — odparła Daisy cicho. — Ja pierwsza go zobaczyłam.

— W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone — oznajmiła Bridget stanowczo. — Wyjmij lepiej naczynia ze zmywarki. A te ręczniki warto by przeprasować, Marie.

— Modliszka — mruknęła Daisy pod nosem, ale Bridget nie zwracała na nią uwagi.

— Świetne są te obcisłe skórzane portki — mruknęła Bridget. — Jego żona w noc poślubną nie będzie niczym zaskoczona.

— Spotykasz się z tym doktorem? — zapytała Daisy. — Pani B. powiedziała, że ciągle gadasz przez telefon z lekarzem, który nazywa się Gerry Madden.

— Spotykałam się. Zerwaliśmy tydzień temu. — Bridget zerknęła na swoje odbicie w małym lusterku za dozownikiem alkoholi. Z radością stwierdziła, że wygląda świetnie. Loki miała sprężyste i okrągłe jak uda Davida Devaneyego.

— Tydzień temu! O rety! Nie tracisz czasu. — Daisy z grzechotem otworzyła zmywarę, zirytowana postawą Bridget, która sądziła, że ma prawo pierwszeństwa do każdego atrakcyjnego faceta w lokalu.

— A co to niby ma znaczyć? — warknęła Bridget, zmęczona po długiej i szczerzej rozmowie z Gerrym.

— Dajcie spokój, nie kłóćcie się — łagodziła Marie. — Dama powinna przez cały czas zachowywać godność.

— Co powiedziałaś? — zapytały chórem pozostałe trzy dziewczęta. Marie zarumieniła się i odwróciła, sięgając po ścierkę, by wypolerować pipy.

— Nie obraż się, Bridget, ale wydaje mi się, że wyglądasz trochę zbyt konserwatywnie dla Davida. — Daisy pogładziła się po jaskrawoczerwonych włosach. — Popatrz na jego fryzurę. No wiesz, na oko widać, że jest super.

— Posłuchaj mnie, Daisy. Jesteś młoda i niedojrzała, więc wyświadczę ci przysługę. Mój były chłopak, Gerry Madden, twierdzi, że młodzi ludzie z ekstrawaganckimi fryzurami i w dziwnych strojach są szalenie niepewni siebie i za wszelką cenę chcą zwrócić uwagę. On jest psychiatrą, więc zna się na tych sprawach. Wcale nie twierdzą, że ta diagnoza dotyczy też ciebie. Nie wiem, czy jesteś niepewna czy wręcz przeciwnie. Ale może zastanowisz się nad tą swoją fryzurą, wprost wymarzoną na Halloween?

Na białych policzkach Daisy pojawiły się czerwone rumieńce wściekłości.

— Jestem młoda i niedojrzała? Na litość boską, jestem tylko o sześć lat młodsza od ciebie. I co ten twój Gerry ma do powiedzenia o kusych i obcisłych strojach? — Daisy znacząco spojrzała na krótką, dopasowaną sukienkę Bridget. — Co Gerry mówi o kobietach, które pokazują się pół nago, no? Reklamują swoje atuty? Dlaczego po prostu nie założysz na szyję tabliczki z informacją, kiedy masz owulację?

Oczy Bridget były lodowate z gniewu, ale zdołała się roześmiać. Najwyższa pora, by raz na zawsze pokazać Daisy Hardcastle, gdzie jej miejsce. Palcem pokazała obszerny sweter i spodnie z czerwonego aksamitu z różowymi serduszkami na jednej nogawce, które miała na sobie Daisy.

— A te wszystkie różowe serduszka? — rzuciła oskarżycielsko. — Kochaj mnie! Kochaj mnie! Kochaj mnie! Tak krzyczą. Każde jest wołaniem o pomoc.

— To nie jest wołanie o pomoc, tylko wzór. To, że chodziłaś z psychiatrą, nie znaczy, że sama jesteś psychiatrą — warknęła Daisy przez zaciśnięte zęby; nie miała pojęcia, jak dalej będzie pracować z tą miniaturową wariatką. Na tym polega problem z większością posad. Zwykle oznaczają, że trzeba mieć do czynienia z innymi ludźmi.

Bracia Devaneyowie śpiewali urocze piosenki w stylu pop, ale Daisy i Bridget były głuche na ich głosy. Daisy znosiła przez tydzień niewiarygodnie irytujące zachowanie Bridget, której wydawało się, że jest szefową, i aż rwała się do kłótni.

— Czy ty w ogóle byłaś młoda, Bridget? A może urodziłaś się jako osoba w średnim wieku? Szczerze mówiąc, żal mi cię. Czujesz się mało ważna, jeśli nie dyrygujesz innymi, co?

— Och, a więc to tak? Świetnie! — wykrztusiła Bridget, wyczuwając, że przegrywa. — Dzięki za ocenę, ale wydawało mi się, że mówimy o tobie, Daisy. Sama sobie przyszykowałaś te spodnie? Bo wiesz, w okolicznych sklepach takich nie widziałam.

— Tak, uszyłam je sama, skoro chcesz wiedzieć. I wcale ich nie przyszykowałam, jak to ujęłaś. Co za dziwne wyrażenie! Prawdę mówiąc, zaprojektowałam i uszyłam te szerokie spodnie. To się nazywa moda, ty suko wielkości kufelka! W londyńskim butiku kosztowałyby tysiąc funtów, ale ty tego nie zrozumiesz.

— Może byś poszła i przetała stoły, zabierając te swoje superportki ze sobą? — westchnęła Bridget, udając znudzenie.

— Zaraz pójdę. Z przyjemnością posprzątam ze stołów, Bridget. Wiesz, pracuję jako barmanka tylko dlatego, że studiuje. Jak będę miała dwadzieścia pięć lat, nie będę sprzątaczką, jak pewne osoby, o których nie wspomnę. — Po tych słowach Daisy odplynęła, by wyczyścić popielniczki.

Bridget stała za barem, trzęsąc się ze złości i zastanawiając się, czy mogłaby wylać z pracy barmankę zatrudnioną na godziny. Naprawdę ta Daisy ma poważny problem z autorytetami.

Kiedy bracia skończyli, Bridget uspokoiła się na tyle, by poprawić swoje białe loki i zwrócić niewinne błękitne oczy na Davida Devaneya.

— Znacie „Angel” Robbiego Williamsa? — zapytała kokieteryjnie. — To taka cudowna piosenka.

Bridget najwyraźniej już wie, że jej uroda ma charakter anielski, pomyślała Lily.

— Tak. Sama wyglądasz jak anioł, no nie? — uśmiechnął się David.

Daisy przewróciła oczami. Nawet Jack i Lily poczuli zakłopotanie.

— Może następnym razem? — dodał David. — Jeśli nas zaangażują.

— Mnie się podobacie — powiedziała szybko Lily. — Zatrudniam was.

— Super — odparł David, a Michael znowu się zarumienił pod długą grzywą brązowych włosów.

— Zostaniecie na lunch, chłopcy? — zapytał nagle Jack, wprawiając Lily w zdumienie. — Jestem tu jedynym rodzyńkiem pośród tych wszystkich kobiet.

Dopiero teraz Lily pojęła, skąd wzięła się ta nie pasująca do niego propozycja. Dzielenie ukochanego baru z czterema dziewczętami musiało być dla niego trudne, choć doskonale sobie radził. Bracia przyjęli zaproszenie i trzech mężczyźni usiedli, omawiając repertuar występu. Chociaż Jack był

od bliźniaków niemal dwukrotnie starszy, gusta muzyczne mieli podobne. Wszyscy się zgadzali, że Beatlesi to strasznie przereklamowana kapela, a prawdziwym geniuszem muzyki popularnej jest David Bowie. Podzielali też uwielbienie do Johnny'ego Casha, Elvisa Costello i Elvisa Presleya. Lily cieszyła się ze względu na męża. Zapomniała już, jaki jest nieśmiały.

— W takim razie idę po zupę — powiedziała i pobiegła do kuchni.

Barney, który przysłuchiwał się wydarzeniom poranka, wolno wyciągnął pokrytą plamami wątrobowymi dłoń i cicho zamknął drzwi do boksu.

— Widzieliście ubrania tych młodych facetów? — szepnął, pociągając z fajki. — Potrafią śpiewać, to im przyznaję, ale te spodnie jak z filmu porno! Mają więcej odwagi niż ja, to pewne.

— Faktycznie. Moim skromnym zdaniem skóry powinno używać się tylko do robienia butów i tornistrów — powiedział Joey. — Wolałbym spotkać wściekłego psa, niż w czymś takim chodzić w biały dzień po ulicy.

— Ja wolałbym spotkać dwa wściekłe psy, niż zobaczyć ciebie w takim stroju! — dodał Mac. — Twoja kolejka, Joey. Zdrowie.

Wczesnym popołudniem napięcie panujące w barze zelżało. Lily przekonała Daisy i Bridget, żeby się pogodziły. Chociaż Bridget w duchu zdecydowała, że jak szalona będzie flirtować z Davidem choćby po to, żeby Daisy była zazdrosna. Nie pozwoli, żeby jakaś barmanka na godziny bezkarnie nazywała ją suką. Poza tym nie zamierzała rezygnować z żadnego faceta dla wariatki w rodzaju czerwonołosej Daisy Hardcastle.

Bracia Devaneyowie poszli do domu, przypuszczalnie po to, by dać odpocząć swoim skórzanym spodniom i seksapilowi. W kominku wesoło trzaskał ogień, Lily podała wszystkim po talerzu zupy z pasternaku. Nawet Barney i jego paczka skosztowali, po czym orzekli, że jest bardzo wymyślna. Lily próbowała nowy przepis; wszyscy jednogłośnie uznali, że dodanie curry i liści kolendry było doskonałym pomysłem.

— W tej zupie nie ma soku z cytryny, prawda? — zapytała nagle Trudy.

— Tylko kropelka — odparła Lily. — A dlaczego?

— Jestem uczulona na cytryny — lamentowała Trudy. — Mówiłam o tym na rozmowie wstępnej! — Zaczęła gwałtownie łykać powietrze, jej twarz i szyja zalała się rumieńcem ze zmartwienia. Namalowane ołówkiem brwi podniosły się wysoko.

— Dobry Boże! Całkiem o tym zapomniałam, tak mi przykro. Co ci się stanie? — Lily była wstrząśnięta. Aby się uspokoić, złapała Jacka za rękę. — Trudy, bardzo cię przepraszam. Z kim z twojej rodziny powinniśmy się skontaktować, gdybyś zemdląła albo coś w tym rodzaju?

— Litości! — szlochała Trudy. Poderwała się z krzesła, potrząsnęła rękami w geście czystego przerażenia, potem znowu usiadła. — Sprawdźcie mi czoło. Jest gorące?

— Nie panikuj — wtrącił Jack. — Wcześniej jadłaś tę zupę i nic się nie stało. Alergie mijają, wiesz o tym?

— Ale musi trochę potrwać, zanim sok dostanie się do systemu trawiennego. — Trudy spojrzała na zegarek. — Ile czasu minęło od pierwszego talerza?

— Mam zadzwonić po karetkę? — zapytała Bridget, ruszając w stronę automatu telefonicznego. Miała bzika na punkcie sanitariuszy. (Tak samo zresztą jak na punkcie lekarzy.) Te zielone uniformy z błyszczącymi emblematami sprawiały, że kolana jej miękły. Często fantazjowała, że przy wiążują ją do metalowych noszy i wsadzają do helikoptera. Najlepiej w szalejącej burzy. I w górach Szkocji, gdyby to było możliwe. A potem, kiedy dryfowałaby pomiędzy świadomością i nieświadomością, oszłamiająco przystojny lekarz (z wysokimi celtyckimi kośćmi policzkowymi) rozpiąłby jej ubranie, ich oczy na krótko by się spotkały i...

— Nie, nie będę w szoku — jęknęła Trudy. — W każdym razie mam taką nadzieję. Szybko, dajcie mi szklankę wody. Niewykluczone, że zemdleję. Chyba lepiej zejść z tej kamiennej podłogi, zanim padnę? — Zrobił się zamęt, bo Lily, Jack i Marie poszli po wodę, po czym otoczyli Trudy, głaszcząc ją po plecach ze współczuciem. Trudy wypła wszystkie trzy szklanki.

— A to ci nie zaszkodzi? Tyle na raz wypłaś — zapytał Jack.

— Mój ojciec kiedyś wypła szesnaście kufla w jedno popołudnie i jeszcze wygrał w rzutki — wtrąciła Bridget. Zaraz jednak umilkła. Sprawiała wrażenie bardzo, bardzo zakłopotanej. — Żartowałam — dodała cicho. — Jest abstynentem. Nie tyka alkoholu.

— To jak w „Alicji w krainie czarów”, prawda? — powiedziała Daisy zmartwiona, podczas gdy wszyscy czekali, aż Trudy zemdleje. — Ona będzie coraz większa czy coraz mniejsza?

— Chodź ze mną na piętro, kotku — zwróciła się Lily do swej czerwonej jak burak barmanki. — Położysz się. Połknęłaś tylko kropelkę soku cytrynowego, a poza tym zupa gotowała się przez dwie godziny i do czasu, kiedy ją jadłaś, cały sok pewnie i tak wyparował. — Objęła dziewczynę w pasie i poprowadziła do sypialni. Trudy opadła na wielkie łoże z brązu.

— Ślicznie tu — powiedziała, wodząc wzrokiem po jasnoróżowych ścianach i szklanych uchwytach komody. — Sama pani urządziła ten pokój, pani Beaumont?

— Tak. Cieszę się, że ci się podoba. Masz ochotę na filiżankę herbaty? Cukier dobrze by ci zrobił na szok. A może mam zadzwonić do twojej mamy? Albo przynieść miednicę, na wypadek gdyby zrobiło ci się niedobrze?

— Moi rodzice mieszkają w Birmingham, pani Beaumont. Oboje pracują w szpitalu, ale nie mogliby przyjechać w tak krótkim czasie.

— Moje biedactwo! Mogę ci jakoś pomóc?

— Chyba się zdrzemnę, jeśli pani pozwoli. W głowie mi się kręci.

— Jasne, śpij tak długo, jak chcesz — odparła Lily.

Strzepnęła poduszki i okryła Trudy satynową kołdrą. Potem siedziała na skraju łóżka i łagodnie przemawiała do roztrzęsionej dziewczyny, dopóki ta się nie uspokoiła. Po kilku minutach Trudy spała już głęboko, nic nie wiedząc o bożym świecie. Lily została jeszcze przez kwadrans, żeby się upewnić, że Trudy nie spuchnie, nie eksploduje ani na powiekach nie zrobią jej się zielone pęcherze. Później cichutko wyszła, zostawiając drzwi lekko uchylone. Na drzwiach lodówki przymocowała napisaną czerwonym markerem notatkę „Trudy jest uczulona na cytryny”, po czym zeszła na dół, by powiedzieć pozostałym, że z Trudy wszystko w porządku. Osobiście Lily uważała, że dziewczynie nic nie dolega, potrzebuje tylko odrobinę serdeczności i uwagi, postanowiła jednak, że na wszelki wypadek będzie pamiętała o cytrynach przy gotowaniu.

Po południu pojawił się Liam Bradley i zajął boks w pobliżu wejścia, zamykając za sobą drzwi. Kiedy weszła tam Lily, by przyjąć od niego zamówienie, i zobaczyła, że stół pokrywają luźne kartki z notatkami oraz pięć grubych książek historycznych o dziewiętnastym wieku, zapytała, czy pracuje nad nową książką. Odpowiedział twierdząco, choć nie chciał zdradzić szczegółów. Tajne, oznajmił. Lily odnosiła wrażenie, że zbyt uważnie się jej przygląda, kiedy opowiadała mu o nowych pracownikach. Wydawał się zwłaszcza zafascynowany jej oczami. Odrzuciła jednak tę myśl jako kompletnie dziwaczną. Czemu miałby się nią interesować, skoro miał młodszą i bardziej seksowną żonę? Kiedyś widziała zdjęcie ziewającej Betsy w gazecie (zrobiono je na targach książki w Bangor). Na wszelki wypadek jednak poprosiła Jacka, by zajmował się Liamem do końca jego pobytu, zasłaniając się koniecznością przeliczenia mikserów do inwentaryzacji. Jack trzy razy odwiedził boks Liama, ale też nie dowiedział się niczego o nowej książce.

Bridget demonstrowała Daisy i Marie przyrządzanie koktajli z kruszonym lodem, które podawało się w mrożonych szklankach. Daisy dostała niezwykle ważne zadanie napełniania woreczków kostkami lodu i miażdżenia ich wałkiem. Bridget pokazywała koleżankom, jak używa się chromowanego shakera i jak nalewa koktajle z wdziękiem i gracją. Wyjaśniła, że na tym polega cała istota koktajli. Kilka kropel alkoholu i owocowy smak koktajlu nie są najważniejsze, liczy się idea: wybór stylu życia. Na Daisy nie zrobiło to wrażenia, natomiast Marie pokiwała głową i oznajmiła, że Bridget jest sprytna.

Z bogatego repertuaru Bridget wybrały cztery drinki o elegancko brzmiących nazwach i uznały, że to wystarczy na Boże Narodzenie. Były to: Champagne Cocktail, Sea Breeze z sokiem porzeczkowym, sokiem grejpfrutowym i wódką, Peach Bellini i Brandy Alexander. Każda wypiła po dwa Sea Breeze: pierwszy, żeby sprawdzić smak i jakość, drugi, żeby zużyć do końca składniki. Marie do tego wypiła jeszcze dwa Peach Bellini; jej zdaniem były wyśmienite. Straszna szkoda, że Michael Devaney poszedł już do domu, powiedziała, bo ma ochotę na flirt. Po raz pierwszy nie szeptała, jak miała w zwyczaju.

Jack i Lily cieszyli się, że Bridget radzi sobie z shakerem do koktajli tak sprawnie, jak zapowiadała, ponieważ jej utrzymanie kosztowało ich fortunę. W kuchni trudno było znaleźć coś do jedzenia. Bridget pożarła cały dżem, herbatniki, naleśniki, płatki i czekoladę. Lily zastanawiała się, czy nie podnieść jej czynszu.

Powiedziała dziewczynom, że mają zamówienia na kilka imprez bożonarodzeniowych, w większości studenckich, stąd ten przyspieszony kurs koktajlowy. Popytała o ceny w innych lokalach i nieco je obniżyła. W tawernie mieściło się naraz około stu osób, ale wydziały urządzały osobne przyjęcia, więc to nie był problem.

Daisy i Marie dobrze się rozumiały, pracując za barem. Wyglądało na to, że od razu się polubiły. Daisy zaproponowała Marie pomoc w zmianie wizerunku, jako że doskonale radzi sobie ze szmatkami i maszyną do szycia. Dzisiaj miała na sobie długą wąską suknię z żółtych i turkusowych aksamitnych łątek. Marie zwykle ubierała się prosto, w dżinsy i T-shirty, i nie miała ochoty stroić się jak czarownica, ale powiedziała, że z przyjemnością posłucha o pomysłach Daisy. Na przykład po świętach, kiedy nie będą miały tyle pracy.

O piątej po południu pojawiła się Trudy, przepaszając wylewnie, że wszystkich tak przeraziła.

— Nie ma sprawy — odparła Lily automatycznie. — Takie rzeczy się zdarzają.

— Nie rozumiem, dlaczego tym razem nie zareagowałam — mówiła Trudy. — Zwykle po zjedzeniu czegoś z cytryną mam temperaturę. Może pasternak i kolendra zadziałały jak antidotum?

— Pewnie tak — powiedział Jack. — Dzięki Bogu za pasternak i kolendrę.

Opowiedzieli jej o kursie mieszania koktajli i zbliżających się imprezach. Trudy stanowczo oznajmiła, że nie może serwować żadnych drinków z plasterkami cytryny. Od cytryn robi jej się zaraz wysypka na dłoniach. Lily odparła, że nic nie szkodzi, Trudy w takim razie będzie podawać piwo. Wszystkie dziewczyny i tak nie mogą zajmować się wyłącznie drinkami, jest za mało miejsca przy kontuarze. Później Lily i Jack poszli na górę, by wreszcie zrobić sobie przerwę.

— Pozwól, że to sobie uporządkuję. Bridget nie sprząta i nie gotuje — powiedział Jack. — Przez pół nocy wisi na telefonie, gadając ze swoim byłym chłopakiem, tak przynajmniej twierdzi. Zwróć uwagę na słowo „były"! Zjada więcej niż stado słoni. Dzięki Bogu, że nie pije, bo całkiem byśmy zbankrutowali.

— Wiem.

— Trudy nie może zbliżyć się do cytryn, więc nie będzie podawać drinków. Chociaż nie widzieliśmy śladu reakcji alergicznej i moim zdaniem to od początku do końca jej wymysł. A wcześniej wspomniałaś, że przeszkadzają jej guziki, tak?

— Głównie perłowe.

— Rozumiem. Marie nieśmiałość nie pozwala na rozmowy z mężczyznami, a Daisy wypadają włosy.

— Co powiedziałaś? — zapytała Lily, napełniając czajnik wodą.

— Nie zauważyłaś? Na podłodze w pubie pełno jest długich czerwonych włosów.

— Och, Jack. A jeśli jakiś gość znajdzie włos w zupie?

— Powiemy mu, żeby nie mówił innym, bo też będą chcieli!

— Co takiego?

— No wiesz, to taki dowcip.

— Jestem na to wszystko za stara. Co ja narobiłam? — Lily postawiła czajnik na piecu i z rozpaczą zakryła twarz dłońmi.

— Uprzedzałem, uprzedzałem — powtarzał Jack śpiewnie, wskazując żonę palcem. — Mówiłem, że z tą czwórką coś musi być nie w porządku. Tak od razu można je było zatrudnić. Założę się, że w pośredniku cieszyli się, że mają je z głowy.

— Nie triumfuj, Jack, ostrzegam cię. Tego nie zniosę.

— Żartuję. Daj spokój, Lily, nie jest tak źle. Nie możesz mieć personelu bez problemów z personelem. Przecież zawsze o tym wiedzieliśmy. Pomimo swoich dziwactw to miłe dziewczęta. Lubię je.

— Ja chyba też. Chociaż czasami mam ochotę zabić Bridget. Nigdy nie pamięta, żeby zostawić nam mleko na śniadanie. Wczoraj wieczorem widziałam, jak szła do pokoju z pełnym kubkiem!

— Problem rozwiązany — odparł Jack, pokazując Lily opakowanie sojowego mleka, które ukrył za regalem z warzywami. — Bridget będzie musiała wstać wcześniej rano, żeby mnie uprzedzić.

— Uda nam się? — Po policzku Lily spłynęła wielka łza.

— Tak. Nie płacz. Poradzimy sobie.

Na dole Trudy, która całkiem już doszła do siebie, cieszyła się powszechną uwagą spowodowaną jej uczuleniowym dramatem. Pozostałe dziewczęta wspominały rozmaite medyczne horrory z dzieciństwa; wspaniale się bawiły, opowiadając sobie coraz bardziej przerażające historie. Daisy miała ciotkę w Kencie, którą pszczoła użądliła w język; biedaczka udusiła się koło grilla we własnym ogrodzie. Kiedy to było? W czasie turnieju w Wimbledonie, choć Daisy nie pamiętała, w którym roku. Nieszczęsna ciotka przez otwarte drzwi z tarasu oglądała transmisję telewizyjną i wiwatowała na cześć Johna McEnroe.

Z kolei kuzynka Bridget pewnego razu dostała silnego kataru siennego i całą noc leżała w wannie, okładana lodem w celu zbitcia gorączki. Ta historia miała szczęśliwe zakończenie. Dziewczyna przeżyła, a później otworzyła własny salon fryzjerski w Sixmilecross.

— Jeszcze pół stopnia i moja biedna kuzynka by umarła — mówiła Bridget z oczami jak spodki. — Wezwali księdza, żeby udzielił jej, ostatniego namaszczenia, a z hrabstwa Cork sprowadzili wielki drewniany krucyfiks, który należał do jakiegoś świętego. Trzymali jej go na czole, żeby gorączka spadła.

— Ale historia — stwierdziła Daisy sarkastycznie. — Założę się, że tej biedaczce wciąż śnią się koszmary.

Trudy słuchała tych strasznych opowieści z niechęcią. W porównaniu z nimi jej awersja do soku cytrynowego wydała się dość nijaka. Przypomniała więc, że ma też fobię związaną z guzikami. Jeśli w odległości kilku kroków od niej znajdzie się jakiś guzik, kręci się jej w głowie. Pozostałe dziewczęta przyjęły to ze zrozumieniem.

— Zwłaszcza perłowe guziki fatalnie na mnie działają — dodała Trudy. — Od perłowych guzików robi mi się niedobrze.

— Nie martw się — zapewniły ją. — Nie włożymy niczego z perłowymi guzikami, a jak zrobi się tłok, możesz zostać za barem. Na wypadek gdyby ubranie któregoś z gości wytrąciło cię z równowagi.

Trudy nie posiadała się z radości.

Marie, wciąż wstawiona po koktajlach, wyznała, że okropnie jej się podoba Michael Devaney i ma zamiar zabrać się za niego (jej słowa) w sylwestra. Słyszając to, Bridget i Daisy odczuły wielką ulgę, obie bowiem przy najbliższej okazji planowały uwieść Davida ze sterczącymi włosami. Wszystkie gawędziły radośnie za barem, kiedy Lily powiedziała im, że bracia zadzwonili, by potwierdzić, że będą występować w pubie regularnie, przypuszczalnie w prawie każdy wieczór w okresie bożonarodzeniowym. Ucieszyły się bardzo. Sprawy zapowiadały się doskonale.

Kiedy późnym wieczorem Bridget znowu zaczęła nimi dyrygować, Daisy konspiracyjnie mru-gnęła do pozostałej dwójki.

— Będzie wspaniale — oznajmiła swoim nowym przyjaciółkom, kiedy po zamknięciu pubu czekały na taksówkę. — Nie przejmujcie się słodką Bridget i jej potężnym ego. Jeśli będziemy trzymać się razem, spędzimy fantastyczne Boże Narodzenie. Jestem tego pewna.

AGENCJA LITERACKA SHAW STORIES ZNOWU NA FALI

Perry'emu Shaw kręciło się w głowie ze szczęścia. Liam Bradley przez prawie godzinę opowiadał mu treść nowej książki.

— Oj, Limo, to znaczy Liam. To superwiadomość. Wiedziałem, że cię na to stać.

— Ja nie wiedziałem, Perry. Pisanie wcale nie jest takie łatwe, choć ludziom wydaje się inaczej. Nic na świecie nie jest bardziej przerażające od pustego ekranu komputera.

— Ani przez sekundę nie myślałem, że to łatwe, Liam. Ale ty jesteś geniuszem — łagodził Perry. Delikatnie dotknął oprawionej fotografii na biurku, która przedstawiała jego dwudziestodwuletniego syna, żołnierza armii brytyjskiej. Perry'emu przychodziło do głowy kilka rzeczy bardziej przerażających od pustego ekranu. Nie zapomniał jednak o swej złotej zasadzie: nigdy nie być szczerym z pisarzem.

— Tak czy owak ta nowa książka będzie lepsza niż „Pif-paf”. Wciąż nie zdecydowałem się, jak ją zatytułuję — ciągnął Liam.

— A co powiesz na „Bum, bum”? Dzięki temu zachowasz ciągłość stylu.

— To brzmi jak wybuch dwóch bomb. A ty jeszcze nawet nie słyszałeś zakończenia.

— Jest wybuch? Albo lepiej, dwa wybuchy?

— Dobra, tak się składa, że są. Na końcu tawerna rozlatuje się w drzazgi. Akurat w chwili kiedy sprawa się wyjaśnia i na ulicy wszyscy świętują. Ktoś rzuca zapalonego papierosa blisko drzwi i buuum! Eksplozja!

— No proszę! A przy okazji, co jest powodem wybuchu?

— Nieszczelna rura z gazem, o czym nikt nie ma pojęcia. Gaz dostarcza ta sama firma, która odkopuje kości pierwszej ofiary.

— A drugi wybuch?

— Samochód. Claudia podpala samochód Pistoleta.

— To fantastyczne, Liam! Cudownie się składa! Nazwiemy powieść „Bum, bum”. Pod takim tytułem sprzedam ją wydawcom.

— Już chcesz składać oferty, Perry? Zanim ją napisałem? Czy to rozsądne?

— Jasne, Liam. Jeśli nie zacznę budzić zainteresowania natychmiast, zaproponują kontrakt innemu autorowi. I każą mu naśladować twój styl. Nie przejmuj się, „Bum, bum” brzmi odpowiednio. Lepiej niż odpowiednio: kolejna cudowna mieszanka zagadki kryminalnej, komedii i soft porno pióra legendarnego Liama Bradleya. Wydawcy będą zachwyceni.

— Jeszcze jedno, Perry. To ci się może nie spodobać, a ja na pewno tego nie planowałem.

— Wal — odparł Perry; miał nadzieję, że nie będzie musiał łamać swojej złotej zasady akurat dzisiaj, kiedy finansowe zbawienie było tuż-tuż.

— Wiesz, tak sobie pomyślałem, że na zakończenie dam zaskakujący zwrot akcji.

— Chyba mi się to nie podoba, Liam.

— OK. Opowiem ci w dwóch zdaniach. Pistolet zakochuje się we właścicielce tawerny i ma z nią dziecko. Jej mąż w czasie eksplozji przenosi się na łono Abrahama, co dla naszego bohatera jest dość wygodne. Nie trzeba się przejmować nieprzyjemnym rozwodem. I ku zdumieniu chłopaków z posterunku Magee w końcu się statkuje. — Liam wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź Perry'ego, która wcale go nie zaskoczyła.

— Nie, nie, nie, Limo. To znaczy Liam. W żadnym razie! Wykluczone! Pistolet po prostu nie może się zakochać. Musi być wolny od więzów emocjonalnych. To najważniejsza cecha jego charakteru. Nigdzie nie zagrzewa miejsca.

— To wędrownie życie zaczyna go męczyć. Chciałby założyć gniazdo.

— Ale nie może.

— W „Bum, bum” będzie miał trzydzieści osiem lat. A to oznacza kurze łapki i włosy w uszach.

— I co z tego?

— Czy to nie trochę żalodne, że dobiega czterdziestki i wciąż mieszka w bałaganie? W nocy dotrzymuje mu towarzystwa wyłącznie jego kolekcja CD? Trzydziestoośmiolatek nie wygląda tak dobrze ze spuszczoneymi spodniami jak młodszy facet.

— Liam, martwisz mnie. Chyba się nie rozklejasz, co?

— Nie. Tak tylko pomyślałem, że czas najwyższy, żeby Pistolet dorósł. W pierwszej książce był bardzo niedojrzały. Tym razem też tego chcesz? Więcej tego samego? Wczoraj w nocy dużo o tym myślałem.

— Ty nie myśl, Liam, tylko pisz. Najlepiej ci to wychodzi, kiedy nie myślisz.

— Ale czy Magee nadal ma chodzić do klubów go-go, kiedy będzie mu brakować kobiecego towarzystwa? I opowiadać o swoich osobistych kłopotach fałszywie współczującemu barmanowi?

— Tak jest.

— A potem ma się schlać i w drodze do domu wyrzygać na doskonały kwietnik przed domem starszej damy, która z niesmakiem obserwuje go zza firanki?

— O, tak! Doskonale! Cudownie niedojrzałe! To fikcja, Liam. Wiesz, że Pistolet Magee jest tylko bohaterem twojej książki. To nie jest prawdziwy człowiek. On nie jest tobą.

— Wiem — odparł Liam zakłopotany. W rzeczywistości Liam i Pistolet mieli wiele wspólnego. Obaj uważali, że wymiotowanie w cudzym ogródku jest najśmieszniejszą rzeczą na świecie.

— Dorośnij i zostań wielkim dojrzałym facetem, jeśli chcesz, Liam. Ale Pistolet to hedonistyczny idiota i dlatego miliony mężczyzn na całym świecie chcą o nim czytać. Nie ma żadnych obowiązków. A to się zmieni, jeśli się zakocha. Magia zniknie. Zniknie to poczucie „guzik mnie to obchodzi”, na którym zależy czytelnikom. Dajże spokój, Liam. Zgoda?

— Dobra, zgadzam się — westchnął Liam. — Sprzedam duszę diabłu. Znowu.

— To rozumiem! Nasz bohater może spędzić jedną szaloną noc z tą zielonooką kobietą.

— Szmaragdowe z błękitnymi plamkami.

— Ale ma opuścić jej łóżko przed wschodem słońca. Jasne?

— Jasne — odparł Liam, myśląc o długich czarnych włosach Lily Beaumont rozsypanych na Inianej poduszce.

— Cudownie. A teraz powiedz, kiedy pokażesz mi kilka pierwszych rozdziałów?

— Daj mi miesiąc. — W głosie Liama brzmiało przygnębienie.

— Miesiąc? Przecież za miesiąc będziesz miał całą książkę?

— Perry! Oszalałeś?

— Miałeś cztery lata na odpoczynek, tak czy nie? Więc zabieraj się do roboty. Liczę dni, Liam. I pamiętaj: nie próbuj być artystą. Nam zależy na mnóstwie pieprzonych kawałów. I powiem ci, że bardzo mi się podoba ten pomysł z przeniesieniem części akcji w przeszłość. Nie rezygnuj z tego. Od razu skontaktuję się z największymi wydawcami i zaproponuję coś w tym stylu na okładkę. Rewolwer w koszuli z zabotem i tajemnicza właścicielka tawerny w obcisłym satynowym gorsecie?

— Taa, może być. Wielkie dzięki. Cześć, Perry. — Liam westchnął zastanawiając się, czy zostały mu jakieś papierosy.

— Cześć, Liam — odparł wesoło Perry i rozłączył się.

— Ty chciwy padalcu — powiedział Liam głośno w pustej kuchni, mając na myśli prowizję Perry'ego.

— Ty pozbawiony talentu świrze — westchnął Perry, samotny w swoim londyńskim biurze, i pomyślał o ukochanym synu, który służył na Bliskim Wschodzie. — Mój chłopak jest lepszym pisarzem, niż ty mógłbyś być w najsmielszych snach, panie Bradley. Ale nikt nie chce jego tomiku poezji wojennej, ponieważ wykazał się w niej zbyt wielką wrażliwością jak na współczesny rynek męskich czytelników. Dlaczego życie musi być takie niesprawiedliwe? — Perry otrząsnął się ze smutku, po czym przystąpił do sporządzania planu kampanii reklamowej nowej książki Liama.

— Bóg mi świadkiem, że dzięki „Bum, bum” przejdziemy na emeryturę — powiedział żonie, kiedy po południu rozmawiał z nią przez telefon. — Podniosę prowizję do dwudziestu procent. Zawrę więcej umów i wepchnę Limo do każdego programu telewizyjnego w zachodnim świecie, żeby reklamować książkę. Zarobimy fortunę. Agencja Literacka Shaw Stories znowu nu fali!

WIELKA OBERŻYNOWA BURZA MÓZGÓW

Dzisiaj Lily i Jack wcześniej niż zwykle poszli do sypialni. Dopiero była północ, a oni zwykle zostawali na dole do pierwszej, ale tego wieczoru panował siarczysty mróz, poza tym Bridget okupowała salon. Lily bała się zajrzeć do środka, na wypadek gdyby lokatorka znowu coś stłukła albo zniszczyła. Niedawno odkryła, że fioletowy dywan nadaje się tylko do wyrzucenia, a ponieważ pokój był długi na trzydzieści stóp, kupienie nowego pochłonie wszystkie zyski z warsztatów plastycznych. Lily o mało się nie rozplakała, kiedy zadzwoniła do sklepu i usłyszała przybliżoną cenę. Miała też po dziurki w nosie stanu, w jakim znajduje się spiżarka. Nigdy nie wyglądała na równie zaniedbaną. Bridget posunęła się nawet do tego, że namoczyła w mleku czteroletnią dekorację z masy solnej i zjadła przekonana, iż to stary obwarzanek. Dostała potwornych skurczy, co trochę poprawiło humor Lily, ale nie na długo powstrzymało apetyt Bridget. Następnego dnia na śniadanie pochłonęła cały słoik marynowanych cebulek oraz dwa opakowania biszkoptów.

Tak więc Lily i Jack postanowili, że wcześniej się położą. Będą popijać gorącą czekoladę i przynajmniej na chwilę zapomną o lokatorce. Światło za oknem sypialni już dawno zbladło i zmieniło się w koc barwy indygo. W wieczornej prognozie pogody zapowiadali opady śniegu. Lily ułożyła na łóżku trzy dodatkowe pledy; umościli się wygodnie, słuchając piosenek z lat osiemdziesiątych. „This Is The Day” zespołu The The odbijało się łagodnym echem od różowych ścian.

— W głowie mi się nie mieści, że nie odezwał się nikt z naszych krewnych — powiedział nagle Jack. — Można by przypuszczać, że będą ciekawi, słysząc o planach dotyczących naszej ulicy.

— Hmm. Sama się nad tym zastanawiałam. Dzisiaj pokazywali tawernę w popołudniowych wiadomościach. Wściekłam się, kiedy powiedzieli, że zaproponowano nam ćwierć miliona funtów za sprzedaż. Skąd dziennikarze o tym wiedzą?

— Pewnie jest przeciek w firmie Hallorana — zgadywał Jack.

— Czy raczej szantaż? Teraz nikt nie będzie nam współczuł — westchnęła Lily. — Chociaż to o wiele więcej, niż się spodziewaliśmy, nie chcę, żeby rozgłaszano szczegóły. Cały kraj orientuje się w naszych prywatnych sprawach.

— Wiem. Wydaje mi się, że ostatnio prywatność stała się czymś niezgodnym z prawem.

— A może to, że mamy dostać tyle pieniędzy za odziedziczony pub, to za wiele dla naszych krewnych? Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu minęło od naszego ostatniego spotkania. Pogrzeb Ernesta musiał być ostatnią okazją, kiedy zjadłam posiłek z moimi rodzicami. Ale ty nie chcesz wziąć pieniędzy i uciec, powiedz, Jack?

— Nie myślałem o tym, kochanie.

— Musiałeś myśleć. Bądź szczery.

— OK. Poczulem pokusę. Chwilową. Nie byłoby nas stać na kupno jakiejś firmy, ale z pewnością moglibyśmy zafundować sobie domek w miłej okolicy. Musielibyśmy jednak pracować, żeby się utrzymać. Mielibyśmy ładny dom, ale przez cały dzień bylibyśmy poza nim. Jak wszyscy w rozwiniętym świecie. A tyłu jest głodujących, którzy nie mają dachu nad głową. To nie ma sensu.

— To samo powtarzam od lat — zgodziła się Lily. — Wiedziałam, że w końcu zaczniesz tak myśleć. Wcale by nam nie było lepiej niż teraz.

— Więc co planujesz?

— Urządzimy przyjęcia, bo już za nie zapłacono. A ostateczną decyzję podejmiemy pod koniec lutego. Zgoda?

— Zgoda. — Jack dopił czekoladę i wsunął się pod pościel. Jego mocne ramiona odnalazły smukłą talię Lily. — Chodź tu, ślicznotko — mruknął, gładząc ją po łopatkach. Uwielbiała, kiedy to robił, ale dzisiaj nie miała ochoty na miłość. Martwiła się Trudy i jej rozlicznymi obsesjami.

— Wiesz co, Jack? Moim zdaniem Trudy ma problem z myciem rąk — powiedziała, wciąż opierając się o poduszki. — Dzisiaj zauważyłam, że dłonie ma szorstkie i wysuszone.

— Ja też to widziałem — westchnął Jack, cofając własne ciepłe dłonie. — Już chciałem coś jej powiedzieć, ale uznałem, że najpierw zapytam ciebie o radę. Można by pomyśleć, że alergia na cytrynę i fobia guzikowa powinny wystarczyć.

— W czasie rozmowy wstępnej powiedziała mi, że urodziła się w Anglii. Jej rodzice sprzedali dom i kilka lat temu tam wrócili. Wygląda na to, że sporo zarobili na sprzedaży i chcieli czegoś mniejszego.

— Dlaczego Trudy nie pojechała z nimi?

— Kupili małe mieszkanie w centrum miasta. Dla Trudy nie ma w nim miejsca, poza tym zostało jej kilka miesięcy do dyplomu. Mieszka z jakimiś wykładowcami w Stranmillas, ale oni ciągle są na wykładach albo konferencjach. I nie wierzą w centralne ogrzewanie.

— Ojej — mruknął Jack. — Myślisz, że powodem tych fobii jest samotność?

— Nie znam się na takich sprawach, kochany. Trudy mówiła, że zawsze je miała, ale ostatnio jej się pogorszyło. A tam jest mnóstwo miejsca na drugie łóżko. — Ruchem głowy wskazała pokój Bridget. — Mnóstwo miejsca. O wiele za dużo dla jednej osoby, zresztą Bridget jest taka mała, że mogłaby zamieszkać w pudełku po zapalkach.

— Nie masz szans! Chcesz prosić księżniczkę Bridget, żeby zgodziła się dzielić z koleżanką swoją świętą komnatą? Och, Lily, zabawna jesteś.

— Warto spróbować. Bridget musi się nauczyć współpracy. A poza tym jest tam okropny bałagan. Bridget za bardzo się zadomowiła. Powiesiła ubrania na karniszu, ale odpadł, więc zaczęła je wieszać na obrazach i zniszczyła tapetę.

— Myślałem, że ten zamęt potrwa tylko kilka tygodni.

— Trudy naprawdę potrzebuje domu w Belfaście, Jack. Niedługo kończy college. — Lily zgasła lampkę przy łóżku i położyła się wygodnie.

— Ja się do tego nie mieszam — oznajmił Jack. — To twój pomysł. No, gdzie się podziewamy? — W ciemności ujął jej dłoń i zaczął delikatnie gładzić po ramieniu.

— Skąd wciąż masz energię po tym tłumie, który dzisiaj był w pubie? — szepnęła Lily. — Stopy mi odpadają. I nie rób hałasu! Bridget nas usłyszy.

— Nie usłyszysz, chrapie jak traktor. — Jack przyciągnął Lily i zaczął rozpinąć jej piżamę. — Nie podoba mi się ten materiał — powiedział żartobliwie. — Gruby jak koc. Chyba zaprojektuję zestaw przezroczystych piżamek dla kobiet. Z najlepszych koronek. Co o tym myślisz, Lily?

— Myślę, że pomaluję tawernę na kolor oberżyny! — wykrzyknęła Lily, siadając nagle i zapalając lampę.

— Co się dzieje? — Jack mrugał gwałtownie, skrobiąc się po głowie. — I co to niby za kolor?

— Głęboki odcień fioletowej czerni. Cudowny. Popatrz na to. — Lily spod poduszki wyjęła broszurę sklepu „Tysiąc i jeden drobiazgów”.

— Zawsze mówiłaś, że przy białych ścianach pub wydaje się większy.

— Tak, ale widzisz, jak złote akcesoria doskonale wyglądają na takim ciemnym tle?

— Nie tak dobrze jak ty bez piżamy — mruknął żałośnie. — Proszę.

— Za minutkę. Najpierw muszę pomyśleć.

— Nie mogę tego zrobić za minutę. Działam pod wpływem impulsu, kochanie. Cóż, nie szkodzi. Zaraz zasnę. Wy artyści wszyscy jesteście stuknięci.

— Dobranoc, najdroższy. Niedługo wrócę. — Lily złapała ciepły szlafrok, wsunęła stopy w pantofle i pobiegła na dół. W barze było pusto, ciemność rozpraszały jedynie dogasające węgle. Lily zapaliła główne jaskrawe lampy, z których rzadko korzystano, i rozejrzała się, jakby była tu po raz pierwszy. Sala jest za długa i zbyt prosta, pomyślała. Ściany, jeszcze kilka miesięcy temu białe jak śnieg, teraz były pożółkłe i pokryte plamami. Gęsty papierosowy dym nadał sufitowi brzydki odcień brązu, a lustra za barem były o wiele za małe. Rozrzucone wszędzie firmowe podkładki pod szklanki sprawiały wrażenie bałaganu i tworzyły nadmiernie męską atmosferę. Lily westchnęła, nie przerywając krytycznych oględzin. Krzywy stos pudeł z chipsami i innymi przekąskami w rogu trudno uznać za szczyt wyrafinowania, poza tym chipsy nie sprzedawały się dobrze. Goście mówili, że obecnie są za twarde — chrupanie ich przypominało jedzenie żyletek. Kamienna podłoga, mahoniowe boksy i błyszczący kontuar baru były urocze, generalnie jednak tawerna sprawiała wrażenie zimnej i smutnej. Stara sztuczna choinka, którą ustawili w pierwszy dzień miesiąca, przechylała się nieco w lewo. Dopiero po zapaleniu ognia w kominku w sali robiło się ciepło i przytulnie. Potrzebna była totalna zmiana wizerunku.

— Pomaluję ściany na kolor oberżyny i zabiję każdego, kto będzie próbował mnie powstrzymać — powiedziała głośno Lily. Przez chwilę grzała dłonie nad żarem, później wróciła do łóżka. Długo leżała w ciemności, układając plany. Jack spał smacznie, jego długi nos wyglądał szlachetnie w świetle księżycy, jak wyrzeźbiony. Lily zapomniała zupełnie o centrum handlowym Vincenta Hallorana, niemal drżąc ze szczęścia. Nawet się nie zirytowała, kiedy jak zwykle o czwartej nad ranem zadzwonił Gerry Madden. A kiedy następnego dnia pękł ekran telewizora, bo Bridget uderzyła w niego, przestawiając meble, Lily jak robot, któremu wyczerpują się baterie, mruknęła tylko:

— Takie rzeczy się zdarzają.

Po śniadaniu nie mogła się doczekać na rozpoczęcie remontu. Ale była sobota i najpierw musiała poprowadzić warsztaty plastyczne. Przykrywając stoły gazetami, powiedziała Jackowi, że po południu jedzie po materiały niezbędne do wielkiej metamorfozy. Zamierzała najpierw kupić farbę i lustro, a potem w sklepie plastycznym wybrać bożonarodzeniowe dekoracje i ładny zeszyt w twardej oprawie, do którego mieli wpisywać się goście.

— Dobrze — odparł Jack. — Chcesz, żebym z tobą pojechał?

— Z przyjemnością, ale musisz zostać i zapłacić chłopakowi, który przywiezie nowe łóżko dla Trudy.

— Już je zamówiłaś? Przecież dopiero minęła dziewiąta.

— Zostawiłam wiadomość na sekretarce.

— A co z Bridget? Pytałaś ją o to?

— Bridget jest mi winna przysługę, i to niejedną, mówiąc szczerze. Już narobiła szkód za tysiąc funtów, a mieszka u nas dopiero parę dni. Trudno będzie wymienić dywan. Porcelanowy czajnik był rodzinną pamiątką. Nie wspominając już o telewizorze, który kosztował kilka setek.

— I o wannie — dodał Jack, ale zaraz ugryzł się w język.

— Co takiego?

— Farbowała w niej spódnicę na czarno i zniszczyła emalię. Też miałem zamiar wyskoczyć na zakupy, żeby się gdzieś ukryć, póki się nie uspokoisz.

— Moja śliczna wanna! Gdzie jest Bridget? Nie zauważyłam czarnej plamy.

— Bridget jest u siebie i wypłakuje oczy, a na plamie leży ręcznik. Też zniszczony.

— Czy to...?

— Z kompletu wyszywanych hiszpańskich ręczników? Obawiam się, że tak.

— Niepotrzebnie sobie wypłakuje oczy! Wydłubię je łyżeczką! Już mi zniszczyła jeden z najlepszych ręczników, wycierając rozlaną herbatę. Mówiłam jej, że w szafie w holu jest pełno starych ręczników, ale czy wzięła któryś? O, nie! Mała panna O'Malley wyrobiła sobie dobry gust i byle czego nie bierze. Wiesz co, Jack? Każę się jej wyprowadzić. Tylko mamy z nią kłopoty.

— Lily, to już się stało. Uspokój się. Bridget nie zrobiła tego celowo. Farba była w miednicy, ale wyciekła przez szparę grubości włosa.

— Jak Bridget mogła zrobić coś tak kretyńskiego? Kto wkłada miednicę z czarną farbą do cudzej zabytkowej wanny? I dlaczego bierzesz jej stronę?

— Nie biorę jej strony. Ona tu mieszka.

— Mylisz się, Jack, ona tu nie mieszka, tylko jest lokatorką. A to dwie zupełnie różne rzeczy.

— Twoje rozróżnienie jest czysto akademickie. To też jej wanna.

— Ale to zabytkowa wanna. Człowiek uważa, kiedy korzysta z takich rzeczy. Bridget całkiem odjęło rozum czy co?

— Prawdę mówiąc, Lily, uważam, że Bridget zmyśla różne rzeczy, żeby zrobić na nas wrażenie, ale w rzeczywistości nie jest przyzwyczajona do cennych rzeczy i nie ma pojęcia, jak się z nimi obchodzić. Idę o zakład, że jej mama wcale nie pracuje u Marksa i Spencera. Wczoraj zapytałem, w jakim dziale, ale się zmieszła i nie potrafiła odpowiedzieć. A przy okazji, na drzwiach łazienki też jest kilka kropel farby. Od strony holu.

— Tylko tego brakowało! Takiego odcienia kremowej farby nie dostaniemy, bo się go nie produkuje, i będziemy musieli pomalować na nowo wszystkie drzwi. Jack, w głowie mi się kręci.

— Na litość boską, kobieto, usiądź. Przyniosę ci herbaty. Przepracowałaś się, przygotowując materiały do zajęć.

— Jeśli jeszcze raz powiesz, że się przepracowałam, rozwiodę się z tobą.

— Naprawdę?

— Nie. — Lily szlochała cicho w rękaw swojego moherowego swetra. Jack usiadł obok i mocno ją przytulił.

— Cichutko — szepnął. — Pomalujemy wannę na nowo. To będzie kosztowało tylko kilkaset funtów.

— Boże, nie mów o pieniądzach. Czyli zysków z drugich zajęć też już nie ma, a jeszcze nawet ich nawet nie dostałam.

Jack już chciał powiedzieć: „A nie mówiłem”, ale nie miał serca. To był główny powód, dla którego wolał, żeby w jego życiu nie kręciło się zbyt wiele osób, bo wiele osób automatycznie oznacza wiele problemów.

— A może zanieśiesz Bridget herbatę i powiesz jej, żeby się nie przejmowała wanną? — zaproponował wesoło. — Zrewanżujesz się i oznajmisz, że dzisiaj wprowadza się do niej Trudy?

— Tak, zrobię to. — Lily wytarła oczy ręcznikiem. Poszła po schodach z ciężkim sercem. Na widok plam na drzwiach łazienki wzięła kilka głębokich oddechów. Sama myśl o czyszczeniu papierem ściernym i malowaniu na nowo wszystkich drzwi w holu już wystarczała, żeby wywołać u Lily atak serca. Te wiktoriańskie detale! A wszystko przez to, że Bridget uparła się, żeby zafarbować starą

spódnicę, zamiast po prostu kupić nową. Przed drzwiami salonu Lily przystanąła, zbierając się na odwagę. Zapukała cicho i weszła. Bridget leżała na łóżku, spod czerwonego koca wystawały tylko jej białe loki.

— Bridget, muszę z tobą porozmawiać.

— Tak bardzo mi przykro — rozpląkała się Bridget, nie dając Lily okazji do przeprowadzenia swego planu. — Nie miałam pojęcia, że zniszczę wannę. Chciałam tylko wyglądać ładnie na imprezach świątecznych, a po odłożeniu pieniędzy na czynsz nie stać mnie było na nową spódnicę.

— Wcale się nie gniewam, Bridget, mówię szczerze. To był wypadek, wiem.

— Naprawdę? Myślałam, że pani mnie skrzyczy.

— Nie bądź niemądra — odparła Lily. — Takie rzeczy się zdarzają. Chciałam z tobą porozmawiać o innej sprawie...

Drugie łóżko zostało dostarczone w porze lunchu, akurat w chwili gdy panie wychodziły z tawerny, niosąc swoje pięknie przyozdobione wieńce. Lily od razu kupiła nową pościel. Kiedy Trudy przyszła na popołudniową zmianę, Lily zaproponowała jej miejsce i nie musiała tego powtarzać. Dziewczyna wróciła do profesorskiego domu taksówką po ubrania, magnetofon kasetowy i zbiór leków ziołowych. Bridget gotowała się ze złości na konieczność przyjęcia intruzki, ale nic nie mogła na to poradzić. I tak miała szczęście, że Beaumontowie nie wyrzucili jej na ulicę i nie pozwali do sądu o odszkodowanie za straty, jakie wyrządziła. W dodatku Lily obniżyła jej czynsz do czterdziestu funtów. Tak więc Bridget nie miała wyjścia, pomogła Jackowi wstawić nowe łóżko i sprzątnęła swoje pranie, które leżało na sofie w zatęchłym stosie.

Najgorsze, że nie będzie mogła leżeć w łóżku i rozmawiać z Gerrym przez pół nocy. To był szalenie intymny, niemal miłosny rytuał, który bardzo polubiła. Gerry dał jej numer do Ameryki i Bridget co noc do niego dzwoniła. Spoglądając na obraz z aniołem nad kominkiem, gawędziła z Gerrym na najróżniejsze tematy i wyobrażała sobie, że dwie obrączki przeznaczone były dla nich. Teraz gdy zerwali, ich związek stał się o wiele bardziej satysfakcjonujący. W końcu musieli nauczyć się porozumiewać. Kiedy seks przestał wchodzić w grę, nie mieli nic do roboty poza rozmową o prostych życiowych sprawach.

Naturalnie utrzymywanie transatlantyckiego niezwiązku oznaczało spore koszty, ale z drugiej strony taki rodzaj miłości należał do nowoczesnych, a Bridget była nowoczesną dziewczyną. Kiedy Gerry stwierdził, że przecież nie muszą rozmawiać co noc, odparła, że to i tak wychodzi taniej, niż gdyby on dzwonił z hotelu. Poza tym następny rachunek telefoniczny miał przyjść dopiero za kilka tygodni; Bridget widziała ostatni w szufladzie w kuchni, gdy szukała łyżeczki do lodów. Teraz jednak, gdy miała dzielić pokój z pokreconą wymalowaną wariatką Trudy Valentine, będzie musiała iść do małej kuchni albo lodowatej łazienki, żeby zadzwonić do Gerry'ego. Podczas gdy jej współlokatorka ze śmiesznymi brwiami będzie sobie leżała wygodnie w łóżku. No i koniec z ucztami o północy. Nie

będzie przecież pochłaniać góry kanapek z bekonem i wypijać litrów herbaty na oczach głupiej Trudy. To doprowadzało Bridget do rozpacz. Kiedy wreszcie stanęła na nogach, Lily Beaumont musiała się wtrącić i odegrać wielką dobrodziejkę.

W dodatku Trudy miała obsesję na punkcie porządku i raz-dwa uporała się z bałaganem. Przyniosła ze sobą zestaw haczyków na drzwi i starannie zawiesiła na nich swoje ubrania. Zebrała talerze i kubki, które porastały pleśnią na podłodze, i włożyła do zlewu, gdzie odmakwały w wodzie z płynem. Odkurzyła tygodniową warstwę okruszków po tostach i otworzyła okno, by wpuścić świeże powietrze.

— Proszę! — wykrzyknęła, skończywszy pracę. — Przytulnie się zrobiło, prawda?

— Taa, bardzo przytulnie — mruknęła Bridget, umierając z ochoty, by rzucić się na nieskazitelnie gładkie łóżko Trudy i wygnieść pościel. Nie wiedzieć czemu czuła się urażona tą nieustanną walką współlokatorki z brudem. Podejrzewała, że Trudy cierpi na drobne zaburzenia psychiatryczne, i postanowiła, że się z nią nie zaprzyjaźni. Poza tym jako jedyna pełnoetatowa pracownica powinna trzymać się na dystans od pozostałych.

— No, już — burknęła. — Dość tego sprzątania. Wracajmy do pracy. — I łagodnie wypchnęła Trudy za drzwi.

— Dzisiaj pracuję w kuchni — odparła Trudy wesoło, skręcając do kuchni i zdejmując z drzwi fartuszek.

— W takim razie uważaj na Cytrynowego Zabójcę — powiedziała Bridget jadownicie.

W barze Lily opowiadała Barneyowi i jego przyjacielom o oberżynowej farbie, którą zamierzała kupić. Wszyscy trzej słuchali z ciekawości. Przestrzegli ją, żeby dobrze oczyściła ściany, nim zacznie malować. Ciemne farby wcale nie ukrywają szkod, wręcz przeciwnie, bardzo je uwydatniają.

Znudzona Bridget westchnęła. Po raz drugi westchnęła, gdy drzwi się otworzyły i do tawerny weszło ze dwudziestu studentów, którzy chcieli opić koniec sesji. Marie została oddelegowana na górę, żeby razem z Trudy piec ciasta, a Daisy miała iść z Lily na zakupy i pomóc jej wybrać nowe dekoracje świąteczne. Jack rozmawiał przez telefon, załatwiając termin odbioru wanny do emaliowania i zainstalowanie na jej miejsce plastikowej. Tak więc biedna Bridget musiała obsłużyć studentów. Sięgnęła po szklanki do piwa i ustawiła się przy pipie.

— Słucham, co podać? — zapytała, podczas gdy studenci przeliczali drobne na kontuarze. Jeden chciał wiedzieć, czy może zapłacić samymi dziesięciopensówkami. Do licha, jęknęła Bridget w duchu. Studenci!

O szóstej w drodze z biblioteki do domu wpadł na drinka Liam Bradley. Ponieważ wszystkie boksy i stoliki były zajęte, nie miał wyboru, musiał usiąść przy barze. Położył stos książek i uśmiechnął się do Bridget, która odpowiedziała mu tym samym. Chociaż miała wszystkiego po dziurki w nosie, jej wewnętrzny radar wychwytyjący bogaczy dawał wyraźne sygnały. Lily opowiedziała jej parę rzeczy o Bradleyu: jest pisarzem, jego książka doskonale się sprzedaje. I ma żonę. To jednak nie prze-

szkadzało Bridget. Szybko oceniła wygląd Liama. Przeszczep włosów, bardzo nienaturalny odcień czerni. To pierwsze rzuciło się jej w oczy. Mieszkała w Ameryce i na kilometr rozpoznawała przeszczepy włosów. Zbyt płaskie uda. Ramiona trochę wąskie, choć nie najgorsze. Wzrost średni. Oczy szare, zwyczajne. Ubranie kosztowne i cokolwiek pretensjonalne. Stójka przy koszuli, kryte guziki. Za to głos głęboki i zmysłowy. Bridget pomyślała, że cudownie intrygujący. I wyczuwała pokrewną duszę w Liamie Bradleyu. Był taki jak ona: pragnął bogactwa, ale peszyli go bogacze. Postanowiła, że dowie się więcej na jego temat, sprawdzi, co na niego działa, dopiero potem zdecyduje, czy chce go uwieść. Dzięki temu będzie miała rozrywkę do czasu, aż doktor Gerry Madden rozwiąże swoje problemy z zaangażowaniem. A David Devaney padnie ofiarą wdzięku Bridget albo Daisy Fasolowej Tyczki.

TLR

KUROPATWY I GRUSZE

Lily i Jack zabrali się do pracy po zamknięciu. Odrzucili propozycję pomocy ze strony Trudy i posłali ją do łóżka równocześnie z niechętną Bridget.

— Bardzo ci dziękuję, Trudy, ale musisz się wyspać — powiedziała Lily. — Jutro we dwie otworzycie tawernę.

— Tak. My będziemy nieprzytomni — dodał Jack. — Jestem pewny, że ta robota zajmie nam całą noc.

— Dobrze. Do jutra — zgodziła się Trudy.

Bridget już biegła po schodach; nie miała najmniejszej ochoty brać do ręki pędzla. Zamierzała porządnie się wyspać, żeby dobrze wyglądać, kiedy znowu pojawi się Liam Bradley. To nie znaczy, że wykreśliła Davida Devaneyę, który w dodatku był sto razy przystojniejszy od pisarza, ale ten ostatni stanowił o wiele lepszą inwestycję długoterminową. Musi zapytać Lily, czy żona Liama jest ładna i czy jego małżeństwo należy do szczęśliwych. Zawsze też istniała szansa, że Gerry zadzwoni z Nowego Jorku. Bridget nie traciła nadziei, że Gerry oświadczy się przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Niewykluczone, że lęk przed zaangażowaniem przytłumiony zostanie obawą przed samotnością. Najwyższy czas, żeby jej szanse na związek wzrosły. W rekordowym czasie wskoczyła w koszulkę i spodenki. Nim Trudy zdążyła wyszczotkować zęby, Bridget już smacznie spała.

Kiedy obie dziewczyny zniknęły w swoim pokoju, Lily przygotowała dzbanek herbaty oraz kanapki z kurczakiem i szynką, po czym włożyła stare dżinsy i znoszoną koszulę. Jack, który też się przebrał, zaniósł krzywą choinkę do sypialni. Lily taka była podekscytowana swoimi planami, że nie czuła zmęczenia. Po pomalowaniu ścian zamierzała rozłożyć trzy nowe sztuczne choinki i ozdobić je nakrapianymi złotem gruszkami i złotymi filigranowymi kuropatwami, które razem z Daisy wybrały w sklepie. Miała w torbie długie łańcuchy białych lampek, a także trzy ręcznie robione anioły w złotych szatach. Lily zdecydowała, że największe drzewko umieści po prawej stronie komina, jedno mniejsze koło drzwi wejściowych, a drugie za barem. Wydała na ozdoby fortunę, ale nie zamierzała się tym martwić. Kilka wielkich lusterek w ozdobnych złotych ramach, które dostarczono ze sklepu, Jack powiesi, kiedy farba wyschnie.

Niektórzy dziennikarze kulinarni oceniający puby i restauracje przyjęli zaproszenie do odwiedzenia tawerny nazajutrz wieczorem; Lily postanowiła zrobić na nich wrażenie. Wszystko musiało być idealne. Oboje z Jackiem skończyli późną kolację i zabrali się do pracy.

Jack zsunął wszystkie meble na środek i okrył folią, zabezpieczył też kontuar i ławki w bokсах. Za pomocą śrubokręta otworzył dwie wielkie puszki farby. Chwilę potrwało, nim przyzwyczał

się do jej koloru, podczas gdy Lily aż jęknęła z zachwytem. Od razu wiedziała, że rezultat będzie rewelacyjny. Zmienia całkowicie atmosferę tawerny w ciągu jednej nocy za cenę kilku puszek emulsji. Jack nie podzielał jej przekonania.

— Lily, czy ta farba nie jest brązowa?

— W żadnym wypadku. Wydaje się taka w tym jaskrawym świetle.

— Może będzie bardziej fioletowa, kiedy wyschnie? — stwierdził Jack z powątpiewaniem.

— To kolor oberżyny i takie będą ściany. — Lily zanurzyła pędzel w pierwszej puszcze, po czym podbiegła do najbliższej ściany i energicznie po niej przesunęła. Oboje wstrzymali oddech. — Piękna, prawda? — powiedziała. — Szybko, wylej farbę na tacę i zabieraj się do roboty. Ja zajmę się wykończeniem.

— Dobra. Myślisz, że dwie warstwy wystarczą?

— O, na pewno. A gdyby nie, trzeci raz pomalujemy jutro po zamknięciu.

Jack najpierw pokrył farbą całą ścianę nad boksami. Wyglądała ślicznie w zestawieniu z czerwonymi cegłami kominka. Odcień był bez dwóch zdań bardzo ciemny, ale powiedzieli sobie, że barokowe lustro zupełnie to zmienia. Lily niemal słyszała śpiew bożonarodzeniowych aniołów, taka była zadowolona. Przez ponad trzy godziny pracowali bez odpoczynku.

Ale o czwartej nad ranem oboje niemal zasypiali na stojąco. Lily ciągle ziewała, Jackowi skakała powieka. Na górze zadzwonił telefon, gdy ostatecznie przyznali się do przegranej walki ze zmęczeniem, choć do końca malowania wciąż było daleko. Krawędzie i rogi zajmowały o wiele więcej czasu, niż zakładali. Jack poszedł do kuchni zaparzyć kawę, a Lily położyła się na ławce i natychmiast zapadła w sen. Tak ją zastał, gdy po pięciu minutach wrócił z dwoma parującymi kubkami cappuccino. Spała tak mocno, że nawet nie czuła zapasowego pędzla, który wbijał się jej w policzek. Jack z uśmiechem postawił kubki, po czym wziął żonę w ramiona i zaniósł do łóżka. Wyłączył światła łokciem i postanowił nie przejmować się w połowie pomalowanym barem — skończą rano. Przed południem gości nigdy nie było wiele. Wszystko będzie dobrze. Nastawi budzik na ósmą. Oboje spali w ubraniach, zbyt wyczerpani, by się rozebrać.

Kiedy jednak Jack otworzył oczy, było po piątej po południu w niedzielę. Potrząsnął budzikiem, ale nie — zegar chodził. Musieli przespać dzwonienie. Jack pocałował delikatnie żonę w policzek. Twarz miała zarumienioną i ciepłą.

— Lily — szepnął. — Nie denerwuj się. Zaspaliśmy. Lily?

— Co? — wymamrotała wciąż nieprzytomna. — Która godzina?

— Piąta.

— Niemożliwe. Przecież położyliśmy się o czwartej.

— Nie, głuptasku. Obudź się wreszcie. Jest piąta po południu w niedzielę.

— Co? — krzyknęła, nagle przytomniejąc. — Już jest po południu? Och, Jack! Jak to możliwe?

— Nie mam pojęcia. Musieliśmy być wykończeni. Posłuchaj. Na dole panuje cisza. Nie słyszę syren policyjnych ani nic w tym rodzaju. Wygląda na to, że Bridget i Trudy dobrze sobie same radzą.

— Idziemy. — Lily wygramoliła się z łóżka i ruszyła w stronę schodów, nie zważając na wygląd. — Bóg tylko wie, co się tam dzieje. Zamknęliśmy puszkę z farbą? Założę się, że Bridget o którąś się potknęła i zniszczyła nam podłogę.

Przed drzwiami baru oboje się zawahali. Kiedy wreszcie je otworzyli, ze zdumienia odebrało im mowę.

Barney Cunningham balansował na desce położonej na dwu drabinach, malując na biało sufit pokryty tapetą. Swoją tweedową marynarkę przykrył starym ręcznikiem i pykał z fajki. Joey Fontaine za barem zręcznie pokrywał farbą wszystkie trudno dostępne miejsca, a Marie wycierała papierowym ręcznikiem krople, które przypadkiem spadły mu z pędzla. Butelki i szklanki usunięto z półek i ustawiono starannie na kontuarze. Maclean porzuconym przez Jacka wałkiem malował ścianę nad drzwiami, Trudy natomiast zdejmowała taśmę ochronną tam, gdzie skończył. Na oko wszystko wskazywało na to, że nakładali już drugą warstwę. Trzy drzewka stały w środku baru koło stolików i były udekorowane aniołami i innymi ozdobami, nałożone na gałązki lampki czekały na włączenie. Daisy zbierała opakowania do kosza. Trudy uśmiechnęła się do Jacka i Lily, którzy próbowali przyswoić sobie rozgrywającą się przed nimi scenę. Lustro już wisiały, choć nie słyszeli stukania młotkiem. W kominku płonął ogień, a Bridget siedziała przy kontuarze i ścierką polerowała zbiór starych butelek.

— No nie! Wreszcie przyszły nasze śpiące księżniczki! — roześmiał się Barney. Wrzucił pędzel do puszkę i zszedł z drabiny. — Sufit lepiej wygląda, co?

— O mój Boże... — zaczęła Lily.

— Co o tym myślicie? — przerwał jej Joey. — Odwiedziły was krasnoludki!

— I bardzo chce im się pić — dodał Mac, mrugając znacząco i głową wskazując dystrybutory z piwem. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Kochani jesteście — powiedziała Lily cicho, nie kryjąc łez. — Kolejka dla wszystkich, Bridget, zajmij się tym. Co tylko zechcą.

W tawernie nigdy nie było tak elegancko. Stwierdzenie, że jej wystrój zbliżał się do wyrafinowania, wcale nie było przesadą. Lily i Jack nie posiadali się z radości.

— To ten kolor oberżyny — zgodził się wreszcie Jack, a Lily w nagrodę mocno go przytuliła.

Wszyscy pomagali w doprowadzaniu wnętrza do porządku, ustawiając choinki i zdejmując folię z mebli. W powietrzu unosił się silny zapach farby, ale Barney powiedział, że ogień usunie go raz-dwa.

— Było świetnie — powiedział, oddając ręcznik Bridget. — Jak w starych czasach. Nie całkiem nadaję się na złom. Proszę dzin z tonikiem, młoda damo. Skoro pani Beaumont stawia.

— O tak, wesoło się nam malowało przy trzaskającym kominku. Doskonała zabawa — dodał Joey. — Dla mnie whisky z lemoniadą.

Bridget podała im drinki, po czym zaczęła nalewać piwo dla Maca, który oznajmił, że nigdy nie zmienia zamówienia, niezależnie od okazji.

— Kto rozpałił ogień? — zapytał Jack, w którym obudził się instynkt właściciela.

— Ja — odparł Barney. — Mam nadzieję, że nie masz pretensji. Oczom nie wierzyłem, kiedy rano przyszedłem i kominek był pusty. Powinieneś być zostawić na drzwiach kartkę z ostrzeżeniem.

I znowu wszyscy się roześmiali. Bridget ustawiała na parapecie butelki. W tawernie było tak pięknie, że Lily żałowała, iż nie zrobiła tego wiele lat temu. To tyle, jeśli chodzi o wieloletnie przywiązanie do powiększających przestrzeń właściwości białej farby. Kolor jednak jest o wiele lepszy, uznała. Nowoczesność należała do przeszłości, by tak to ująć.

— Dzięki Bogu nie było klientów — powiedział Jack. — W porze lunchu byłby tu prawdziwy chaos.

— Zamknęliśmy pub, panie Beaumont, wpuściłyśmy tylko Barneya i chłopców. Przepraszamy. Ale inaczej nie skończylibyśmy pracy — wyjaśniła Trudy. — Zadzwoiłam do Marie i Daisy i poprosiłam, żeby przyszły pomóc.

— Może pani sama chciała ubrać drzewka, pani B.? — zapytała Daisy. — Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że to zrobiłam. Bridget chciała zrobić pani niespodziankę.

— I to wam się udało. Drzewka wyglądają cudownie, ozdób jest akurat w sam raz. Sama bym tego lepiej nie zrobiła. Dziękuję wam wszystkim.

Chórem odpowiedzieli, że naprawdę nie ma za co, ale w powietrzu unosiło się poczucie osiągniętego sukcesu. Marie oznajmiła, że na piecu w kuchni dochodzi wielki garnek wołowego gulaszu, co przyjęte zostało z aplauzem. Po kwadransie każdy był najedzony i zadowolony.

— Czy to nie fantastyczne! — westchnęła Lily. — Mogę się teraz odprężyć. Nic nie zostało do zrobienia. Mam pomysł: nie otworzymy wieczorem, zrobimy sobie wolne. Zasłużyliśmy na to.

— A nie zapomniałaś o czymś? Przecież mają przyjść ci krytycy kulinarni — powiedział Jack.

— O cholera! Będą tu o siódmej. Lepiej pójdę do kuchni — jęknęła Lily. — Przygotuję wegetariańskie naleśniki i zapiekanekę z łososia. Pomożesz mi, Marie?

— Jasne, z przyjemnością.

— Idzie do nas kilka osób — powiedział Jack, wyglądając przez okno. — To chyba twoje panie z warsztatów plastycznych, Lily.

— Miło z ich strony, prawda? — odparła Lily. — Mówiły, że może wpadną. Szybko, otwórzcie drzwi, ale nikogo innego nie wpuszczajcie. Nie chcę, żeby tu był tłok, jak przyjdą dziennikarze. Ciekawe, co kobiety pomyślą o nowym wystroju?

— Zapalmy lampki — zaproponował Mac, włączając do kontaktu oświetlenie największej choinki.

— Och, to naprawdę niezwykłe! — wykrzyknęła Daisy.

— W życiu nie widziałam ładniejszej choinki, pani B., jak Boga kocham.

Wszyscy się z nią zgodzili. Białe lampki połyskiwały na tle ciemnych ścian, złote ozdoby sprawiały wrażenie cennych. Włączyli oświetlenie na mniejszych drzewkach i kiedy ustawiali ostatnie szklanki i butelki, do tawerny weszły kobiety. Zaraz za progiem stanęły jak wryte.

— Cudownie! Widzę, że byliście zajęci — wykrzyknęły. — Bardzo tu elegancko, prawda? O, tak! Jak w pałacu Buckingham.

— Barney, Joey i Mac spuchli wprost z dumy. — Serwujecie zupę i kanapki?

— Miło panie widzieć — powitała je uradowana Lily. — Dzisiaj mamy gulasz wołowy. — Podeszła do Marie i szepnęła jej do ucha: — Akurat wystarczy, jeśli podamy w mniejszych miskach. — I pobiegła do kuchni, całkiem zapominając, że nie ma butów.

Wieczorem o siódmej miejsca przy barze zajęła grupka dziennikarzy i fotografów. Wszyscy ubrani byli w wystrzępione dżinsy, połatane kurtki i mieli znoszone zamszowe buty. Najwyraźniej w tym roku najmodniejszy jest wygląd cokolwiek łachmaniarski, uznała Bridget, podając im drinki. Lily przedstawiła się i podziękowała za przyjście. Fotografowie wyjęli szalenie skomplikowane aparaty z płóciennych toreb, po czym sprawdzili światło i zaczęli wybierać najlepsze ujęcia.

— Zdjęcia będą super — stwierdzili. — Kolor ścian jest rewelacyjny. I te choinki. Ładne.

— Bardzo dziękuję — powiedziała zarumieniona Lily. — Dopiero co skończyliśmy malować. Uprzejmie z waszej strony, że znaleźliście dla nas czas. Myślałam, że o tej porze roku zajmujecie się większymi lokalami.

— To prawda, ale co tydzień robimy reportaż z kilku miejsc, które różnią się pod względem wielkości i cen. Choć ostateczny wybór należy do redaktora. To on decyduje, co ukazuje się w gazecie.

— Rozumiem. — Lily za plecami trzymała kciuki na szczęście. Potrawy były przygotowane, mieli nawet kosztowne serwetki ze staroświeckim Świętym Mikołajem. — Podam teraz przykładowe menu, dobrze?

— Tak, wspaniale. Ale najpierw zadam pani kilka pytań. Dlaczego zmieniliście wystrój akurat teraz, kiedy pub niedługo ma być zburzony? — odezwała się bardzo młoda dziennikarka. Lily i Jack nie sądzili, by zdążyła skończyć szkołę. Dziewczyna położyła na kontuarze włączony magnetofon. Na ten widok Jack uciekł na górę, zostawiając Lily samą.

— No cóż — powiedziała z wahaniem. — Pomyśleliśmy sobie: czemu nie? W końcu jest Boże Narodzenie. A jeśli chodzi o wyburzenie, ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła. Uznaliśmy, że odejdziemy z klasą, jeśli trzeba będzie.

Kiedy dziennikarze skończyli przeprowadzać wywiady i zjedli podane dania, Lily poprosiła, żeby wpisali się do księgi gości, i każdemu wręczyła świąteczny pudding. Pożegnawszy się z nimi w progę, wróciła do baru.

Rano Jack został wysłany po gazety. Lily nie mogła spokojnie usiedzieć, zastanawiając się, czy redaktorzy okazali się łaskawi. Biegała po kuchni i bez sensu przestawiała naczynia.

— Błagam, niech to się uda — powiedziała głośno.

Już ledwo sobie radzili z klientami, ale Lily liczyła, że dzięki artykułom w gazetach zyskają poparcie dla swojej sprawy. Bridget i Trudy zostały w łózkach — wolały nie przebywać z Lily w tym samym pomieszczeniu, gdyby recenzje były nieprzychylnie albo co gorsza, wcale ich nie było. Trudy wsadziła nos w podręcznik, a Bridget zastanawiała się nad najlepszą porą powiedzenia Lily o kolejnym drobnym wypadku. Usiadła na wiecznym piórze, które pękło pod jej ciężarem. Atrament wylał się na sofę obitą materiałem w róże.

Słyszając Jacka biegnącego po schodach, Lily już wiedziała, że wieści są dobre. Tawerna znajdowała się na pierwszych stronach obu gazet; uznali, że powodem jest bliskie zamknięcie. Usiedli przy kuchennym stole z herbatą, a Jack czytał na głos.

— W pierwszej jest tak: „Odejdźcie z klasą: Tawerna Beaumontów przy Klonowej jest jednym z ukrytych skarbów Belfastu. W aromacie torfu płonącego w kominku, w otoczeniu stylowych świątecznych dekoracji przyjemność z jedzenia wyśmienitej zapiekanki z łososia tylko trochę zepsuło mi odkrycie długiego czerwonego włosa na dnie talerza”.

— O nie! Jack!

— Myślałem, że ty podawałaś? Nie Daisy?

— Podawałam, za to Daisy serwowała drugą kolejkę drinków. Wtedy musiał jej wypaść włos.

— Lily zakryła twarz obiema rękami. — Co jeszcze? Kolejne złe wiadomości?

— Nie. Opinia poza tym jednym szczegółem jest bardzo przychylna.

— Poddaję się. Teraz nikt nie przyjdzie tu jeść.

— Poczekaj! Słuchaj dalej: „Niedawno ogłoszono, że Klonowa może zostać wyburzona, by zrobić miejsce dla nowego centrum handlowego. Osobiście uważam, że Tawernę Beaumontów należy oszczędzić, jako że od stu siedemdziesięciu lat stoi spokojnie i majestatycznie w centrum Belfastu”. To bardzo przyzwoicie z ich strony. — Jack pokazał Lily fotografie. Tawerna rzeczywiście wyglądała bajkowo.

— Miejmy nadzieję, że faktycznie nie istnieje nic takiego jak zła reklama. Co piszą w drugiej gazecie? — zapytała Lily zatroskana.

— Piszą tak: „Atmosfera prawdziwie światowa, wegetariańskie naleśniki wyśmienite, ale menu dość ograniczone”.

— Nie będę zaprzeczać. Daj, obejrzę zdjęcie. Dobre.

— Tak. I podali nasz adres i numer telefonu.

— Myślisz, że będą nowe rezerwacje? — Jak na zawołanie zadzwonił telefon. Lily pobiegła do holu, żeby go odebrać. — Jeśli to Gerry Madden, zacznę wrzeszczeć. — Podniosła słuchawkę. — Halo? Tawerna Beaumontów, czym mogę służyć?

Nastąpiła przerwa, potem Jack usłyszał, że Lily kilka razy mówi „tak”. Zauważył przy tym, że na pięknych ciemnych włosach żony pełno jest farby. Był wdzięczny dziennikarzom, że nie wspomnieli o tym w artykułach. Lily odłożyła słuchawkę i wróciła do stolika z triumfalną miną.

— Kto dzwonił?

— Amerykanka. Z Nowego Jorku, ściślej rzecz biorąc. Przyjechała na długie wakacje, nazywa się Clare Prendergast. Chce u nas urządzić kolację wigilijną dla około siedemdziesięciu pięciu osób. Zgodziłam się.

— Cudownie. Doskonała robota, Lily. Jedzenie i wszystko? Muzyka?

— Tak. Chce, żeby to było coś w rodzaju spóźnionego przyjęcia weselnego dla niej i męża. Chyba na imię ma Peter. Mówi, że trzy lata temu mieli bardzo skromne przyjęcie weselne w Nowym Jorku, a teraz chce zaprosić wszystkich irlandzkich przyjaciół do Belfastu. Bardzo im się spodobał wystrój tawerny na tych fotografiach. Na początek wieczoru bracia Devaneyowie mogą grać przez powiedzmy godzinę. A teraz będzie najlepsze...

— Co?

— Powiedziała, że zależałoby jej na przebojach z lat osiemdziesiątych. Możesz więc wygrzebać wszystkie stare longplaye i zabawić się w didżeja!

— Lily, wykluczone! Przy adapterze i w ogóle?

— Nieważne. Powiedziałam jej, że nie mamy odpowiedniego sprzętu dyskotekowego. Ona tylko stwierdziła, że byłoby cudownie, gdyby puścić winylowe płyty na starym adapterze, a trzaski i szumy tylko nadają autentyczności. Przez telefon wydała mi się bardzo miła.

— A mnie się wydaje zdrowo szurnięta. Trzaski i szumy! Jak myślisz, może przegram piosenki na kasyety magnetofonowe? Ale na pewno nie będę komentował.

— Kotku, wspaniale przywitamy Boże Narodzenie. Przecież kochamy ten okres, prawda? Och, Jack, żałuję, że wcześniej nie robiliśmy takich rzeczy. A ty?

— Właściwie nie. Bardziej mi się podobało, kiedy byliśmy tylko we dwoje. Życie było o wiele spokojniejsze. Ale to też mi nie przeszkadza. Później będziemy mieli co wspominać, no nie?

Właśnie wtedy do kuchni weszła Bridget, zawstydzona i zakłopotana. Sprawę z plamą na sofie przysłoniła kolejna katastrofa.

— Co tym razem zrobiłaś? — zapytała Lily energicznie; była w doskonałym nastroju.

— Pani Beaumont, tak mi przykro. Rozbiłam flakon Chanel. Spadł z półeczki.

— W porządku, Bridget. Takie rzeczy się zdarzają. — Lily zaczynała myśleć, że powinni jej te słowa wypisać na nagrobku.

— Nie dotknęłam go, naprawdę — wyjąkała Bridget. — I wcale nie używałam perfum. Musiałam potraćić półeczkę, kiedy wychodziłam z wanny.

Jack i Lily wymienili spojrzenia. Oboje wiedzieli, że Bridget częstowała się odrobiną luksusu, a teraz do długiej listy domowych strat dodała jedną z najcenniejszych dla Lily rzeczy: perfumy Chanel były prezentem od Jacka na jej ostatnie urodziny. Bridget nie miała pojęcia, że od natychmiastowego zwolnienia z pracy i wyrzucenia z domu uratowała ją wspaniała wiadomość o przyjęciu świątecznym Clare Prendergast.

— Czy mogę jakoś to pani wynagrodzić? — zapytała Bridget, otwierając pojemnik na chleb i z nadzieją zaglądając do środka. Obok pełnoziarnistego chleba leżało opakowanie świeżych maślanych bułeczek. Na ich widok jej okrągłe błękitne oczy rozjaśniły się.

— Nie ma sprawy, Bridget. Jeśli do końca tygodnia odkupisz perfumy, nie wspomnimy o tym słowem — odparł Jack wesoło. Mrugnął porozumiewawczo do Lily i poszedł na dół, by rozpałcić kominku. Bridget włożyła do piekarnika cztery bułeczki, nie potrafiąc otrząsnąć się z szoku. W głowie jej się nie mieściło, że każą jej zapłacić za perfumy. A butelka była duża, pewnie warta ze sto funtów. Gdyby wiedziała, że będzie musiała ją odkupić, sprawiłaby sobie własne perfumy. I tak wolała Clinique.

— Dobry Boże — szepnęła do siebie. — Nie dość, że wypychają mi do pokoju wariatkę z fobią guzikową, to jeszcze każą mi kupić największy flakon Chanel. A przecież mam minimalną pensję. Lepiej przestanę dzwonić do Gerry'ego, bo w przyszłym roku o tej porze znajdę się w przytułku.

W ten poniedziałkowy poranek telefon dzwonił jeszcze kilka razy. Lily trzymała się blisko stolika w kształcie półksiężyca. Do lunchu jej notatnik zapełniony był szczegółami dotyczącymi przyjęcia. Pilnowała się, żeby nie wyrażać zgody na rzeczy wykraczające poza ich możliwości, w sumie jednak zawarła umowę wartą ponad dwa tysiące funtów. Potem Clare P. (bo tak postanowili ją w skrócie nazywać) zadzwoniła jeszcze raz. Opowiedziała rodzinie męża i przyjaciołom o przyjęciu, a oni zaproponowali, żeby urządzić bal kostiumowy. Temat: stroje gwiazd z lat osiemdziesiątych, takich jak Adam Ant, Robert Smith, Steve Stranger, Cindi Lauper. Lily uznała pomysł za rewelacyjny i obiecała, że personel także się przebierze. Ustaliła z Clare P. proste menu składające się z pieczonego indyka, sałaty i kanapek.

— I jeszcze jedno — powiedziała Clare. — Gdyby to nie był za wielki problem, prosiłabym o tort weselny. Nie za duży, jednopiętrowy, z białym lukrem. I stoły udekorowane świeżymi białymi różami. Coś skromnego i niewymyślnego. Może mi pani pomóc?

— Oczywiście — odparła Lily. — Wiem, o co pani chodzi. Proszę zostawić to mnie. Tort upiekę sama.

— Och, ratuje mi pani życie — oznajmiła Clare P. — Kiedy zobaczyłam pani uroczą tawernę w gazecie, od razu wiedziałam, że to miejsce w sam raz dla nas. Inne restauracje były o wiele za duże i zimne. Nie mogę się doczekać, kiedy panią spotkam. Wpadnę w ciągu dnia z zaliczką.

— Naturalnie. Będę w domu — powiedziała Lily. Odwieszając słuchawkę, uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Niedługo potem wsuwała kolejny keks do zaufanego piekarnika.

— Mam tylko nadzieję, że wszyscy przetrwamy to Boże Narodzenie w jednym kawałku — powiedziała, zamykając drzwiczki. — I tego biednego pieca też to dotyczy!

9

GERRY PRZEŻYWA ZAŁAMANIE

Przez cały tydzień w tawernie panował wielki zamęt, jako że w dzień i w noc przybywały dostawy z browaru, a na schodach ustawiano pudła z produktami spożywczymi. Lily zamówiła codzienne dostawy świeżego mięsa, bo w lodówce nie było dość miejsca. Marie okazała się wielką pomocą w kuchni; powiedziała, że pieczenie i gotowanie sprawia jej większą przyjemność niż podawanie drinków. Rzeczywiście jest za bardzo nieśmiała, żeby rozmawiać z mężczyznami, ale to nie szkodzi, bo jej ptyśie są absolutnie rewelacyjne. Trudy doskonale radziła sobie z nalewaniem piwa, ale wciąż nie potrafiła się zdobyć na odwagę, jeśli chodzi o koktajle. Bridget chodziła ponura z powodu utraty prywatności, ciężko wzdychała i rzucała uwagi o braku miejsca w sypialni. Lily zastanawiała się, z jakiego powodu Bridget potrzebuje aż takiej prywatności, ale nie miała sił o to zapytać.

Gerry Madden dzwonił z Nowego Jorku co noc, ale Lily nie miała pojęcia, że prawie za każdym razem Bridget oddzwaniała. Pilnowała jednak czasu i nigdy nie rozmawiała dłużej niż kwadrans. Uznała, że jej były stał się swobodniejszy. Przestał jej ciągle przerywać i mówić, że się myli. Gerry uważał, że kobiety w Nowym Jorku są za bardzo wygadane i bezpośrednie, tęsknił za domem i uległymi kobietami ze Szmaragdowej Wyspy. W Nowym Jorku obowiązywały ustalone reguły zalotów, które nie przypadły mu do gustu. Trzeba było przestrzegać zasad i nie naruszać etykiety. Gerry wolał irlandzki sposób poznawania kobiet: przez wiele miesięcy ze stoicyzmem unikał wszelkich wzmianek o emocjach, a potem tak się upijał, że tracił wszelkie zahamowania i lądował w łóżku z pierwszą ładną dziewczyną, która go chciała.

Powiedział Bridget, że wraca do domu trzynastego grudnia. Natychmiast też przyjedzie po nią i przez całą noc będzie się z nią kochał. W Wielkim Jabłku nie spojrział nawet na inną kobietę.

— Przyrzekam, słonko. Ani na jedną.

Bridget za grosz mu nie wierzyła, a poza tym wcale nie była pewna, czy chce, żeby Gerry znowu się do niej zalecał. U Beaumontów było jej bardzo wygodnie, uwielbiała nowe łóżko, zasłony z

purpurowego jedwabiu związane paciorkami i małą lodówkę w kuchni, pełną szwajcarskich serów, florydzkiej sałatki z kapusty, włoskich oliwek i cienkich jak opłatek plasterów indyka. W gruncie rzeczy pragnęła tylko rozmawiać z Gerrym i wyobrazać sobie, że anioł na obrazie niesie dla nich dwie obrączki. Udawać, że Gerry jest dobrym i przyzwoitym facetem, który zawsze będzie się nią opiekował, w przeciwieństwie do jej nieszczęsnych zaburzonych rodziców. Zastanawiała się, czy nie wrócić do niego, pod warunkiem że się zaręczą i ustalą datę ślubu. Jeśli jednak miała być szczerą, życie z Gerrym nie należało do usłanych różami. Przez wiele dni zamęczał ją wyznaniem miłości, więc zaczynała się z nim drażnić i mówiła o małżeństwie, a wtedy on flirtował z innymi i pił. Bridget myślała, że jak wszystkie kobiety lubi szczyptę melodramatu, kiedy jednak widziała głębokie i spokojne uczucie łączące Jacka i Lily, czuła zamęt w myślach. Może sama też ma problem z zaangażowaniem i zawsze wybiera niewłaściwych mężczyzn? Przecież tak robią wszystkie te kobiety, które związały się z draniami. Same dokonały takiego wyboru, prawda? To było zachowanie autodestrukcyjne. W magazynach czytała, że niektóre kobiety po prostu są przyzwyczajone do związków dysfunkcyjnych, ponieważ tak zostały wychowane. Bridget zadawała sobie pytanie, czy to dotyczy także jej.

Zegar pokazywał za dziesięć czwarta w piątkowy poranek. Bridget spojrzała na stojące po drugiej stronie łóżko: Trudy smacznie spała. Przesunęły łóżka pod przeciwległe ściany, a w środku postawiły sofę, która przynajmniej trochę je rozdzielała. Bridget miała po swojej stronie telewizor, ale na tym Trudy nie zależało. Była mołem książkowym, ciągle rozwodziła się nad taką albo inną powieścią. W tym tygodniu był to „Popiół i żar” Franka McCourta. Naturalnie Trudy czytała ją już wiele razy, ale powiedziała, że lubi ją sobie przypominać w Boże Narodzenie, bo dzięki niej cieszy się, że żyje. Myśl o biednych dzieciach zbierających w pierwszy dzień świąt węgle, które spadły z wozów na Dock Road, sprawiała, że bardziej doceniała własne życie. Rodzina czekała, aż Bóg i jego aniołowie uwolnią ich ze slumsów w Limerick, ale doczekali się tylko gruźlicy, na którą umarła połowa dzieci. Tragiczna historia budziła w Trudy wdzięczność za to, że nie musiała szukać węgla na drodze, choć jej rodzice rzadko mieli czas, by zadzwonić z Birmingham i zapytać, jak sobie radzi z dyplomem z geografii.

Bridget wiedziała wszystko o pijanych ojcach i pustych spiżarkach, więc nie zamierzała tracić czasu na „Popiół i żar”. Alkohol robił z mężczyzn głupców i był powodem samotności kobiet. Poznała tę gorzką prawdę na własnej skórze. To dlatego pewnego dnia jej matka zrezygnowała ze szlochów przy kominku i razem z mężem poszła do pubu. Tak ją zmęczyła samotność, że pożegnała marzenia o domowym szczęściu i została alkoholiczką. W rzadkim przeblýsku przenikliwości Bridget zobaczyła własną przyszłość: wyjdzie za Gerry'ego, gdy zmęczy go bieganie do terapeuty. Urodzi im się kilkoro dzieci i będą mieć ładny dom w południowym Belfaście. A potem Gerry'ego znudzi domowe życie, zacznie grać w golfa i pić w klubie, Bridget natomiast będzie siedziała sama przy kominku, jak wcześniej jej matka. No cóż, na to się nie zgodzi. W przeszłości sądziła, że o ile uda jej się poślubić bogatego mężczyznę, będzie bezpieczna. Nawet gdyby była nieszczęśliwa, nie groziłby jej głód ani zimno.

Przez tych kilka dni u Beaumontów miała okazję na własne oczy zobaczyć, jak powinno wyglądać małżeństwo, i nie była już taka przekonana, że gotowa jest wyjść za mąż głównie dla pieniędzy.

Czas najwyższy pożegnać się z Gerrym i poszukać innego (bardziej stabilnego emocjonalnie) mężczyzny. A po Bożym Narodzeniu rozejrzy się też za innym zajęciem. Była doskonałą barmanką, ale męczyło ją to ciągłe obcowanie z alkoholem. Niewykluczone, że wróci do college'u, cokolwiek jednak się zdarzy, jej dni jako barmanki są policzone.

— Przysięgam Bogu, jeśli mnie słucha, że nigdy więcej nie będę dziewczyną Gerry'ego Madena. Dopóki żyję, nie dam się nabrać na jego gładkie słówka. Sprawa załatwiona, w przeciwnym razie nie będę lepsza od mojej biednej mamy. — I jak na zawołanie w holu zaczął dzwonić telefon. Trudy obudziła się i usiadła wyprostowana jak struna.

— Tylko nie to — jęknęła. — Wyłącz ten telefon, na litość boską! Facet jest kompletnym świrem. Dlaczego nigdy nie dzwoni o normalnej porze?

— Bo ma nierówno pod sufitem, jak słusznie zauważyłaś — westchnęła Bridget. — Nie mogę odebrać telefonu. Przed chwilą złożyłam przysięgę, że z nim skończyłam.

— Państwo Beaumontowie zaraz się obudzą. Bridget!

— Idź, Trudy, i powiedz mu, że jestem z nowym facetem albo coś w tym rodzaju. Wiem! Powiedz mu, że wyemigrowałam, a ty nie wiesz dokąd.

— Bridget, nie chcę się w to mieszać.

— W takim razie niech ten cholerny telefon dzwoni. Gerry nigdy mi się nie oświadczy, więc nic mnie to nie obchodzi.

Powiedz mu, żeby bawił się w te swoje gierki z innymi kobietami. — I Bridget położyła się, zakrywając głowę czerwoną kołdrą.

Trudy zatkała uszy palcami i zaczęła nucić rockową piosenkę, ale nic to nie dało. Telefon dzwonił i dzwonił, działając jej na nerwy. Dłużej nie była w stanie tego wytrzymać. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do holu. Złapała słuchawkę.

— Czego chcesz? — wrzasnęła.

— Halo? Bridget, czy to ty? Dlaczego tak długo nie odbierałaś?

— Mówi Trudy Valentine, nowa współlokatorka Bridget! — krzyknęła Trudy. Gerry najwyraźniej nie zarejestrował jeszcze wściekłości w jej głosie.

— Jasne. Trudy, możesz poprosić Bridget? Przyjechałem wcześniej ze Stanów. Dzięki, kochana.

— Kochana? Kochana?! Posłuchaj mnie uważnie! — odparła Trudy. — Bridget jest tobą zmęczona, tak samo jak państwo Beaumontowie i ja. Za kogo ty się uważasz? Jest środek nocy! Podobno jesteś lekarzem? Masz pomagać pacjentom i w ogóle, a nie wyciągać z łóżek nas, biednych śmiertel-

ników. Orientujesz się, jak brak snu może wpłynąć na ludzi? — Trudy na moment umilkła, zbierając myśli.

— Radzę, żebyś wzięła kilka głębokich oddechów — powiedział Gerry kojąco. — Sprawiasz wrażenie zdenerwowanej.

— Wolałabym cię zdenerwować, ty egoistyczny dupku! My tu ciężko pracujemy. Padamy z nóg wieczorami, a ty jesteś po prostu rozpuszczonym bachorem. Bridget mówi, że w matercu masz pełno pcheł i nigdy się z nią nie ożenisz, że jesteś materialistą, ciągle nudzisz o głupich samochodach i ona nie chce być dłużej twoją dziewczyną. Dotarło to do ciebie? Może wyświadczyłbyś nam przysługę i został abstynentem? Przynosisz wstyd całej służbie zdrowia. Kompletnie ci odbiło! I masz rozregulowany zegar biologiczny! — Po tych słowach tak mocno walnęła słuchawką o widełki, że rozpadła się na dwie części.

— Ojej, nie chciałam — powiedziała do Lily, która przed momentem zeszła do holu.

— Nie ma sprawy. Nie gniewam się — odparła Lily. Autentyczny aparat telefoniczny w stylu art déco kosztował sto dwadzieścia pięć funtów w sklepie z antykami na Royal Avenue, ale w tym akurat momencie oddałaby pięć lat życia za jedną przespaną spokojnie noc. — To się zdarza. Sama miałam ochotę wyrzucić go za okno. Te dzwonki po nocy doprowadzają mnie i Jacka do szaleństwa. — Owinęła kabel wokół aparatu i wrzuciła do kosza na śmieci. — Krzyżyk na drogę. Chodź, Trudy, napijemy się mleka i zjemy grzanek. — Objęła dziewczynę i poprowadziła do kuchni.

Bridget nie mogła wyjść ze zdumienia. Kto by pomyślał, że biedna Trudy jest taka odważna? Trudy Valentine, która śmiertelnie boi się nieszkodliwych guzików, była jak zapędzona w pułapkę lwica, gdy przeszkadzano jej wyspać się porządnie! Ho, ho! Aromat gorących grzanek z masłem sprawił, że ślinka napłynęła jej do ust. Narzuciła wytarty szlafrok i ostrożnie poszła do kuchni. Jack też już nie spał i w czwórkę siedzieli przy ciepłym piecu, podając sobie masło, dżem i marmoladę. Uzgodnili, że na noc będą wyłączali telefon (nowy), a gdyby zachorował jakiś krewny, ponurą wieść poznają dopiero rano.

Kiedy dwadzieścia minut później wkładali kubki i talerze do zlewu, rozległ się straszny huk: coś uderzyło we frontową ścianę budynku. Wszyscy zamarli.

— To brzmi jak trzask pękającego szkła — szepnął Jack.

— Jacyś wandale? Gdzie jest kij do baseballa, Lily? W szafie w holu? — Teraz z dworu dobiegł wrzask. Jakiś mężczyzna krzyczał z bólu. Jego głos przeciął ciszę niczym piła łańcuchowa. Wszyscy czworo podskoczyli. Trudy zbadła sobie puls, Bridget skamieniała.

— Jest chyba bardzo blisko — powiedziała cicho Lily. — Do diabła, co się tam dzieje? — Przerwał jej trzask. — Myślę, że ten ktoś jest przed drzwiami. Nigdy dotąd nikt na nas nie napadł, Jack.

— Moja sypialnia! — krzyknęła Bridget, biegnąc przez hol z kubkiem herbaty przytulonym do piersi. Na jej łóżku leżały dwie połówki cegły i kilka wielkich ostrych odłamków szkła. — Och, nie! Moje łóżko! — Stała odrętwiała z wściekłości, kiedy przez okno wleciała następna cegła. Kawałki szkła ze szczękiem spadły na parapet. Bridget wyjrzała przez otwór, próbując dojrzeć złoczyńcę. Pozostali kręcili się niespokojnie przy drzwiach.

— Na litość boską, odejź od drzwi, Bridget, zanim trafi cię w głowę! — krzyknęła Trudy.

— Kto może rzucać cegłami o tej porze? — zastanawiała się Lily. — Czy wczoraj wieczorem były jakieś zamieszki polityczne?

— Zadzwoń na policję, Lily — powiedział Jack. — Wyjdę i zrobię z nim porządek.

— W żadnym razie! — syknęła Lily. — Tam może być cała banda.

— Ale kto mógł to zrobić? W dodatku bez powodu. Jesteśmy neutralnym pubem — dziwił się Jack. — Nie wywieszamy flag. Wyrzuciłaś kogoś ostatnio?

— Nie — odparła z płaczem Lily. — Nie mam pojęcia, kto to może być.

— Ha, nie będę płacił zbirom, żeby trzymali się z daleka — oznajmił Jack buńczucznie.

— Zaraz! Chyba wiem, kto to jest. Tak mi się przynajmniej wydaje. To pewnie Gerry Madden — odezwała się nagle Trudy.

— Wrócił wcześniej z Nowego Jorku. Zapomniałam ci powiedzieć.

— Powinam się domyślić — lamentowała Bridget. — A ty mu nawrzucałaś ile wlezie. On nie jest przyzwyczajony do takiego traktowania.

— Ojej, nie miałam takiego zamiaru. Myślałam, że go na dobre wystraszyłam. Powiedziałaś, że nie chcesz mieć z nim więcej do czynienia. Ale najwyraźniej posunęłam się za daleko.

Do pokoju wpadł jeszcze jeden kamień, na szczęście Bridget zdążyła już odejść od okna.

A potem usłyszeli krzyki mężczyzny.

— Bridget! Bridget, wychodź! Nasza znajomość nie może się tak skończyć! Przyjechałem z Ameryki, żeby być z tobą! Przez ciebie wyrzucili mnie z pracy!

— Na litość boską — jęczała Bridget, trąc zmęczone oczy.

— Jak to przeze mnie, kretynie?! — odkrzyknęła.

— Złamałaś mi serce. Byłem niepokieszony. Nie mogłem się skoncentrować na konferencji.

— Kłamiesz! Powiedz prawdę, Gerry, podrywałeś kobiety. Tak czy nie?

— Próbowałem zagadać do kilku dziewczyn, bo byłem samotny. Ale chodziło mi wyłącznie o rozmowę i towarzystwo — odparł niemal ze łzami.

— Nie wierzę ci. — Bridget gestem przeprosiła Jacka i Lily za zachowanie Gerry'ego. Trudy kręciła głową z dezaprobatą, co Bridget rozgniewało jeszcze bardziej niż stłuczone okno. — I byłeś zalany, tak?

— Wypiłem kilka nieszkodliwych szklaneczek. Jakiś goryl wyciągnął złe wnioski i pobił mnie. Powiedział, że gapię się na jego dziewczynę. — Teraz Gerry mówił normalnym tonem.

— Dobrze ci tak.

— Na litość boską, on był wielki jak czołg, jak stodoła. Chryste, nie mam pojęcia, czym karmią Amerykanów w dzieciństwie. O mało mnie nie zabił, Bridget. Stał mi na karku. Ale potem nie chcieli mnie widzieć w szpitalu. Miałem podbite oczy.

— Idź sobie, Gerry, przestało mnie to interesować. Potrzebujesz pomocy. Czemu sobie jej nie załatwisz?

— Bridget, nic mi nie pozostało. Nic prócz ciebie. — Mimo tych słów kolejny kamień wpadł do pokoju i rozbił telewizor. Ponieważ ekran był już pęknięty, nikt nic nie powiedział.

— Zostaw mnie w spokoju! — zawołała Bridget. — Doskonale sobie radzę sama.

— Wcale tak nie mówiłaś, kiedy do mnie telefonowałaś! — krzyknął Gerry. — A dzwoniłaś prawie co noc, odkąd ze mną zerwałaś.

— Mówiłaś, że to Gerry dzwoni do ciebie? — zapytała oskarżycielsko Lily. — Czy to znaczy, że oboje z Jackiem finansujemy to szaleństwo? Bridget, odpowiedz mi.

Bridget jednak spuściła wzrok na fiołkowy dywan i zacisnęła usta tak mocno, że wcale nie było ich widać.

— Dobra — odezwał się Jack. — Te głupoty już za długo trwają. — Podwinął rękawy szlafroka, z szafki wyjął buty nie do pary, włożył je, po czym jak wicher zbiegł po schodach.

— Jack, nie bij go! — powiedziała zadyszana Lily, która za nim szła. — Chyba że będzie od ciebie sporo mniejszy!

— Niech pan zdrowo przetrzepie mu skórę! — wrzasnęła Bridget. Ostrożnie podeszła do sofy, żeby ocenić, jakich szkód doznały jej ubrania.

Obie dziewczyny wyjrzały na ulicę, ale widziały tylko cienie poruszające się w ciemności. Po minucie usłyszały szamotaninę i huk przewracającego się kosza.

— Mam nadzieję, że Jack go znokautuje — powiedziała Bridget. — Ten płaszcz nadaje się do wyrzucenia. Zobacz, jaka wielka dziura. Nienawidzę Gerry'ego Maddena! A masz!

— Wyrzuciła przez okno kubek. Na dole ktoś krzyknął z bólu.

— Ty to uwielbiasz — sprzeciwiła się Trudy. — Pan Beaumont może zostać aresztowany za napaść. Tylko sprowadzasz kłopoty.

— Wcale nie. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie prosiłam Gerry'ego, żeby tu przyszedł i urządził awanturę. Przecież rzuciłam go kilka tygodni temu.

— To była taka sztuczka, żeby zwrócił na ciebie uwagę. Ciągłe gadasz z nim przez telefon. Prowokatorka z ciebie.

— Zostaw mnie w spokoju. Popatrz lepiej, w jakim stanie jest moje śliczne łóżko. — Bridget znowu zaczęła płakać. — On na swój sposób mnie kocha, tylko jest poważnie zaburzony pod względem emocjonalnym.

— Dajże spokój. Jest samolubnym gadem, a ty mu na to pozwalasz.

— Powinnaś być po mojej stronie, nie jego.

— Bridget, nie w tym rzecz, kto po czyjej jest stronie. Związek tworzy dwoje ludzi, którzy kochają się i szanują niezależnie od tego, co myślą inni. Nie chodzi o to, by przekonywać otoczenie, czy twoja miłość jest prawdziwa czy nie. Dlaczego musisz wplątywać nas wszystkich we fiasko swojego życia uczuciowego?

— A ty? Panna Trudy Valentine z łańcuszkiem najrozmaitszych alergii? Co pięć minut mdlejesz z powodu wymyślonej fobii. A prawda jest taka, że nic ci nie dolega. To ty ze wszystkich sił próbujesz zwrócić na siebie uwagę. I jeszcze masz tupet mnie o to oskarżać!

— Cofnij te słowa! Fobie same w sobie są wystarczająco nieprzyjemne, nie potrzeba mi jeszcze, żeby osoby twojego pokroju mnie potępiały. Każdy dzień jest dla mnie męką. To strasznie wyczerpujące.

— Niczego nie cofnę! Nic się nie stało, kiedy zjadłaś zupę z sokiem cytrynowym. Odegrałaś całą scenę. Nic dziwnego, że nie miałaś pracy. Co to za barmanka, która nie może dotykać cytryn? Wielkie nieba! Czemu nie zrobisz ze sobą porządku?

— Ja? Popatrz lepiej na siebie! Mnie przynajmniej nie wylano z ostatniej posady za telefony do wrózek. I jeszcze oskarżyłaś o to kogoś innego!

— Wcale mnie nie wylano!

— Ależ tak, nie zaprzeczaj. Nie jestem głupia, Bridget! Nie masz za grosz szacunku do ludzi i ich własności. Przecież prawie zdemolowałaś ten pokój!

Otworzyły się drzwi i weszła Lily.

— Dajcie spokój, dziewczyny. Jadę na posterunek — powiedziała. — Jacka aresztowano za pobicie Gerry'ego. Zabrano ich obu.

— Cóż za błyskawiczna akcja — powiedziała Trudy.

— Skąd gliniarze się tu wzięli? Przecież nawet nie dzwoniliśmy.

— Wóz patrolowy akurat tędy przejeżdżał.

— Typowe. Kiedy są potrzebni, to ich nie ma. Czy Gerry jest poważnie ranny? — zapytała Bridget.

— Nie, Jack uderzył go tylko raz, ale wyglądało to gorzej, bo Gerry miał już podbite oczy. Jednego nie potrafił otworzyć.

— Pamiątka z Nowego Jorku — stwierdziła Trudy spokojnie. — Ten facet jest niebezpieczny.

— Policjanci uważają, że Jack go pobił? — zapytała Bridget.

— Tak — odparła Lily. — Mają zamiar oskarżyć go o poważne uszkodzenie ciała. A do tego wszystkiego dostał w czoło kubkiem pełnym gorącej herbaty. Na litość boską, która z was wyrzuciła kubek?

— Przykro mi — powiedziała Bridget. — Chciałam trafić Gerry'ego. Pójdę z panią i powiem o stłuczonym oknie. Gerry zaczął tę awanturę.

— Ja też pójdę — dodała Trudy. — Dotrzymam wam towarzystwa.

— Nie, kotku, zostaniesz i sprowadzisz szklarza — odparła Lily, ziewając szeroko. — Za usługę o tej porze zapłacimy fortunę.

— Proszę, nie zostawiajcie mnie tutaj — zakwilila Trudy.

— Boję się ciemności, a my jesteśmy na samym końcu zaułka.

— Boże wszechmogący! — wtrąciła Bridget. — Chyba nie mówisz poważnie?

— Nie żartuję. Nie lubię być sama w nocy.

— To ostatnia z twoich fobii czy masz jeszcze jakieś, o których powinnam wiedzieć? — zapytała Lily łagodnie, obejmując roztrzęsioną Trudy.

— Nie — odparła dziewczyna szlochając. — Naprawdę, głównie to cytryny i guziki. I jeszcze brudne ręce i ciemność. Dlatego mieszkałam z wykładowcami. Nie chciałam być sama w czasie weekendów, kiedy inni studenci wracali do domu. I wcale mi nie przeszkadzało, że lubią temperatury poniżej zera, byle tylko dotrzymywali mi towarzystwa.

— Posłuchajcie — powiedziała Lily. — Ja pojedę do Jacka, a wy zostaniecie tutaj i spróbujecie uporządkować ten bałagan. Zgoda?

— Zgoda — odparły; obie oprzytomniały, widząc powagę sytuacji, w jakiej wszyscy się znaleźli.

Trudy minął gniew, Bridget czuła wyczerpanie i marzyła, żeby się położyć, ale jej ukochane łóżko pokrywały odłamki szkła.

— On jest niemożliwy! Dzięki Bogu, że z nim nie zostałam — mruknęła do siebie, idąc po stare gazety, żeby owinąć w nie większe kawałki szyby. Trudy wytrzepywała odłamki z ubrań.

Lily włożyła dzinsy i ciepłą kurtkę, po czym zadzwoniła po taksówkę. Czekaając, aż na ulicy rozlegnie się klakson, spakowała ubranie dla Jacka. Samo aresztowanie już było dostatecznie złe, a to, że ma na sobie poplamiony herbatą szlafrok, niebieski but sportowy i brązowy mokasyn, z pewnością go dobiło. Lily nie wątpiła, że policjanci na służbie pękają ze śmiechu, patrząc na jej ukochanego męża. Bridget O'Malley będzie musiała odpowiedzieć za wiele spraw.

Pięć godzin później Lily wróciła do domu z przygnębionym i milczącym Jackiem, któremu udzielono ostrzeżenia. Jack poszedł prosto pod prysznic, a potem się położył. Lily w kuchni zaparzyła herbatę i opowiedziała dziewczętom o szczegółach. Gerry stracił przytomność na posterunku i odwieziono go do szpitala na obserwację. Początkowo istniała obawa, że cios Jacka spowodował u niego

śpiączkę, i biedny Jack strasznie się martwił. Na szczęście lekarze zorientowali się, że Gerry znacznie przekroczył bezpieczną dawkę alkoholu, i zrobili mu płukanie żołądka, po czym podłączyli go do kroplówki. Kiedy psychiatra chuligan porządnie się wyspał, okazało się, że wszystko z nim w porządku. Ucieszył się bardzo, że wciąż żyje, i poszedł na posterunek, by wycofać oskarżenie o napaść. Powiedział pełniącemu dyżur sierżantowi, że szczerze żałuje kłopotów, których narobił, i obiecał, że nie będzie więcej niepokoił Bridget O'Malley i Beaumontów.

Przespawszy najgorsze przygnębienie, Jack wyszedł z sypialni w poważnym nastroju. Na czole miał niewielki siniak znaczący miejsce, w które Bridget trafiła kubkiem z wrzącą herbatą, choć to było najmniejsze z jego zmartwień. Zwolniono go warunkowo. Jego nazwisko znalazło się w policyjnej kartotece. I był tematem wielu żartów na posterunku. Lily próbowała go przekonać, że za całą sprawę winę ponosi Gerry Madden, który jest tak irytujący, że każdego wyprowadziłby z równowagi. Ale Jack miał do siebie żal, że stracił panowanie nad sobą. Oznajmił, że nie chce więcej słyszeć o tym incydencie.

Postanowił też, że najwyższy czas wziąć w swoje ręce sprawy dotyczące tawerny. Poprosił Lily, żeby powiedziała Bridget, że najpierw powinna się ubrać, a dopiero potem wychodzić z sypialni. Każdy następny zniszczony przedmiot zostanie potrącony z jej pensji. Trudy albo pójdzie do lekarza i zrobi coś ze swoimi fobiami, albo ją zwolni, bo życie w tej atmosferze niepokoju, którą ona wywołuje, jest nie do zniesienia. Powiesił w sypialni kalendarz i zakreślił na czerwono ostatni dzień lutego 2005. Oznajmił, że bez względu na to, co tego dnia się zdarzy, czy tawerna zostanie zburzona czy nie, Bridget i dziewczyny będą musiały odejść. Chciał, żeby wszystko było tak jak przedtem: tylko oni dwoje w mieszkaniu i rozkosznie spokojne życie, do którego byli przyzwyczajeni.

Lily, która sama była na granicy załamania, nie miała innego wyjścia, jak tylko się zgodzić.

BETSY DOSTAJE TO, O CO PROSIŁA

Betsy Bradley wyczołgała się z łóżka i o mało nie złamała sobie nogi na błyszczących magazynach rozrzuconych po podłodze. Kilka razy zaklęła, zapaliła papierosa i usiadła na oparciu małego fotela, rozcierając bolącą kostkę. Wypełniona po brzegi popielniczka oraz niewielka armia brudnych filiżanek i spodków na stoliku nocnym wprawiała ją w przygnębienie. Nie lubiła spać w pokoju gościnnym. Nie było tu telewizora z wielkim ekranem ani obszernej łazienki, tylko wykafelkowany na biało ciasny prysznic, w którym ciągle obijała sobie łokcie. Tęskniła za wygodami niemal z taką samą siłą, z jaką pogardzała mężem. Upokarzające było, że tak ją od siebie odsunął. A skoro o tym mowa, kiedy pisał pierwszą książkę, nie kazał jej się wynosić ze wspólnego łóżka.

Ostatnimi czasy Liam zachowywał się dziwnie. Telefony Perry'ego okropnie go stresowały. Nie wykazywał zainteresowania seksem. Wczoraj z litości dla niego paradowała w staniku i podwiązkach z kremowej koronki, które kupiła w naprawdę drogim butik przy Lisburn Road, ale zupełnie ją zignorował. Wściekła z powodu odrzucenia, włożyła sztuczne futro i pojechała do Richarda Allena, który miał apartament nad rzeką.

Richard oszalał wprost z żądz. Dzisiaj wieczorem znowu mieli się spotkać i Betsy cieszyła się na kolejną miłosną schadzkę przy gazowym kominku Richarda. Miał ładną choinkę ozdobioną soplami z czerwonego szkła i połyskującymi sztucznymi czerwonymi jabłuszkami — bardzo stylowy wybór jak na kawalera. Liam nie zadałby sobie trudu, żeby kupować choinkę, gdyby mieszkał sam. Ale z drugiej strony Liam był geniuszem komedii, tak w każdym razie głośiły plakaty reklamowe. Nagle poczuła do niego złość. Zmuszał ją do tego głupiego romansu, do zachwyty nad czerwonymi soplami. Szczerze mówiąc, sporo musiała się namęczyć, żeby przez wszystkie te lata czuć się jak istota ludzka. Poczuć ciepło mężczyzny obok siebie i usłyszeć, jak w ciemności szepcze jej imię. Betsy pomaszerowała na parter i załomotała do drzwi Liama.

— Chcę z tobą pogadać! — zawołała.

— Śpię — wymamrotał Liam. — Całą noc pisałem. Obudź mnie za osiem godzin.

— O, nie. Wchodzę teraz. — Otworzyła drzwi i wpadła do pokoju. Liam leżał na środku łóżka z baldachimem. Miał na sobie wczorajsze ubranie i najwyraźniej cierpiał na potężnego kaca. Na podłodze leżały resztki ryby, puste puszki po piwie i kartki z notatkami.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje — oznajmiła stanowczo Betsy.

— Co? O co ci chodzi?

— Dlaczego śpię na piętrze? Co ty knujesz? No? Boże, ale tu cuchnie piwem. Otwórz okno.

— Nie. Idź sobie, jestem wykończony.

— Nigdzie nie pójde. Zamierzam zadzwonić do mojego brata Teda i opowiedzieć mu o twoim zachowaniu. Znęcasz się nade mną psychicznie. Mam prawo znać twoje plany. A ten pokój jest także mój. Jeśli dalej będziesz się upierał przy tym głupim osobnym życiu, to sam się przeprowadź na piętro. Ja potrzebuję wielkiego lustra do makijażu.

— Betsy, zrób rundkę po sklepach, dobrze? Kup sobie nowe buty albo coś w tym rodzaju. Przez całą noc pracowałem.

— I co napisałeś? Pokaż mi! — Złapała kilka kartek ze stolika nocnego i zaczęła czytać.

— Nie! — ryknął Liam. — To prywatna sprawa. Jeszcze nie skończyłem. — Wygramolił się z łóżka, waląc kolanem o szafkę, i próbował odebrać Betsy kartki, ale okazała się za szybka. Uciekła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. A potem uważnie przeczytała cały rozdział. To co odkryła, nie przypadło jej do gustu. Pistolet Magee zakochał się w ciemnowłosej piękności w wiktoriańskiej bluzce i na zawsze rezygnował ze swego niedojrzałego seksistowskiego zachowania. Robił wszystko co w jego mocy, by ta sztywna kobieta go pokochała.

— Wychodź, diablico, i oddaj mi moją pracę! Daję ci dwie minuty, potem wyważę drzwi! — wrzasnął Liam. Zaraz jednak jęknął, bo kac wrócił ze zdwojoną mocą. Nie zamierzał nikomu nigdy pokazywać tych kartek, była na nich jego prywatna fantazja. Pisał „Bum, bum” dokładnie tak, jak życzył sobie Perry, chociaż musiał się przy tym upijać.

— Żaloszny jesteś. Drzwi są z litej sosny.

— Patrzę na zegarek. Masz dwie minuty, ani sekundy dłużej.

— Dlaczego Pistolet tak nagle się zmienił? — Liam milczał. — Dlaczego? — I znowu cisza. — Ty jesteś pierwowzorem jego postaci, prawda? Zakochałeś się w innej?

W holu panował całkowity spokój.

— Zakochałeś się, tak? We właścicielce tego baru przy Klonowej? Powiedz mi, Liam. I tak sama się dowiem. — Betsy widziała zdjęcie Lily i Jacka w „Newsletter” i uznała, że Lily jest dość ładna. Wprawdzie brakuje jej gustu (miała na sobie straszną staromodną bluzkę!), ale jest ładna. — Bo jeśli to ona, nie masz szans. Jej mąż jest niesamowicie przystojny. Sama bym się na niego rzuciła, gdyby mi pozwolił.

Liam nie odpowiedział.

— Jeśli natychmiast mi nie powiesz: „Kocham cię, Betsy Trotter, i nigdy nie przestanę cię kochać”, odchodzę. Mówię poważnie. — Betsy przygryzła wargę. Mąż na pewno to powie, nawet jeśli tak nie myśli. Wcześniej zawsze mówił. Ich małżeństwo zbudowane było na fałszu od 1988 roku, kiedy wracali z Ibizy i Betsy przyłapała Liama kochającego się ze stewardesą w pustej kabine pierwszej klasy boeinga 747.

Odczekała całe pięć minut, ale z domu nie dochodziły żadne odgłosy. Jeszcze raz przeczytała maszynopis, po czym postanowiła, że ponownie porozmawia z mężem. Kiedy otworzyła drzwi, na korytarzu nikogo nie było.

Liam w głównej łazience brał prysznic. Spod drzwi wydobywały się kłęby gorącej pary. Betsy podeszła do komputera, chciała bowiem wydrukować dalszy ciąg powieści, ale nie знаła hasła. Zrobiło jej się niedobrze na myśl o tych wszystkich okazjach, kiedy pozwalała się kłaść na szklane i bardzo zimne biurko męża. Płonęła ze wstydu. Liam zupełnie przestał ją szanować. Ale czy kiedykolwiek ją szanował? Był nią znudzony. Betsy obawiała się, że go utraci. Bała się, że utraci swoją pożyczoną sławę i bogactwo.

Z podłogi zniknęły wszystkie papiery. Zajrzała do szafki przy łóżku, ale tam też nic nie było. Betsy nigdzie nie widziała notatników i książek. Drzwi do łazienki były zamknięte na klucz. Kręciła i ciągnęła za szklaną gałkę, na próżno, usiadła więc na łóżku. Po chwili ucichł szum płynącej wody, za to rozległo się trzaskanie szufladami — Liam najwyraźniej szukał świeżej żyłki, bo zaraz potem Betsy usłyszała, jak wyciska z tubki piankę do golenia. Westchnęła, wzięła torbę na zakupy i zaczęła zbierać puste puszki i opakowania po chipsach. Otworzyła okno i pościeliła łóżko.

Kiedy pół godziny później Liam wreszcie wyszedł z łazienki, był gładko ogolony, przebrany i pachniał czystością. W ręce trzymał aktówkę wypchaną do granic papierami, które napierały na zamek błyskawiczny. Próbował wyminąć żonę, ale złapała go za ramię, rezygnując z resztek godności, i błagalnie powiedziała:

— Liam, chcę, żebyś był ze mną szczery. Musimy poważnie porozmawiać. Proszę, bądź szczery, poradzę sobie z tym. Masz romans? Oboje robiliśmy różne rzeczy, ale jeśli tym razem to poważna sprawa, mam prawo wiedzieć. — Machnęła mu przed twarzą kartkami. — Ta kobieta w twoim opowiadaniu ma taką samą bluzkę, w jaką ubrana była Lily Beaumont na zdjęciu w „Newsletter”.

— Nie mogę teraz o tym rozmawiać, Betsy. Muszę myśleć o mojej książce.

— Tylko jedno słowo, więcej mi nie potrzeba, Liam. Czy między nami koniec? Tak czy nie?

Przestał się wyrywać i wziął głęboki oddech.

— Betsy, bardzo mi przykro, ale chyba rzeczywiście powinniśmy wreszcie szczerze spojrzeć na nasz związek. On nie istnieje, zresztą od dawna. Próbowaliśmy przeczyć prawdzie udając, że prowadzimy małżeństwo otwarte.

— Co ty mówisz? Własnym uszom nie wierzę. To był twój pomysł, żebyśmy spotykali się z innymi. Mówiłeś, że tak zachowują się ludzie dojrzały.

— Na kilka dni zatrzymam się w hotelu, potem wystawimy dom na sprzedaż. Z zysków każde z nas może kupić sobie lokum w mniej prestiżowej dzielnicy. I tak zawsze odstawaliśmy od tej ulicy.

— Liam, nie!

— Jestem pewien, że Richard Allen pomoże ci kupić nowy dom. Przeprowadzimy rozwód, jak będę miał czas na uporządkowanie szczegółów. — Liam wyrwał kartki z dłoni Betsy i wsunął je do kieszeni. — Do widzenia — powiedział ze smutkiem.

Betsy była tak wstrząśnięta, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Liam popatrzył na jej wytatuowane usta, po czym z niesmakiem się odwrócił. Po co podkreślać kształt ust, skoro nie są przez cały czas pomalowane? Wyszedł na korytarz i ruszył schodami w dół. Betsy z trudem otrząsnęła się z szoku. Z twarzą zalaną łzami przechyliła się przez balustradę.

— Do widzenia? I to wszystko? Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Po dziesięciu latach małżeństwa? Dlaczego? Limo! To znaczy Liam. Różnie bywało między nami, ale wciąż myślę, że to dobre małżeństwo. Dlaczego mnie opuszczasz? Chcę wiedzieć!

Kiedy na nią spojrział, przeraziła ją obojętność w jego oczach. Nie tylko był nią znudzony. On już prawie o niej zapomniał.

— Dlaczego? Opuszczam cię, bo nie wiesz, kim jest W. B. Yeats. Czy raczej kim był. Ubierasz się jak dziwka. Fryzurę masz nieodpowiednią do wieku. Wystarczy na początek?

— Jak śmiesz!

— Nazywałeś mnie Limo, chociaż wiesz, że tego nie znoszę. Przestałeś mnie pociągać. Nie inspirujesz mnie. W łóżku jesteś leniwa, całą robotę zostawiasz mnie.

— Ty brudna świnio! Mówiłeś, że chcesz dominować.

— Twoja zapiekanka owczarza jest niestrawna, nigdy nie pamiętasz, żeby podpiec na grillu tłuczone ziemniaki. Zostawiasz smugi na kuchennych sprzętach, kiedy je myjesz.

— Do diabła, kogo obchodzi zapiekanka? Albo cholerne porządki? Całkiem ci odbiło!

— Na urodziny kupujesz mi tandetne kartki, choć wiesz, że wolę artystyczne. Jesteś ze mną wyłącznie dla mojej sławy, której część spada na ciebie. Śpisz z Richardem Allenem w gorseciku, za który ja zapłaciłem, a potem chcesz, żebym ci powiedział, że cię kocham, choć wiesz, że to nieprawda.

— Ty hipokryto, a twoje liczne skoki w bok?

— I miałaś jeszcze tupet prosić mnie o kupno domu w Dublinie, bo chciałaś pograć sobie w tenisa z irlandzką arystokracją. Każdy milioner z Malahide raczej umrze, niż pokaże się w naszym towarzystwie. Jesteśmy z północy. Należymy wyłącznie do tego zapomnianego przez Boga i ludzi kątką ziemi.

— Nudzę się, Liam, przez cały dzień nie mam nic do roboty. Słuchaj, wybaczę ci te wszystkie okropne rzeczy, które powiedziałaś. Może wyjedziemy na wakacje? Żyjesz w za dużym stresie. To jest powód. Wiem, że nie mówiłeś poważnie. — Podejmując ostatnią próbę zatrzymania go przy sobie, usiłowała wzbudzić w Liamie współczucie. Otarła łzę z oka w geście, który (taką miała nadzieję) był żalony i dziecinny. — Proszę. Kochanie?

Ale Liam nie zamierzał dać się nabrać.

— Mówiłem absolutnie poważnie. Dlaczego nie znajdziesz sobie pracy i sama nie kupisz domu?

— Bo życie z takim pokopanym draniem jak ty to zajęcie na pełny etat! — krzyknęła i zaczęła głośno szlochać.

Liam pokręcił lekceważąco głową. Zbiegł po schodach do holu, wziął kurtkę, kluczyki do samochodu i laptop.

Betsy ogarnęła furia. Hipokryzja Liama wprost nie mieściła się w głowie. Przecież kochał swój dom przy eleganckiej ulicy i pasujący do tego luksusowy samochód. Zdradzał żonę, i to wiele razy. A jeśli chodzi o krytykę jej wyglądu, to chyba nie zdawał sobie sprawy z własnej śmieszności. Łysiał, więc kazał przyszyć treskę jakiegoś umierającego z głodu rosyjskiego chłopca do swojej suchej różowej czaszki i farbował ją. Betsy jest próżna? A jak próżny jest Liam Bradley? Odpowiedź brzmi: jak paw! Przez cały czas nosił ciemne okulary. Pod doskonale skrojonymi garniturami ukrywał rosnący piwny brzuch. Lista ciągnęła się w nieskończoność. Był tak samo próżny i egoistyczny jak ona. Prawdę mówiąc, był dziesięć razy gorszy od Betsy, bo jeszcze udawał intelektualistę. Betsy szczerze oceniała swoją chciwą i samolubną naturę. Nie żywiła klasowych złudzeń jak Liam. Była pospolita, tak jest, i nie zamierzała się tego wstydzić.

— Ty draniu! Pompatyczny, próżny, zarozumiały draniu! — krzyknęła, ale Liam już otwierał ciężkie drzwi frontowe. — Spałam z Richardem Allenem tylko dlatego, że byłeś zbyt zajęty udawaniem wielkiego pisarza, żeby zwrócić na mnie uwagę. Richard potrafi słuchać. I jeśli chcesz wiedzieć, gorsecik bardzo mu się podobał. Kochaliśmy się trzy razy. Zlizywał czerwone wino z mojego brzucha. Zmarnowaliśmy całą butelkę i zniszczyliśmy dywan!

— Nie wychodzisz z roli domowej bogini, to mi się w tobie podoba! Będę w kontakcie! — odkrzyknął z progu Liam.

— Wynoś się i nigdy nie wracaj! — wrzasnęła. — Nienawidzę cię!

Liam już nie było. Betsy zbiegła do holu i przycisnęła twarz do szybki w drzwiach. Oszołomiona patrzyła, jak czarny sportowy samochód pełnym gazem wyjeżdża z garażu. Odwróciła się i powiodła wzrokiem po schodach prowadzących w górę, po delikatnym szklanym żyrandolu, który pęd powietrza sprawił w lekkie kołysanie. Pomyślała, że dom wydaje jej się trochę nierzeczywisty, jak wtedy gdy w środku dnia wychodzisz z kina po seansie i dziwisz się, że wciąż jest jasno. Poszła do kuchni, gdzie zrobiła sobie kanapki z bekonem i kubek gorącego kakao na śniadanie, wciąż ubrana w zwiewną koszulkę nocną. Przez następne trzy godziny chodziła od pokoju do pokoju, pakując rzeczy Liama do toreb i pudeł, które zanosila do garażu, skąd będzie mógł je sobie odebrać. Ostatnią rzeczą, jaką złożyła w ponurym, pełnym pajęczyn pomieszczeniu, był portret Liama.

— Zostaw mnie, jeśli musisz — powiedziała do fotografii. Zrobił ją sobie w modnym atelier w Lisburn. Na nosie miał okulary do czytania, których wcale nie potrzebował. — Ale chcesz sprzedać

dom za moimi plecami? O, nie! To twoja wina. Nie zrobiłam kariery, bo chciałeś, żebym była w domu z tobą. Mówiłeś, że pisarz jest samotny. Och, zobaczymy się w sądzie, ty wstrętny, podły robaku!

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do swojego ulubionego brata Teda.

— Ted, on mnie zostawił... Tak. Wcale nie żartuję... Nie, to poważne. To nie była zwykła kłótnia... Chyba kompletnie mu odbiło. Nie uwierzyłbyś, jak mnie obraził. Nazwał mnie dziwką... Tak, właśnie... To przez tę nową książkę. Doprowadza go do szaleństwa... Pracuje nad nią dzień i noc, wcale nie odpoczywa. Ciągłe pije... Pomożesz mi zatrzymać dom, jeśli się ze mną rozwiedzie? Jutro o trzeciej? W takim razie do zobaczenia. Cześć, Ted.

Betsy poszła na górę i przygotowała sobie gorącą kąpiel. Długo leżała w wodzie, zastanawiając się nad różnymi sposobami zranienia męża. Czy jest dostatecznie sławny, by pisać o nim w gazecie? Czy media zainteresuje fakt, że Liam Bradley w postaci swego tak zwanego oryginalnego bohatera opisał własną żałośnie niedojrzałą seksualność? A potem wyplakiwała sobie oczy, bo zobaczyła żyletkę Liama, która leżała na parapecie w kałuży wody z mydłem.

W pokoju na czwartym piętrze hotelu Hilton Liam włączył laptop i zabrał się za pisanie. Później zajmie się kwestią nieudanego małżeństwa, najpierw musi skończyć książkę. A może wynajmie prywatnego detektywa, żeby śledził Betsy i zebrał dowody jej niewierności? On ostatnim razem zdradził ją tylko w marzeniach. Betsy nie może użyć przeciwko niemu intrygi z książki, bo to dzieło fikcyjne. Na razie Liam musi pisać. Może Perry przyleci z Londynu i osobiście odbierze maszynopis? Powiedział, że już ma kilka ofert. Czy Liam dotarł do połowy powieści? Napisał pierwsze dwadzieścia tysięcy słów?

Liam pracował nad dwiema wersjami „Bum, bum”, jedną dla Perry'ego, drugą dla siebie. W tej ostatniej igrający ze śmiercią detektyw przechodzi metamorfozę, rezygnuje z przypadkowego seksu i staje się filarem społeczeństwa. Perry wyrzucał mu, że marnuje czas. Jego zdaniem jakiegokolwiek zmiany w charakterze Pistoleta Magee były czystym szaleństwem, ale Liam twardo obstawał przy swoim. Miał przeczucie, że politycznie poprawny Magee przyjęty zostanie przez wydawców z entuzjazmem.

— Popatrz na tych playboyów w magazynach Betsy — powiedział Perry'emu. — Przechwalają się, że zaciągnęli do łóżka kilka modelek. Na nikim to już nie robi wrażenia. Mają kilka groszy w banku i to jest jedyny powód, dla którego dziewczyny się z nimi zadają. Przecież wszyscy ciągle uprawiamy seks, no nie? — (Liam nie uprawiał, ale nie o to chodziło.) — Cóż nadzwyczajnego jest w kilkuminutowym bzykanku? Z tych facetów śmieje się cały zachodni świat. Macho, a niech ich! Żenujące. Nie, nadeszła pora na zmianę, a Pistolet będzie jej symbolem. Kobietom to się bardzo spodoba, dotrę do zupełnie nowych czytelników. Zobaczysz.

Perry nie był przekonany, ale powiedział, że zrobi rekonesans, sprawdzi, co sądzą o tym wydawcy. Jeśli jednak reakcja będzie negatywna, Liam musi się z tym pogodzić. Osiągnęli niespokojny kompromis.

Perry wyruszył na spotkania ze streszczeniami obu wersji w teczce, a Liam wynajął w Hiltonie pokój na cały miesiąc. Z ciężkim sercem uświadomił sobie, że święta spędzi w hotelu. Zaraz jednak pocieszył się myślą, że nie będzie musiał męczyć się w towarzystwie nudnych krewnych Betsy, jeść wysuszonego indyka Betsy na obiad, kupować jej romantycznych prezentów ani kochać się z nią w czapce Świętego Mikołaja (jej pomysł).

Nalał sobie dzinu z tonikiem z minibarku, po czym zamówił kanapki i dzbanek kawy do pokoju. Powiedział recepcjonistce, żeby nie łączyła do niego żadnych rozmów — wyjątkiem był Perry Shaw. I to dopiero po dziewiątej wieczorem. Liam wiedział, że jeśli będzie pracował jak opętany nad swoimi nowymi książkami, jest w stanie napisać pięć tysięcy słów na dzień. Zamierzał skończyć obie wersje do Bożego Narodzenia, nawet gdyby miał paść przez to trupem. To był jego hołd dla Lily Beaumont. A kiedy po oddaniu maszynopisów Liam będzie miał kilka miesięcy dla siebie przed wyruszeniem w reklamowy maraton, powie Lily Beaumont, co do niej czuje. Wyzna jej miłość. Oczywiście sprawa z góry skazana była na klęskę. Liam wiedział, że będzie miał złamane serce, a może i nos, kiedy Jack o wszystkim się dowie. Jack niewiele mówił, ale był zbudowany jak tur. Tak, Liam miał zamiar dać kobietom na całym świecie to, czego zawsze się domagały: szczerść. Raz w życiu powie prawdę i zda się na los. Zresztą już tak postąpił wobec Betsy. W gruncie rzeczy wyświadczył żonie przysługę swoją szczerą krytyką jej wyglądu i sposobu prowadzenia domu. Teraz może nadrobić braki i złapać faceta tak samo prostackiego jak ona. Będą razem bardzo szczęśliwi.

Dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi.

— Obsługa — powiedział zachrypnięty głos. Liam podbiegł do drzwi, otworzył je na oścież i odebrał tacę. Wsunął pięcioletni napiwek przestraszonemu młodzieńcowi w dłoń, po czym zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Zdjął zegarek, rzucił go na dywan i zaczął stukać w klawisze. Miał zamiar wstać od klawiatury dopiero wtedy, gdy będzie miał pięć tysięcy słów, i ani razu nie spojrzeć na zegarek.

DAVID I CZAROWNICA

Była pora lunchu w piątek siedemnastego grudnia. Daisy stała przed kontuarem, koło niej na podłodze leżał worek ubrań, teczka z rysunkami i przenośna maszyna do szycia. Sprawiała wrażenie roztrzęsionej, czerwone włosy pokryte miała tynkiem.

— Co ci się stało? — zapytała Bridget, która stała za barem z ręcznikiem przewieszonym przez lewe ramię. Daisy pomyślała, że Bridget wygląda śmiesznie, jakby pracowała w tej tawernie od wielu lat.

— Nie uwierzysz, ale sufit w moim akademiku się zawalił — odparła Daisy, wydłubując cement z kołnierza. — Nigdy o czymś takim nie słyszałam, a ty?

— Też nie. Było strasznie? — Bridget stłumiła ziewanie.

— Przede wszystkim cholernie głośno, tyle ci powiem. Myśleliśmy, że Chrystus po raz drugi zstępuje na ziemię. Z parteru widzieliśmy niebo. Kompletnie porąbane. A cały ten kurz był nierzeczywisty. — Daisy zaczęła się trząść.

Bridget uznała, że koleżanka jest w szoku, i wezwała pomoc.

— Hej, wy tam! Akademik Daisy się zawalił! — krzyknęła w stronę kuchni. — Daisy jest tu teraz i trzęsie się jak osika. Jest w traumie!

— Wcale nie jestem w traumie, tylko mi zimno — warknęła Daisy. Bridget O'Malley jest niewiele większa od doniczki, ule potrafi zaleźć człowiekowi za skórę jak mało kto, pomyślała rozgniewana. Nie chciała, żeby z całej sprawy zrobiono dramat, potrzebowała tylko na jakiś czas schronienia.

— Dlaczego dom się zawalił? Gaz się ulatniał? Jesteś ranna? A inni, co z innymi? — krzyczała Lily, zbiegając po schodach.

— Czy powodem była ta wczorajsza ulewa?

— Chyba tak — wychrypiała Daisy, trzęsąc się coraz mocniej. — Dach już obwisał. To był płaski dach.

— Płaski dach w takim klimacie? — Lily pokręciła głową.

— Budowlańcy! Powariowali czy co? Nie podejrzewaliście, że coś takiego może się stać?

— Nie. W łazience przez całą noc kapalo z sufitu, ale to nie było nic poważnego, więc tylko podstawiliśmy wiadro. A rano przy śniadaniu światła wysiadły. Zaraz potem zaczęło dziwnie trzeszczeć i cały dach spadł.

— Mogło wam poobcinać głowy — westchnęła Bridget z udawanym przerażeniem, po czym odwróciła się i zaczęła polerować dozownik do alkoholi. Daisy ją zignorowała.

— Wszędzie było pełno kurzu. Wszystkie strasznie kaszlałyśmy i nie mogłyśmy otworzyć oczu. Byłyśmy w kuchni i jadłyśmy chińszczyznę. Nie udało nam się skończyć klopsików z kurczaka.

— Daj jej podwójną brandy, Bridget, i przestań się śmiać — powiedziała Lily z przyganą w głosie, choć sama siłą powstrzymywała śmiech. — Daisy i jej koleżanki mogły zginąć. Dzięki Bogu byłyście na parterze, Daisy.

— Tak. Chociaż jedna z dziewczyn była w sypialni na piętrze, kiedy dach runął.

— Mój Boże, i co? — zapytała szczerze zaniepokojona Lily.

— Najgorzej odczuł to jej chłopak na swoich plecach. Oboje poddawani są terapii z powodu szoku. — Daisy ze smutkiem pokręciła głową.

— Wcale się nie dziwię. Przynajmniej mogą powiedzieć, że ziemia się poruszyła — powiedziała Bridget ze złośliwym błyskiem w oku. Podała Daisy podwójną brandy, po czym pobiegła do łazienki, żeby porządnie się wyśmiać.

— Większość moich prac jest zniszczona — jęknęła Daisy, wycierając rękawem pył z oczu. — I nie mam gdzie się podziać.

— A rodzice?

— Rozwiedzeni. Założyli nowe rodziny, dla mnie nie ma miejsca.

— Nie mogą cię jakoś wcisnąć?

— To nie takie proste, a poza tym oboje mieszkają daleko za miastem. Większość czasu spędzałabym w autobusie. I kazaliby mi opiekować się dziećmi.

— Możesz zostać u nas, Daisy. Wypij teraz brandy — powiedziała Lily. Wyjęła z kieszeni telefon i szybko wystukała numer. — Halo, czy to sklep „Sosenka”? Mówi Lily Beaumont. Chciałabym zmienić zamówienie, mam nadzieję, że nie jest za późno? Doskonale. W takim razie proszę o piętrowe łóżko zamiast pojedynczego. I chciałabym tradycyjną angielską sosnę, dobrze? Chociaż styl meksykański też mógłby być, jeśli nie macie angielskiej sosny. Och, macie? Cudownie! Wielkie dzięki. Jestem zobowiązana, naprawdę.

— O co chodzi? — zapytała Daisy.

— Godzinę temu zamówiłam łóżko dla Marie. Dzisiaj po południu bank przejął dom jej rodziców, więc ona też została bez dachu nad głową.

— To straszne. Biedna Marie!

— Tak.

— Co się stało? — Daisy zupełnie zapomniała o własnych kłopotach.

— Pół roku temu zwolniono jej rodziców z przędzalni, bo okazało się, że taniej jest pruć w Azji. Są strasznie przygnębieni i trudno się dziwić. — Lily podstawiła szklaneczkę pod dozownik brandy, po czym upiła łyk. — Zostać bezdomnym, to musi być okropne. Zwłaszcza o tej porze roku.

— Tak. Skutki globalizmu — westchnęła Daisy. — Bóg się nimi zaopiekuje.

— Musimy jakoś dać sobie radę. Ty i Marie zamieszkacie z Bridget i Trudy. Choć będzie ciasno. Powoli zaczyna brakować nam miejsca.

— Miałam nadzieję, że pani to powie. Dziękuję, pani B. Można na panią liczyć. Gdzie jest Marie?

— W kuchni, gotuje gulasz wołowy. Jej biedni rodzice na razie zatrzymali się w tanim pensjonacie w Rosetcie.

— A co powie Bridget, jak się dowie, że ja też mam mieszkać w jej pokoju? Nie przepadamy za sobą nadmiernie.

— Nic nie powie. Przez cały dzień szklarz walił młotkiem. Tyle zamieszania z powodu nowego okna! I musiałam kupić dla niej nową pościel. Nie mogliśmy ryzykować, że gdzieś został ostry odłamek.

— Rozumiem.

— Idź na górę, zjedz kanapkę i odpocznij. Jak dostarczą łóżko, zajmiemy się pokojem. Niewykluczone, że trzeba będzie całkiem go przemeblować. — Po tych słowach Lily poszła obsłużyć klientów, a Daisy ruszyła po schodach. Kiedy Bridget zobaczyła, że Daisy ustawia swoje rzeczy w kącie za drzwiami, bardzo się zdenerwowała.

— Ty też? Boże święty! Dzisiaj wieczorem będzie tu jak w sypialni siedmiu krasnoludków.

— Wierz mi, wcale tego nie planowałam — powiedziała Daisy. — Wolalabym własny pokój. Jak tylko coś znajdę, natychmiast się stąd wyniosę. — I Daisy zniknęła w łazience, żeby zgodnie z sugestią Lily wziąć prysznic. Czuła się fatalnie, zdejmując ubranie w cudzym domu; nasza ją pokusa, żeby jednak zdać się na łaskę któregoś z rodziców. Zaraz jednak pomyślała o wszystkich obowiązkach, które na nią zwały, weszła więc do plastikowej wanny i puściła gorącą wodę. Bóg wie, że nie chciała dzielić sypialni z Bridget O'Malley, ale z drugiej strony nie miała też ochoty spędzać Bożego Narodzenia na pilnowaniu dzieci. Tutaj przynajmniej dostaje pieniądze za pracę.

Jack przez całe popołudnie składał piętrowe łóżko, a Lily musiała jeszcze raz odwiedzić sklep z pościelą. Zastanawiali się, co zrobią z tymi wszystkimi dodatkowymi meblami, kiedy dziewczęta się wyprowadzą (o ile się wyprowadzą), ale zaraz przypominali sobie, że nadmiar sprzętów to najmniejsze z ich zmartwień. Po długich rozważaniach postanowili ustawić dwa pojedyncze łóżka po obu stronach okna i rozdzielić je komodą. Łóżko piętrowe powędrowało pod ścianę na lewo od drzwi, dzięki czemu pozostało dość miejsca na sofę, telewizor i mały stolik do kawy. Lily przyniosła dywan ze swojej sypialni, żeby w kąciu z sofą było przytulniej, dziewczęta natomiast uporządkowały swoje ubrania, chowając je pod łóżka i wieszając na haczykach Trudy. Daisy wybrała górne łóżko. Marie nie miała nic przeciwko dolnemu; powiedziała, że przypominają jej się czasy, kiedy była małą dziewczynką, i ułożyła piżamę na poduszce. Kiedy skończyli pracę, pokój przypominał sypialnię w internacie. Dziewczętom bardzo podobało się nowe lokum — z wyjątkiem oczywiście Bridget. Zdążyły nawet

wypić filiżankę herbaty i zjeść po kawałku szarlotki, nim trzeba było wrócić do kuchni, by przygotować zamówione w ostatniej chwili przyjęcie. Bridget i Daisy stały za barem przez całe popołudnie. O szóstej dołączyły do nich Marie i Trudy, znosząc tace smakowitych przekąsek na coroczne spotkanie klubu rugby.

O siódmej pojawili się bracia Devaneyowie, skrzypiąc skórzanymi spodniami, i zajęli miejsce na małej estradzie koło komina. Tego wieczoru widok Davida zupełnie nie poruszył Daisy, Marie też nie poczuła wielkiego podekscytowania, gdy Michael posłał jej nieśmiały uśmiech. Obie były w szoku po stracie domu, we znaki dawało im się też zmęczenie, ostatnio bowiem pracowały do późna. Ledwo zauważyły, że David zadedykował ostatnią część koncertu uroczym barmankom. Chłopcy nie kryli rozczarowania.

O dziesiątej trzydzieści przyszedł Liam Bradley, szukając odrobiny towarzystwa. W hotelu zaczął mówić do siebie, uznał więc, że pora na krótką przerwę. Wyglądał okropnie z ciemnofioletowymi cieniami pod oczyma i kilkudniowym zarostem. Kiedy zadzwoniła jego komórka, wyłączył ją. Usiadł w ciemnym kącie na końcu baru i zaproponował, że postawi Bridget drinka.

— Dziękuję, wezmę colę — powiedziała. Zdjęła nakrętkę i napiła się prosto z butelki. — Co dla pana?

— Podwójna wódka i dietetyczna lemoniada. Muszę coś uczcić — odparł.

A niech to, pomyślała Bridget, postawił mi colę i spodziewa się, że będę wysłuchiwać jego zwierzeń.

— Nowa książka idzie dobrze? — zapytała uprzejmie.

— O, tak — roześmiał się Liam. Już sprawiał wrażenie zalanego. — To największa brednia, jaką kiedykolwiek widział ekran komputera, ale dzięki niej będę bogaty. Próbowałem przekonać Perry'ego, że Pistolet powinien być miłym facetem, ale nie chciał mnie słuchać. Więc będzie jak przedtem, za to ja zgarnę kupę szmalu.

— Gratulacje — powiedziała Bridget, szeroko ziewając. Podała Liamowi drinka, po czym poszła na drugi koniec baru. Była taka zmęczona, że nie miała sił zważać na maniery. Wszystkie te nocne telefony do Gerry'ego Maddena zaczynały się na niej odbijać. Nie miała pojęcia, kim są Perry i Pistolet, i guzik ją to obchodziło. Odkąd się dowiedziała, że Liam Bradley ma seksowną żonę, straciła całe zainteresowanie jego osobą. Zdażyła się już przekonać, że żonaci są skąpi. Rozwodnicy zaś bywali jeszcze gorsi, więc ta droga prowadziła donikąd. Oszukiwała samą siebie myśląc, że coś z tego może być. Już skreśliła Gerry'ego Maddena, teraz jego los podzielił Liam Bradley. Twarz i szyja pisarza przybrała barwę włosów Daisy, kiedy zobaczył, do jakiego stopnia Bridget znudzona jest nim i jego wielką powieścią. O nic go nie zapytała. Jego męska duma doznała poważnego uszczerbku. Kiedy kilka minut później Bridget zbliżyła się ku niemu, uniósł dłoń, by zwrócić na siebie uwagę.

— Jeszcze raz to samo, kochanie.

— Jasne. — Wprawdzie Bridget pomyślała, że pisarz za chwilę zwali się na podłogę, ale to nie był jej problem. Jeśli rzeczywiście tak się stanie, Jack wezwie karetkę i odwieżą starego nudziarza. Mężczyźni! I wydaje się im, że są lepsi od nas, pomyślała ze smutkiem Bridget. Ustawiała szklanki na półce świadoma, że oczy Liama wywiercają dziury w jej plecach.

— Nie przepadasz za powieściami kryminalnymi? — zapytał, podczas gdy goście oklaskiwali braci Devaneyów, którzy całkiem nieźle zaśpiewali kilka piosenek U2.

— Mam być szczerą? — Bridget oparła się o kontuar. Miała wrażenie, że jeszcze chwila i zemdleje ze zmęczenia.

— Tak, całkowicie szczerą — wybełkotał Liam.

— Od lat nie przeczytałam żadnej książki, ani kryminalnej, ani innej — powiedziała, patrząc prosto w przymrużone szare oczy Liama. — Nie jestem osobą kulturalną i guzik mnie obchodzi, co inni o tym myślą. Mam dwadzieścia pięć lat, całe życie przed sobą. Będę miała mnóstwo czasu na czytanie książek, kiedy za sześćdziesiąt lat wyląduję w domu opieki, otulona kraciastym kocem.

Liam przetrwał jej słowa.

— Cóż za odświeżająca szczerłość. Jak się nazywasz, bo zapomniałem?

— Bridget O'Malley.

— Bridget O'Malley. Słodko, naprawdę! To jak nazwisko kota w kreskówce Disneya.

— Chce pan jeszcze jednego drinka? — westchnęła, spoglądając na zegarek.

— Rozstałem się z żoną, Bridget O'Malley. Co o tym sądzisz?

— Fatalnie, panie Bradley.

— Tak. Ale nie mamy dzieci, więc chyba mogło być gorzej, no nie?

— Pewnie tak. — Bridget znowu westchnęła i przewróciła oczami. Dlaczego jej się wydawało, że zawód barmanki daje tyle rewelacyjnych okazji do poznania ciekawych mężczyzn? Przecież kiedy stają na jej drodze, życie zdążyło ich skopać jak starą piłkę i prują się na szwach. Bridget czystą ściereczką wytarła kontuar przed Liamem i z rozmachem podłożyła nową podstawkę. — Więc głowa do góry. — Niemal roześmiała się mu w twarz, gdy zobaczyła, jak bardzo nim wstrząsnęła jej obojętność.

Liam pił przez całe popołudnie, alkohol stępił mu zmysły i w gruncie rzeczy nie był w stanie obrazić się na straszliwy brak szacunku ze strony tej młodej kobiety. Bridget była ładna, chętnie spędziłby z nią kwadransik. Ale w porównaniu z Lily Beaumont nie miała szans.

— Moja żona nie jest kulturalną osobą — powiedział, po czym donośnie beknął.

— A pan zna się na kulturze, panie Bradley?

— Nie. Nie odróżniłbym złej sztuki od dobrej.

— Więc dlaczego od niej pan tego wymaga?

— Bo powinna taka być. Przez cały dzień nie ma nic do roboty. Powinna czytać intelektualną poezję i na przyjęciach przedstawiać mnie w dobrym świetle. — Liam przymknął oczy, by bar przestał wirować, ale kiedy znowu je otworzył, było jeszcze gorzej.

— Wie pan co, panie Bradley?

— Mów mi Liam.

— Liam, może nie nadajesz się do małżeństwa? Nie przejmuj się tym. Mnóstwo mężczyzn się nie nadaje. Moja rada jest taka: wynajmij sprzątaczkę i zapomnij o kulturze i innych takich. Życzę powodzenia z książką. — Bridget poszła na drugi koniec baru, zostawiając Liama z tymi słowami. Chociaż próbował nawiązać z nią rozmowę, unikała jego wzroku i znajdowała sobie zajęcie przy koktajlach. Marzyła, żeby wieczór wreszcie się skończył, bo wtedy będzie mogła z kubkiem herbaty i grzanką umościć się w nowej pościeli. Gdzie dołoży wszelkich starań by nie widzieć innych łóżek w pokoju.

Dwadzieścia pięć po jedenastej Devaneyowie pakowali instrumenty, a przy kontuarze tłoczyli się goście z ostatnimi zamówieniami, przez co zrobił się straszny hałas. A po zamknięciu trzeba jeszcze posprzątać. Bridget dusiła się w chmurze papierosowego dymu, chociaż wiatrak nad jej głową chodził jak szalony. Stopy jej odpadały, ale nie mogła włożyć butów na płaskim obcasie, bo widok na salę zasłoniłyby jej dystrybutory z piwem. Zaczynało brakować soku porzeczkowego, ciemnego cukru i szampana.

— Z deszczu pod rynnę — westchnęła po raz nie wiadomo który, gdy złożono zamówienie na dwadzieścia koktajli Peach Bellini, w dodatku w ostatniej minucie. To rozwiało wszelkie złudzenia, że praca w tawernie będzie przypominać wakacje. Kiedy jeden pijany rugbista położył się na barze i powiedział, że zakochał się w niej do szaleństwa, Bridget tylko podniosła oczy do nieba. Zaczynała już myśleć, że może powinna całkowicie zrezygnować z mężczyzn i wstąpić do zakonu. Anioł na czubku najmniejszej choinki uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć, że wieczór zaraz się skończy, wszystko będzie w porządku.

Potem Liam Bradley stracił przytomność na kamiennej podłodze, co rugbiści przyjęli donośnymi wiwatami.

— Ten pisarz wygląda na większego pijaka niż doktor Gerry — ze smutkiem powiedziała aniołowi Bridget.

A Davidowi Devaneyowi wpadła w oko Daisy. Każdy głupi to widział. David przez cały wieczór nie odrywał od niej oczu. Chociaż była wysoka jak tyczka i ubrana jak czarownica z programu dla dzieci.

— O Boże — szepnęła Bridget, kiedy Liama wyniesiono na dwór. — Co się ze mną stanie?

Kiedy Daisy po zamknięciu przyniosła za kontuar brudne szklanki, spojrzała na nią z taką odrazą, że Daisy nie kryła szoku.

Bridget nie wiedziała, że Daisy też jest na granicy wyczerpania. Tak się cieszyła, że na Boże Narodzenie będzie miała dom tylko dla siebie. Planowała wiele leniwych godzin przed telewizorem z pizzą i maseczką ogórkową na twarzy. A teraz musi pomagać w barze, i to przez cały dzień. Wiedziała oczywiście, że jedzenie będzie wyśmienite, ale fakt, że zawalił się dom, w którym mieszkała, uświadomił jej własną kruchość i bezbronność. Może dyplom ze scenografii teatralnej nie daje najlepszego startu w życie? Czy kiedykolwiek będzie ją stać na własny dom? A może zawsze będzie żyła na wazylkach?

Kiedy wreszcie wszystkich gości, wciąż śpiewających ile sił w płucach, wyprowadzono na wilgotną i zimną ulicę, Daisy usiadła przy kominku i pogrążyła się w melancholii. Jej wielkie zielone oczy przepełnione były smutkiem. Na piętrze Lily, Jack, Trudy i Marie stali w kolejce do łazienki, bo jak zwykle uprzedziła ich Bridget. Tak więc Daisy sama zaproponowała, że pogasi światła na dole. Postanowiła jednak, że zostawi lampki na choince, kiedy będzie grzać dłonie nad dogasającym ogniem. Zaledwie wczoraj pokłóciła się z rodzicami na temat świąt. Ojciec oznajmił, że obrazi się, jeśli Daisy nie będzie z nimi. Poza tym przydałaby się im pomoc przy dzieciach, bo jego żona Sheila rano przez kilka godzin będzie pracowała w hotelu. Matka natomiast powiedziała, że Daisy mogłaby spędzić Boże Narodzenie u nich, jako że przeprowadzili się do nowego domu i ściany wymagają trzech warstw farby. Najwyraźniej uważała, że Daisy będzie uszczęśliwiona, malując podczas ferii świątecznych ściany.

— Przecież studiujesz na akademii sztuk pięknych, no nie? — oznajmiła matka radośnie. — Pomożesz mi wybrać ładny odcień beżu do salonu. Mam cztery propozycje.

A Daisy chciała, żeby jej powiedzieli, że ją kochają i bardzo im przykro, że postawili jej życie na głowie, decydując się na rozwód, nowe małżeństwa, nowe dzieci. Westchnęła, zadając sobie pytanie, jak uda jej się wynająć pokój. Nie chciała nadużywać gościnności Beaumontów, ale u przyjaciół nie było wolnego miejsca, a nie miała z czego wpłacić depozytu. Ciekawe, czy Beaumontowie wyjeżdżają na Boże Narodzenie. Wolałaby spędzić ten dzień samotnie, niż oglądać, jak rodzice czują się do nowych partnerów. Chociaż Daisy akceptowała rozwód jako wolność obywatelską, wielką przykrość sprawiało jej oglądanie rozpadu własnej rodziny. I nie potrafiła się zdecydować, do którego z rodziców pójść. Gdyby wybrała matkę, ojciec czułby się odrzucony, i odwrotnie. W zeszłym roku przed południem była u ojca, a po południu u matki. Ale to też było skomplikowane, ponieważ miała wrażenie, że porównuje sposób obchodzenia świąt, bo wypytywali ją o to, co się dzieje w drugim domu. No i musiałaby kupić siedem prezentów dla przyrodniego rodzeństwa, a nie miała na to pieniędzy.

Nie pozostało jej nic innego, jak zapytać, czy może na Boże Narodzenie zostać w tawernie. Jeśli Beaumontowie gdzieś wychodzą, może zgodzą się, żeby popilnowała domu. Daisy zwinęła włosy w kok i zdjęła kilka cekinów z rąbka krótkiej czarnej spódniczki. Myśl pozytywnie, napomniała się. Lily i Jack zachowali się wspaniale, przyjmując ją do siebie, a pokój był przytulny i sympatyczny mimo

nagromadzenia sprzętów. W jednym kącie urządziły mały salonik z sofą i telewizorem. Marie planowała przyjęcie o północy (biedaczka, szok utraty rodzinnego domu sprawiał, że uciekała do przyjemności z dzieciństwa). Rozchmurz się, powiedziała sobie Daisy, i płyn z prądem. Coś się wydarzy w chwili, gdy najmniej będziesz się tego spodziewała.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi. Daisy podskoczyła. Podeszła do okna, ale było za ciemno i nic nie widziała.

— Zamknięte! — zawołała. — Bardzo mi przykro.

— Tu David Devaney — odpowiedział męski głos. — Zgubiłem portfel. Mogę sprawdzić, czy gdzieś tu został, zanim zacznę unieważniać wszystkie moje karty?

— Jasne. — Daisy otworzyła drzwi. — Rozejrzyjmy się.

Po dziesięciu minutach poszukiwań Daisy znalazła portfel za koszem z torfem.

— Ach, świetnie — powiedział z ulgą David. — Nie mam pojęcia, jak to się stało.

Daisy miała pojęcie. W tylnej kieszeni spodni Davida nie było miejsca na pięcioletni banknot, a co dopiero na gruby skórzany portfel. Oddała mu go z krzywym uśmiechem. David sporo się namęczył, ale zdołał wepchnąć portfel do kieszeni. Daisy pomyślała, że chłopak wygląda rewelacyjnie w świetle ognia na kominku, chociaż był ubrany jak kalifornijski śpiewak kabaretowy z lat siedemdziesiątych.

— Chyba pójde się położyć. Nie byłam dzisiaj na zajęciach — ziewnęła, zakrywając usta dłońmi. David patrzył na nią z ciekawością. — To długa historia — dodała z uśmiechem. — Z udziałem klopsików z kurczaka i wielkich tabunów pyłu.

— Opowiedz mi. Chyba że jesteś wykończona? A może zaproszę cię kiedyś na kolację i wtedy mi opowiesz?

Spoglądali na siebie przez chwilę, później David przekrzywił lekko głowę i wolno się ku niej pochylił. Kiedy jego wargi dotknęły jej ust, Daisy wciąż się zastanawiała, czy też powinna go pocałować. Postanowiła, że wykorzysta okazję. David był bardzo przystojny, podobał jej się. Bridget skreśliła się z zazdrości, a chociaż Daisy nie wątpiła, że ich związek będzie przelotny, potrwa do chwili, gdy David pójdzie grać gdzie indziej, pozwoliła, by ją objął i przytulił. W końcu, jak powiedziała dziennikarzom Lily, jest Boże Narodzenie...

KRÓTKI ROMANS BETSY

Richard Allen leżał na swoim wygodnym czarnym fotelu i kartkował notes z adresami. Zastanawiał się, czy nie zaprosić na kolację tej miłej dziewczyny, Sary Jones. Poznali się na aukcji kilka dni wcześniej. Okazja była nieco smutna: przejęcie nieruchomości przez bank. Małżeństwo robotników nazwiskiem Smith zbankrutowało. Sara była z firmy budowlanej z Belleek. Miała kpiące piwne oczy i pochodziła z bogatej rodziny. Richard westchnął zadowolony, wpatrując się w ogień na gazowym kominku, w którym zamiast węgla żarzyły się białe stożki. Ozdoby na sztucznej choince połyskiwały i dźwięczały. Ku swojej radości Richard mógł w spokoju cieszyć się takimi sprawami. W przeciwieństwie do kolegów z pracy, którzy jak szaleni biegali po sklepach, kupując prezenty dla dzieci.

Rozległ się dzwonek domofonu. Richard nawet się nie poruszył — prawdopodobnie to ktoś zbierający datki albo kolędniczy. Ale dzwonek zadzwonił po raz drugi i trzeci.

— Cholera — powiedział, podchodząc do domofonu. — Kto tam?

— Richard, to ja, Betsy.

— Betsy Bradley?

— Tak! Ile innych kobiet o tym imieniu znasz?

— Wejdz, Betsy. — Richard z ociąganiem nacisnął guzik.

— Tak sobie pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę — powiedziała zadyszana po pokonaniu trzech pięter.

Richard był rozczarowany. Cieszył się na film akcji w Sky TV, potem miał zamiar wpaść do baru Kane'a po drugiej stronie ulicy na drinka przed zamknięciem. Uśmiechnął się słabo do Betsy, która stukając bardzo wysokimi obcasami po drewnianej podłodze, podeszła do sofy.

— Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność? — zapytał Richard, zmuszając się do pełnego wdzięku tonu. Betsy wyjęła z torby butelkę doskonałego szampana, po czym zrzuciła sztuczne futro i wełnianą czapkę. Ubrana była w króciutką dzinsową spódniczkę ze strzępiastym rąbkiem i obcisły różowy T-shirt z błyszczącym napisem „Babe”. Miała świeżo opalone nogi i blond przedłużenia we włosach.

— A niech mnie! Betsy, próbujesz usunąć z biznesu Pamelę Anderson?

— Och, ty pochlebco! — zawołała ucieszona komplementem. — Zafundowałam sobie dzień w salonie piękności i pomyślałam, że wpadnę, żebyś obejrzał rezultat. — Uwodzicielsko skrzyżowała nogi i potarła dłońmi po gładkich łydkach, by zademonstrować manicure. Wbrew sobie Richard poczuł podniecenie. OK, Betsy jest wulgarna i pospolita, ale w dobrym stylu. Odkorkował szampana i przyniósł z kuchni dwa kieliszki.

— Uwielbiam twoje drzewko — zagruchała Betsy, gdy podał jej kieliszek. — Gdzie kupiłeś te ozdoby?

— Nie pamiętam — odparł, uważnie nalewając szampana. Kilka lat temu wybrała je dla niego była dziewczyna, ale nie przypominał sobie jej imienia, więc właściwie nie kłamał.

— Są śliczne. Usiądź. — Betsy poklepała miejsce koło siebie.

Richard westchnął. Niedługo dostanie ataku serca przez to bujne życie erotyczne. Nie miał ochoty kopnąć w kalendarz jako czterdziestoparolatek. Betsy wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się do niego. Od razu zauważył, że nie ma na sobie stanika. Roześmiała się, gdy zobaczyła, jak jego wzrok zsuwa się niżej, na brązowe uda.

— Tam też niewiele mam — zachichotała, wolno podnosząc się na nogi.

— Naprawdę? — Robert jednym haustem wypił szampana i odstawił kieliszek na stolik. Włożył dłoń pod spódniczkę Betsy. Znalazł cieniusieńkie wstążki związane na kokardkę. Łagodnie pociągnął i na podłogę spadły stringi z różowej koronki. No proszę, pomyślał Richard, nabierając powietrza.

— Mam się rozebrać? — zapytała kpiąco Betsy.

— Nie ma powodu, właściwie nie jesteś ubrana — odparł, sadzając ją sobie na kolanie.

— A obcasy? Mogę przedziurawić obicie, są ostre jak igły.

— Betsy, doprowadzasz mnie do szaleństwa. Wiesz, jak lubię wysokie obcasy — jęknął Richard, ale zaraz łagodnie zdjął jej buty. Nie ma sensu niszczyć mebli. Położyli się na sofie. Richard podniósł jej spódniczkę, zsunął T-shirt z ramion i całkiem zapomniał o filmie. Betsy odpięła pasek, wyciągnęła go ze spodni i rzuciła nim przez pokój.

— Bądź brutalny, tygrysie! — poprosiła. Całowała go mocno po twarzy, zostawiając ślady różowej szminki.

Richard w wyrachowanym objawie namiętności pociągnął ją za włosy. Lubiała, by udawał, że chce ją skrzywdzić, naturalnie pod warunkiem, żeby wcale tego nie robił.

— Ostrożnie — ostrzegła, gdy w garści został mu pęk jasnych włókien. — Te przedłużenia kosztowały mnie fortunę, nie wspominając już o czasie, jaki spędziłam u fryzjera.

Richard przeprosił; oboje po tym incydencie nieco zwolnili. Betsy chciała go całować, ale on wolał przejść do sedna. Odepchnęła jego dłonie ze swoich bioder.

— Chwileczkę — wymruczała zmysłowo. Wydało jej się, że dostrzega na jego twarzy zniecierpliwienie, i poczuła lekki gniew. Nie może poczekać, tak samo jak Liam. Próbując ożywić nastrój, uderzyła go mocno w twarz.

Szczerze wstrząśnięty, złapał ją mocno za przeguby i przekreślił, przygważdżając do sofy.

— Pożałujesz tego — wydyszał. Betsy roześmiała się głośno i znowu go pocałowała. — Oj! — odetchnął, kiedy pięć minut później było po wszystkim. — Cudownie. Jestem wykończony.

— Dziękuję — uśmiechnęła się Betsy. Szczerze mówiąc, czuła lekkie rozczarowanie, że dał jej tylko pięć minut rozkoszy. A przecież spędziła cały dzień, by wyszykować się dla niego. Chociaż oboje przeżyli orgazm, czuła się oszukana. Mężczyźni są żałośni, pomyślała. Twierdzą, że lubią pofantazjować, ale nie potrafią nic zrobić, kiedy przychodzi ich kolej. Niech ich diabli wezmą.

Richard nalał szampana.

— Świątujemy jakąś konkretną okazję? — zapytał, ocierając pot z czoła.

— O, tak. — Betsy upiła łyk. — Rozstaliśmy się z Liamem.

— Naprawdę? — Richard nawet nie mrugnął, choć temperatura jego ciała gwałtownie się obniżyła. — Tak nagle? Co się stało?

— Całkiem mu odbiło. Dzień i noc pracuje nad swoją nową książką i zakochał się w bohaterce.

— Ciężka sprawa. — Richard głośno wypuścił powietrze z płuc. Nigdy nie zakochał się w żadnej żywej kobiecie, a co dopiero w bohaterce powieści. — I co z tym zrobisz?

— Zajmie się nim mój brat Ted. Jest prawnikiem.

Ojej, jęknął w duchu Richard. Całkiem o tym zapomniał. Biedny Liam!

— Może Liam przeżywa kryzys twórczy? — podsunął. — To przejdzie.

— Guzik mnie obchodzi, czy mu przejdzie. Mam po dziurki w nosie jego humorów. Żaden mężczyzna nie może traktować mnie jak szmatę i liczyć, że ujdzie mu to na sucho.

— Słusznie. — Richard dopił szampana i nalał sobie whisky z karafki na srebrnej tacy, która stała na stoliku zrobionym z drzewi więzienia w Indiach. Podniósł pasek i drżącymi palcami wsunął w szlufki. Martwił się. Nie miał ochoty na związek ze wzgardzoną kobietą, w którym zmuszony byłby wysłuchiwać jej wiecznych narzekań na złego eksmęża. Niektóre kobiety potrafią przez lata po rozstaniu utrzymywać rozgoryczenie w punkcie wrzenia. Opowiadają o grzechach byłych tak długo, aż zniechęcą do siebie ewentualnych nowych kochanków, a nawet starych przyjaciół. Bóg wie, że nie chciał się wplątać w kolejną sprawę rozwodową jako świadek. O mało nie stracił pracy, kiedy przyłapano go w łóżku z żoną klienta. Nie, najwyższy czas pozbyć się Betsy; musi ją skłonić, żeby go porzuciła, a równocześnie przekonać, że wyświadcza jej tym przysługę.

— Może przez jakiś czas nie powinniśmy się widywać? — zaczął. — Nie chciałbym, żebyś z mojego powodu straciła finansowo. No wiesz, gdyby Liam postanowił obrzucić cię w sądzie błotem?

— Niepotrzebnie się martwisz. Konto bankowe jest puste, został tylko dom. A Liam go nie dostanie. Najpierw musiałby mnie zabić.

— Rozumiem. — Richarda ogarnęła panika. — Może jednak spróbujesz się z nim pogodzić? Nie chciałbym, żebyś została sama, Betsy.

— Ale ja nie jestem sama, prawda? — zapytała cicho. Pocałowała go w policzek i wepchnęła swoje niemal idealnie okrągłe piersi pod bawełnianą koszulkę.

— Nie — szepnął Richard.

Whisky paliła go w gardle jak żółć.

— Cudownie, że mogłam tu przyjść i zapomnieć o wszystkich moich kłopotach choć na chwilę. Nie wiem, co bym poczęła bez ciebie, panie Allen. Sprawdźmy, czy uda nam się przedłużyć te pięć minut. Wciąż jestem w imprezowym nastroju. Chodźmy do sypialni. Dostaję skurczy od tego klęczenia.

W jednej chwili Richarda opuściły panowanie nad sobą i pociąg seksualny. Jeśli pójdą do sypialni, niewykluczone, że Betsy zaśnie i skończy się na tym, że spędzi u niego całą noc. Poza tym nowa futrzana narzuta na łóżko kosztowała go fortunę i nie chciał, żeby się zniszczyła tak jak biały dywan, który zalali czerwonym winem. Betsy niekiedy zachowywała się bardzo dziecinnie, w zapamiętaniu chlapiąc winem na wszystkie strony. I nie podobało mu się, że ciągle powtarza, jakie śliczne jest jego mieszkanie. Betsy Bradley odznaczała się pasożytniczymi skłonnościami, to nie ulegało wątpliwości. Gdyby w wyniku rozwodu straciła dom, mogłaby wprowadzić się do niego. Odwrócił ku sobie jej twarz.

— Betsy, wyjaśnijmy coś sobie, dobrze? Nie jesteśmy parą, zdajesz sobie z tego sprawę?

— Co to znaczy: nie jesteśmy parą? Przecież jesteśmy kochankami, tak czy nie? Wiem, że na razie to nic poważnego.

— Jesteśmy kochankami, ale to wszystko. Nie jestem gotów na stały związek.

— Masz czterdzieści jeden lat, Richard. Wróć do rzeczywistości! Moim zdaniem przesadzasz z tym brakiem gotowości do stałego związku, no chyba że odkryłeś tajemnicę wiecznego życia.

— Czterdzieści jeden lat to żaden wiek.

— Mógłbyś być dziadkiem.

— O czym ty mówisz? Nieprawda!

— Ależ tak. Tam skąd pochodzę, faceta, który kończy czterdziestkę i nie jest dziadkiem, wszyscy uważają za geja.

— Nie opowiadaj głupot. W naszym świecie masz tyle lat, na ile się czujesz.

— Mężczyźni! Macie ego wielkie jak stodoła!

— Posłuchaj, Betsy, jestem tylko z tobą szczerzy.

— To samo powiedział mi Liam, kiedy odchodził. Nazwał mnie dziwką.

— Tak? — zapytał zaszokowany Richard, choć w duchu czuł podziw do Liama za takie obsesyjne potraktowanie Betsy. Pomyślał, że chyba kupi jego pierwszą książkę.

— Powiedział, że kompromituje go na przyjęciach. Chciał, żebym przy pieczeniu mówiła poematy albo coś w tym rodzaju. — Betsy poprawiła sobie spódnicę i wierzchem dłoni starła szminkę z twarzy.

Richardowi zrobiło się niedobrze. Biedna Betsy: i ona mówi o nieokrzesianiu. Jest kompletnie beznadziejna. Naprawdę nie powinien zadowalać się byle czym. A gdyby któryś z jego przyjaciół zobaczył ich razem?

— Wiersze się recytuje — poprawił ją. — Recytuje, a nie mówi.

— Zamknij buzię! Sam handlujesz domami, więc nie rób mi wykładów! Potrafisz wyrecytować wiersz? Potrafisz? No to proszę. Słucham.

Zapadła straszna cisza. Romans, który szczęśliwie trwał przez kilka lat, nagle padł martwy na błyszczącą podłogę.

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem Samuelem Beckettem — westchnął Richard. Możesz zabrać kobietę z getta, ale nie uda ci się usunąć getta z kobiety. Spojrzał na zegarek.

— Nieważne — warknęła Betsy. — Wiem, kiedy nie jestem mile widziana. Wiem, kiedy mnie nie chcą.

— Dajże spokój, Betsy. Wiesz, że jesteśmy tylko statkami mijającymi się nocą. Wiesz, że nigdy nie mieliśmy szans na wystawny ślub.

— Tak, ale myślałam, że bardziej mnie lubisz. Że chodzi o coś więcej, nie tylko o seks. Kiedy między nami się zepsuło, Rich? Zupełnie cię już nie obchodzi? Mów do mnie, kochanie.

— Nie masz przyjaciółek na takie pogaduszki?

— Nie. Prawdę mówiąc, jestem bardzo samotna.

— Może powinnaś więcej wychodzić? Znaleźć sobie jakąś pracę?

— Może tak zrobię, Richard. Dzięki za radę — odparła z goryczą. To tyle, jeśli chodzi o bycie utrzymanką. W dzisiejszych czasach musisz być szczupłą, atrakcyjną, seksualnie doświadczoną, finansowo niezależną i biorącą pigułkę antykoncepcyjną kobietą, żeby porządny facet chciał z tobą pójść do łóżka. A nawet wtedy z niemożliwością graniczyło złowienie go na haczyk. W przeszłości robiła z Liamem rzeczy, których wspomnienie budziło w niej odrazę, i nic z tego nie wyszło. Nie chciał jej. I Richard także jej nie chciał.

— Możemy zostać przyjaciółmi? — nalegał Richard. W duchu powiedział sobie, że musi zmienić numer telefonu.

— Tak, jasne. Będę cię odwiedzała, dobrze? Na przykład w co drugi poniedziałek? Będziemy grać w scrabble i monopol, co? — Betsy Bradley nie była taka głupia, na jaką wyglądała. Wstała i podniosła z podłogi różowe majteczki. Płonąc ze wstydu, ruszyła przez mieszkanie. Wysokie obcasy jej butów ślizgały się po gładkiej podłodze. Richard postanowił, że jak tylko Betsy zniknie za drzwiami, zadzwoni do Sary Jones. Sara ze swoim uroczym zaśpiewem z Fermanagh była dziewczyną z klasą. Umarłaby raczej, niż pokazała się w różowych figach i czerwonych lśniących butach. Nosila kostium w paski, czarne wysokie buty z wydłużonymi noskami i markową torbę na dokumenty. Włosy miała cudownie, naturalnie czarne. Richard zdecydował, że definitywnie skończył z blondynkami.

Przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie będzie umawiał się z dziewczyną w rodzaju Betsy, która tymczasem wrzuciła figi do torebki i przygotowywała się do wyjścia z gołą pupą.

— Do widzenia, Richard — powiedziała, wkładając futro i czapkę. — Nie fatyguj się dzwonieniem do mnie.

— OK. — Mrugnął do niej ze smutną miną. Betsy przystanęła w progu, cicho wzdychając.

Richard pomyślał, że próbuje wzbudzić w nim współczucie, podszedł więc do drzwi balkonowych i otworzył je na oścież. Stał na balkonie, wciągając w płuca zimne świeże powietrze.

Z dłonią na klamce Betsy po raz ostatni na niego spojrzała.

— Do widzenia — powtórzyła.

— Przykro mi, Betsy. Między nami nic wyjątkowego nie było. Jestem z tobą szczery. Wolalibyś, żebym kłamał?

— Prawdę mówiąc, tak.

Po powrocie na Marlborough Avenue Betsy otworzyła ciężkie frontowe drzwi, weszła do domu i usiadła na schodach. Uświadomiła sobie, że człowieka, którego całe życie rozpadło się w gruzy, ogarnia coś w rodzaju spokoju. Próby związania marzeń o sławie i fortunie z pisarską karierą Liama Bradleya były bardzo wyczerpujące. Tyle wysiłku włożyła w pieszczonienie jego słabego ego, że zupełnie straciła z oczu własną osobowość. A ten niewdzięczny drań rzucił ją jak niedojedzonego hamburgera. Odrzucenie przez Allena Richarda było zaledwie ostatnią kroplą, która przepełniła dzban.

Więc jest teraz wolna. Jej życie jest czystym arkuszem, pustą stronicą. Musi się pozbierać i żyć dalej. Doszła do wniosku, że wygląd blond laleczki z implantami piersi okazał się kompletną klęską. Jakimś sposobem mężczyźni przestali widzieć w niej człowieka, była dla nich wyłącznie obiektem seksualnym. Zresztą sztuczne cycki jej samej nie sprawiały większej przyjemności. Musi zarezerwować termin operacji usunięcia implantów, nim Liam zamknie wspólne konto bankowe. Wzdychając, wstała i podeszła do lustra w holu. Na powiekach widniały ciemne smugi rozmazanego tuszu. Twarz miała pustą, pozbawioną wyrazu.

— No, dziewczyno — powiedziała sobie. — Stać cię na coś więcej.

WYBÓR LIAMA

Dni szybko mijały, dzisiaj była niedziela dziewiętnastego grudnia. Liam i Perry Shaw siedzieli w kawiarni hotelu Europa, ukryci za trzema palmami w doniczkach i fortepianem. Spotkanie nie przebiegało gładko. Liam czuł się zapędzony w kozi róg i nie krył rozdrażnienia. Z braku snu było mu słabo. Perry czuł się znużony. Bolały go plecy od niewygodnego fotela w samolocie. Mężczyźni nalali sobie herbaty i posmarowali masłem rogaliki, odwołując konfrontację. W końcu Perry cicho zakaszłał.

— Liam, czemu tak to sobie utrudniasz? Wiele razy ci mówiłem, że jesteśmy już prawie gotowi do podpisania kontraktu. Ściślej rzecz biorąc, kilku kontraktów. A ty piszesz książkę tak, jak to uzgodniliśmy, prawda? Masz już wstępną wersję?

— Tak, ale książka jest za krótka. Trzeba ją rozbudować. Coś mi w niej jednak nadal nie pasuje.

— Doceniam twoje wysiłki. Zrobiłem, o co mnie prosiłeś, ale nikt nie chce Pistoleta, który wszedł na drogę cnoty. Nie odpowiada im najmniejsza zmiana. Czyli to mamy załatwione?

— Wiem, że to korzystny interes, Perry, i jestem ci bardzo wdzięczny. Bóg wie, że potrzebuję pieniędzy.

— Ale?

— Widzisz, nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek to powiem, ale obchodzi mnie moja praca. Obchodzi mnie wpływ, jaki powieść może wyrzeć na przeciętnego czytelnika. Nie chcę, żeby młodzi chłopcy myśleli, że zachowanie Magee jest normalne, godne podziwu czy nawet możliwe do zaakceptowania.

— Liam, musisz dać sobie z tym spokój. Przeżywasz kryzys wieku średniego, to wszystko.

— Jaki kryzys? Mam dopiero czterdzieści lat. — Liam zdjął okulary słoneczne, przetarł je serwetką i włożył z powrotem na nos.

— Jasne, dobra. Zapomnij o ostatnim zdaniu. Nie mówię, że jesteś w średnim wieku, tylko że osiągasz taki etap życia, na którym rzeczą naturalną jest rozważanie i kwestionowanie własnych wartości i przekonań. To normalne, kiedy człowiek kończy czterdziestkę. Jesteś zmęczony i dajesz się ponieść emocjom. Za ciężko pracujesz, Liam.

— Chcę być dumny z tej książki, Perry. Chociaż tytuł wcale mi się nie podoba.

— Liam, nawet nie zaczynaj. Wydawcy są nim zachwyceni. To było powiedzonko Basila Brusha, wiedziałeś o tym?

— Mówisz o tej pacyncie?

— Tak, o pacyncie, ale nie byle jakiej. Basil Brush był gwiazdą.

— Tytułem mojej powieści jest powiedzonko pacynki o lisiej mordce!...

— I tak jest dobrze, mówię ci. A ponieważ dochodzi do wybuchu gazu, Pistolet nie ponosi winy za zburzenie całej ulicy. Nie jesteś z tego zadowolony?

— Chyba tak. Ale Pistolet to taki nieudacznik.

— Nieprawda, to bohater! Wydawcom bardzo podobały się pierwsze rozdziały, Liam. Piali z zachwytem. Zainteresowanie okazały też dwie wielkie telewizje. A to oznacza, że będzie drugi serial!

— Ale Magee znowu jest sam.

— Tak, tylko że nie z własnego wyboru. Mąż właścicielki tawerny ślepnie w wybuchu, więc ona z poczucia obowiązku zostaje przy nim i łamie Pistoletowi serce. Sam widzisz, nie jest nieudacznikiem, tylko przeżywa zawód miłosny. A ta aluzja do „Jane Eyre” jest świetnym chwytem.

— Co?

— Człowiek, którego Jane kochała, też został oślepiiony. Nieważne.

— Wciąż myślę, że mąż powinien zginąć.

— Nie, musi przeżyć. No wiesz, z pubu została tylko kupka gruzu, więc ta kobieta i tak ma dość zmartwień.

— Magee jest samotny i nie ma dzieci, Perry. Powinien przynajmniej zostać ojcem.

— Łapie przestępców. Oczyszcza ulice ze zbrodni.

— A kogo to obchodzi? Mam po dziurki w nosie Pistoleta Magee, którego sam stworzyłem. Nie jestem zadowolony z całej tej sprawy. — Liam przeczesał palcami włosy, krzywiąc się na myśl o wywiadach, których będzie musiał udzielać. Czy wystarczy mu energii na powtarzanie steku kłamstw? Na uczestniczenie w tych wszystkich akcjach promocyjnych?

Perry ziewnął i potarł oczy.

— Dobra, Liam. Posłuchaj mnie uważnie, nie będę owijał w bawełnę. Jestem wykończony, a jeszcze muszę uporządkować sprawy finansowe na koniec roku. Masz zamiar sprzedać książkę w kształcie, na którym zależy wydawcom? Czy nie? Bo nie stać mnie na marnowanie kilku tygodni na negocjacjach w sprawie książki, która nie powstanie. W ciągu pięciu minut musisz udzielić mi ostatecznej odpowiedzi, Liam. Jeśli tego nie zrobisz, nasze relacje zawodowe ulegną zerwaniu.

— Grozisz mi, Perry? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Liam. Wierz mi, nikt nie kupi książki, jeśli Pistolet zmięknie i się ożeni. Albo zrobi coś równie sentymentalnego.

— W takim razie może powinniśmy dać sobie z tym spokój?

— Jak chcesz. Gdzie ten kelner? Muszę się napić.

— Perry, dobrze się czujesz? Kiepsko wyglądasz.

— Nic mi nie jest.

— Na pewno?

— Skoro pytasz, to ci powiem. Nie czuję się dobrze. Dzisiaj dzwonił mój syn. Nie przyjedzie na Boże Narodzenie. Przenoszą się do innej bazy, ale nie może mi powiedzieć dokąd, i przez trzy tygodnie nie będzie się z nami komunikował.

— Chryste, Perry. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

— Bo dopóki nie wróci do domu, nie chciałem mówić ani nawet myśleć o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi.

— Tak. Rozumiem, co czujesz. U niego wszystko w porządku? Radzi sobie?

— Nie wiem. Nie powiedziałby mi, gdyby sobie nie radził. Jak mógłbym mu pomóc? Wie, że tylko bym się martwił. Żona ma kłopoty ze snem. Przez pół nocy chodzi po domu i oskarża siebie, bo pozwoliła mu wstąpić do wojska, kiedy miał siedemnaście lat. Bardzo tego chciał, ale powinniśmy byli bardziej się postarać i przekonać go, żeby tego nie robił.

— Fatalnie. Przykro mi, stary.

— Myślałem, że do tej pory będzie już w domu. Mam ochotę tam pojechać i wsadzić go do samochodu, tak jak jeździłem po niego, kiedy chodził do podstawówki.

— Perry, nie miałem pojęcia, że tak to przeżywasz.

— Szczęściar z ciebie, że nie masz dzieci, Liam, tyle ci powiem. Nie ma gorszego bólu niż niemożność uchronienia własnego dziecka przed niebezpieczeństwem. Więc sam widzisz, Liam, umowa na twoją książkę nic dla mnie w tej chwili nie znaczy. Jestem tu tylko po to, żeby udzielić ci rad dotyczących twojej kariery.

— Oczywiście, rozumiem. Dlaczego więc tu dzisiaj przyleciałeś? Mogłeś zadzwonić.

— Chciałem mieć zajęcie. Gdybym zrobił sobie wolne i został w domu, chyba bym oszalał. — Perry poszedł do toalety, żeby spryskać twarz zimną wodą; po drodze zamówił następnego drinka. Liam siedział samotnie pod palmą. Wiedział, co musi zrobić. W porównaniu z biednym Perrym jego kłopoty były błahostkami.

— Napiszę książkę tak, jak tego chcesz — powiedział, kiedy agent wrócił do stolika.

Perry westchnął.

— Dla mnie to bez znaczenia, Liam. Dzięki prowizji miałbym o wiele wygodniejszą emeryturę, ale i bez ciebie dam sobie radę. Mam dwudziestu innych autorów, wiesz o tym? — Kelner przyniósł dżin z tonikiem, uporządkował stół i podał świeże podstawki. Przez ten czas obaj mężczyźni patrzyli w okno.

— Perry, proszę cię. Powiedz im, że do świąt skończę pierwszą wersję. Kilka końcowych scen wymaga poprawek.

— Liam, mówię szczerze, nie będę miał pretensji, jeśli zrobisz to po swojemu i znajdziesz innego agenta.

— Perry, mówię poważnie. Jeśli ty nie potrafisz sprzedać mojej powieści z romantycznym zakończeniem, nikomu to się nie uda. Skoro uważasz, że Pistolet Magee powinien zwalić się nieprzytomny na podłogę baru w zaułku, niech tak będzie.

— Jesteś pewny?

— Tak.

— I nie zmienisz zdania?

— Nie.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam, nie zmienię zdania.

— W takim razie zdrowie, Limo, to znaczy Liam. Za „Bum, bum”.

— Zdrowie, Perry.

14

GRYPA

Lily obudziła się o siódmej, marząc o łyku wody. W głowie jej dudniło, w gardle paliło, w nogach czuła tępy ból, nawet oczy ją piekły. Na początku pomyślała, że ma porządnego kaca, ale zaraz uświadomiła sobie, że przecież od kilku miesięcy ani razu się nie upiła. Istnieje tylko jedno wytłumaczenie dla takiego samopoczucia, pomyślała ze ściśniętym sercem. Złapała grypę. W wiadomościach mówili, że w Belfaście panuje epidemia.

— Jack — szepnęła. — Nie śpisz? — I zaraz dostała ataku kaszlu, od którego łzy popłynęły jej z oczu, a śliczną bladą twarz pokrył jaskrawy rumieniec.

— Nie — odparł zachrypniętym głosem Jack. — Ale mam zamiar przespać się jeszcze z pół godziny. Ty też powinnaś. Potem znowu się obudzimy i jak wszystko pójdzie dobrze, grypa okaże się tylko złym snem.

— O nie! Ty też? Czuję się okropnie, jakbym w żyłach zamiast krwi miała gorącą wodę. Kręci ci się w głowie? Bo mnie tak. Na litość boską! Musieliśmy zachorować akurat w tym tygodniu! Aż do szóstego stycznia mamy co wieczór imprezy.

— Z wyjątkiem Bożego Narodzenia.

— Tak, trzy punkty za spostrzegawczość, Jack.

— A ja mam nadzieję, że to tylko ta trzydniowa grypa, a nie trzytygodniowa. Harry Frew powiedział mi wczoraj, że leżał przez miesiąc. Prawie stracił władzę w nogach.

— Nawet nie żartuj na ten temat. Pierwsza impreza jest dzisiaj — jęknęła Lily. — No tak, spotkała mnie kara, bo myślałam, że uda mi się zmienić świat. Powinnam była wiedzieć, że cała ta sprawa

skończy się jednym wielkim bałaganem. — Znowu zakaszlała i sięgnęła po chusteczkę, żeby wytrzeć nos. — Jest za późno, żeby to odwołać. Musimy robić, co do nas należy, nawet na czworakach, jeśli będzie trzeba. Nie poddam się, choćbym miała paść trupem na zapalenie płuc za barem.

— Uspokój się, kotku. Przyniosę ci gorący napój z cytryną. W tej sprawie użyjemy siły umysłu. Czytałem w gazecie, że ludzie, którzy myślą pozytywnie, zwykle wcześniej dochodzą do zdrowia niż ci, co wiecznie narzekają. — Ostrożnie usiadł na skraju łóżka i spuścił stopy na dywan, ale coś stało się z jego wzrokiem. — Hej, czarne plamy tańczą mi przed oczami. Ojej, Lily, to chyba ta gorsza grypa.

— Nie ruszaj się, słonko. Ja wstanę. Czarne plamy to chyba jedyny objaw, którego nie mam. Ty się połóż i odpoczywaj. Zobaczę, czy któraś z dziewczyn już wstała. Może same będą mogły zacząć przygotowania do imprezy? W końcu po to tutaj są.

— Masz rację. Prawie zapomniałem, że mają pracować. — Jack opadł na poduszkę. Jęknął, bo głowę przeszył mu przy tym przenikliwy ból.

Lily w wygodnym szlafroku i pantoflach poczłapała do salonu. Zdumiała się, gdy zobaczyła, że wszystkie cztery lokatorki siedzą na łóżkach i oglądają telewizję śniadaniową, jedząc grube grzanki z dżemem. Oszałamiający zapach świeżo zmielonej kawy unosił się w powietrzu, mimo iż okno było otwarte. W pokoju panował zaskakujący porządek, choć przecież zajmowały go cztery młode kobiety. Lily dostrzegła rękę Trudy w schludnie ułożonych rzeczach i poskładanym stosie czystego prania na sofie.

— Pani B.! Dzień dobry! Kiepsko pani wygląda. Jest pani chora? — zapytała z górnej pryczy Daisy.

— Och, dziewczęta, nie zbliżajcie się do mnie, bo coś złapiecie. Czuję się strasznie.

— To grypa? — zapytała Daisy. — W naszym college'u krążył wirus.

— Niestety, obawiam się, że to faktycznie grypa. Jack też jest chory.

— Przepracowaliście się przy malowaniu — oznajmiła Bridget mądrym tonem. — Malowanie ścian jest o wiele bardziej fizycznie wyczerpujące, niż się wydaje.

— A ty skąd o tym wiesz? — mruknęła Daisy. — Odkurzyłaś tylko butelki.

— Przynajmniej nie przywlokłam tu zarasków z college'u — broniła się Bridget.

— To nie moja wina, że państwo B. są chorzy. Ja nie mam grypy, więc nie mogli zarazić się ode mnie! — zawołała Daisy, stawiając kubek na drewnianym stopniu.

— Przestańcie natychmiast, nie mam zamiaru się poddać — wtrąciła Lily. Osobiście uważała, że zachorowali z Jackiem z powodu stresu wywołanego zniszczeniami dokonanymi przez Bridget. Rozpaczliwie jednak jej potrzebowali i nie mogli zwolnić. Bridget przyrządzała koktajle z zadziwiającą sprawnością.

— Przez następnych kilka dni będziemy niesamowicie zajęci — dodała Lily.

— Wy się połóżcie, a my otworzymy tawernę — oznajmiła Daisy. Odsunęła pościel i zeszła z łóżka. — Wszystkie się dołączycie, no nie?

— Zrobicie to? — Lily znowu złapał atak kaszlu. — To bardzo miło z waszej strony. Od lat nie czułam się tak fatalnie.

— Niech się pani niczym nie martwi. — Bridget przejęła inicjatywę. Niezależnie od okoliczności nie zamierzała pozwolić, żeby Daisy nią dyrygowała. — Trudy i Marie zrobią zapiekanki na lunch, a Daisy wysprząta bar.

— A ty co będziesz robić? — zapytała Daisy czując, jak nerwy jej puszczaają. Nie miała nic przeciwko sprzątaniu, wołała to od harówki w kuchni. Niemniej chciałyby z własnej woli wziąć miotłę i ścierkę, niż wykonywać rozkazy Bridget. Bridget wciąż wydawało się, że ma władzę nad dziewczętami, ponieważ jako jedyna pracuje na cały etat.

— Ja przygotuję składniki do koktajli. O siódmej jest wielka impreza, przypominam na wypadek, gdybyś nie spojrzała w kalendarz. Trzeba wypakować nowe szklanki i włożyć do zmywarki. Muszę też zrobić kolorowy cukier. No i trzeba zapalić w kominku. — Bridget wyskoczyła spod pościeli i pobiegła do łazienki z ręcznikiem i gąbką.

— Zostaw dla nas trochę gorącej wody! — zawołały chórem dziewczęta.

— Dziękuję wam — powiedziała Lily. — Naprawdę to doceniamy. Na pewno wiecie, gdzie wszystko jest? Zapas mąki znajdziecie w kredensie, a folię w szufladzie ze sztućcami. Myślę, że cztery zapiekanki wystarczą. Pokrojone na dziesięć kawałków, podawane na lunch z sałatkami.

— Tak, wiemy — odparła Trudy. Z jej poduszki zsunął się stos tomików poezji i spadł na podłogę. Wzdychając, ułożyła je starannie koło łóżka. Samokształcenie musi poczekać.

— Proszę się położyć. Przyniosę wam obojgu herbatę — powiedziała Marie, wkładając polar z pluszowymi misiami.

— Cudownie! Cztery zapiekanki powinny wystarczyć. — Lily nadal martwiła się zaopatrzeniem. — Chyba nie wydajemy więcej niż czterdzieści porcji, i to pomimo niedawnej reklamy. Jeśli starczy wam czasu, może zrobicie wegetariańską struclę z grzybami i orzechami? Zostawiłam przepis na tablicy. Piecze się przez kwadrans, nie dłużej.

— Dobrze. Niech pani już idzie. Damy sobie radę — powiedziała Daisy. — A gdyby wypadło coś nagłego, wiemy, gdzie panią znaleźć.

— I tym razem nie podpalimy żadnych ścierek — dodała Marie. — Teraz już wiemy, jak bardzo potrafi się rozgrzać piekarnik.

Wszystkie uśmiechnęły się ciepło. Ich pewność siebie sprawiła, że Lily nieco się odprężyła. Jeszcze raz podziękowała i powiedziała, że jeśli będą potrzebowały pomocy, mają natychmiast po nią przyjść. Dziewczęta wyprawiły ją za drzwi, obiecując raz po raz, że w razie katastrofy natychmiast ją zawołają, i zapewniając, że takiej potrzeby nie będzie.

Lily poczłapała do siebie i wgramoliła się pod kołdrę. Jack objął ją i pocałował w czoło.

— Rozgrzana jesteś. Na pewno masz temperaturę.

— Gorący towar ze mnie. Ale nie, tak źle nie jest. Trzymaj kciuki, kochanie. Wariatki przejmują we władanie szpital dla psychicznie chorych. Dały mi jednak słowo, że nie spalą pubu.

Lily i Jack chwilę leżeli objęci, potem jednak odsunęli się od siebie, bo zrobiło im się gorąco i mokro. Lily pomyślała, że powinni wstać i ubrać się, ale w pokoju było bardzo chłodno. Postanowili, że zostaną w łóżku. Trudy i Marie już niedługo będą smażyć cebulę, kroić steki i wyrabiać ciasto, więc do kuchni nie mogli pójść, bo rozsiewaliby zarazki na jedzenie. W pubie było chłodno, w salonie pełno mebli. Nie mieli nic do roboty. Leżeli, trzymając się za ręce, i przez sen dochodziły do nich zapachy i odgłosy rozmaitych przygotowań, którym — co było naprawdę zaskakujące — nie towarzyszył wielki zamęt. Bridget szczekała szklankami, a Lily doliczyła się tylko dwóch trzasków. Daisy wkrótce napełniła powietrze aromatem cytrynowej pasty do mebli. Szum odkurzacza był kojący, kiedy posługiwał się nim ktoś inny.

O jedenastej rozległo się delikatne pukanie do drzwi i weszła Trudy, niosąc na tacy herbatę, grzanki, spodek z marmoladą i kilka gazet, a także szklanki z wodą, środki przeciwbólowe i opakowanie mentolowych chusteczek higienicznych.

— Pobudka! Pobudka! — zawołała śpiewnie.

— Ja chyba śnię — powiedziała Lily, z wysiłkiem otwierając oczy. — Jakie to miłe z waszej strony! Myślałam, że zapomnieliście o herbacie.

— Och, byłam tu już dwa razy, ale oboje spaliście głęboko. Przepraszam, że tym razem was obudziłam — wyjaśniła Trudy.

— I to nie wszystko — dodała z dumą, wskazując głową drzwi.

— Możesz wejść, Marie, są dokładnie przykryci.

Do różowej sypialni nieśmiało wkroczyła Marie z przenośnym telewizorem, o który poprosiła ojca. Postawiła odbiornik na komodzie i włączyła do kontaktu. Zapaliła też lampki na starej choince. Dzięki barwnym cieniom na ścianach w pokoju zrobiło się przytulnie. W telewizji młoda kobieta robiła skarpety na prezenty z puszystych ręczników, frędzli i dzwoneczków z miniaturowych sani.

— Lubię pooglądać telewizję, jak marnie się czuję — powiedziała Marie, po czym wybiegła z pokoju. — Muszę pilnować piekarnika. Dwie zapiekanki są w piecu, zostały jeszcze dwie.

— Och, cudownie. Już mi lepiej. — Lily sięgnęła po środek przeciwbólowy czując, jak krew napływa jej do głowy.

— Jack, kawaleria dostarczyła prowiant. — Potrząsnęła go za ramię. Jack wymruczał podziękowania, zagrzebany po czubek głowy pod kołdrę. Czuł się niezręcznie z dziewczętami kręcącymi się po domu. Kiedy się ubierał, zamykał drzwi na klucz, na wypadek gdyby któraś wpadła niespodziewanie i przyłapała go w spodenkach. Trudy postawiła tacę na krześle przy łóżku, po czym wróciła do

kuchni zapowiadając, że zamierza zrobić najlepszą struclę z grzybami i orzechami, jaką kiedykolwiek widziało miasto Belfast.

— Powinienem jakoś dowcipnie zareagować, ale nie miałem sił — powiedział Jack. Lily wybuchnęła śmiechem, chociaż przyplącała to bolesnym pulsowaniem w głowie. Oboje usiedli, z przyjemnością zabierając się do jedzenia. Czuli się cokolwiek nierealnie słysząc, jak dziewczęta wykonują wszystkie prace, które zwykle były ich obowiązkiem. Kiedy rozległo się skrobanie szufelki po palenisku oznaczające, że Bridget usuwa popiół, Jack siłą musiał się powstrzymać od zejścia na dół i sprawdzenia, czy dziewczyna nie używa za dużo podpałki albo nie zasypała tawerny płonącymi drzazgami. W porze lunchu usłyszeli, jak do baru wchodzi Barney, Joey i Mac. Po chwili na piętro dotarł znajomy zapach tabaki Barneya.

— Chyba wezmę prysznic — powiedział Jack po południu. — Przekonam się, czy gorąca woda nie poprawi mi samopoczucia. Może jak para rozszerzy pory, ból zelżeje.

— Może, choć bardzo w to wątpię. Ależ czas wybraliśmy sobie na chorowanie!

— Chciałem dzisiaj wypróbować ten nowy garnek do frytek.

— To frytkownica do smażenia na głębokim tłuszczu — roześmiała się znowu Lily. — Auu! I nic takiego nie zrobisz. Jak nie będziesz odpoczywał, twój stan może się pogorszyć.

— A co z wieczorem? — zapytał Jack. To było przyjęcie świąteczne dla dziennikarzy z „Irish Independent”, a także ich przyjaciół i krewnych. Lily zaproponowała, żeby jedną z przekąsek były frytki w rożkach z papieru. Zasugerowała też, żeby rożki zrobić ze stronic „Mirror”, konkurencyjnego dziennika.

— Już powiedziałam o tym Marie. Stwierdziła, że z największą przyjemnością będzie obsługiwała frytkownicę.

— A co z resztą? Jak sobie poradzą?

— Bridget ma system. Za jednym razem miesza dość składników na dwadzieścia koktajli, po czym rozlewa do mrożonych szklanek. Uważam, że to bardzo widowiskowe. A Daisy obiecała, że zrobi sto rożków z gazety i wyłoży je pergaminem. Mogą podać zimne kielbaski i roladki z kurczaka z sałatkami. A desery już są gotowe, więc nie ma się czym martwić. Jack?

Ale on znowu zasnął na siedząco, nie wypuszczając z dłoni widelca.

O piątej do sypialni wstawiła głowę Daisy, żeby zapytać, gdzie jest klej. Przyniosła Jackowi i Lily dwa małe kawałki strucli polane sosem z porto, galaretki z czerwonych porzeczek i octu balsamicznego. Usiedli, by spróbować nowe danie, po czym z przekonaniem oznajmili, że jest wyśmienite.

— Fantastyczne, Daisy. Można podać go na zimno wieczorem.

— Nic nie zostało, pani B. To były ostatnie kawałki.

— Co to znaczy?

— Trudy przyrządziła czterdzieści porcji i wszystkie sprzedałyśmy w porze lunchu.

— A co z wołowiną w cieście?

— Też nie ma. Na dole jest gęsto od ludzi. Bridget nalewa piwo z prędkością światła. Muszę przyznać, że w sytuacji kryzysowej radzi sobie doskonale.

— Więc zabrakło wam jedzenia?

— Nie, maruderom sprzedałyśmy kanapki z krewetkami. Zarobiłyśmy kupę pieniędzy.

— Gdzie są? — zapytał Jack.

— W kuchni. W wiadrze pod zlewem, panie B.

— Daisy, to nie jest najbezpieczniejsze miejsce do przechowywania pieniędzy.

— Nie miałyśmy pojęcia, co z nimi zrobić. W kasie nie ma miejsca. Czy na wieczór zrobić struclę? Zostało mnóstwo grzybów i ciasta.

— Byłoby fantastycznie, o ile Trudy ma dość sił — odparła Lily. — Strucla wygląda wykwintnie. Bardzo wam dziękuję.

— Tak, ja też dziękuję — dodał Jack. — Oboje jesteście wam bardzo wdzięczni. Na pewno dobrze sobie radzicie? Zjadłyście lunch?

— Tak, coś tam przegryzłyśmy. Muszę lecieć, w przeciwnym razie Bridget się wścieknie. Do zobaczenia.

— A przy okazji, po co ci klej, Daisy? — zawołała za nią Lily.

— Do rożków — odparła Daisy, znowu wstawiając głowę w drzwi.

— Taśma klejąca będzie lepsza. Nie chcemy nikogo zatruć. Za barem jest nowa rolka. — Lily donośnie wydmuchała nos.

— Jasne — mrugnęła Daisy.

— Zamkniecie dzisiaj same? — zapytał Jack. — Czy mam zejść i pomóc wam pozbyć się uparciuchów?

— Nie trzeba. Właśnie się dowiedziałyśmy, że Trudy ma czarny pas w karate. No to idę robić rożki, pani B.

— Dzięki, Daisy, prawdziwy skarb z ciebie — zakaszła Lily zdumiona, że Trudy nie boi się agresywnych mężczyzn, choć w przerażenie wprawia ją widok perłowych guziczków. Wymieniła spojrzenia z Jackiem i oboje wzruszyli ramionami. Każdy dzień przynosił niespodziankę albo szok.

Lily i Jack postanowili schować wiadro z pieniędzmi w szafie, po czym przez resztę wieczoru słuchali swoich ulubionych płyt z lat osiemdziesiątych i nagrywali składanki na stary magnetofon Jacka. Kiedy pierwsza impreza sezonu zbliżała się do końca przy wtórze hałaśliwych śpiewów, okrzyków i oklasków, mieli już na taśmie najważniejsze piosenki na wigilijną uroczystość Clare Prendergast. „Sometimes” Erasure, „The First Picture of You” The Lotus Eaters, „Every Day I Write the Book” El-visa Costello i The Attractions, „Don't Talk to Me About Love” Altered Images.

— To strasznie na mnie działa — powiedział Jack, wycierając łzę z oka. — Gdyby nie bolało mnie całe ciało od czubka głowy do palców u nóg, wziąłbym cię w objęcia i zrobiłbym z tobą to, czego przyzwoitość zabraniała na tamtej ławce nad rzeką w roku 1984.

15

POCZEKALNIA

Trudy kręciła się przed drzwiami poczekalni niepewna, co robić dalej. Instynkt podpowiadał jej, by jasnozielonym korytarzem wróciła na schody czarnego marmuru, a na dole przez drzwi obrotowe wybiegła na bezpieczną ulicę. W domu byłaby za parę minut i mogłaby zwinąć się w łóżku z „Ulubionymi wierszami narodu”. Obecnie uczyła się na pamięć wiersza „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy” Dylana Thomasa (1914-1953). Nie potrzebowała całego tego głupiego zamętu. Lily Beaumont przekonała ją, by zadzwoniła do poradni, i ku wielkiemu przerażeniu Trudy recepcjonistka powiedziała, że jakiś pacjent odwołał wizytę, więc czy Trudy mogłaby przyjść o jedenastej? Trudy nie miała pojęcia, że maczał w tym palce jej lekarz, który powołał się na kilka przysług, by na pewno ją przyjęli. Przez ponad dwa lata usiłował ją tu ściągnąć.

Ale fobie Trudy czy raczej jej drobne kaprysy, jak lubiła je nazywać, w gruncie rzeczy wcale nie były problemem. Z każdym coś jest nie w porządku, argumentowała. Niektóre praworządne i uczciwe obywatelki kradły w sklepach, kiedy podejrzewały, że mąż ma romans. Zdrowi psychicznie i normalni pod każdym innym względem mężczyźni nie byli w stanie wsiąść do samolotu, nawet jeśli wygrali luksusowe wakacje. Trudy zawinęła szydełkowany szal na szyi, zdjęła go i znowu włożyła. W końcu zdjęła go definitywnie, poskładała starannie i wsunęła do kieszeni płaszcza.

— Przepraszam, szuka pani gabinetów? — odezwał się za jej plecami łagodny głos. Odwróciła się i z przestachem uświadomiła sobie, że to Gerry Madden. Rozpoznała go od pierwszego wejrzenia, bo widziała w albumie Bridget jego zdjęcie. Ostrzyżone na jeża jasne włosy, błękitne jak lód oczy, opalenizna i kosztowna marynarka. Ale oczywiście on nie rozpoznał Trudy.

— Tak, istotnie szukam gabinetów, choć nie jestem pewna, czy trafiłam w dobre miejsce — odparła Trudy łagodnie. — Chyba są gdzieś dalej w korytarzu. Recepcjonistka podała mi numer, ale zapomniałam. Może jednak wejdziemy do poczekalni i usiądziemy?

— Możemy. O ile się orientuję, gabinety psychiatrów zawsze były tutaj. Ja... uch... nie powinienem tu być — powiedział Gerry. — Stres związany z pracą, rozumie pani?

— U mnie to samo — oznajmiła Trudy. Ucisnęli sobie dłonie z udanym rozbawieniem. — Ci lekarze wtykają nos we wszystko i robią problemy z niczego. Niezłe z nich numery, ale innym udzielają ostrzeżeń.

Gerry pomyślał, że ostatnie słowo wypowiedziała dziwnie, z naciskiem. Zamrugał nerwowo. Jack Beaumont dostał policyjne ostrzeżenie po żenującym incydencie na Klonowej. Gerry dostał policyjne ostrzeżenie w Nowym Jorku. Pomyślał, że ta piękna dziewczyna uśmiecha się cokolwiek pogardliwie, ale z drugiej strony może to on ma paranoję, co często się zdarza pijakom. Przypuszczalnie z powodu niewłaściwej diety.

— Ostatnimi czasy jakoś nie mogę uspokoić myśli — powiedział. Mów, nakazał sobie. Opowiadaj o czymkolwiek, byle zapełnić tę przerażającą ciszę, przekleństwo wszystkich poczekalni. Powinni puszczać kojącą muzykę albo jeszcze lepiej nagrania komika Jamesa Younga. — Nie potrzebne mi to zawracanie głowy. Marnowanie pieniędzy podatników. Jestem tu tylko dlatego, żeby zrobić przyjemność mojemu lekarzowi.

— Ja też. Nie wierzę w terapię — odparła Trudy i oboje się zarumienili. Terapia to takie straszne słowo, pomyślała Trudy. Sugeruje chorobę psychiczną, wiktoriańskie przytułki dla wariatów z zakratowanymi oknami, krzyki w nocy. — Mam kilka nieszkodliwych fobii, to wszystko. Kto ich nie ma w dzisiejszych czasach? Prawdę mówiąc, czuję się głupio. — Uśmiechnęła się do Gerry'ego. Byli sami w poczekalni, mieli ostatnie wizyty przed przerwą na lunch.

Weszli i usiedli, z uwagą studiując wyblakłe plakaty na ścianach. Na stoliku leżał stary numer „Modnego Domu” z piękną choinką na okładce. Drzewko ozdobione było łańcuszkami popcornu i żurawinami. Oboje równocześnie wyciągnęli ręce po magazyn.

— Przepraszam — powiedział Gerry. — Proszę, niech pani bierze. Jestem Gerry Madden. Ostrożnie uścisnęli sobie ręce.

— A ja jestem Marie Smith — skłamała Trudy. Nie mogła ryzykować podania Gerry'emu prawdziwego nazwiska. W końcu nawrzeszczała na niego przez telefon i powiedziała mu, że jest świrem.

— Miło cię poznać — odparł z uśmiechem.

Uderzyło ją, jak bardzo przystojny jest Gerry. Wydawał się ożywiony, w niebieskich oczach malowała się kpina. I w tweedowej marynarce doskonale prezentowały się jego barczyste ramiona. Nic dziwnego, że władcza Bridget przez lata tolerowała upijanie się i unikanie rozmów o małżeństwie. Trudy ją rozumiała: Gerry był bardzo pociągający.

— Właściwie wewnątrz wcale mnie nie interesują — powiedziała, modląc się w duchu, żeby pielęgniarka jak najszybciej poprosiła któreś z nich do gabinetu. — Możesz wziąć. — Wskazała błyszczące czasopismo. Skończyło się na tym, że żadne z nich nie przeczytało artykułu o ogrodach zimowych. Magazyn leżał nietknięty na stoliku, a Gerry błagał Boga, żeby nie pojawił się któryś z jego kolegów i nie zobaczył go siedzącego w poczekalni. Przebywanie po tej stronie drzwi gabinetu było doświadczeniem niezwykle upokarzającym, chociaż Gerry miał wizytę u pielęgniarki od terapii behawioralnej, a nie u psychiatry. Techniki relaksacyjne! Och, co za wstyd. Jego lekarz i najlepszy przyja-

ciel, Toby Kerr, zalecił mu je w dzień po tym, jak Gerry został wyrzucony z pracy. Gerry ze swojej strony nie wierzył w tego rodzaju terapię, chociaż sam od lat przepisywał ją swoim pacjentom.

Przez kilka minut rozmawiali o pogodzie i możliwości opadów śniegu w Boże Narodzenie, rozważali też, czy telewizyjne reality show to nieszkodliwa rozrywka czy oburzające marnotrawstwo czasu i środków. Zgodzili się, że płacenie wyblakłym słowom sporej sumy za zjedzenie kilku robaków w dżungli nie da się porównać z nieszczęsnym losem afrykańskiej sieroty, której nie pozostaje nic innego, jak żywić się robakami codziennie. Gerry powiedział, że ma ochotę wziąć urlop i wyjechać do Afryki z misją humanitarną. O mało nie dodał, że chciałby prowadzić terapię ludzi, którzy przeżyli ciężką traumę, ale w porę ugryzł się w język. Zdradziłby w ten sposób swój zawód.

— A pozwoliliby ci na to? To znaczy, czym się zajmujesz? — zapytała Trudy. Nie powinna była stawiać go w takiej trudnej sytuacji, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Gerry Madden bardzo ją fascynował.

— Jestem właścicielem salonu samochodowego — odparł natychmiast. — Salon BMW w Finaghy.

Tak mówił wszystkim potencjalnym partnerkom. Z jakiegoś powodu czuły się niezręcznie, rozmawiając z psychiatrą. Przypuszczały, że będzie w stanie przejrzeć na wylot ich pozę femme fatale czy wręcz przy użyciu jakiejś sekretnej manipulacji zaciągnąć do łóżka. No i nowoczesne samochody były poza medycyną jedyną rzeczą, na której się znał.

— Rozumiem — powiedziała Trudy ze spokojem. Był dobrym kłamcą. Bridget zdążyła im już opowiedzieć o wymyślonej karierze Gerry'ego w salonie BMW.

— A ty? Gdzie ty pracujesz? — Chciał wiedzieć, gdzie może ją znaleźć. Czuł, że podskoczyła mu adrenalina. Może jednak świruje? Dopiero co otrząsnął się po związku z miniaturową, acz zapalczywą Bridget O'Malley, ledwo zbladły mu siniaki po jej ciosach szafką na CD, a już zaczyna mieć obsesję na punkcie Trudy Valentine i zastanawia się nad jej wyglądem. Nie poznałby jej, gdyby spotkał ją na ulicy. Ale tak strasznie na niego nakrzyczała przez telefon, że wstrząśnięty rzucił picie. No, przynajmniej na próbę. Pięcioletnie uczestnictwo w spotkaniach AA nie zdołało go przekonać, że może żyć bez pewności i odwagi, którą zawsze dawał mu alkohol. Naturalnie utrata przytomności na posterunku była doświadczeniem traumatycznym, nie wspominając już o płukaniu żołądka. Nowojorski kulturysta sprawił mu solidne lanie, Jack Beaumont podbił oko, a z pracy go wyrzucili. Ale to właśnie Trudy Valentine ze wszystkich ludzi dotarła do jego duszy. Kiedy na niego wrzeszczała, po raz pierwszy poczuł się człowiekiem złączonym z prawdziwym światem, a nie widzem, który ogląda świat jak program w telewizji. Czy to był tylko zbieg okoliczności? A może połączyła ich duchowa więź?

Jakby to nie było dostatecznie szalone, teraz jeszcze zainteresowała go ta urocza dziewczyna z piwnymi oczami i długimi czarnymi włosami. Miała dziwaczne, narysowane kredką brwi, ale Gerry przypuszczał, że prawdziwe chyba kiedyś odrosną. Pytał siebie, czy nie nabawił się jakiegoś szalenie

rzadkiego syndromu, nałogu zakochiwania się w każdej pięknej kobiecie, którą spotyka? Może jednak powinien pójść do psychiatry?

— Pracuję w fabryce przetworów mięsnych w Dungannon — mówiła Trudy spokojnie. — Przez cały dzień w czepku na głowie robię steki i nerki w cieście. Wymarzona praca, możesz mi wierzyć.

Uśmiechnął się do niej, choć nie miał pojęcia, czy żartowała czy nie. Gdyby żartowała, a on by się roześmiał, byłby to dobry sposób na przełamanie lodów, w przeciwnym wypadku mogłaby się poczuć urażona. Podobała mu się strasznie, zaraz jednak pomyślał o Trudy Valentine, która przypuszczalnie uratowała go przed całkowitą klęską. Zdecydował, że pójdzie do tawerny i zobaczy się z Trudy, a gdyby nic z tego nie wyszło, pojedzie do Dungannon poszukać tej tajemniczej dziewczyny z błyszczącymi ciemnymi oczami. I w małym białym czepku.

— Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko mojej prośbie — powiedział — ale czy mogłabyś udzielić mi rady? Z kobiecej perspektywy, wiesz.

— Naturalnie, jeśli będę w stanie. Chodzi o kuchnię? — Gerry budził w niej coraz cieplejsze uczucia. Przypomniała sobie wszakże, jak bardzo jest niezrównoważony, i dokładała rozpaczliwych starań, by trzymać się na dystans.

— Nie. Widzisz, chciałbym umówić się z pewną dziewczyną, ale jest problem.

— Jaki?

— Rzecz w tym, że wcześniej chodziłem z jej koleżanką. Nasz związek był burzliwy pod każdym względem, ale to zupełnie inna historia. Bóg wie, co moja była naopowiadała jej o mnie. W każdym razie dzwoniłem do byłej późno w nocy, a ta dziewczyna (którą teraz lubię) wkurzyła się na mnie. Łapiesz?

— Może wystarczy, jeśli obie przeprosisz? — zasugerowała Trudy. Wielki Boże, pomyślała, z iloma kobietami ten facet się zadaje? Bo przecież chyba nie ją ma na myśli? Nie mówi jej, że z nią chciałby się umówić? A może jednak? Nawet nie wie, jak ona wygląda. To znaczy, teraz już wie. Ale nie ma pojęcia, że właśnie rozmawia z Trudy Valentine. Cholera! Porobiło się, nie ma co...

— Może — westchnął Gerry. — Choć z mojego doświadczenia wynika, że te sprawy nigdy nie są takie proste. — Przygryzł wargę i spojrzął na zegarek. Pielęgniarka zaraz go chyba poprosi? Piwnooka dziewczyna fascynowała go, ale chciał już mieć za sobą tę dziwną sesję psychologiczną, żeby wreszcie zalać się w trupa w jakimś pobliskim cichym barze. Nagle z przestrawieniem uświadomił sobie, że nie może tego zrobić. Jeśli natychmiast nie doprowadzi się do porządku, nigdy nie przyjmą go z powrotem do szpitala. A jeśli straci pracę na dobre, straci też mieszkanie, samochód i styl życia. Prawdę mówiąc, utraci swoją tożsamość. Przez cały dzień nie będzie miał nic do roboty poza pić i użalaniem się nad sobą. Alkoholem zapełni puste godziny. Gerry nie chciał stać się nałogowym alko-

holikiem, dostatecznie fatalne było bycie zwykłym alkoholikiem. Pragnął się zmienić. Będzie musiał współpracować z tą pielęgniarką i opowiedzieć jej o swoich napadach lękowych.

Znowu ogarnęło go obce mu poczucie rzeczywistości. Nazywa się Gerry Madden i został alkoholikiem, ponieważ ma osobowość uroczego drania uwięzioną w ciele nieśmiałego mężczyzny. Dobry Boże! To naprawdę jest takie proste. Alkohol dawał mu pewność siebie, dzięki której stawał się duszą każdej imprezy. Stary dobry Gerry, zawsze pierwszy do zabawy. Czasy studiów minęły mu na hucznych balangach i zalanych alkoholem zagranicznych wakacjach. Żenujące zdjęcia przedstawiające go na dachu przystanku autobusowego ze słupkiem drogowym na głowie, bez spodni na hotelowym balkonie w Paryżu, zamkniętego w przechowalni bagażu na lotnisku Heathrow. Do czasu zrobienia dyplomu zdążył się fizycznie uzależnić. A potem łatwiej było odgrywać rolę wiecznego kawalera, niż stawić czoło prawdziwej męce, jaką byłoby odstawienie alkoholu. To dlatego przez wszystkie te lata pozostał samotny: ponieważ żonę trudno byłoby oszukać. Bridget przymykała oczy na jego zachowanie, bo jej rodzice byli kompletnie beznadziejnymi przypadkami i w porównaniu z nimi Gerry stanowił dobrą partię. Musi skończyć z piciem. Toby ostrzegł go, że zniszczy sobie zdrowie, jeśli nie przestanie. Toby nie musiał mu tego mówić, Gerry sam o tym wiedział.

Jednakże do trzeźwości prowadziła długa i najeżona przeszkodami droga. Przy każdym zderzeniu, zmartwieniu i niepokoju Gerry będzie musiał radzić sobie z życiem w najtrudniejszy sposób: na trzeźwo. Wyobraził sobie, jak leży na kozetce w sąsiednim pokoju. Napręża i zgina palce u stóp, nogi, ramiona, tułów i twarz. Głęboko oddycha, słuchając muzyki relaksacyjnej z taniego magnetofonu kasetowego. I czeka go to nie tylko dzisiaj. Musi odbyć co najmniej sześć sesji, żeby w ogóle rozważono przyjęcie go z powrotem do szpitala.

Trudy obserwowała Gerry'ego, gdy zamyślony spoglądał w okno. Był naprawdę bardzo przystojny. Siniaki z twarzy prawie mu zeszły, miały teraz jasnioletowy odcień. Uznała, że Gerry ze swoimi głęboko osadzonymi oczami i opalenizną wygląda jak kowboj z westernu.

— Skąd masz te siniaki? — zapytała nagle.

Gerry sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Kark poróżwiał mu z zakłopotania. Dzisiaj zdążył się już zarumienić trzy razy. Może to symptomy głodu alkoholowego?

— Ach, zrobiłem z siebie widowisko w irlandzkim barze w Nowym Jorku. Zwróciłem uwagę na pewną dziewczynę, ale jej chłopak źle to zrozumiał. A ja naprawdę nie miałem złych zamiarów. Nie muszę dodawać, że byłem zalany. Teraz już nie piję. — Dlaczego to powiedział? Równie dobrze mógł od razu przyznać się, że jest alkoholikiem. Ha, to koniec nadziei na poznanie tej wspaniałej kobiety. Ale Trudy go zaskoczyła swoją przyjacielską i pomocną postawą.

— To świetnie — powiedziała łagodnie. — Tym lepiej dla ciebie. To na pewno nie jest łatwe.

— Dlatego tu jestem, wiesz? — dodał wbrew sobie. — Żeby nauczyć się relaksować bez pomocy alkoholu.

— Życzę szczęścia. Jestem pewna, że ci się uda.

— Może. Chciałbym, żeby mi się udało... Mam po dziurki w nosie popełniania idiotycznych błędów.

— A ja mam po dziurki w nosie nieustannych fobii — uśmiechnęła się Trudy. No proszę! Teraz ona też była zakłopotana. Gerry nie musiał żałować, że zdradził się przed nią ze swoją słabością.

— Spotykasz się z kimś? — zapytał po krótkiej chwili, zachęcony jej sympatią.

— Słucham? — Zażenowana Trudy poprawiła się na niewygodnym plastikowym krześle. Ale numer z tego Gerry'ego! Czy on faktycznie ją podrywa w poczekalni poradni zdrowia psychicznego? Hej, mieliby co opowiadać wnukom. Natychmiast przestań, napomniała się w duchu.

— No wiesz, czy masz chłopaka? — dodał Gerry. — Pytam z ciekawości.

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła — odparła Trudy pośpiesznie. Wcale nie miała zamiaru umawiać się z Gerrym, choć taki jest przystojny. Nie chciała, żeby wybił kolejne okno w Tawernie Beaumontów.

— Przepraszam za nietakt, tak tylko spytałem. — Sprawiał wrażenie naprawdę skruszonego. — Zastanawiałem się, czy twój partner wspierał cię, kiedy podejmowałaś decyzję o przyjeździe tutaj, czy raczej wolałaś załatwić to na własną rękę?

— Dobra. Tak się składa, że aktualnie nikogo nie mam. Jestem zbyt zajęta, brakuje mi czasu na chłopaka. — Chryste, gdzie ta pielęgniarka? Jeszcze dziesięć sekund i Trudy ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

— Mnóstwo dziewczyn tak do mnie mówi — powiedział Gerry z namysłem. — Przez ostatnie kilka lat jakoś nie miałem szczęścia do płci pięknej.

Mogłeś ożenić się z Bridget, pomyślała Trudy, choć z drugiej strony wcale nie miała mu za złe, że się nie oświadczył. Biedna Bridget bywa niekiedy strasznie irytująca i samolubna. Wbrew sobie Trudy chciała dowiedzieć się więcej o Gerrym. Z ciekawości. Bo przecież chyba jej nie pociąga?

— Opowiedz mi o tej dziewczynie, z którą chcesz się umówić. O tej, którą wkurzyłeś telefonami późno w nocy. Co jest w niej takiego specjalnego?

— Jest szczerą.

— Mnóstwo ludzi jest szczerych.

— Ale ona jest brutalnie szczerą. Podziwiam tę cechę u kobiet.

Ojej, jęknęła w duchu Trudy, no to mnie załatwił.

— Rozumiem — powiedziała słabo.

— Tak. A w dodatku jest śliczną. — Cóż, tego akurat nie wiedział, ale co z tego?

— Jak wygląda? — zapytała po krótkiej przerwie Trudy.

Gerry głęboko odetchnął. Nim jednak zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i w progu stała pielęgniarka. Amen! Uratowany przed kolejnym kłamstwem!

— Trudy Valentine! — powiedziała pielęgniarka z szerokim uśmiechem. — Proszę do środka.

— Wspaniale — wyjąkała Trudy i podniosła się tak szybko, że zahaczyła szalem o poręcz krzesła i pociągnęła je za sobą.

Gerry patrzył na nią tak, jakby uderzyła go w twarz, ale ona uśmiechnęła się tylko przeprasza-
jąco i w ślad za pielęgniarką weszła do pierwszego gabinetu. Zaraz potem Gerry'ego do drugiego ga-
binetu poprosiła pielęgniarka, której nie znał. Przynajmniej tyle dobrze.

— Jestem Ann — zaczęła pielęgniarka. — Proszę mi o sobie opowiedzieć.

Gerry zaczął snuć złagodzoną wersję historii swego życia, a równocześnie wysiłał umysł, pró-
bując sobie przypomnieć, co właściwie powiedział Trudy. Ile kłamstw nawygadywał? I dlaczego ona
przedstawiła się jako Marie Smith, pracownica zakładów przetwórstwa mięsnego? Może to nie była ta
sama Trudy Valentine, z którą rozmawiał przez telefon? A może nią była, ale podała mu fałszywe na-
zwisko, bo wstydziła się, że jest w poradni psychiatrycznej? Czy naprawdę pracuje w Dungannon? Czy
to też było kłamstwem? Gerry czuł taki zamęt w myślach, że dopiero po trzecim przesłuchaniu taśmy
relaksacyjnej zdołał rozprostować palce u nóg i rozluźnić mięśnie twarzy.

Kiedy godzinę później opuścił gabinet, Trudy już nie było. Szukał jej w szpitalnym barku, w
sklepie z prezentami i na postoju taksówek, ale na próżno. Pojechał prosto do Tawerny Beaumontów,
gdzie zaparkował na podwójnej żółtej linii na końcu uliczki. Przez dwadzieścia minut prowadził we-
wnętrzną dyskusję, czy powinien wejść czy nie. Jeśli wejdzie, może poczuć ochotę na drinka. Niewy-
kluczone, że Bridget na niego napadnie. No i była ta drobna kwestia bójki z Jackiem Beaumontem. Z
drugiej jednak strony Gerry strasznie chciał znowu zobaczyć Trudy. Powinien przynajmniej sprawdzić,
czy dziewczyna, którą spotkał w przychodni, pracuje tutaj. Co może się stać? Jack znowu go uderzy? Z
tym Gerry da sobie radę. Poradzi też sobie z atakiem Bridget. No chyba żeby walnęła go czymś twar-
dym, na przykład barowym stołkiem. To były negatywne aspekty wizyty w pubie. Po stronie pozyty-
wów znajdowała się szansa, że Trudy Valentine (miejmy nadzieję, że ta sama, którą dzisiaj poznał)
zgodzi się z nim umówić. Okazała mu wiele współczucia. Z trzeciej strony, jeśli zaczną się spotykać,
Bridget może bardzo uprzykrzyć życie Trudy. Na pewno nie wybaczy łatwo Gerry'emu niechęci do
poślubienia jej.

Zadzwoił do Toby'ego po radę.

— Cześć, stary. Jestem przed pubem i wydaje mi się, że pracuje tutaj ta dziewczyna. Może na-
wet stoi teraz za barem. Mam wejść? Jak myślisz?

— Więc nie zerwałeś z Bridget O'Malley? A mówiłeś, że między wami skończone.

— Bo to prawda. Byłem z nią tylko dlatego, że nie przeszkadzało jej moje picie. Teraz wpadła
mi w oko dziewczyna nazwiskiem Trudy Valentine, ale boję się, że nie mam u niej szans, bo skłama-
łem w kwestii mojej pracy. Choć ona też mnie okłamała. Przynajmniej tak mi się wydaje. To skompli-
kowane.

— Gdzie i kiedy poznałeś tę Trudy?

— Dzisiaj, w poradni psychiatrycznej. Ale już wcześniej o niej myślałem. Od tamtej nocy, gdy rozwalilem okno w pubie, w którym obie pracują. Przeze mnie ich szef został aresztowany. A rozbiłem okno, bo myślałem, że wciąż Kocham Bridget, ale potem zrobili mi płukanie żołądka i zrozumiałem, że zależy mi na Trudy.

— O mój Boże! — jęknął Toby. Nie wiedział, od czego zacząć.

— Tamtej nocy rozmawiałem z Trudy przez telefon, ale dopiero dzisiaj ją poznałem. To zbyt skomplikowane, żeby teraz tłumaczyć. Między nami istnieje więź, rozumiesz? I jest piękna.

— Gerry, życie wymyka ci się spod kontroli. Ta tawerna nic dobrego nie wróży.

— Wszystko jest OK. Wycofałem skargę przeciwko szefowi i wiem, że Bridget już na mnie nie zależy, nawet jeśli ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Myślę też, że Trudy trochę mnie lubi. Pozytywny język ciała w poczekalni, rozumiesz.

— A co z etyką?

— Oboje jesteśmy pacjentami. Nie złamałem kodeksu postępowania lekarskiego.

— Gerry, tak mało przejmujesz się kłopotami w pracy?

— Poczekaj, mam mandat za parkowanie.

— Gerry! Co ja mam z tobą zrobić?

— Nie przejmuj się. Znam strażnika. W zeszłym roku był moim pacjentem. Jego fetyszem są wellingtony, niesamowity typ. O, już drze mandat. Poszedł sobie. Hura!

— Posłuchaj, Gerry, na twoim miejscu wróciłbym do domu, zanim coś jeszcze się wydarzy.

— Znasz mnie, Toby, jestem beznadziejny. Brakuje mi rozsądku. Co powinienem zrobić? Mam wejść do pubu?

— Wiesz, moim zdaniem trzeźwiejący alkoholik powinien trzymać się z daleka od barów, a jeszcze dalej od barmanek. Musisz zakończyć terapię, odstresować się i odzyskać pracę.

— Tobie to dobrze, Toby. Masz śliczną żonę i pięcioro zdrowych dzieciaków. Masz kwitnącą karierę. Trudy Valentine może być miłością mojego życia. Niewykluczone, że stoi tam teraz i czeka na mnie.

— A na mnie za parawanem czeka siedemdziesięciodwuletni facet. I jest goły od pasa w dół — szepnął Toby.

— Och, Toby, a ja myślałem, że jesteś szczęśliwy w małżeństwie.

— Bardzo śmieszne, Gerry.

— Przepraszam, stary. Zadzwoń jutro, pewnie będziesz ciekaw rozwoju wypadków.

— Jasne. Pilnuj się.

Gerry zamknął telefon, wsunął go do kieszeni i wysiadł z samochodu. Przez pół godziny stał, wpatrując się w zaułek, ale był zbyt zdenerwowany i trzeźwy, żeby zdecydować się na przekroczenie

progu tawerny. Uznał, że wróci później, kiedy tłum kupujących się przerzedzi, bo gdyby znowu oberwał w nos, zobaczy to mniej świadków. Kupi sobie relaksacyjne kasety w nowej ekologicznej kawiarni na Botanic Avenue, będzie medytował i weźmie gorącą kąpiel. Jeśli to go nie odpręży, to już nic mu nie pomoże. Posprząta też mieszkanie, na wypadek gdyby Trudy Valentine okazała mu przychylność. Pełen nadziei Gerry wsiadł do samochodu i odjechał.

Kiedy wrócił, było już ciemno i na Klonowej kładły się długie złowrogie cienie. Gerry słyszał koledników, którzy przy wielkiej choince przed ratuszem śpiewali „Cichą noc”. Koło banku sprzedawano hot dogi, kawałek dalej było stoisko ze sportowymi skarpetami i lametą. Na Royal Avenue wciąż pełno było kupujących, którzy wpadali jeden na drugiego, objuczeni torbami i parasolami. Nikt nie zwracał uwagi na Gerry'ego.

— Nie mam nic do stracenia, za to wszystko do zyskania — powiedział metalowym kubłom. Wziął głęboki oddech i ruszył w stronę bursztynowych okien małego pubu, do którego nie chodził, bo było tam za cicho i nudno jak na jego gust. W połowie drogi usłyszał alarm swojego samochodu. Odwrócił się i zobaczył, że strażnik wsuwa za wycieraczkę następny mandat. Nie zważając na to, podjął wędrówkę ku swemu przeznaczeniu kryjącemu się za ciężkimi, nabijanymi ćwiekami drzwiami.

16

MICHAEL, MARIE I TACA KANAPEK

Lily i Jack wciąż czuli się fatalnie, mimo iż Marie i Trudy zapewniały im niemal ciągłą dostawę soku pomarańczowego i bulionu z kurczaka. Za to przyjęcia świąteczne udawały się wyśmienicie, redaktor naczelny „Irish Independent” zadzwonił z podziękowaniami: bawili się wspaniale i cała redakcja wciąż się śmiała z rożków zrobionych ze stronic „Mirror”.

Kuchenny piec sprawował się doskonale, choć produkcja zapiekanek uległa podwojeniu. Grzybowa strucla Trudy należała do najpopularniejszych pozycji w jadłospisie. W jednym z dzienników zamieszczono bardzo pochlebłą recenzję pubu.

Po stronie strat zapisali kradzież kilku gruszek i filigranowych kuropatw z głównej choinki, dokonaną poprzedniego wieczoru podczas imprezy studenckiej. Daisy zapobiegła podobnym incydentom, mocując pozostałe ozdoby solidnym drutem. Kipiała z wściekłości, że ktoś ośmielił się ukraść śliczne ozdoby, które z taką starannością obie z Daisy wybrały. Zapomniała, że sama ma na koncie kilka kredek i ołówków zwędzonych ze sklepów, kiedy była spłukana.

Co wieczór tuż przed zamknięciem wpadał Liam Bradley, żeby pozostawać w kontakcie z ludźmi, jak to ujmował. Wyglądał niechlujnie, wyraźnie nie dosypiał, ale mówił, że praca nad nową

książką idzie doskonale. Właściwie prawie już kończy. Powiedział Lily, że rozwodzi się z żoną i wkrótce będzie wolnym człowiekiem.

Betsy, która przestała rozmawiać z Liamem, miała zatrzymać dom. Zgodził się oddać jej prawo własności, żeby zrezygnowała z połowy jego przyszłych zarobków. Poczł wielką satysfakcję z faktu, że tak szybko osiągnęli porozumienie, bo dzięki temu bracia Betsy o usposobieniu rekinów stracili okazję, by upokarzać go w sądzie. Byli dość przygnębieni, kiedy dowiedzieli się, że jednak nie dostaną swojej porcji surowego mięsa od męża Betsy. Dom był niską ceną za pozbycie się jej, zresztą Liama męczyło już to bieganie po schodach. Następnym razem kupi sobie bungalow.

Poprzedniego dnia Betsy poleciała do Londynu, żeby usunąć worki z żelazem z piersi. Wyrzuciła wszystkie rzeczy Liama do garażu, skąd je zabrał i oddał na przechowanie. Zamierzał poszukać domu, kiedy dostanie pierwszy czek od Perry'ego. Tymczasem opróżnił swoje konto na zamawiane do po-koju kanapki i zawartość minibarku. Perry powiedział mu, że na koniec stycznia dostanie pokazną za-liczkę od jednego z wydawców, więc nie przejmował się przyszłością.

Pogodził się z ponurym zakończeniem „Bum, bum”. Pistolet — znowu pijany jak bela — wy-lądował w rynsztoku. Tawerna rozleciała się na kawałeczki. Szalona Claudia spaliła nowy samochód Magee. Jego jedyna prawdziwa miłość, piękna właścicielka pubu, na lotnisku pomachała mu na poże-gnanie. Razem z ośleplym mężem zamierzała przejść na emeryturę i przeprowadzić się do maleńkiej farmy na francuskiej wsi, o czym — według tego co pisały gazety — marzyła połowa obywateli Wiel-kiej Brytanii.

Wydawcy domagali się streszczenia trzeciej powieści, ale Perry odsyłał ich do Liama. W przy-szłym roku zamierzał zlikwidować agencję i przejść na wczesną emeryturę.

Tak, sprawy Liama wyglądały dobrze. Pozbył się Betsy, kończył powieść. Teraz w nocy nie pozwalała mu spać obsesja na punkcie Lily Beaumont. Nie potrafił zamknąć oczu, by zaraz nie zoba-czyć pod powiekami jej obrazu. Uśmiecha się do niego, piecze mu ciasta, ubiera się w długie suknie i nosi na szyi opaski wyszywane koralikami, na snobistycznych przyjęciach literackich cytuje Philipa Larkina. I jest w ciąży z Liamem. Śpi spokojnie przy jego boku. Zadawał sobie pytanie, co ona widzi w Jacku. To nie był mężczyzna odpowiedni dla niej. Może Lily ma niskie poczucie własnej wartości?

Lily pomyślała, że Liam wygląda na bardzo przygnębionego, kiedy co wieczór zasiada przy ba-rze ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Powiedziała mu, żeby się nie martwił, bo wkrótce znajdzie kobietę, z którą będzie dzielił życie. Jest wspaniałym mężczyzną, a w dodatku utalentowanym, znanym i podziwianym w mieście. Słowa Lily najwyraźniej go pocieszyły, bo uścisnął jej dłoń, a nawet deli-katnie ucałował.

Pomiędzy Bridget i Trudy panował niejaki chłód od dnia, gdy do tawerny przyszedł Gerry Madden i poprosił Trudy, żeby się z nim umówiła. Ku zdumieniu wszystkich obecnych zgodziła się. A Bridget popadła w rozpacz; tak przynajmniej utrzymywała, chociaż Lily odniosła wrażenie, że dziew-

czyna poczuła ulgę. Lily i Bridget od serca pogadały sobie o miłości nad talerzem bez z kremem orzechowym. Bridget przyznała, że zaczął nużyć ją Gerry i ich burzliwy związek. Pragnęła spokojnej miłości i wzajemnego szacunku, które okazywali sobie Lily i Jack.

— Czy kiedykolwiek znajdę takie uczucie jak wasze? — zapytała. — I skąd będę wiedziała, że je znalazłam?

— Będiesz wiedziała — zapewniła ją Lily. — W twoim sercu nie będzie cienia wątpliwości, kiedy spotkasz odpowiednią osobę.

Bridget zjadła szesnaście małych bez, żeby pocieszyć się po stracie Gerry'ego, czyniąc tym sporą wyrwę w zapasie przeznaczonym na wieczorne przyjęcie, i Marie musiała upiec nowe. Poszła do kuchni, ale zorientowała się, że nie ma już mielonych orzechów i czekolady do kremu. Poprosiła Lily o pieniądze z wiadra pod zlewem (jeszcze nie opracowały lepszego systemu bankowego) i udała się na zakupy do pobliskiego Tesco. Kiedy wróciła, zastała w pubie braci Devaneyów, którzy mieli koncert w porze lunchu. Michael rozmawiał z Lily, ale oboje umilkli, gdy Marie ich mijała. Michael uśmiechnął się do niej i zaczerwienił jak burak.

David Devaney spotykał się z Daisy. Siedzieli przy kominku zagłębieni w dyskusji na temat strojów estradowych. Daisy próbowała przekonać Davida, by zamienił skórzane spodnie na modniejszy zestaw. Marie poczłapała po schodach, nagle owładnięta znużeniem. Mimo że Michael Devaney bardzo jej się podobał, niewiele mogła zrobić. Nieśmiałość nie pozwalała jej flirtować z nim, poza tym czekało ją wiele pracy dzisiaj i w następnych dniach. Nie mogła odmówić Beaumontom dodatkowych godzin, skoro mieszkała w ich salonie. Kiedy weszła do kuchni, Trudy ustawiała brudne naczynia w zlewie.

— Jak leci, Trudy? — zapytała cicho. — Jestem wykończona. Tesco przypominało obóz uchodźców. W życiu nie widziałam takich kolejek.

Nastawiła czajnik i usiadła czekając, aż woda się zagotuje. Zdjęła wysokie buty i wsunęła stopy w wygodne klapki. Trudy posypała cukrem tarty z mielonym mięsem i gruszkami, po czym ułożyła je na tacy.

— Dasz sobie radę beze mnie dzisiaj po południu? — zapytała. — Przygotowałam już nadziewanego indyka na wieczór, trzeba go tylko wyjąć z piekarnika o szóstej.

— Jasne, nie ma sprawy — odparła Trudy.

— Och, dziękuję, Marie. Tylko wiesz, o siódmej jest przyjęcie dla klubu badmintonowego. Zażyczyli sobie strasznie wymyślnych dań, pesto crostini i roladek krabowych, a z tym jest dużo roboty. Gerry zaprosił mnie do kina. Zaraz przyjdzie i nie chcę, żeby czekał.

— Idź, zasłużyłaś sobie na to. Łyknę tylko herbaty i już zabieram się za kanapki.

— Kochana jesteś, Marie. Zaniose tarty do baru.

Marie usiadła przy stole z filiżanką herbaty, rozmyślając o rodzicach i rodzeństwie, którzy pojechali na święta do krewnych w Anglii. Ich stary dom kupiła na aukcji młoda kobieta nazwiskiem Sara Jones, która już ogołociła go z takich ulepszeń jak kamienny kominek, po czym kazała pomalować ściany na zimną, martwą biel. Wzorzyste dywany i zasłony z frędzlami powędrowały do kosza, na ich miejscu pojawiły się rolety z beżowej trawy morskiej i drewna. Pomarańczowe sosnowe szafki kuchenne sprzedano, teraz najmodniejsze były meble z białego dębu, blaty z nierdzewnej stali i jaskrawe oświetlenie punktowe. Marie widziała to wszystko na własne oczy, kiedy poszła po pocztę. Płakała na widok wspaniałego domu, który niegdyś był przytulnym rodzinnym gniazdkiem. Za tydzień wystawiano go na sprzedaż za cenę wyższą o prawie czterdzieści tysięcy funtów od ceny wywoławczej wyznaczonej na aukcji. Takie okrucieństwo wstrząsnęło nią do głębi.

Teraz też chciało jej się płakać, ale nie miała czasu. Do przyjęcia dla klubu badmintonowego zostało sześć godzin i mnóstwo rzeczy do zrobienia. Powiodła wzrokiem po stole. Dziesięć puszek krabów, sześć opakowań ciasta filo, sękaty korzeń imbiru, dziesięć bagietek, sześć słoików sosu pesto, cztery czerwone papryczki, świeża bazylija, wielka butelka oliwy z oliwek. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń do pozmywania, a Marie jeszcze musiała przygotować się do wieczornej imprezy. Cicho westchnęła. W pubie Michael Devaney zaczął miłosną piosenkę, przy której jej rodzice zawsze tańczyli: „Careless Whisper” George’a Michaela. Marie stłumiła łkanie. Miała tylko nadzieję, że Devaneyowie nie znają żadnych piosenek zespołu The Smiths. Jedna melancholijna nuta i przygniecie ją smutek. I wtedy do kuchni weszła Lily.

— Dobrze się czujesz, kotku?

— Tak. Tylko trochę się rozkleiłam. Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

— Na pewno? Nie chcę, żebyś pracowała, jeśli źle się czujesz. Wiesz, mogłaś pojechać z rodziną do Anglii.

— Nie, wolałam tu zostać. Naprawdę. Przeplakałabym cały świąteczny obiad patrząc, jak ciocia Tracy chwali się najlepszą porcelanową zastawą i sztućcami z rękojeścią z kości słoniowej. A moja biedna mama powtarzałaby, jakie to śliczne, jakby nic złego się nie stało. Nie zniósłabym tego, chociaż ciocia Tracy wcale nie ma złych zamiarów.

— Rozumiem. Dobra wiadomość jest taka, że Michael Devaney zaproponował, że po koncercie przyjdzie ci pomóc.

— Och, pani Beaumont, nie trzeba. Sama dam sobie radę.

— Nie, bardzo mu zależało. Myślę, że mu się podobasz, Marie.

— Nie jestem w nastroju do romansów. Proszę mu powiedzieć, że bardzo dziękuję, ale pomoc nie jest mi potrzebna. — Marie była przerażona na myśl o spędzeniu kilku godzin w bliskiej obecności cudownego Michaela w obcisłych skórzanych spodniach. Ostatnimi czasy była emocjonalnie roztrzęsiona. Ukończenie college’u i utrata domu dzieciństwa w jednym roku tak ją otepiły, że nie potrafiła

jasno myśleć. — Wiem, że mówiłam, że chcę lepiej go poznać, pani Beaumont, ale byłam wtedy wstawiona po tych koktajlach. Nie muszę pani mówić, że w rzeczywistości jestem beznadziejna. Proszę mu powiedzieć, żeby tu nie przychodził, dobrze? Bardzo proszę.

— Za późno. Powiedziałam, że wszyscy będziemy mu wdzięczni za pomoc.

— Czy Trudy przypadkiem nie maczała w tym palców? Rano nie wspominała, że idzie do kina z Gerrym Maddenem.

— Och, nie przejmuj się Trudy — odparła Lily z udaną swobodą, z której Marie wywnioskowała, że obie brały udział w spisku mającym na celu zeswatanie jej z Michaeliem. — Masz na oku kogoś innego? Wydawało mi się, że z nikim się nie spotykasz?

— Słusznie się pani wydawało, pani Beaumont.

— Proszę, mów do mnie po imieniu.

— Lily, umarłabym z zakłopotania, gdybyśmy razem tu byli. Miejsca tu tyle, że ledwo można pokroić chleb, a co dopiero pokazywać muzykowi, jak się robi kanapki.

— Dajże spokój, Marie. On jest bardzo miły. Powiedziałam mu, jaka byłaś cudowna, zajmując się gotowaniem, kiedy zachorowałam na grypę, i jak dzielnie znosisz to, że twoi rodzice wyjechali na święta. Odparł, że z przyjemnością ci pomoże.

— A nie będzie musiał odpocząć przed wieczornym koncertem?

— Nie. Mówi, że na gitarze może grać przez sen. Równie dobrze może tu zostać i zrobić coś pożytecznego, zamiast w domu oglądać telewizję. David w końcu prawie nie wychodzi z pubu, przez cały czas rozmawia z Daisy.

— Mimo wszystko. Dlaczego miałyby mi pomóc? Nie jestem jego dziewczyną.

— Jeszcze nie.

— Lily! Co ty zrobiłaś? Bawisz się w swatkę?

— Niewykluczone. On cię lubi, Marie, wiem to od niego.

— Skoro tak jest, to czemu sam mi tego nie powiedział?

— Bo jest strasznie nieśmiały, tak samo jak ty. A ja uważam, że byłaby z was uroczą parą.

— Nie czuję się swobodnie w towarzystwie chłopców, Lily. Zawsze tak było. W klubach czuje się źle.

— Wcale mnie to nie dziwi. W tych miejscach jest straszny hałas, od muzyki można ogłuchnąć, nie słyszysz nawet, co do ciebie mówią. Wielka szkoda, że ominęła cię era dyskotek, w której ja dorałam. Chodziliśmy z Jackiem do rewelacyjnej dyskoteki koło doków, gdzie podłoga była podświetlona, a ściany wyklejone błyszczącą tapetą. Uwielbialiśmy tam tańczyć. Teraz ten lokal stoi zamknięty na głucho.

— Brzmi cudownie. Musicie mieć wspaniałe wspomnienia.

— To prawda. Wracam teraz do łóżka, a tobie proponuję, żebyś wzięła gorącą kąpiel i odpoczęła. Potem możecie z Michaeliem robić wymyślne kanapki, dzięki czemu sami będziecie mieć wspaniałe wspomnienia.

— Przestań, Lily!

— Nie wyjdę z kuchni, dopóki się nie zgodzisz na pomoc Michaela. W przeciwnym wypadku sama będę musiała to zrobić, a w głowie tak mi łupie, że każdy zdrowy na umyśle dawno by oszalał.

— Dobrze, dobrze, wygrałaś. Wezmę kąpiel, o ile Bridget zostawiła trochę gorącej wody.

— Grzeczna dziewczynka — powiedziała Lily. — Jeśli czegoś będziesz potrzebowała, pożycz od którejś z nas. Ja tymczasem się zdrzemnę, a jak wieczorem lepiej się poczuję, pomogę przy przyjęciu. W każdym razie mogę myć naczynia, nikogo przy tym nie zarażę. Jack mówi, że wciąż ledwo się trzyma na nogach, więc z niego nie będziemy mieć większego pożytku. Czy ta woda się zagotowała? Zrobię nam kakao. Dziewczęta są na dole, więc będziecie mieć spokój. Idź już. — Poklepała Marie po plecach zadowolona, że pomaga przy narodzinach jednej z największych miłości dwudziestego pierwszego wieku, po czym wsypała dwie porcje kakao do ulubionych kubków.

W łazience Marie odkręciła gorącą wodę i wycisnęła do wanny małą tubkę różanego balsamu do kąpieli, który był darmowym dodatkiem do jakiegoś czasopisma. Obcięła i pomalowała paznokcie, nałożyła też na twarz maseczkę ogórkową. Kiedy wanna była pełna, zanurzyła się w pianie, mocząc obolałe stopy. Znowu czuła się jak człowiek. Odsuwała od siebie myśl o tym, jaką idiotką może z siebie zrobić przy wędzonym łososiu. Miała tylko nadzieję, że będą zbyt zajęci gotowaniem młodych ziemniaków, krojeniem bagietek i cebulek, żeby poczuć zakłopotanie. A gdyby obecność Michaela za bardzo ją przygniotła, zawsze pod jakimś pretekstem może uciec do baru. Powie na przykład, że musi pomóc Bridget.

Wysuszyła na pieprz włosy i spięła jedną ze ślicznych spinek Lily. Pożyczyła jedną z wielu czarnych sukienek Daisy, śliwkowy krótki sweterek Bridget i kilka bransoletek Trudy i była gotowa na randkę.

— Tylko że to nie jest randka — powiedziała swojemu odbiciu w lustrze. — On mi będzie pomagał przy robieniu kanapek.

Kiedy jednak przed drzwiami kuchni pojawił się Michael, w powietrzu wyraźnie wyczuwało się romantyczny nastrój. Michael zarumienił się przy powitaniu, a Marie nerwowo paplała, pokazując mu wycinki z gazet, które Lily zostawiła na tablicy korkowej. Michael nie krył zdumienia, widząc na stole górę składników.

Marie pojęła, że Michael jest bardziej od niej zakompleksiony, i zrobiło się jej go żal. Czasami myślała, że jest jedyną nieśmiałą osobą na całym świecie, a wszyscy inni bez oporów będą kołysać się nadzy na żyrandolach, jeśli ktoś im to zaproponuje. W rzeczywistości jednak dla większości ludzi życie czasami okazywało się nazbyt trudne. Tak powiedziała Lily, a Marie jej wierzyła.

— Dzięki, że zgodziłeś mi się pomagać — odezwała się cicho. — Naprawdę to doceniam.

Michael z wyrazem skupienia na twarzy studiował przepisy, a kiedy wymówił francuską nazwę kanapek, zabrzmiało to tak strasznie, że Marie wybuchnęła śmiechem. Michael także się roześmiał.

— Nie wiem, czy za chwilę też mi będziesz dziękowała — odparł. — Kto by pomyślał, że potrzeba tyle tego, żeby zrobić takie maleńkie kanapki?

— Nie przejmuj się, to wcale nie jest skomplikowane.

Michael wydał się jej bardzo sympatyczny. Wspólnie podzielili składniki na trzy stosy, każdy do jednego dania, po czym umyli ręce i włożyli pasiaste fartuszki.

— Ty będziesz kroił, kropił oliwą i piekł chleb, a ja usmażę papryczki do crostini — zaproponowała Marie. — Potem włożymy całość do szczelnych pojemników. To danie serwuje się na zimno.

— Jasne — zgodził się Michael, odgarniając kręconą grzywkę z oczu. — Kuchnia to twoja specjalność?

— Nie rozumiem?

— No, pytam, czy studiujesz gastronomię?

— Nie. Skończyłam college językowy i czekam, aż trafi mi się lukratywna posadka tłumacza w Brukseli.

— Och, to robi wrażenie. — Michael nagle znowu sprawiał wrażenie onieśmiałonego.

Marie rozpoznała objawy. Bał się popełnić kolejne faux pas, pytając o nadzieje na pracę. Sama też taka była, ciągle dręczył ją strach, że powie albo zrobi coś nie tak.

— W gruncie rzeczy to drobiazg — odparła. — Ja po prostu łatwo się uczę języków. Właściwie nie lubię tłumaczyć. Po prostu byłam w tym dobra w college'u.

— David i ja nie doszliśmy do college'u, oblaliśmy wszystkie egzaminy, bo za wiele czasu poświęciliśmy muzyce.

— Nieważne, o ile zarabiacie na życie i jesteście szczęśliwi.

— Na razie trudno to nazwać zarabianiem. Musimy nagrać piosenkę, wtedy mielibyśmy lepszą pozycję i puszczaliby nas w radiu. I moglibyśmy podwyższyć stawki za koncerty. Wiesz, David myśli o zapisaniu nas w przyszłym roku na konkurs talentów w Londynie.

— Ojej! Telewizyjny konkurs? W którym ludzie głosują i w ogóle? Z milionami widzów?

— Taa. Bardzo mu na tym zależy. Myśli, że mamy sporą szansę na wygraną.

— Odważnie z twojej strony, Michael. Ja nie zrobiłabym tego, nawet gdyby płacili mi fortunę. Z nerwów padłabym trupem na miejscu.

— Powiem ci w tajemnicy, że ja też tak czuję. Nie chcę tego robić.

— Domyślam się, że David jeszcze o tym nie wie?

— Nie mam pojęcia, jak mu o tym powiedzieć.

— Och.

— Nawet nie wiem, jak mu powiedzieć, że nie znoszę tych spodni.

— Och, Michael, nie są takie złe — zachichotała Marie. — Świetnie w nich wyglądasz.

— Są żałosne, Marie. Jest mi wstyd, kiedy mam je na sobie. I te białe koszule. Obrzydliwość. Ale mózgiem jest zawsze David, wiesz? Zawsze się mną opiekował. I wydaje mu się, że się zna na modzie.

— Teraz ja zdradzę ci sekret. Daisy planuje pozbyć się skóry. Chciałaby zaprojektować na nowo waszą garderobę. Twierdzi, że wygląd pirata jest niemodny, najwyższy czas wrócić do garniturów w jasnych kolorach.

— Tak? To świetnie.

— Ale co będzie z waszym tandemem, skoro ty chcesz zrezygnować z muzyki?

— Och, ja kocham muzykę i wcale nie mam zamiaru z niej zrezygnować, tylko chcę robić to na małą skalę. Grać w lokalach takich jak ten. Zostać w Irlandii, pracować przez trzy wieczory w tygodniu. Może jeszcze dawać lekcje gry na gitarze?

— Więc nie chcesz być wielką gwiazdą?

— W żadnym razie. To zwariowane życie. W zeszłym roku w Anglii graliśmy jako support zespołu rockowego. Pół roku spędziliśmy z nimi w trasie. Mieszkaliśmy w cuchnącym autokarze. To było okropne. Za dużo imprez pomiędzy koncertami. Jeden z członków zespołu przedawkował, a teraz siedzi w więzieniu za podpalenie.

— Rozumiem.

— A ty? O czym ty marzysz?

— Chciałabym kiedyś mieć własną firmę. Języki zaczynają mnie nudzić.

— Tak?

— Tak. No wiesz, bardzo lubię gotować, a atmosfera w takim małym pubie jak ten jest rewelacyjna, ale fatalnie znoszę pracę do późna w nocy. Jestem nieustannie wykończona. I tak sobie pomyślałam, że może zrobię kurs gastronomiczny, będę w restauracji piekła ciasta? Ale jakoś wątpię, żeby mój bank zgodził się udzielić mi kredytu. — Ziewnęła szeroko, zaraz jednak przeprosiła.

— Może usiądziesz na chwilę? — powiedział Michael spokojnie. — Skończę te kraby. Co mam robić?

— Już dodałam cebulki i tarty imbir do krabów. Nałóż łyżkę farszu na każdy pas ciasta i zwiń. Potem trzeba posmarować roladki roztopionym masłem i wstawić do piekarnika na dziesięć minut.

— Wydaje się łatwe. — Michael zabrał się do dzieła.

— Zaparzę herbatę. Odnoszę wrażenie, że odkąd tu jestem, parzę herbatę co dziesięć minut. — Poprawiła włosy, kiedy długi kosmyk wysunął się spod jadeitowej spinki.

— Uch... ślicznie wyglądasz, Marie. Chciałem ci wcześniej to powiedzieć. Bardzo ładnie wyglądasz.

— Dziękuję. Ty też.

Gdy go mijiała, by napełnić czajnik wodą, Michael objął ją w pasie. Całowali się ostrożnie. Marie czuła, jak jego kręconą grzywka muska ją w czoło, i było to dziwnie podniecające doznanie. Dotknął jej włosów i wciągnął w nozdrza zapach szamponu truskawkowego. Ręce miał mocne i twarde od gry na gitarze, a chociaż Marie kręciło się w głowie, równocześnie miała wrażenie, że odnalazła coś, co utraciła. Całowali się przez dwadzieścia minut, przerwała im dopiero Bridget, która przysłała po śmietankę. Przestraszeni, o mało nie stracili równowagi. Marie pomyślała, że nic w tym życiu nie może się równać z doskonałym pierwszym pocałunkiem. Tego cennego doświadczenia nie da się powtórzyć. Wiedziała, że przeżyła coś, co będzie jednym z jej najśłodszych wspomnień. Bez słów i deklaracji oboje wiedzieli, że teraz są parą.

Później, kiedy popijali herbatę i kosztowali kanapki, uświadomili sobie, że czują się dziwnie odprężeni. Rozmawiali bez poprzedniej nerwowości, a chwile ciszy nie wprawiały ich w zakłopotanie. O szóstej Marie wyjęła indyka z piekarnika. Kiedy ostygł, Michael pokroił go i ułożył na srebrnej tacy, która miała stanowić centralny punkt bufetu. Za kwadrans siódma Lily wygramoliła się z łóżka, by podjąć odważną próbę powitania gości, i w kuchni zastała Marie i Michaela układających swoje kulinarne dzieła na wypożyczonych tacach. Rozmawiali przy tym, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Wieczorem Lily powiedziała Jackowi, że przegrał oba zakłady. Michael i Marie przypadli sobie wzajemnie do gustu, a jedzenie na przyjęcie było gotowe na czas.

Ale Jack wcale się nie martwił utratą dwudziestu funtów. Cierpiał na atak dotkliwej tremy przed występem w roli Didżeja Nostalgii, jak nazwała go Lily na biletach, które kazała wydrukować Clare Prendergast.

PUKANIE DO DRZWI

To był straszny szok, choć Bridget w głębi serca zawsze czuła, że któregoś dnia coś takiego na pewno się zdarzy.

O dziewiątej rano w czwartek dwudziestego trzeciego grudnia rozległo się pukanie do drzwi tawerny przy Klonowej. Lily w kuchni parzyła kawę, rozczulając się nad sobą i swoim obolałym gardłem, tak więc to ona poszła otworzyć. Przypuszczała, że przynieśli mięso od rzeźnika. Ale na progu wcale nie stał chłopak z kolejnym świeżym indykiem, tylko dwóch policjantów z poważnymi twarzami. Bruk pokrywała warstwa śliskiego lodu, policjanci także sprawiali wrażenie na wpół zamarzniętych.

— O mój Boże, coś się stało Trudy Valentine? — jęknęła Lily czując, jak puls jej przyśpiesza. — Czy Gerry Madden zrobił jej krzywdę? Zaraz sprawdzę, czy wróciła. — I ruszyła w kierunku schodów.

— Proszę poczekać. Jaki Gerry? — zawołał policjant. Lily zauważyła, że na jego wąsach srebrzą się drobinki lodu.

— Madden. Gerry Madden. Jest trochę niezrównoważony. Oboje chodzą na terapię. Zbił nam okno. Wiem, że powinnam była zaprotestować, kiedy umówił się z Trudy, ale sprawiał wrażenie bardzo spokojnego. Myśleliśmy, że jest na dobrej drodze do poprawy. — Lily ze zmartwienia przygryzła paznokieć.

— A pani godność? — Drugi z policjantów wyjął notatnik.

— Jestem Lily Beaumont, właścicielka. Czy z Trudy wszystko w porządku? Proszę mi powiedzieć.

— Bardzo mi przykro, ale nie chodzi o Trudy Valentine, tylko o pani pracownicę, pani Beaumont. Kobietę nazwiskiem Bridget O'Malley. Jest tutaj barmanką, prawda? Dostaliśmy adres w pośredniaku.

— O Boże, tyle hałasu o nic? Co znowu zniszczyła? Ma skłonność do powodowania wypadków. — Lily ogarnęła tak wielka ulga, że miała ochotę wybuchnąć śmiechem, bez względu na koszty najnowszej katastrofy. I strasznie zabawne było, że policjant nazywa Bridget „kobietą”. Choć Bridget miała dwadzieścia pięć lat, Lily uważała ją za małą dziewczynkę.

— Obawiam się, że mamy złe wiadomości dla Bridget. Jej rodzice nie żyją. Umarli wczoraj w nocy.

— Co? — Serce Lily przestało bić. — Co to znaczy? Jej rodzice, tak pan powiedział? Oboje nie żyją? Umarli?

— Tak jest.

— Kiedy? Jak?

— Jeśli mi pani pozwoli, wszystko wytłumaczę — powiedział cierpliwie policjant.

— A przy okazji, bardzo tu zimno — dodał jego kolega.

— Oczywiście. Proszę wejść, napijemy się kawy. Proszę. — Lily otworzyła szeroko drzwi; była zadowolona, że wczoraj wieczorem salę wysprzątało. W kominku ogień jeszcze nie wygasł, dołożyła więc torfu z koszyka, po czym poszła do kuchni po kawę i ciasto, które zostało z wieczora. Rozłożyła na stoliku talerze, kubki, cukiernicę, łyżeczki. Biedna dziewczyna, pomyślała. Cieszyła się teraz, że nie nakrzyczała na Bridget z powodu szkód poczynionych przez nią w tawernie. Co teraz stanie się z Bridget i jej trzema siostrami? Zostały same, bez rodziców.

Siedząc przy zastawionym stoliku blisko kominka, policjanci sprawiali wrażenie bardziej przystępnych. Lily odprężyła się. W obecności umundurowanych funkcjonariuszy zawsze miała wrażenie, że jeszcze chwila i zostanie aresztowana, choć przecież nie zrobiła nic złego. — Jestem John Kelly — przedstawił się wysoki z wąsem.

— A to mój kolega, Steven Butterworth. Dziękujemy za kawę, pani Beaumont, to bardzo miło z pani strony. Wracając do sprawy: wczoraj w nocy pan O'Malley miał nieszczęśliwy wypadek. Został śmiertelnie potrącony przez ciężarówkę na Lisburn Road.

— Biedny człowiek — powiedziała Lily ze smutkiem.

— Był kompletnie pijany i po prostu wtoczył się pod koła — ciągnął John. — To był wypadek. Mamy zeznania kilkorga naocznych świadków. Kierowca nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności, ale jest w szoku.

— Wcale się nie dziwię — mruknęła Lily.

Sama też była w szoku. Cóż za smutną i samotną śmierć miał ojciec Bridget. Jakie to tragiczne, że zakończył swoje życie na zimnej twardej drodze! Zabity przez nieznanego. A życie kierowcy też nie będzie już takie jak przedtem. Gdziekolwiek spojrzeć, dramat.

— To straszne — powiedziała. — Wiedziałałam, że ojciec Bridget nie stronił od kieliszka, ale to jest po prostu okropne. Czy cierpiał? Mam nadzieję, że nie.

— Sądzymy, że po potrąceniu nie odzyskał przytomności. To stało się bardzo szybko. Nie żył, kiedy w niecałe trzy minuty później przyjechała karetka. Wypadek miał miejsce tuż przed szpitalem.

— Rozumiem. Ale co się stało pani O'Malley? — Lily zaczynała się denerwować, nie z powodu zmarłego, ale z powodu Bridget. Biedne dziecko śpi spokojnie na piętrze. Lily miała wyrzuty sumienia z powodu wszystkich przezwisk, którymi obrzucała Bridget, kiedy była sama z Jackiem. Idiotka, kretyńka, świr, niezgrabiasz, flejtuch, zdzira, darmozjad. Kilka razy była o krok od wyrzucenia jej. A teraz okazało się, że skłonność do wypadków była cechą dziedziczną w rodzinie O'Malleyów.

— Poszliśmy wczoraj powiadomić panią O'Malley o zdarzeniu — odparł John Kelly. — A ona straciła przytomność.

— Bardzo źle to przyjęła — dodał Steven Butterworth. — Wezwaliśmy karetkę, ale przyjechali za późno. Umarła na atak serca. Na rękach Johna.

— O mój Boże, co za straszne przeżycie! Nie wiem, co powiedzieć. Musieliście okropnie się czuć.

— To zdarza się częściej, niż się pani wydaje — powiedział John Kelly łagodnie.

— Nie mogłabym za żadne pieniądze wykonywać waszej pracy. — Lily naląła kawy do kubków, zbierając siły na ciąg dalszy.

— Może pani powiedzieć o tym Bridget? — zapytał John. — Chyba byłoby lepiej, gdyby usłyszała o wszystkim od pani. Tego rodzaju wiadomości powinni przekazywać przyjaciele.

— Spróbuję — zawahała się Lily. — Mam nadzieję, że znajdę odpowiednie słowa.

— Niech się pani nie śpieszy, pani Beaumont. My poczekamy w samochodzie, żeby zawieźć Bridget do kostnicy, bo musi zidentyfikować ciała. Odbędzie się sekcja, ale sprawa jest oczywista.

— Rozumiem.

— Tak. Byli świadkowie wypadku, a pani O'Malley chorowała na serce i była poważnie niedożywiona — powiedział Steven Butterworth, po czym włożył całego ekierka do ust. Popił go kawą i oblizal się. — Dziękuję, to było wyśmienite.

Lily kręciło się w głowie. Nie słyszała, by ktokolwiek w tym kraju cierpiał na poważne niedożywienie od czasów zarazy ziemniaczanej. Czy to możliwe, że życie rodzinne Bridget było aż tak straszne? Dziewczyna nie opowiadała o rodzicach i Lily po prostu założyła, że niewiele ją z nimi łączyło. Jeśli jednak oboje byli beznadziejnymi przypadkami, jak najwyraźniej uważali policjanci, to musiała mieć przerażające dzieciństwo. I głodne. Nic dziwnego, że ciągle je. Lily przypomniała sobie, jak śmiała się do rozpuku, kiedy Bridget znalazła i wypila sekretny zapas mleka sojowego Jacka. Dziewczyna była prawdziwym fenomenem w tym sensie, że pochłaniała góry jedzenia, a mimo to wciąż pozostawała drobna.

Od wprowadzki do tawerny Bridget nie odwiedziła rodziców ani do nich nie zadzwoniła. Teraz Lily się dowiedziała, że nawet nie mieli telefonu. Bridget najwyraźniej próbowała całkowicie odsunąć od siebie myśli o rodzicach, ale na niej spocznie koszmarny obowiązek zidentyfikowania ciał w kostnicy, zorganizowanie podwójnego pogrzebu i powiadomienia siostr. Boże wszechmogący!

— Proszę, wy jej powiedzcie — poprosiła żałośnie. — Bridget znam od niedawna, rozumiecie? Oczywiście bardzo ją lubię, ale naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, jak mam powiedzieć, że oboje jej rodzice odeszli z tego świata jednej nocy.

— Dobrze — westchnął posterunkowy Kelly. — Ja to zrobię. Proszę ją tu przyprowadzić.

Lily poszła na górę i delikatnie zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zbiegła pośpiesznie do baru.

— Zanim ją obudzę, powiedzcie, czy jesteście przekonani, że to rodzice Bridget? Skąd możecie to wiedzieć?

— O'Malleyowie byli dobrze znani w szpitalu, pani Beaumont. Często bywali na izbie przyjęć z powodu różnych obrażeń. Za którymś razem podali Bridget jako najbliższą krewną.

Lily pokiwała głową, po czym wróciła do salonu. Tym razem nie pukała, tylko otworzyła ci-chutko drzwi i na palcach podeszła do łóżka pod oknem. Bridget spała, jej twarz rozjaśniał uśmiech zadowolenia. Nową niebieską kołdrę miała podciągniętą pod samą brodę. Nie wyglądała na dostatecz-nie dorosłą, by organizować pogrzeb rodziców. Lily pomyślała, że najtrudniejsze, co w życiu musiała zrobić, to konieczność obudzenia Bridget.

— Bridget? Bridget, obudź się. Słyszysz mnie? — szepnęła.

Bridget otworzyła wielkie niebieskie oczy i zobaczyła nad sobą zmartwioną Lily.

— Chodzi o moich rodziców, prawda? — zapytała po krótkiej chwili. — O które z nich? — Kiedy Lily nie odpowiadała, westchnęła głośno. — Oboje, tak? Spalili dom? Zasnęli z papierosami w ustach? Zawsze wiedziałam, że kiedyś się spalą.

I wtedy Lily pojęła, że sama musi przekazać złą wiadomość. Nie mogła kazać biednej dziewczynie w nieświadomości schodzić na dół, gdzie czekali na nią policjanci.

— Och, Bridget! Masz rację, chodzi o twoich rodziców. Boże! Posłuchaj, tego nie da się inaczej powiedzieć, więc powiem wprost. Oboje nie żyją, ale to był wypadek. W każdym razie twój ojciec miał wypadek, potracił go samochód, i serce twojej mamy nie wytrzymało, kiedy jej o tym powiedzie-li. Na dole są dwaj policjanci, znają wszystkie szczegóły. Chyba musisz pojechać z nimi do szpitala. Pojadę z tobą. — Lily ze wstrzymanym oddechem czekała na reakcję Bridget, która spod kołdry wy-sunęła drobną dłoń. Lily ścisnęła ją mocno. — Będę cały czas z tobą.

— Nie ma takiej potrzeby — szepnęła Bridget.

— Nie bądź niemądra.

— Sama pojadę do kostnicy, Lily. Nic mi nie będzie.

— Bridget, nie dasz rady sama przejść przez ten koszmar.

— Już dość narobiłam kłopotów. Dywan, wanna, czajnik, okno, perfumy, sofa.

Dziewczyna musi być w szoku, skoro w takim momencie mówi o czajniku. Ale wspomniała coś o sofie? Lily rzuciła okiem na swoją ulubioną pękata sofę obitą perkalem i dostrzegła plamę atramentu. A co tam, pomyślała, inni gryzą ziemię...

— Bridget, wcale nie sprawiasz kłopotów. Proszę, pozwól, żebym ci pomogła. Jesteś w szoku. Włóż szlafrok i chodź ze mną. Napijesz się herbaty. A może wolałabyś brandy?

— Nigdy nie piłam, Lily, i na pewno nie zacznę teraz.

— Przepraszam, Bridget, nie pomyślałam. Oczywiście, że nie pijesz.

— Dość się napatrzyłam, do czego to prowadzi.

— Tak. Chodź, razem przetrwamy ten dzień.

— Nie chcę oglądać ich twarzy, Lily. Nie masz pojęcia, jak to było. Wyglądają staro, o wiele starzej, niż powinni. I dom mają okropny, jak z powieści Dickensa. — Bridget wstała i włożyła na piżamę długi niebieski płaszcz. No tak, pomyślała Lily, policjanci nie powinni widzieć zniszczonego szlafroka Bridget. Zdumiało ją, że dziewczyna zachowuje godność mimo straszliwej straty, jakiej doznała. Zeszły na dół, najpierw jednak Lily powiedziała o wszystkim Jackowi.

Bridget była spokojna i opanowana, kiedy weszła do baru. Dopiero na widok Johna Kelly'ego z czapką pod pachą załamała się i wybuchnęła płaczem. Szlochała tak długo, aż w głowie zaczęło jej pulsować, a serce boleśnie się ścisnęło. John objął ją i delikatnie klepał po ramionach. Był przyzwyczajony do pocieszania pograżonych w żałobie krewnych.

Ale to nie z żalu za zmarłymi rodzicami Bridget tak gorzko płakała. Przestała na nich liczyć już dawno temu.

Powodem było to, że na widok Johna Kelly'ego pojęła, iż jej przeznaczeniem jest kochać tego mężczyznę do końca życia.

Każdą cząstkę jej ciała przeszły świadomość, że spotkała swoją drugą połowę. Pomiędzy nimi przepłynął prąd — a czegoś takiego nigdy nie czuła z Gerrym. Wyraz oczu Johna Kelly'ego powiedział jej, że to jest mężczyzna, przy którym mogłaby się zestarzeć. Ale teraz jej beznadziejni rodzice także tę szansę zmarnowali. Co może myśleć o niej John, skoro widział ludzi, którzy dali jej życie? Nawet przy założeniu, że jest samotny i uważa Bridget za atrakcyjną, sytuacja jest bez wyjścia.

Płakała, bo nie miała pieniędzy na pogrzeb, wstydziła się swojej pracy i czekała ją bezdomność, kiedy tawerna zostanie sprzedana. Płakała z powodu swoich trzech siostr i wszystkich świąt Bożego Narodzenia, które spędzały, ukrywając się na piętrze, podczas gdy rodzice przepijali zasilek i obrzucali przekleństwami gwiazdy śpiewające wesołe piosenki na ekranie starego telewizora (dar organizacji dobroczynnej przy kościele św. Wincenta à Paulo). Płakała, bo Gerry Madden odrzucił ją jak stary płaszcz w chwili, gdy poznał Trudy Valentine. A chociaż nie kochała już Gerry'ego, bardzo ją to zabolowało. Płakała, ponieważ wiele razy myślała, że chciałaby, żeby jej rodzicami byli Lily i Jack Beaumontowie, i czuła się z tego powodu nieojalna. Wreszcie nie miała sił dłużej płakać. John Kelly wypuścił ją z objęć i poprosił Lily o filiżankę kawy.

— Niedługo poczujesz się pani lepiej — powiedział łagodnie.

Kiedy John pocieszał Bridget i opowiadał o wypadkach wieczora, posterunkowy Butterworth udzielił Lily kilku rad w sprawie pogrzebu. Policjanci poczekali, aż kobiety się ubiorą, po czym we czwórkę wsiedli do wozu. Jack i pozostałe trzy dziewczyny w milczeniu czekali w kuchni na wiadomości.

Pod białymi prześcieradłami w kostnicy leżały ciała niskich wychudłych osób. W świetle lamp O'Malleyowie wyglądali jak dzieci. Lily nie spojrzała na ich twarze, wiedziała jednak, że byli drobni i wyniszczeni trudnym życiem. Bridget potwierdziła ich tożsamość krótkim kiwnięciem głowy, podczas gdy Lily czekała przy drzwiach. Bridget znowu się rozpląkała, podpisując stosowne dokumenty. Potem John Kelly zawiózł ich do domu rodzinnego Bridget, położonego przy schludnej uliczce z szeregiem wiktoriańskich domków z maleńkimi ogródkami od frontu. Przed drzwiami czekał na nich ksiądz trzymający w dłoniach modlitewnik o pozłacanych brzegach. Był wiekowy i sprawiał wrażenie dobrodusznego. Widać było, jak zbiera się w sobie.

— Bardzo ci współczuję, Bridget — powiedział. Uścisnęli sobie dłonie. — Niech Bóg ma w opiece ciebie i twoje siostry w Anglii. Rano odprawiłem mszę w waszej intencji.

— Dziękuję, proszę księdza — odparła Bridget. — Zawsze był ksiądz dla nich bardzo dobry, zawsze.

— Wszystko w porządku, moja droga. Wiele razy modliłem się, żeby znaleźli w sobie siły do przezwyciężenia nałogu. W głębi serca byli dobrymi ludźmi.

— Chyba tak — powiedziała Bridget bez większego przekonania. — To moja szefowa, pani Lily Beaumont, a to posterunkowy Kelly, który dzisiaj się mną opiekuje.

— Witam księdza — uśmiechnęła się Lily.

John tylko kiwnął głową, z szacunkiem trzymając się na uboczu.

— Miło mi panią poznać, pani Beaumont. Rodzice Bridget mówili mi, że bardzo dobrze jej się u pani pracuje.

Tak jak trzeba, Lily odparła, że prawdziwą przyjemnością jest obecność Bridget w jej pubie. Była wzruszona dobrocią księdza. Pomyślałaby raczej, że stary człowiek będzie znużony podobnymi smutnymi scenami, tymczasem on wydawał się szczerze przejęty losem rodziny O'Malleyów.

Bridget znalazła w torebce klucz i otworzyła drzwi.

— Przygotujcie się — ostrzegła, gdy przekraczali próg, W niewielkim domku panowały wilgoć i chłód, wszystkie zasłony były zaciągnięte. W salonie niewiele było mebli, tylko dwa małe fotele i stół do kawy z lat pięćdziesiątych, zastawiony pustymi butelkami po alkoholu. Wielka popielniczka przy bliższym badaniu okazała się obitą i osmaloną puszką po herbatnikach. Zaskakiwał widok pełnej opału węglarki przy kominku i kraciastych koców na fotelach.

— Cóż, przynajmniej mieli węgiel i koce — zauważyła Lily, desperacko próbując przerwać niezręczne milczenie. — Wiezorami musiało tu być przytulnie.

— Wszystko co jest w tym domu, dostarczone zostało przez parafię — powiedziała Bridget cicho. — Rodzice spaliby na gołej podłodze, gdyby zostawić ich samym sobie. Od czasu do czasu sąsiedzi podrzucali im jedzenie, a pracownica opieki społecznej najpierw regulowała rachunki i dopiero potem dawała im zasiłek. Byli kompletnie beznadziejni.

Ojciec Damien zamknął oczy i odmówił modlitwę. John Kelly wyłączył z prądu telewizor, a przed kominkiem ustawił ekran, jako że wciąż żarzyły się węgle.

— Powinienem był to zrobić wczoraj w nocy — mruknął. Bridget ze wstydu zamknęła oczy.

Lily zadrżała. To faktycznie było jak scena z powieści Dickensa. Spodziewała się, że w każdej chwili z komina wyjdzie Oliver Twist. W obecnych czasach, kiedy kraj rozwijał się jak nigdy dotąd, to był prawdziwy szok. Kuchnia także straszyla swoim wyglądem: suszarka z niebieskiego plastiku, po-obijane kubki i talerze, bochenek taniego chleba i małe opakowanie herbaty ekspresowej. Na parapecie leżał kawałek różowego mydła poprzecinany szarymi pęknięciami. Na blacie stały cztery puszki zupy jarzynowej; Bridget powiedziała, że pewnie dostarczyła je organizacja dobroczynna, bo jej rodzice w życiu nie wydaliby osiemdziesięciu czterech pensów na puszkę zupy. Obok leżała odwrócona patelnia bez pokrywki. Spod przetartej wykładziny podłogowej wyglądał beton. Spiżarka i lodówka świeciły pustkami. Tylnych drzwi nie zamknięto nawet na klucz. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby od lat nikt tu nie mieszkał. O zbliżającym się Bożym Narodzeniu świadczyła jedynie mała gałązka świeżego ostrokrzewu zatknięta za obraz Przenajświętszego Serca, poza nią w całym domu nie było ozdób. Bridget powiedziała, że pewnie przyniósł ją któryś z sąsiadów.

Sypialnie, puste i smutne, wyglądały jeszcze gorzej. Na łóżkach leżały poduszki cienkie jak papier. Pokój, w którym Bridget mieszkała z siostrami, był ciasny i zakurzony. Bridget podniosła z parapetu szmacianą lalkę, na moment przytuliła do policzka, po czym odłożyła na miejsce. Wrócili na parter, tupiąc głośno na gołych drewnianych schodach.

— Nie ma tu nic, co chciałabym zatrzymać — oznajmiła Bridget. — Zadzwońię do urzędu i powiem, że mogą wynająć dom. O ile znajdą chętnego, tak tu wilgotno. Rodzice nigdy nie włączali centralnego.

— Ja zajmę się domem, Bridget, nie kłopotz się tym — powiedział ksiądz. — Mam przygotować na dzisiaj wieczorem czuwanie przy zwłokach? Możemy pożyczyć trochę krzeseł i świec z sali parafialnej.

— A nie moglibyśmy przewieźć trumien prosto do kościoła, proszę księdza? I nie urządzać czuwania w domu? Myślę, że tak byłoby najlepiej. Oni nie mieli tutaj prawdziwych przyjaciół, Odwiedzali ich tylko ludzie z organizacji dobroczynnych i opieki społecznej. Czasami wpadali sąsiedzi, którzy im współczuli.

— Byli lubiani, Bridget. To nieprawda, że nie mieli przyjaciół. Nie powinnaś tak myśleć o rodzicach. To nie ich wina, że z powodu nałogu byli tacy oderwani od życia.

Oderwani od życia, pomyślała Lily wstrząśnięta wrażeniem pustki panującym w małym domku, to chyba największy eufemizm wszech czasów. Sytuacja tej rodziny kojarzyła się jej z problemami Trzeciego Świata. Nie potrafiła pojąć, dlaczego O'Malleyom nie odebrano dzieci. Może w tamtych czasach za mało było rodzin zastępczych?

— Podjęłam decyzję, proszę księdza — oznajmiła Bridget stanowczo. — Zależy mi, żeby na koniec potraktowano moich rodziców godnie. Nie chcę, żeby ludzie oglądali ich w tym zimnym domu pozbawionym wszelkich wygód. I trumny mają być zamknięte.

— Jak sobie życzysz, Bridget. Porozmawiam z przedsiębiorcą pogrzebowym — odparł ksiądz Damien, z rezygnacją przyjmując mało ortodoksyjne instrukcje dziewczyny. Nie był przekonany, że dobrą rzeczą jest, by parafianie sami ustalali przebieg uroczystości pogrzebowych. Z drugiej strony Bridget nie zażyczyła sobie flag drużyny piłkarskiej ani piosenek pop w kościele. Cieszył się, że jest stary i nie pożyje na tyle długo, by na własne oczy oglądać kolejne zmiany.

— A co z kosztami pogrzebu? — zapytała nagle Lily. Czuła się winna. Przez całe dorosłe życie sprzedawała alkohol i w ogóle nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Ubóstwo domu O'Malleyów otworzyło jej oczy. — Moglibyśmy jakoś pomóc?

— W żadnym razie, Lily — zaprotestowała Bridget. — Nie będziesz za nic płacić. Nie pozwolę ci.

— Tym zajmą się władze — oznajmił szorstko ksiądz Damien. Jako zagorzały irlandzki nacjonalista z odrazą przyjmował jałmużnę od rządu w Anglii, ale co mógł na to poradzić? Nawet najskromniejszy pogrzeb kosztuje w dzisiejszych czasach mnóstwo pieniędzy. Na szczęście wokół plebanii rosło mnóstwo ostrokrzewów i innych zimowych roślin. Poprosi gospodynię, żeby zrobiła kilka wieńców do położenia na trumny. A w zakrystii dzięki Bogu mają dość świec. Urządzą przyzwoity pochówek, odpowiedni na czas Bożego Narodzenia. Westchnął, przypominając sobie, że będzie musiał zmienić przygotowane już kazanie.

Bridget sprawiała wrażenie, że znowu się rozpłacze, ale tylko głośno wciągnęła powietrze i podziękowała wszystkim za wsparcie.

— Mówiłam poważnie, Bridget — powiedziała Lily. — Czy w takim razie moglibyśmy z Jackiem zapłacić za kwiaty? Tyle przynajmniej możemy zrobić.

— Nie znałaś ich, Lily. Nigdy ich nie spotkałaś.

— Proszę, Bridget. Chcę to zrobić. Chociażby ze względu na twoje siostry.

— Lily, wiem, że masz dobre intencje, ale ekstrawagancki pogrzeb nie pasowałby do moich rodziców. Byłby niestosowny, fałszywy.

— Och, Bridget! — Lily rozejrzała się po zimnym salonie, gdzie z żarówek zwisały pajęczyny. Sama zaczęłaby pić, gdyby musiała tak mieszkać. — Oczywiście, że zasługują na uroczyste pożegnanie.

— Otoczka pogrzebu jest bez znaczenia, pani Beaumont — powiedział ksiądz. — Doceniam pani gest, ale Bridget ma rację. Państwo O'Malleyowie mieli nieszczęśliwe życie. Teraz NU u Pana. Osiągnęli spokój i nie potrzebują eleganckich kwiatów.

Lily nagle zrobiło się niedobrze. Pomyślała o własnych rodzicach, którzy w swojej skromnej kuchni w północnej części miasta słuchają w radiu porannych wiadomości i wyrzekają na świat. Niczym się nie interesowali poza plotkami w fabryce, w której pracowali. Włosy matki zmieniły się teraz w szare i bezkształtne kosmyki, Lily widziała to na zdjęciach z chrztu przysłanych przez dalekiego krewnego, który nie wiedział, że nie utrzymuje kontaktu z rodziną. Pomyślała o szorstkich dłoniach ojca; spędzał weekendy w chmurze dymu z papierosów, nie ruszając się z fotelu na biegunach. Oboje nigdy nie byli za granicą, nigdy nie jedli cudzoziemskiego dania. Matka nie wierzyła, że istnieją homoseksualiści, i uważała, że płyn do płukania prania to oszustwo. Wciąż nie chcieli rozmawiać z Jackiem. Do grobu zabiorą pretensje do córki z powodu przerwanych studiów. Lily nigdy ich nie odwiedzała. Zadawała sobie pytanie, czy dlatego, że kocha ich zbyt mocno czy zbyt mocno nienawidzi.

— Jak sobie życzysz — powiedziała cicho, spoglądając na zegarek.

— Idziemy — oznajmił John Kelly, przejmując dowodzenie.

— Odwiozę was na Klonową. Tu nie ma już nic do zrobienia.

— Dziękuję — odparła Lily. Miała spięte ze zmęczenia mięśnie i marzyła o gorącej kąpieli. —

To bardzo miło z pana strony. Jak właściwie powinnam się do pana zwracać?

— Proszę mówić mi po imieniu — uśmiechnął się John.

— Może przynajmniej weźmiesz Przenajświętsze Serce? — Ksiądz Damien zdjął obrazek ze ściany i podał Bridget. — Przywiozłem go dla nich z Rzymu. Pobłogosławione przez samego Ojca Świętego.

Bridget wyglądała na głęboko urażoną. Przez jedną okropną chwilę przerażona Lily sądziła, że dziewczyna rozbije obrazek o własne kolano. Zaraz wszakże wyraz twarzy Bridget złagodniał. Podziękowała księdzu i wyszła z domu, nie oglądając się za siebie. Klucz od frontowych drzwi Lily wręczyła księdzu Damienowi. Odjeżdżając, pomachali do niego.

— Bardzo miły. Wydał mi się dobrym człowiekiem — powiedziała Lily.

— Był jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego tu mieliśmy — odparła Bridget. — Zawsze o nas pamiętał, na Boże Narodzenie przynosił nam indyka i zabawki. Co roku wypraszał towary we wszystkich sklepach w mieście i organizował zbiórkę żywności. Raz dostaliśmy świeżego ananasa, ale mama powiedziała, że to dla snobów, i wyrzuciła go do śmieci.

Lily zamknęła oczy. Rozpaczliwie pragnęła zobaczyć Jacka, przytulić się do niego, wciągnąć w nozdrza korzenny zapach jego płynu do golenia.

— Dobrze zrobiłaś, biorąc obrazek — powiedziała. — Sprawiałaś tym radość księdzu Damienowi.

— Myśli, że pomaga mi w umacnianiu wiary. Nie chciałam ranić jego uczuć, ale w Boga przestałam wierzyć dawno temu.

Wieczorem postanowiono, że Bridget weźmie kilka dni wolnego. Protestowała, mówiła, że wolałaby mieć zajęcie, ale Lily zadzwoniła do jej lekarza. Przekonał ją, że powinna odpocząć i porozmawiać z siostrami. O siódmej Bridget poszła się położyć i niemal natychmiast zasnęła. Przespała całe przyjęcie i obudziła się dopiero o czwartej nad ranem.

Pragnęła, żeby Gerry zadzwonił i porozmawiał z nią, ale przyrzekł Trudy, że nie będzie już zbliżał się do telefonu o nieludzkich porach. Bridget spozrzała na leżącą w sąsiednim łóżku Trudy. Jak jej się udało ujarzmić dzikiego Gerry'ego Maddena? Nie opuścił ani jednego spotkania z pielęgniarką. Próbował przekonać szefów, żeby cofnęli wypowiedzenie umowy; spotkał się z nimi kilka razy i płaszczył aż miło. Zaproponował nawet, że będzie pracował w święta. Był odmienionym człowiekiem. Bridget nie potrafiła tego pojąć. Nie była w stanie skłonić rodziców, żeby zrezygnowali z picia i poświęcali jej więcej uwagi. Z Gerrym też jej się to nie udało. Pewnie nie można jej kochać, to była jej dyna odpowiedź.

Kiedy wykradła się z pokoju, żeby coś przegryźć, głęboko sobie współczuła. Na szczęście w kuchni pełno było dobrego jedzenia. A potem zobaczyła puszkę po herbatnikach z jej imieniem wypisanym na kartce papieru przyklejonej taśmą do pokrywy. W środku były różne kanapki owinięte w folię, spory kawał ciasta czekoladowego i gruby plaster kurczaka. Pomiedzy ciastem i kurczakiem znalazła karteczkę, na której przeczytała: „Kochamy cię, Bridget. Lily, Jack, Trudy, Daisy i Marie”. Bridget siedziała przy stole, przez długi czas wpatrując się w kartkę. Wypiła trzy filiżanki kawy, ale przepyszne jedzenie pozostało nietknięte.

LILY ZMIENIA ZDANIE

W Wigilię Trudy, Daisy i Marie dokładały wszelkich starań, by rozweselić Bridget, która była dziwnie spokojna i poważna. Tłumaczyły to sobie atakiem przygnębienia. Mówiły to, co zwykle się mówi przy takich okazjach: że jej rodzice odeszli w lepsze miejsce, gdzie teraz mogą odpocząć. Powiedziały, że zarezerwowały dla sióstr pokoje w hotelu. Zamówiły także piękny wieniec z czerwonych róż i kazały go przesłać do kościoła. Bridget spojrzała tylko na Lily, zaciskając usta, ale Lily odparła, że Jack złożył zamówienie, nim zdążyła go uprzedzić, żeby tego nie robił, a teraz jest już za późno. Daisy z własnej woli zaproponowała, że pożyczy Bridget na pogrzeb swój najlepszy czarny aksamitny kapelusz, Marie dodała modny szal w tym samym kolorze, a Trudy powiedziała, że upnie jej włosy w kok. Bridget przez cały dzień prawie nic nie mówiła. Sprawiała wrażenie zamyślanej i zamkniętej w sobie. Posprzątała pokój, wyprasowała stos prania i obejrzała w telewizji film z Bette Davis.

Włożyła Przenajświętsze Serce pod łóżko, ale zaraz znowu je wyjęła i czystą ściereką wytarła zabrudzone szkło. Obrazek przypominał jej księdza Damiena, który był dobrym człowiekiem. Postanowiła, że zachowa go jako pamiątkę po nim. Postawiła obrazek na kominku i usiłowała odmówić modlitwę za rodziców, ale słowa zamierały jej na ustach. Uświadomiła sobie, że nie pamięta żadnej modlitwy.

O trzeciej ubłagała Lily, by pozwoliła jej pomóc w przygotowaniach do przyjęcia Clare Pendergast. Lily zgodziła się niechętnie. Mieli opóźnienie, bo w porze lunchu ruch był większy niż zwykle. Rozchodziła się wieść o bliskim zburzeniu tawerny i coraz więcej ludzi wpadało z pożegnalną wizytą. W księdze gości leżącej na małym stoliku koło zegara do Wigilii podpisy zapełniły siedemdziesiąt dziewięć stron.

— ...choć uważam, że powinnaś się położyć, Bridget. Jutro cały dzień będziesz na nogach.

— Posłuchaj, moje siostry będą tu za pięć godzin. Do tego czasu mogę wam pomóc w przygotowaniach. Bardzo cię proszę. Chciałabym nacieszyć się gwarem i życiem przed pogrzebem.

— Dobrze, kotku, jeśli jesteś tego pewna. Marie i Trudy powiedzą ci, co masz robić. A ja zejść na dół pomóc Jackowi i Daisy.

Dziewczętom w kuchni było bardzo gorąco. Kiedy wyjmowały kolejnego indyka z pieca, podmuch rozgrzanego powietrza podniósł i tak wysoką temperaturę w małym pomieszczeniu. Otworzyły okno na oścież, ale nawet lodowaty wiatr nie był w stanie ochłodzić zaróżowionych twarzy kucharek. Mimo to z obiekcjami przyjęły pomoc ze strony dziewczyny pogrążonej w żałobie.

— Jeśli nie pozwolicie mi czegoś zrobić, wezmę inicjatywę we własne ręce — zagroziła Bridget. — Ostrzegam was. — Wyjęła z szuflady ostry nóż i zażądała, by dały jej coś do pokrojenia.

— Jasne — odparła Marie. — Możesz zrobić potrawkę z kurczaka i oliwek, jeśli tak się upierasz.

— Dobrze, powiedzcie mi tylko jak.

— Pokrój cebulę i trzy plastry bekonu, a potem podsmaż je na oleju przez pięć minut. Polej białym winem. Pokrój na kostki pięć filetów z kurczaka, dodaj poszatowane oliwki i pietruszkę. Dodaj jeszcze trochę bekonu i duś wszystko razem.

— Nie tak szybko — powiedziała Bridget. — Jak skończę pierwszy etap, podasz mi dalsze instrukcje. Koktajle to bułka z masłem w porównaniu z gotowaniem. — Uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia i przez następne kilka godzin w kuchni panowała harmonia. Tace ładnie ugarowanego jedzenia nakryte folią czekały w holu.

Lily i Jack za barem padali z nóg. Wciąż czuli skutki przebytej grypy, ale w barze było przytulnie, a oni dbali o to, by ciepło się ubierać. Na szczęście dla gości przestali już kaszleć i kichać. Nadal miewali dreszcze i bolały ich stawy, ale nikt nie zauważył, że lekko chwieją się na nogach, wszyscy bowiem zajęci byli podziwianiem ślicznego wystroju i smakowaniem pysznych dań. Daisy zrećnie zbierała naczynia i obsługiwała bez przerwy zmywarkę. W duchu cieszyła się, że Lily i Jack wrócili do pracy, bo była już kompletnie wykończona. Po świętach zamierzała poszukać innego zajęcia, co oznaczało, że będzie też musiała się wyprowadzić. Postanowiła jednak, że nie będzie o tym wspominać, dopóki nie minie bożonarodzeniowa gorączka.

Lily powiedziała Jackowi, że czuje się słabo, ale nie mogłaby opuścić Wigilii w tawernie, choćby nie wiem jak była chora. To może być ostatnia Wigilia na Klonowej. Pub budził w niej gorzko-słodkie uczucia. To był jej dom i schronienie, wciąż jednak nie doszła do siebie po szoku, jakim była wizyta w domu O'Malleyów, i wątpiła, by kiedykolwiek to się stało. Zawsze wierzyła, że ofiarowuje miastu coś cennego. Tawerna była oazą spokoju i wygody w pędzącym świecie. Z drugiej zaś strony wiedziała, że kocha ten dom, ponieważ tutaj mogła z Jackiem izolować się od ludzi. To był pretekst, by nie spędzać czasu z trudnymi w obejściu krewnymi. Pub chronił ich przed stresami, jakie musieliby znosić, gdyby pracowali w cudzej firmie, a także przed przyjaciółmi i znajomymi, którzy mogliby domagać się dla siebie uwagi. W pewnym sensie postępowali egoistycznie.

Lily ze wstydem przypominała sobie, jakiego narobiła zamieszania, kiedy jej drogocenna wanna została zniszczona czarną farbą. Bridget przyjęła wiadomość o śmierci rodziców z większą godnością. Ileż rozczarowań musiała zaznać w dzieciństwie, skoro taka tragedia niewiele ją obeszła! A teraz ksiądz Damien swoimi zbiórkami żywności i dobrymi słowami udzielił Lily wartościowej lekcji. Czuła, że także chce pomagać ludziom. Pragnęła zmieniać świat, nawet jeśli tylko nieznacznie. I przestała się bać. Bez względu na to co przyniesie przyszłość, wiedziała, że Jack zawsze będzie kochał ją, a ona jego. Jeśli Vincentowi Halloranowi uda się na miejscu tawerny wybudować brzydkie centrum handlo-

we, to trudno. Beaumontowie dadzą sobie radę. Jedno było pewne: nigdy nie skończą tak, jak nie-szczęśni O'Malleyowie.

Jack orientował się, że Lily podjęła jakąś decyzję, i zapytał ją o to, gdy nalewał trzy kufle piwa dla Barneya Cunninghama.

— Powiem ci później — szepnęła — ale jeśli nie zdołamy zapobiec zamknięciu, nic złego się nie stanie. Teraz to wiem.

— Czy ja dobrze słyszę? — zapytał cicho, starannie wyrównując piankę. — Rezygnujesz z walki? Chcesz sprzedać pub?

— Nie rezygnuję, tylko godzę się z możliwością, że możemy przegrać. — Jack nie krył zdumienia. — A poza tym nie sądzę, byśmy potrafili w takim tempie pracować do emerytury. W życiu nie byłam taka zmęczona.

— Kurczę, to trzeba zapisać! Ale mówiłaś, kochanie, że wszystko wróci do normy, kiedy minie najgorsze.

— Wiem, choć teraz myślę, że byłam naiwna — odparła Lily. — Nie martw się, najdroższy. Jestem wyczerpana i użalam się nad sobą, więc to może być chwilowe. Powiem ci, jak z tego kłębowa emocji wykluje się coś konkretnego, dobrze?

— Dobrze, kochanie.

Lily uśmiechnęła się do Barneya, stawiając trzy kufle na kontuarze. Pokiwał głową niewinnie i podziękował, mrugając znacząco, ale słyszał każde słowo. Z ciężkim sercem zaniósł tace do boks.

— Cieszymy się, póki możemy — powiedział, kiedy Joey i Mac wyciągnęli ręce po piwo. — Właśnie słyszałem, jak pani Beaumont mówiła, że może jej się nie udać uratować pubu. Zamknijcie drzwi.

Barney wyjął z fajkę z wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki. Jego przyjaciele z szacunkiem patrzyli, jak nabija ją tytoniem i zapala długą zapalką.

— Będą żałować, jak się wyprowadzą z Klonowej — skwitował Joey.

— Tak. Są stworzeni do tego miejsca — zgodził się Mac. — Pamiętajcie, jak zaczynali?

Ale jego wspomnienia przerwał Jack, który otworzył drzwi boks. Postawił na stole srebrną tacę z przekąskami i trzy wielkie szklanki brandy. Trzej starcy szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w ciasto i kanapki.

— Ze świątecznymi życzeniami dla naszych trzech najlepszych klientów — powiedział Jack najbardziej jowialnym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Czuł się poruszony, zdenerwowany zbliżającą się dyskoteką i nagłą zmianą postawy Lily.

— Miło z waszej strony! — odparł Barney.

— Bardzo miło — dołączył się Joey.

— To prawda — zakończył Mac.

— Chcieliśmy podziękować naszym lojalnym klientom, którzy są z nami od tylu lat — dodał Jack. — Może po raz ostatni jesteśmy razem na Klonowej. Więc jeszcze raz dziękuję i wesołych świąt!

— Wesołych świąt — odparli cicho.

— Lily zaprasza was na jutrzejszy obiad, to znaczy jeśli nie macie innych planów. Siadamy do stołu koło trzeciej. A przy okazji, dzisiaj o siódmej zaczyna się przyjęcie i może być trochę głośno. Ja będę puszczał płyty, niech Bóg mi pomoże. Przykro mi, ale to impreza zamknięta.

— Nie przejmuj się nami, Jack. Pójdziemy sobie, jak zacznie się muzyka — powiedział Barney. — Bardzo dziękujemy za zaproszenie. Jesteśmy wdzięczni. Przyjdziemy, prawda, chłopcy? — Barney nie miał rodziny, więc Boże Narodzenie spędzał samotnie.

— Oczywiście. Wielkie dzięki, Jack. — Joey był wzruszony. Zwykle w Boże Narodzenie był sam. Jego dwoje dzieci wiele lat temu przeniosło się do Australii.

— Zdrowie, Jack — przyłączył się do nich Mac. Miał troje dzieci, ale wszystkie mieszkały w Szkocji, a on nienawidził do nich jeździć, odkąd zmarła jego żona. W święta odwiedzał cmentarz. — Dobry człowiek z ciebie. I podziękuj swojej pani.

Drzwi boks znowu się zamknęły, Jack przez tłum przepychał się do baru. Słyszeli, jak woła:

— Panie i panowie, proszę o uwagę! Dzisiaj o siódmej impreza zamknięta!

PRZYJĘCIE ROKU

Marie i Trudy pilnowały sosu waniliowego, równocześnie przygotowując ostatnie kanapki. Bridget bardzo niezręcznie lukrowała imbirowe ciasteczka, a Lily liczyła butelki szampana w lodówce. Daisy i Jack sprząтали bar przed przyjęciem kostiumowym Clare Prendergast. Za chwilę zanosą jedzenie na dół i będą mieć dziesięć minut na przebranie się, nie więcej.

— Dziękuję, że polukrowałaś ciastka, Bridget, chociaż Bóg wie, co powiedziałyby ksiądz Damien, gdyby zobaczył, że pracujesz — odezwała się Lily. — Pomyślałby, że jestem pozbawioną serca poganiaczką niewolników.

— Pomyślałby, że jesteś dla mnie jak matka — odparła Bridget cicho. — Bo to prawda. — I w samym środku chaosu panującego w kuchni objęły się i przytuliły.

— Nie mam córki, Opatrzność nie pobłogosławiła mnie dziećmi. — Lily otarła łzę z oka. — Nie żałowałam, bo z Jackiem jestem bardzo szczęśliwa. Ale przez te ostatnie tygodnie, odkąd tu jesteście, zobaczyłam, co mnie ominęło. Cudownie było słyszeć młode głosy i cieszyć się domem pełnym życia. Naprawdę.

— Mówisz szczerze? — zapytała Bridget z nadzieją. Trudy i Marie zerknęły na nią nieśmiało, ale też były uszczęśliwione.

— Tak. Cieszyłam się bardzo, że tu jesteście, to było jak posiadanie prawdziwej rodziny. Zdarzały się ciężkie chwile, ule ani przez moment nie żałowałam, że poznałam waszą czwórkę.

Bridget z radości zamknęła oczy. Słowa Lily i liścik, który znalazła w puszcze wczoraj wieczorem, sprawiły, że nareszcie czuła się kochana. A potem zadzwonił telefon. Lily ucieszyła się z tego, bo chciało jej się płakać, a już za wiele łez wylano w tawernie w te święta. W słuchawce usłyszała bardzo podniecony damski głos, który piskliwie pytał o jakieś ciasto. Początkowo Lily myślała, że to żart, ale chaotyczne słowa zaczynały nabierać sensu. Oblana zimnym potem uświadomiła sobie, że dzwoni Clare, która chce wiedzieć, jak idą przygotowania. Lily o mało nie dostała ataku serca, kiedy sobie uświadomiła, że całkiem zapomniała polukrować tort.

— Wszystko gotowe — skłamała. — Czekamy na panią.

Lily wpadła do kuchni, szukając lukru na półkach, ale mimo desperackich wysiłków nie potrafiła go znaleźć.

— O mój Boże, tu go położyłam. Gdzie są te torebki? Zgubiły się! Słodki Zbawicielu! Marie, daj mi trochę orzechów i wisienek. Będziemy improwizować!

— Lily, chciałam ci coś powiedzieć — wtrąciła z ociąganiem Bridget.

Lily jej nie słuchała, coraz bardziej poddając się panice.

— Clare i jej mąż mieszkają w Hiltonie. W najgorszym razie będą tu za pół godziny. Zamówili taksówkę, nim Clare do mnie zadzwoniła. Pomocy! Pomóżcie mi udekorować tort!

— Wczoraj w nocy polukrowałam tort — przyznała Bridget cicho. — Nie mogłam spać.

Trudy, Marie i Lily znieruchomiały. Spojrzały na imbirowe ludziki: wszystkie miały krzywe uśmiechy i za duże guziki.

— I gdzie jest teraz? — zapytała Lily głosem łamiącym się z rozpaczy. — Nie zjadłaś go, prawda?

— Naturalnie, że nie! Postawiłam na kredensie. — Wszystkie spojrzały w kierunku wskazanym przez Bridget. — Użyłam gotowego marcepanu i sama zrobiłam lukier.

Lily wydawało się, że ze zmartwienia zaraz zemdleje. Bridget w kuchni do niczego się nie nadawała. Jeśli tort był zepsuty, nie zdążą upiec nowego. Ani nawet kupić. Była Wigilia, sklepy zamknięto wcześniej. Bridget wskoczyła na krzesło i sięgnęła po cenny pojemnik. Wszystkie ze wstrzymanym oddechem czekały na podniesienie pokrywy. Warstwa marcepanu z jednej strony była grubsza, lukier rozprowadzono tęnym nożem tak, by tworzył wzgórki, ponieważ jednak był zbyt wodnisty, zmienił się w fale i w niektórych miejscach spłynął na srebrną podstawę. Tort zdobiło dwieście różowych cukrowych różyczek — całe opakowanie, a pośród nich, w połowie zatopiona w lukrze, leżała miniaturowa para młoda. Pochodziła ze ślubu Lily i Jacka. Jack kupił ją i wsadził w ciasto owocowe z supermarketu, które jedli w łóżku.

— Znalazłam tę parę w szafce w salonie, kiedy kilka dni temu szukałam agrafki — wyjaśniła Bridget. — Wiem, panu młodemu odpadła ręka, ale i tak jest cudny, no nie?

Trudy i Marie bały się otwierać usta. Tort został nieodwołalnie zepsuty, ale nie zamierzały mówić Bridget, że zniszczyła najważniejszy punkt przyjęcia, kiedy jej rodzice leżeli w państwowych trumnach po drugiej stronie miasta.

— Postawiłam parę, musieli się przewrócić przez noc. — Bridget usiłowała wyłowić miniatutki ze stwardniałego lukru widelcem, ale Lily w porę ją powstrzymała.

— Zostaw, utknęły — wyszeptała. Miała większą ochotę udusić Bridget niż kiedykolwiek dotąd. Nie potrafiła uwierzyć, że dziewczyna wzięła bez pozwolenia przechowywaną z pietyzmem pamiątkę. Dostatecznie złe było to, że zmarnowała tort. Ale co się stanie, jeśli Clare Prendergast będzie chciała zatrzymać parę młodą? Dla Lily te plastikowe figurki były najdroższym skarbem, poza nimi ze ślubu nic jej nie zostało. Przeklinała siebie, że nie ukryła ich lepiej. Powinna była wykopać głęboką dziurę w podwórzu i schować w niej wszystkie swoje rzeczy, nim Bridget O'Malley pojawiła się i przewróciła dom do góry nogami.

Marie nagle przypomniała sobie, że musi powiedzieć Jackowi, gdzie są obrusy, a Trudy poszła im pomóc w nakrywaniu. Przepchnęły się przez wąskie drzwi i zbiegły po schodach.

Bridget z napięciem wpatrywała się w twarz Lily, która wstrzymała oddech i policzyła do dziesięciu.

— Wiesz co? — powiedziała, kiwając głową. — Ładnie, naprawdę ładnie. — Była zbyt zmęczona, żeby robić scenę. Jeśli Clare nie spodoba się tort, może nie płacić. Lily Beaumont dotarła do granic wytrzymałości.

— Dzięki Bogu — odparła Bridget. — Strasznie się martwiłam, bo wszystkie tak ucichłyście. A z drugiej strony jak inaczej udekorować weselny tort?

— Nie miałam zamiaru używać żadnych dekoracji, Bridget — powiedziała Lily spokojnie. — Tylko polukrować i ułożyć na wierzchu żywe białe róże.

— Na litość boską, zupełnie inaczej niż ja! — wykrzyknęła Bridget. — Znowu narozrabiałam, tak?

— Wcale nie.

— Na pewno? — Bridget wciąż nie była przekonana.

— Będzie zachwycona, nie wątpię w to — powtórzyła Lily z ponurą determinacją. Miała tylko nadzieję, że Clare nie tak łatwo się denerwuje.

Wróciły Trudy i Marie z informacją, że kontuar został nakryty i teraz będą znosić jedzenie. Obie przyjrzały się Lily uważnie, ciekawe jej reakcji na katastrofę z tortem, ale ona tylko westchnęła i uśmiechnęła się słabo. Zaraz zaczynało się przyjęcie i nie miała sił na histerię.

Po kilku turach po wąskich schodach wszystko znalazło się na miejscu. W kominku trzaskały polana, papierosowy dym — pamiątka po popołudniowych gościach — wywietrzał, Jack za pomocą małego odkurzacza czyścił krzesła. Barney, Joey i Mac pożegnali się, wylewnie dziękując Lily za nieoczekiwane zaproszenie na świąteczny obiad.

— Cała przyjemność po naszej stronie — powtórzyła po raz piąty. — Będziemy się cieszyć z waszego towarzystwa. — I wyprowadziła ich na ulicę.

Zbliżała się pora rozpoczęcia imprezy.

— Skoro niewiele zostało do zrobienia, może się przebierzecie, dziewczęta? — powiedziała Lily czując, jak zmęczenie osiada jej na ramionach.

— OK. Będę Cyndi Lauper — wyznała Daisy. — Ona też miała czerwone włosy.

— A ja będę damską wersją Adama z Adam and the Ants — powiedziała Trudy.

— Jakbyś nie była nią od lat — mruknęła Bridget ironicznie i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Ja wybrałam Kate Bush, ale z okresu długich spódnic i bluzek zapiętych pod szyję — dodała Marie.

— Tak bym chciała być na tym przyjęciu — westchnęła Bridget ze smutkiem.

— My też chcielibyśmy, żebyś tu była — powiedziała Lily — ale o wpół do dziewiątej jedziesz po siostry na lotnisko i musisz być silna. — Wsunęła kilka zwiniętych banknotów w dłoń Bridget. — Proszę, weź je gdzieś na kolację i porozmawiajcie o szczęśliwych wspomnieniach.

— Żadnych nie mamy — odparła krótko Bridget.

— Więc wymyśl jakieś. Albo zapytaj, jak im się teraz wiedzie. Nigdy nie jest za późno szczęście w życiu — powiedziała Lily cicho. — Przecież nie chcesz, żeby widziały, jak się załamalaś? Dość miały zmartwień w dzieciństwie.

— Masz rację, zrobię co w mojej mocy.

— Grzeczna dziewczynka. Och, a przy okazji, zaprosz je na świąteczny obiad, dobrze?

— Naprawdę?

— Jasne, to nie będzie żaden kłopot po tym maratonie gotowania, który mamy za sobą. Będzie nas sześcioro i Barney z kumplami.

— Dziękuję, Lily.

Lily ustawiła tort na małym stoliku koło największej choinki, w połowie zasłaniając go girlandą, którą uplotła z myślą o kominku. Zacieki na podstawie zniknęły pod zielonymi gałązkami, dwieście różowych róż połyskiwało niczym brylanty. Jeszcze raz powiedli wzrokiem po pokoju.

— Chyba udało nam się wszystko przygotować na czas. I kto by to pomyślał? — roześmiała się Lily.

— Dziękuję wam — powiedziała Bridget.

— Za co?

— Za liścik w puszcze. To było bardzo miłe z waszej strony.

— Nie ma sprawy — odparł Jack. — Miejmy nadzieję, że wieczór się uda. Przekaż swoim siostram, że o nich myślimy.

— Przekażę. — Bridget ruszyła po schodach, żeby się przebrać.

Po kilku minutach, w czasie których raz jeszcze sprawdzili salę, Jack i dziewczęta poszli w jej ślady.

Niedługo potem przyjechali Clare i Peter Prendergastowie. Byli zachwyceni salą. Lily powitała ich i wyjaśniła, że reszta personelu przygotowuje się na górze. Ostatni goście już wyszli, na drzwiach widniała tabliczka: „Zamknięte, impreza prywatna”. Choinki pięknie połyskiwały na tle ciemnych oberżynowych ścian, ogień płonął wesoło. Jedzenie ułożono na udrapowanym złotymi obrusami kon-tuarze. Wzrok przyciągały złote serwetki i rustykalny druciany koszyk wypełniony czerwonymi jabłkami zanurzonymi w białkach i cukrze. Punktem centralnym był tort, udekorowany przez Bridget w nocy, krzywy i nierówny. Lily przeprosiła i wyjaśniła, jak do tego doszło, co Clare i Peter przyjęli wybuchem serdecznego śmiechu. Zaraz też ustawili się przy torcie do fotografii. Clare ujęła w dłoń nóż, Peter ją objął. Lily zrobiła im dwadzieścia zdjęć.

— Uważaj na moje palce — powiedział Peter, kiedy Clare o mało nie potknęła się o nogę stołu.

— Fantastyczny ten obrus — zauważyła Clare, przyglądając się swoim szeszanym do tyłu włosom w jednym z oprawnych w złote ramy luster. — Jestem Madonną z początku kariery! Widać?

— O, tak. Koronkowa opaska na włosach i wszystkie te krucyfiksy od razu cię zdradziły — odparła Lily z uśmiechem.

— Zwykle poświęcam wiele czasu fryzurze i makijażowi, więc dzisiaj postanowiłam zrezygnować z nawyków i jestem w kompletnej rozsypce.

— Nie wierz ani jednemu jej słowu — wtrącił z uwielbieniem w głosie mąż Clare. — Spędziła w łazience dwie godziny. I obcięła rękawy całkiem nowej kurtki. — Peter miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i czarne dżinsy, co najwyraźniej miało oznaczać, że jest solistą Stranglersów.

— Peter nie lubi się przebierać — powiedziała Clare. — Nawet na przyjęcie z okazji rocznicy ślubu. Uwierzyłabyś, że kiedyś podkreślał oczy kredką?

— To na wypadek gdybym się nie spodobał jakimś zbirom. Nie byłbym im w stanie uciec... — stwierdził Peter z zakłopotaniem. Rozległy się kroki na schodach i wszyscy odwrócili się w stronę holu.

— Poznajcie Didżeja Nostalgę, czyli mojego męża Jacka — powiedziała Lily, podczas gdy Jack kładł na kontuarze indyka, roladki i żurawinę. Miał na sobie garnitur ze złotej lamy, który Daisy wygrzebała w sklepie z używaną odzieżą. Najwyraźniej jakiś wariat brał w nim ślub i od tego czasu garnitur wisiał na zapleczu. — Dopilnuje, żebyście nie zeszli z parkietu.

— O mój Boże — westchnął Jack. — Nie przesadzaj z tą reklamą, nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem. Możecie mi wierzyć, jestem pełnym nowicjuszem.

— Wszyscy tak mówią. — Clare ze śmiechu aż pociekły łzy. Nigdy wcześniej nie czuła się tak odprężona i szczęśliwa.

— Wszystko wygląda rewelacyjnie — powiedział Peter. — Jesteśmy bardzo zadowoleni. Na widok jedzenia aż ślinka cieknie. Zaczniemy uroczystość od kilku szklaneczek Czerwonej Czarownicy, dobrze? Przez wzgląd na stare czasy.

W tej samej chwili do holu zeszły Trudy i Marie. Dygnęły i okręciły się na pięcie, prezentując stroje. Marie rozpuściła włosy i teraz jej głowę otaczała chmura mahoniowych loków, a twarz błyszczała od brokatu. W białej bluzce i długiej szarej spódnicy stanowiła uosobienie elegancji. Trudy była w długich do kolan spodniach i białej koronkowej bluzce. Na nosie namalowała sobie biały pasek, włosy splotła w cienkie warkoczyki i wpięła w nie pióra. Clare zrobiła im zdjęcie, Jack wsunął kasetę do magnetofonu, w pubie zapanowała atmosfera zabawy. Chociaż gości jeszcze nie było, wszyscy wiedzieli, że przyjęcie wspaniale się uda.

Dziewczęta sprawiały wrażenie zmieszanych, gdy zamówiono Czerwone Czarownice, ale Lily pokazała im, jak dodać nalewki z czarnej porzeczki do mieszaniny piwa i spirytusu.

— Pamiętajcie, małe dawki — powiedział Peter. — Dawniej piliśmy to litrami, ale gdybyśmy teraz spróbowali, skończylibyśmy w szpitalu.

— Cholera, wy staruszkowie wiecie, jak żyć — mruknęła Daisy. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Daisy tanecznym krokiem wybiegła na środek sali. Miała mnóstwo bransoletek, powieki pomalowane kilkoma cieniami, włosy uczesane w falę. Ubrana była w spódniczkę z czerwonego tiulu, jaszkrawożółtą kamizelkę i kilka wysadzanych ćwiekami pasków.

— Jeszcze się nie przebrałaś, Daisy? — zapytał Jack, mrugając porozumiewawczo.

— Właściwie powinnam mieć bose stopy, ale te płytki są strasznie zimne, więc zostałam w butach. — Wszyscy spojrzeli na solidne skórzane trzewiki Daisy. Idąc na kompromis, zasnurowała je żółtymi wstążkami.

— Naprawdę powinnaś wziąć udział w programie „Stars in Their Eyes”. Jesteś urodzona do występowania na scenie — powiedziała Clare.

— Och, chciałabym zostać gwiazdą pop — westchnęła Daisy marzycielsko. — Ale niestety nie potrafię śpiewać ani tańczyć.

— Nie pozwól, żeby takie drobiazgi stanęły ci na drodze! — wykrzyknęła Clare, częstując się roladkami z indyka. — Ojej, wyśmienite! — Wzięła talerz i napełniła go przekąskami. — Na lunch nie byłam w stanie nic przełknąć, taka byłam podniecona, i teraz umieram z głodu. Chyba nie macie nic przeciwko temu, że coś przegryzę?

— Ależ nie, przecież to twoje przyjęcie — powiedziała Lily.

Jack, Trudy i Marie zajęli miejsca za barem. Kiedy przyszli bracia Devaneyowie w dżinsowych spodniach i kurtkach oraz czapkach z daszkiem, przebrani za Dexy's Midnight Runners, nie kryli podziwu na widok seksownych kostiumów Daisy i Marie. Pomyśleli nawet, że przy takich pokusach trudno im się będzie skoncentrować na programie koncertu. Clare zaproponowała, by coś zjedli, zanim z gitarami usiądą przy kominku. Zgodzili się chętnie. Kiedy płyta się skończyła, zaśpiewali łagodną wersję „The Power of Love” z repertuaru Frankie Goes to Hollywood. Ich interpretacja wszystkich wzruszyła. Postanowili, że pozostaną przy piosenkach miłosnych do końca występu. Clare i Peter zerkali na zegarki: goście powinni się zjawić lada chwila.

— Mam nadzieję, że nie zapomnieli — powiedziała Clare. — Czy na zaproszeniach podaliśmy prawidłową datę?

— Oczywiście, że tak. Wszyscy się przebiorają — uspokajał Peter. — Nie przejmuj się. W Irlandii nikt punktualnie nie przychodzi na przyjęcie. — Otworzył butelkę szampana i rozlał do kieliszków. — Ciesz się spokojem, kochanie. Za chwilę będzie tu prawdziwe szaleństwo.

David i Michael zaśpiewali „Dignity” Deacon Blue dla uspokojenia zdenerwowanej pary. Jack przygasił światła i ustawił przed kominkiem ekran. Modlił się, by wieczór okazał się sukcesem. Wszy-

scy nasłuchiwali odgłosów z ulicy. Tuż przed wpół do dziewiątą w zaułku rozległ się wesoły gwar, Jack wprowadził pierwszych gości. Bracia śpiewali piosenkę Madonny, Clare i Peter skradli sobie całusa, w dłoniach trzymając kieliszki z Czerwoną Czarownicą. Nowo przybyli złożyli życzenia, wręczając gospodarzom prezenty i karty.

— Och, nie spodziewałam się prezentów — powiedziała Clare, obejmując starych przyjaciół.
— Nie powinniście byli, naprawdę.

— Nonsens — odparli. — Nie byliśmy na weselu w Nowym Jorku, więc dzisiaj to nadrabiamy.

Znowu ktoś zapukał do drzwi i nagle tawerna pełna była zachwyconych gości w kostiumach. Większość dołożyła wszelkich starań, by ubrać się w stroje z lat osiemdziesiątych, pozostali nigdy nie zmienili stylu. Wszędzie wkoło widać było wypchane ramiona w stylu „Dynastii”, ogromne fryzury, plastikową biżuterię, kamizelki, a nawet obroże z ćwiekami. Clare rozdała aparaty fotograficzne i flesze błyskały niemal bez ustanku. Roladki z indyka zniknęły w ciągu kilku minut, podobnie jak reszta przekąsek. Daisy przyniosła sos waniliowy w fajansowym dzbanku, szybko pokrojono nieszczęsny tort. Goście, którzy na deser zjedli keks z gorącym sosem, poczuli się syci i ruszyli na parkiet.

Clare zawięła dekoracje z tortu w serwetkę i schowała do torebki. Po powrocie do Nowego Jorku miała zamiar umyć figurki z lukru i umieścić je w szklanym pojemniku.

Uniosła girlandę, szukając ręki pana młodego. Na ten widok Lily musiała ugryźć się w język, by nie zażądać zwrotu plastikowej zabawki. Wcześniej Clare powiedziała jej, że los rozdzielił ją z Peterem na siedemnaście lat. (Poznali się w Belfaście jako studenci, ale potem każde poszło w swoją stronę.) Dodała, że Lily i Jack mieli wielkie szczęście, pobierając się w młodym wieku. I była to prawda. Lily przekonywała się w duchu, że z czasem odżałuje utratę ozdoby.

— Przykro mi z powodu ręki — powiedziała. — Jak otworzyliśmy pudełko, już jej nie było. — Lily nie kłamała, chociaż zdarzyło się to dwadzieścia lat temu.

— Nie szkodzi, tort był wyśmienity — odparła Clare uprzejmie i zamknęła torebkę. Lily poczuła, jak serce jej przyspiesza, musiała odejść i dołożyć torfu do ognia, by się uspokoić.

Clare, która podeszła do baru po drinka, powiedziała barmankom, że wyglądają fantastycznie.

Lily wymknęła się na piętro. Chciała pięć minut odpocząć w samotności i przebrać się w inspirowany strojami Sade kostium. Zdziwiła się, widząc Bridget przy kuchennym stole. Białe loki podkreślały bladość jej twarzy. Nałożyła wprawdzie grubą warstwę różu, próbując nadać sobie wesoły wygląd, ale kosmetyk zdawał się unosić dwiema okrągłymi plamami nad policzkami.

— Nie powinnaś być w drodze na lotnisko? — zapytała Lily łagodnie.

— Samolot ma opóźnienie. Siostry dzwoniły do mnie z Heathrow. Zmieniłam zamówienie, taksówka przyjedzie o dziewiątej.

— Poradzisz sobie, kotku? — Lily naląła z czajnika herbaty do dwu filiżanek. Dodała odrobinę mleka i upiła łyk. — Och, tego mi było potrzeba. Człowiek nie wie, jaki jest wykończony, dopóki nie usiądzie, prawda?

— Mieli takie marne życie — powiedziała Bridget ze smutkiem. — Takie marne, nieważne życie. Siedzieli w domu, czekali na zasiłek i oskarżali innych o swoje nieszczęścia. Powinnam była bardziej im pomóc.

— Och, Bridget — westchnęła Lily. — Byłaś dzieckiem.

— Najczęściej nie dojadali, a mama zapominała brać tabletki na serce. Powinnam była coś z tym zrobić.

— A co mogłaś zrobić? — Lily poklepała ją po ramieniu. — Alkoholizm to straszny nałóg. Ksiądz Damien mówił przecież, że sąsiedzi mieli na nich oko.

— Opuściłam siostry, Lily. Były wtedy małe, chodziły jeszcze do szkoły. Wyplakały sobie oczy w dniu, gdy się spakowałam i przeprowadziłam do jakiegoś idioty. Ledwo go znałam, ale miał śliczne i czyste mieszkanie.

— Bridget, nie zadrezczaj się, proszę. Sama byłaś dzieckiem. Ile miałaś lat? Szesnaście? Nie ponosiłaś odpowiedzialności za swoje siostry.

— Ale wyrzuty sumienia mnie dobijają, Lily. Są teraz tak samo silne jak wtedy. Dlatego regularnie nie kontaktowałam się z siostrami.

— Jednak im się udało, prawda? Dały sobie radę?

— Myślę, że ksiądz Damien przekonał którąś z sąsiadek, żeby w weekendy prała im szkolne mundurki. To prawdziwy święty.

— Masz rację.

— Nie jestem w stanie spojrzeć im w oczy, Lily, po prostu nie mogę. Przypuszczalnie nienawidzą mnie, że je zostawiłam. Mogły spłonąć żywcem w łózkach, jak się pomyśli, co robili rodzice. Palili jak kominy i zasypiali w fotelach. — Z oczu Bridget popłynęły łzy, zostawiając białe ślady na rózgu.

— Wybaczą ci, Bridget. Zrozumieją.

— Ale ja nie potrafię sobie wybaczyć.

— Posłuchaj, pojedę z tobą na lotnisko. To dla ciebie samej za wiele. — Lily wstała i ziewnęła. — I tak jestem zbyt wykończona, żeby podawać na przyjęciu. Na pewno poradzą sobie beze mnie.

— Naprawdę?

— Tak. Większość dań już zjedli, poza tym w bufecie obowiązuje samoobsługa, a gości jest tylko dziewięćdziesięciu. Wczoraj wieczorem było sto dwadzieścia osób. Jack i dziewczęta uporają się sami.

— Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś ze mną pojechała — pociągnęła nosem Bridget. — Dziękuję, Lily, dziękuję za wszystko. Sprawiam straszne kłopoty, nie myśl, że o tym nie wiem.

— Nigdy nie sprawiałaś kłopotów, Bridget. Pomogłaś mi bardziej, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Dzięki tobie wyrwałam się ze skorupy i za to jestem ci wdzięczna. Byłam za bardzo zamknięta w sobie. Przez wszystkie te lata siedziałam tu jak ptak w gnieździe, trzęsąc się nad rzeczami. I modliłam się, żeby nic złego nie przytrafiło się Jackowi.

— Co masz na myśli?

— Kiedyś był blisko wybuchającej bomby. On otrząsnął się z szoku, ja nie.

— Rozumiem. — Bridget pokiwała głową ze współczuciem.

— Więc widzisz, nie tylko ty żałujesz przeszłości. Powinniśmy byli więcej podróżować, zrobić prawo jazdy, zaprzyjaźnić się z ludźmi. Ale teraz nadrabiamy zaległości, prawda? Mamy w domu cztery lokatorki.

— Myślałam, że mnie nie lubisz — powiedziała Bridget przez ściśnięte gardło. — Myślałam, że byłaś tylko uprzejma, kiedy powiedziałaś, że mnie lubisz. Ale i tak to doceniłam.

— Głuptasku! — Lily przytuliła ją do siebie. — Będę strasznie tęskniła za waszą czwórką, kiedy to się skończy. Teraz pójdę się przebrać w coś bardziej odpowiedniego. Powiem Jackowi, że wychodzę, i wracam do ciebie. Odbierzemy twoje siostry, a potem pójdziemy do jakiegoś cichego lokalu na kolację.

— Właściwie to jestem głodna, skoro o tym wspominasz. Niewiele jadłam od... no wiesz... — Bridget spojrzała na zegarek. W nowym czarnym kostiumie wydawała się jeszcze drobniejsza. Postanowiła, że włoży strój, który kupiła na pogrzeb, żeby siostry nie pomyślały, że śmierć rodziców niewiele ją obeszała.

— Bridget, pogodzisz się z nimi, zobaczysz. Zdziwisz się, jak bardzo za tobą tęskniły. I jak dobrze radzą sobie w Anglii.

— Zobaczymy. Na razie napijmy się jeszcze herbaty. — Bridget odłożyła torebkę i rękawiczki na stolik, po czym napełniła czajnik wodą.

Lily zamieniła słowo z Jackiem. Nikt nie zauważył dwu kobiet wymykających się bocznymi drzwiami, kiedy dyspozytorka zadzwoniła z wiadomością, że taksówka już czeka przy zaułku. Jack i dziewczęta ledwo nadążali z serwowaniem koktajli i piw, jedzenie błyskawicznie znikало z tac. Po każdej piosence rozlegały się gromkie brawa. Wreszcie Jack pozwolił odetchnąć Devaneyom. Zajął miejsce przy adapterze i puszczał swoje trzeszczące czarne płyty. Jego złota marynarka połyskiwała w świetle, podczas gdy goście tańczyli między stolikami. Jack niemal dobrze się bawił, pod koniec już ze swadą przekazywał dedykacje. Chociaż przyjęcie okazało się wielkim sukcesem, Jack wiedział, że po raz pierwszy i ostatni zgodził się wcielić w postać Didżeja Nostalgii. Clare wypiła o jedną Czerwoną Czarownicę za dużo; musiała usiąść na progu i poczekać, aż w głowie przestanie jej wirować. Złe samopoczucie wcale jej nie martwiło, wręcz przeciwnie, skłoniło do radosnych wspomnień.

— To mi przypomina wieczór po zdaniu matury — oznajmiła, donośnie czkając. — Upiłam się i zasnęłam na kwietniku przy Lisburn Road. Dzięki Bogu przyjaciele zanieśli mnie do domu, w przeciwnym razie do dzisiaj bym tam leżała!

Peter pokręcił głową i poprosił Daisy o szklanekę wody dla swojej wstawionej żony.

— Jest bardzo uczuciowa — powiedział, całując Clare w czoło. W jego twarzy malowało się tak głębokie przywiązanie, że Daisy musiała się odwrócić.

20

KTO MA OCHOTĘ NA SOS?

Lily zamrugała i odetchnęła tak głośno, że dziewczęta w pokoju piętro niżej usłyszałyby ją, gdyby nie spały jak kamień. Zegar przy łóżku wskazywał jedenastą rano. Lily odwróciła się i spojrzała na męża. Jego długie rzęsy lekko drgały; wiedziała, że jeszcze chwila i Jack się obudzi. Pocałowała go w policzek.

— Wesółych świąt, kochanie — szepnęła. — Moja ty supergwiazdo!

— Daj spokój, to się więcej nie powtórzy! Wesółych świąt, serduszko. Wreszcie wolny dzień. Dzięki Bogu — mruknął. — Przez cały dzień nie ruszę się z łóżka.

— Nie zapomniałeś o czymś? Idziemy na pogrzeb, zresztą opuściliśmy pasterkę przez to przyjęcie Clare — powiedziała jego żona łagodnie. — A na obiad zaprosiliśmy gości.

Jack jęczał przez co najmniej dwadzieścia sekund. Taki był zmęczony, że oddałby swoją ukochaną tawernę za kilka godzin spokoju i ciszy. Ujął dłoń Lily i łagodnie pogładził jej palce. Ze smutkiem uświadomił sobie, że muszą też zrezygnować z tradycyjnego kochania się w świąteczny poranek.

— Ten pogrzeb całkiem wypadł mi z głowy — powiedział. — Jak mogłem zapomnieć?

— Wyczerpanie — odparła Lily. — Nie przejmuj się. Przyjęcie udało się fantastycznie, prawda?

— Tak, myślę, że to najlepsza impreza, jaką zorganizowaliśmy. No dobrze! Musimy wstać i ubrać się na pogrzeb. Biedne dziewczęta O'Malleyów! Co ksiądz powie o zmarłych?

— Jestem pewna, że ma doświadczenie w odprawianiu trudnych pogrzebów. Wczoraj pomodliłam się za nich. Nie wiedziałam, czy powiedzieć, żeby Bóg miał ich w opiece, czy raczej krzyżyk na drogę, i ta myśl mnie przeraziła. Ale jak mogli tak bez reszty pogrążyć się w nałogu, skoro mieli cztery śliczne córki?

— Chyba potrzeba picia okazała się silniejsza. To cud, że żadna nie urodziła się z uszkodzonym mózgiem albo czymś w tym rodzaju. — Jack ze zdziwienia kręcił głową.

— Bridget mówiła, że matka zaczęła pić dopiero po przyjściu dzieci na świat. Dobre i to, nie sądzisz? — Lily odsunęła pościel.

— Szczęście, że my nie mamy takiej słabości, nie uważasz? Podobno to jest nałóg, z którym człowiek się rodzi — dodał Jack.

— Może alkoholikom matki w dzieciństwie dodają whisky do mleka, żeby zasypiali? — zastanawiała się Lily. — Musi być jakiś powód, dla którego niektórzy nie mogą się obejść bez alkoholu.

— A ty znowu swoje, szukasz powodów. Mówiłem ci, światem rządzi chaos, a my jesteśmy tylko drobinami kurzu w kosmicznym huraganie. — Jack zadrżał, stawiając bose stopy na podłodze.

— Ojej, sam to wymyśliłeś? — zapytała żartobliwie Lily.

— Taa, moje zalety nie ograniczają się do ślicznej buzi. — Jack włożył dzinsy. — Mógłbym zamordować za filiżankę herbaty przed prysznicem. Boże, ale tu dzisiaj zimno. Okno jest otwarte?

— Nie, kotku, mamy grudzień! Obudzę dziewczęta. Msza jest o wpół do pierwszej.

— Poczekaj, pozwól mi najpierw wskoczyć do łazienki. Nie brałem gorącego prysznica, odkąd wprowadziła się Bridget.

— Dobrze — uśmiechnęła się Lily. — Nastawię czajnik.

— Znalazła futrzane kapcie. Jack wolał chodzić boso. Uważał, że dzięki temu zachowuje młodość. Kapcie, szale, czapki i rękawiczki są dla starców, tak zawsze powtarzał.

— Co robimy z lunchem? — zapytał z dłonią na klamce.

— Zwykle nie wychodzimy z domu w pierwszy dzień świąt. Podejrzewam, że w piekarniku nie piecze się indyk?

— W tym roku zamierzam oszukiwać. Kupiłam pierś indyka w supermarkecie. Pokroję ją i usmażę na patelni. Cała reszta też będzie oszustwem.

— Jak to?

— Resztki. Przykro mi, Jack, nie miałam siły na kolejną sesję w kuchni. Zrezygnowałam z tradycyjnych dań.

— I bardzo słusznie. Powiem ci, z czego jeszcze chciałbym zrezygnować: z jutrzejszej imprezy! Nie lubię budowlańców.

— Jack, podadzą nas do sądu!

— Żartowałem, chociaż myślę, że wszyscy zasługujemy na dzień wolnego. Dobrze, daj mi dwie minuty, potem możesz budzić śpiące królewny.

— A przy okazji, Jack, prezenty wręczymy przed obiadem. Pomyślałam, że powinniśmy tak zrobić na znak szacunku.

— Mnie to odpowiada — odparł Jack, choć poczuł rozczarowanie na myśl, że będzie musiał czekać kilka godzin z wręczeniem Lily ślicznego srebrnego naszyjnika, który dla niej kupił. Chwilę

później wrócił do sypialni z wiadomością, że w nocy spadł śnieg. Oboje podeszli do okna. Klonowa zmieniła się w pas nieskazitelnie białego śniegu.

— Mówiłem, że jest mróz — powiedział Jack. — Te stare budynki wyglądają rewelacyjnie z czapami śniegu na architektonicznych detalach. Na dachu po drugiej stronie ulicy jest gargulec, którego zauważasz dopiero, gdy pada śnieg.

— Szybko, idź po aparat i zrób zdjęcia, zanim śnieg stopnieje.

— Nie stopnieje jeszcze przez parę godzin. Czuję to w kościach. — Jack skakał po zimnej podłodze myśląc, że chyba przemyśli swój stosunek do kapci. Kiedy szukał w komodzie ciepłych skarpet, Bridget weszła do łazienki i zaryglowała za sobą drzwi.

Liam Bradley otworzył oczy, usiłując się skupić. Przed oczyma mu wirowało, w skroni czuł przeraźliwy ból. Minęło kilka minut, nim sobie uświadomił, że leży na rozbitym kieliszku do wina. Pościel była mokra od rozlanego szampana, dwie puste butelki stały na nocnym stoliku. Słyszał jakiś szelest, ale nie miał pojęcia, co jest jego źródłem. Ciekawe, jaki jest dzień, która godzina? Pusty brzuch burczeniem protestował przeciwko zaniedbaniu jego potrzeb.

— Wstawaj, wstawaj — powiedział sobie Liam. — Rusz się i zamów coś do jedzenia.

Z trudem przetoczył się i wygramolił z łóżka. Gwałtowny odpływ krwi z mózgu o mało nie pozbawił go przytomności. Powinien był wiedzieć, że wypicie dwu butelek szampana to nie jest dobry pomysł. Usta miał tak wyschnięte, że język przykleił mu się do podniebienia. Liam chwiejnie powlókł się do łazienki, Ujął w dłoń ceramiczny wyłącznik i dopiero po dwudziestu sekundach pociągnął go słabo.

— Odwagi, stary.

Odwrócił się w stronę lustra. Co najmniej siedem żarówek oświetlało jego twarz, podkreślając każdą bruzdę i zmarszczkę na bladej skórze. Cienie sprawiały, że wyglądał o wiele gorzej niż w rzeczywistości. To okropne oświetlenie punktowe, pomyślał. Kto je zaprojektował? Przynajmniej teraz wiedział, skąd brał się ten szelest. Do czoła miał przyklejony czek od Perry'ego Shawa. Musiał sam to zrobić, chociaż zupełnie tego nie pamiętał. Oderwał czek delikatnie i jeszcze raz przeczytał.

„Wypłacić panu Liamowi Bradleyowi pięćset tysięcy funtów.”

Wypadki wieczoru powracały do niego w sekundowych przeblyskach. Z Perryem brał udział w przyjęciu bożonarodzeniowym w Londynie, na które zaprosił ich nowy angielski wydawca. Liam pił, aż stracił władzę w nogach. Darmowy napitek przez cały wieczór. Nie zwracał uwagi na jedzenie, miał zamiar spać się jak bela. Była tam szczególnie ładna kelnerka, którą Liam zapytał, czy nie spędziłaby z nim nocy. W odpowiedzi uderzyła go w twarz. Wszyscy to widzieli. Wytrącony z równowagi, wymiotował potem w toalecie. Nie był przygotowany na taką wrogość ze strony zwykłej kelnerki. Chodził po sali i mówił ludziom, że jest pisarzem z Belfastu, ale nie muszą się bać, nikogo nie zastrzeli. Powtarzał, że nie ma kamieni w kieszeniach. Dlaczego tak kretyńsko się zachowywał? Nie miał pojęcia.

Na szczęście Perry wyprowadził go na ulicę, zanim zaczęły się przemowy. Padał obfity deszcz. Liam człapał po kałużach, użalając się nad sobą. Przemókł do nitki, w butach chlupotała mu woda. Snuł fantazje, że po potrąceniu przez londyński autobus urządzą mu pogrzeb w katedrze św. Pawła. Ciekawe, gdzie pochowani są sławni pisarze, w krypcie czy pod podłogą? Ale z Belfastu jest ich tam niewielu. Postanowił wrócić do domu. Jakimś cudem wgramolił się do taksówki i dotarł do właściwej bramki na lotnisku. Napił się słabej herbaty, żeby uspokoić żołądek, i udawał trzeźwego na tyle skutecznie, że wsiadł do samolotu. Bezpiecznie usadowiony w fotelu, oparł głowę o miniaturową poduszkę i przespał cały lot. Stewardesa musiała go obudzić, kiedy wylądowali. Z przestrawieniem uświadomił sobie, że to ta sama, z którą się przespał, gdy kilka lat temu wracał z Ibizy. Uśmiechnął się do niej, ale go nie poznała. Gdy zszedł z trapu, wciąż lało.

Kolejną taksówką dotarł do hotelu, aczkolwiek nie przypominał sobie, żeby zapłacił za kurs. Pokój w czasie jego nieobecności został wysprzątny. Na biurku stał wielki kosz: prezent od Perry'ego, żeby uczcić nowy kontrakt, tak wynikało z dołączonej kartki. Liam sprzedał ostateczną wersję agentowi, pod warunkiem że nie będzie musiał jej reklamować. O trzeciej nad ranem zdarł celofan z kosza, wyłowił ze środka szampan i zaczął pić. Pamiętał, że dwadzieścia po czwartej spojrzął na zegarek. Potem musiał stracić przytomność.

Teraz też spojrzął na zegarek: druga po południu. W pierwszy dzień świąt! Dzień, w którym szczęśliwe rodziny są razem on natomiast zmarnował całe przedpołudnie, odsypiając pijaństwo. Pistolet Magee byłby z niego dumny. Liam roześmiał się do swojego odbicia w lustrze.

— Hej, udało ci się — powiedział. — Napisałeś powieść w pięć tygodni, pozbyłeś się żony i tego cholernego domu na Marlborough, zanim schody cię wykończyły. Sprzedałeś powieść Perry'emu Shaw za pół miliona. Reklamę masz z głowy Jesteś wolnym człowiekiem. — Zasalutował. Fala mdłości sprawiła, że ugięły się pod nim kolana; wydawało mu się, że będzie wymiotował. Ale zaraz przypomniał sobie, że większość szampana wylał na kosztowną pościel, i zrobiło mu się słabo z ulgi. Tak to było, teraz pamiętał. Pierwszą butelkę niemal całą rozlał: Potem otworzył drugą, ale zasnął, nim zdążył się nią uraczyć. Większość szampana też wsiąkła w materac. W nocy musiał się w którymś momencie obudzić i postawić butelki na stoliku, choć zapomniał o kieliszku. Przyjrzał się twarzy: na policzku wciąż miał wyraźne wgłębienie.

Nie miał pojęcia, ile alkoholu skonsumował w ciągu ostatniej doby. Mógł zapić się na śmierć albo przeciąć sobie tętnicę szyjną odłamkiem szkła. Co byłoby strasznie głupie, wzięwszy pod uwagę, że niemal z dnia na dzień zarobił fortunę. Ubranie miał wilgotne i lodowate. Czuł się okropnie.

Przy pożegnaniu w londyńskim hotelu Perry złożył propozycję, której Liam nie mógł nie przyjąć. Świadom, że Liam wstydzi się swojej drugiej powieści i nie ma ochoty na trasę promocyjną, w czasie której musiałby udzielać wywiadów i podpisywać książki, Perry postanowił kupić wyłączne prawa do maszynopisu i samemu zorganizować promocję. Zamierzał powiedzieć wydawcom i szefom

stacji telewizyjnych, że Liam Bradley przebywa w prywatnej klinice, gdzie poddawany jest leczeniu, cierpi bowiem na związane z alkoholem stres i depresję. Liam na pół roku miał się gdzieś zaszyć. Rozgłos wywołany tą informacją bez wątpienia wzbudzi wielkie zainteresowanie w przemyśle wydawniczym. Perry wiedział z całą pewnością, że podwoi zainwestowaną sumę. A może i potroi.

— Ha, życzę szczęścia, Perry. — Liam odetchnął głęboko, gdy zaatakowała go następna fala mdłości. — Zaslugujesz na to.

Ściągnął zatechłe ubranie i wczółgał się pod prysznic, wpierywając starannie składającą czek i wsuwając go do buta. Siedział przez pół godziny pod strumieniem gorącej wody, zapominając o całym świecie. Może nawet zasnął na dziesięć minut, ale nie wiedział na pewno. Po kąpieli poczuł się odrobinę lepiej. Wyszczotkował starannie zęby i ogolił się, ale przedtem owinął twarz gorącym ręcznikiem. Poczuł się tak zrelaksowany, że skończywszy zabiegi higieniczne, położył się na dywanie koło łóżka, otulony wielkim ręcznikiem. Sięgnął po telefon i wykręcił numer recepcji. Czy nie byłoby miło zawsze mieszkać w hotelu? pomyślał czekając, aż ktoś odbierze.

— Halo? Halo, mówi Liam Bradley z pokoju 401. Wzajemnie, wesołych świąt. Proszę mi powiedzieć, czy pokojówka ma dzisiaj dyżur? Rozlałem szampan na łóżko. Bardzo mi przykro z tego powodu. Mógłbym prosić o świeżą pościel?

— A materac? Czy materac też pan zamoczył?

— Czy zamoczyłem materac? Ojej, nie wiem. Zaraz sprawdzę. Niestety, też jest mokry. Przepraszam.

Dziewczyna z recepcji wykonała brzydki gest do słuchawki. Akurat dzisiaj, kiedy ręce urabiają sobie po łokcie przy świątecznym menu, ten pijak z 401 musiał zalać łóżko. Ze względu na pokojówkę miała nadzieję, że do sprzątnięcia jest tylko szampan. Zadzwoiła do pokojówki i wyjaśniła sytuację, potem przełączyła się do pokoju Liama.

— Pokojówka zaraz przyniesie nowy materac i pościel, choć obawiam się, że musimy dopisać to panu do rachunku.

— Nie ma sprawy. Czy mogę prosić też o obiad? Świąteczny obiad i dzbanek herbaty? Wiem, że nie rezerwowałem posiłków na dzisiaj, ale byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani dokonała cudu.

— Zacisnął kciuki. — Chyba się przeziębilem, nie mam sił zejść do sali jadalnej.

— Zobaczą, co da się zrobić, panie Bradley. Jestem pewna, że w kuchni przyjmą zamówienie, ale chyba będzie pan musiał godzinę, dwie poczekać. W tej chwili jesteśmy bardzo zajęci.

— W porządku — powiedział Liam. — Dziękuję bardzo. Może na razie przyśle mi pani herbatę? I ucieszyłbym się z grzanki.

Dziewczyna rozłączyła się bez słowa. Niektórzy mają cholerny tupet, pomyślała. Przeziębził się, akurat.

Liam położył się na samej krawędzi łóżka i przykrył suchym kawałkiem kołdry. Czekając na herbatę zastanawiał się, na co wyda pieniądze od Perry'ego.

Tymczasem Betsy Bradley przepełniona poczuciem celowości biegła po swojej granitowo-stalowej kuchni niczym wicher. Na wielkim piecu stało ni mniej, ni więcej, tylko dziewięć garnków. Tłuczone ziemniaki z pietruszką i śmietaną, tłuczonej ziemniaki bez dodatków dla Teda, brukselka, marchewka i pasternak razem, sama marchewka dla dzieci Teda, które tak jak ojciec grymasiły przy jedzeniu, porządny sos z podrobów, sos żurawinowy, sos chlebowy, zupa warzywna. Zajrzała pod pokrywki. Potrawy bulgotały i smakowicie pachniały. Betsy harowała od ósmej rano, używając wyłącznie świeżych produktów i nie idąc na żadne skróty. Indyk był gotowy, pokryty paskami chrupiącego bekonu, wypchany farszem z wieprzowiny i jabłek,

W programie kulinarnym radzili, żeby farsz gotować w oddzielnym garnku, ale Betsy lubiła, żeby przesiąkł sokami z indyka. Zawsze tak jadła i dotąd jakoś się nie otruła. Sprawdziła butelkę wina w srebrnym wiaderku: miało idealną temperaturę.

— Ha! — powiedziała na głos. — I kto jest teraz domową boginią?! Myślę, że Liam przez wszystkie te lata przynosił mi pecha. Obiad nigdy wcześniej nie był tak dobry. Zaraz, która godzina? Mam nadzieję, że goście się nie spóźnią.

Cały dom udekorowany był lampkami, świeżymi gałązkami, czerwonymi i zielonymi jedwabnymi ozdobami oraz wstążkami z czerwonego aksamitu. Nawet poręcze owinięte zostały błyszczącymi gałązkami z drogiego sklepu. Na wielkim żyrandolu Betsy zawiesiła maleńkie Święte Mikołaje zrobione z puszek. Skopiowała te pomysły ze starego numeru „Homes and Gardens”. Wszystkie były w dobrym guście.

Betsy ubrała się w kremowe spodnie i pasujący do nich moherowy sweterek, zakrywający jej skromniejszy od czasu operacji biust. Włosy miała długie do ramion i pofarbowane na błyszczący brąz z miodowymi pasemkami, z końcówkami wywiniętymi na zewnątrz. Betsy uważała, że wygląda teraz radośniej, więcej w niej życia. Niemożliwie długie sztuczne paznokcie nieodwołalnie powędrowały do kosza na śmieci.

Za pół godziny na obiad miało przyjść siedemnastu członków rodziny; Betsy miała nadzieję, że jej nie poznają. Od czasu gdy opuścił ją Liam, Betsy stała się inną kobietą. Przestała poświęcać wszystkie siły wyglądowi, zaczęła natomiast korzystać z wyobraźni. Bracia jeszcze o tym nie wiedzieli, ale Betsy zamierzała urządzić im wszystkim niespodziankę. Podjęła już decyzję, co zrobi z resztą życia.

Planowała połączyć zamiłowanie do tenisa z dobroczynnością. Otworzy klub w Belfaście, zatrudni młodych ludzi do pomocy i w weekendy będzie dawała darmowe lekcje dla dzieci z biednych rodzin. Naturalnie najpierw sama musi podszlifować swoje umiejętności, ale to mało ważny szczegół. Najistotniejsze jest to, że jej inicjatywa spotka się z zainteresowaniem bogatych i ustosunkowanych

ludzi oraz uwagą mediów ze względu na element dobroczynny. Klub zorganizuje na ładnej działce w okolicy, na którą będzie mogła sobie pozwolić za sumę ze sprzedaży domu. Zbuduje budynek klubowy i cztery korty. Postanowiła sprzedać ten ogromny dom, korzystając z hossy na rynku, i kupić sobie modny apartament po drugiej stronie ulicy. Stamtąd rozpocznie zdobywanie świata. Jeśli los będzie jej sprzyjał, może pewnego dnia przeprowadzi się do Malahide, ale obecne plany zapewnią jej dobry początek. Niewykluczone, że w przyszłym roku o tej porze będzie obchodziła święta z prawdziwymi sławami. Jej nazwisko znajdzie się we wszystkich błyszczących magazynach: „Była żona sławnego pisarza pomaga młodzieży, organizując ogólnokrajowe kursy tenisowe”, Może nawet zostanie Kobiętą Roku magazynu „Tatler”. Nagrodą jest ładna szklana kula, w sam raz do postawienia na kominku! Będzie najlepszą przyjaciółką żony Bono! A jeśli żadne z tych marzeń się nie spełni, to przynajmniej nie będzie smutną i zdezorientowaną zdzirą, którą stała się przez Liama.

Wyjrzała przez okno, by sprawdzić, czy przyjechali już jej bracia: Ted, Roy i Mark z żonami i dziećmi. Nie było ich, wróciła więc do garnków. Dzwonek rozległ się, kiedy dodawała masło i bekon do brukselki. Wyłączyła wyciąg i pobiegła do drzwi, Jedenaścioro dzieci minęło ją jak burza i od razu pognało schodami na górę. Uwielbiały bawić się w chowanego w sypialniach i szukać prezentów, które w przeciwnym wypadku zostałyby wręczone dopiero po obiedzie. Betsy wpuściła gości i zamknęła ciężkie drzwi.

— Betsy, mój Boże! Wyglądasz fantastycznie! — wykrzyknęły kobiety chórem. — Co zrobiłaś z włosami? Ta fryzura odjęła ci dziesięć lat!

— Dziękuję! To samotne życie odejmuje mi lat — odparła Betsy ze śmiechem i poprawiła nowe uczesanie. — Zrobiłam ze sobą mały porządek. Teraz mam czas.

— Więc dobrze sobie radzisz?

— Boże, tak. Odzyskałam wolność. Nigdy byście nie uwierzyły, jaką ciężką pracą było opiekowanie się Liamem. Taki był nieporządny.

Kobiety zaśmiały się i wykrzywiły do mężów. Mężczyźni z pokorą przyjęli naganę. Wszyscy jednak cieszyli się z dobrego humoru Betsy. Obawiali się tego obiadu, sądzili, że zapłakana i załamana Betsy będzie w obecności dzieci groziła samobójstwem. Chcieli, żeby ona do nich przyszła, ale Betsy uparła się, że będzie gospodynią.

— Liam nigdy palcem nie ruszył, żeby mi pomóc w święta — powiedziała, odbierając od ślicznej, drobnej i rudowłosej żony Roya kurtkę z norek. — Siedział tylko w kuchni i mówił, żebym nie dawała za dużo smalcu do pieczonych ziemniaków.

— Mężczyźni!

— Wiem. Jedzą jak konie, a potem do nas mają pretensje, że ugotowałyśmy obiad. Myślałam, że go zabiję, kiedy mnie opuścił, ale teraz czuję się, jakbym wyszła z więzienia.

— To świetnie, Betsy. Wszyscy jesteśmy po twojej stronie. Zawsze uważaliśmy, że był trochę dziwny.

— Nie wiesz nawet połowy, Muriel. Dobrze, wszyscy gotowi? — Podeszła do schodów i zawołała: — Dzieci, możecie zejść na obiad? — Odwróciła się do dorosłych, którzy podziwiali ozdoby. — Pomyślałam, że w tym roku zostaniemy w kuchni. Jest tam o wiele cieplej i będziemy bliżej lodówki!

— Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy jeść, Betsy. A dom wygląda rewelacyjnie. — Ted poklepał siostrę po ramieniu. Uśmiechnęli się do siebie.

— Dzięki za rady, Ted — szepnęła. — W sądzie mogłabym wszystko stracić. Liam faktycznie się wściekł.

— Jeśli zbliży się do ciebie, Betsy, daj mi znać, każę go aresztować — uspokajał Ted. — Z tymi kreatywnymi typami nigdy za wiele ostrożności. Zawsze powtarzałem, że geniusz od szaleństwa oddziela cienka linia.

— Wiem, Ted, wiem o tym jak mało kto. Siadajmy do stołu! — Betsy nigdy nic wyglądała na taką szczęśliwą i odprężoną. To był prawdziwy cud. — Siadajcie, gdzie wam odpowiada, a ja zacznę podawać. Na początek mam sałatkę z krewetek dla nas i łódki z melona dla dzieci — powiedziała śpiewnie. — Mark, możesz pokroić indyka? A ty, Roy, otwórz wino, dobrze? Cudownie!

Dzieci z pustymi rękami wpadły do kuchni, narzekając głośno. Matki natychmiast je upomniały. Betsy raz jeszcze otworzyła drzwi i zerknęła na ulicę. Nigdzie nie było śladu Liama. W nocy śniło jej się, że przyszedł i błagał, by do niego wróciła. Najwyraźniej jednak wcale nie miał takiego zamiaru, zresztą ona też tego nie chciała. Gdyby z nim była, nigdy nie miałyby szansy żyć po swoimemu.

Zastanawiała się, jak rodzina zareaguje, kiedy powie, że w tym roku nie kupiła prezentów. Jej bratanki i bratanice były rozpuszczone jak dziadowskie bicze, bracia i bratowe mieli wszystko, co da się kupić za pieniądze. I dlatego w tym roku Betsy nabyła stado kóz i komplet podręczników dla afrykańskiej wioski. Miała zamiar wręczyć Tedowi śmieszny świąteczną kartkę z supermarketu, przedstawiającą trzy kozy. Pomoc Afryce to był cudowny pomysł na Boże Narodzenie. I cała sprawa zajęła jej tylko pięć minut: zadzwoniła do organizacji dobroczynnej i podała numer karty kredytowej. Na pocieszenie przygotowała dla dzieci bombonierki i kredki.

Westchnęła i zamknęła drzwi. Wieniec ze sklepu spożywczego wyglądał wspaniale, pokryty nocnym szronem, który jeszcze nie stopniał. Śnieg padał coraz gęstszy: wielkie miękkie płatki wirowały w powietrzu, a jeśli chciało się śledzić lot jednego z nich, zaczynało się kręcić w głowie. Betsy pomyślała, że ulica nigdy nie wyglądała tak pięknie. Cieszyła się, że na razie pozostanie na Marlborough Avenue. Zwolnienie tempa doradził jej Ted. Powiedział, żeby nie wprowadzała zbyt wielu zmian za jednym zamachem. Betsy ciekawa była, co w tej chwili robi Liam, czy też przygląda się śniegowi. Potem wróciła do kuchni, by dołączyć do siedzącej przy stole rodziny.

Barney, Joey i Mac zatrzymali się na końcu Klonowej, oddychając ciężko. Spotkali się przy gotyckim kościele koło Związku Studentów i pieszo poszli do centrum. W tym roku po raz pierwszy w trakcie ponadsześćdziesięcioletniej przyjaźni mieli spędzić Boże Narodzenie razem. Wszyscy mieli na sobie najlepsze ubrania, a w dłoniach ściskali puszki z kruchymi ciasteczkami i butelki białego wina.

— Czuję się jak głupek — powiedział Mac. — Mam nadzieję, że to nie będzie eleganckie przyjęcie.

— Nie przejmuj się, jestem pewny, że Lily i Jack nie zaprosiliby nas, gdyby to miał być bankiet z sześcioma widelcami i innymi bredniami — odparł Joey, poprawiając krawat.

— Jasne — zgodził się Barney. — Podjemy sobie, zabawimy się i wcześniej wrócimy do domu. Żeby młodzi mogli potańczyć.

— I pamiętajcie, do absolutnego minimum ograniczcie historie o pomarańczach w skarpetach na prezenty i bosych wyprawach do kościoła — powiedział Joey. — Nie chcemy, żeby przez cały dzień płakali.

— Raczej żeby się z nas śmiali — poprawił go Barney rozsądnie. — Dzisiejsza młodzież jest przekonana, że my wszystkie te historie wymyślamy. A opowiadałem wam, jak szedłem do Donegal, za cały posiłek mając surową cebulę?

— Zostaw to na inny dzień, stary. Dobra, idziemy — powiedział Mac. — Jesteśmy już dwadzieścia minut spóźnieni. — Ulicą powiał lodowaty wiatr i wszyscy trzej zadrżeli. Lekkie szale i rękawiczki przy tak niskiej temperaturze na nic się zdawały. Pośpieszyli zaułkiem i nieco się zdziwili, gdy drzwi im otworzył David Devaney.

— Witam. Pani Beaumont zaprosiła na obiad mojego brata i mnie. Bardzo miło z jej strony, prawda?

— To prawdziwa dama — stwierdził Barney.

— Niepodrabiana — dodał Joey.

— Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem że zostawicie dla nas trochę indyka. Mógłbym zjeść konia z kopytami — oznajmił Mac. Pozostali dwaj szturchnęli go ostrzegawczo. Weszli do środka. W tawernie panował nieskazitelny porządek, w kominku płonęło drewno.

— Witajcie i dzięki, że jesteście — zawołała Lily. Miała na^y sobie długą fioletową suknię i sweterek, we włosy wpięła pióra. Wyglądała na zmęczoną, nos miała czerwony i błyszczący, ale objęła i ucałowała wszystkich trzech po kolei. — A teraz pozwólcie, że przedstawię wam pozostałych. Braci Devaneyów już znacie. David jest chłopakiem Daisy, a Michael chłopakiem Marie! Przy barze siedzi Gerry Madden, od niedawna spotyka się z Trudy. Jak widzicie, Kupidyn był zajęty w te święta!

Staruszkowie powitali skinieniem głowy Gerry'ego, który popijał sok pomarańczowy i wyglądał elegancko w kosztownym garniturze i zielonej jedwabnej koszuli. Lily powiesiła płaszcz, a trzej starsi panowie podeszli do ognia, by ogrzać dłonie. Jack każdemu podał kufel piwa.

— Bridget już znacie — ciągnęła Lily. — A te trzy urocze dziewczyny to jej siostry, które przyjechały z Anglii na pogrzeb. Dzisiaj rano pochowaliśmy ich rodziców. — Barney i jego przyjaciele spojrzeli ze współczuciem na dziewczyny. Wszystkie cztery siostry przypominały rosyjskie lalki, identyczne z wyglądu, ale każda odrobinę mniejsza od poprzedniej. — Mary, Elizabeth, Tereso, to są Bernard, Joseph i Francis.

— Wyrazy współczucia z powodu waszej straty — powiedział Barney.

— Niech odpoczywają w pokoju — zawtórował Joey.

— Smutny czas na opuszczenie tej ziemi, ale dobry na pójście do nieba — dodał Mac.

Wszystkie spojrzały na niego zdziwione jego mądrymi słowami. Bridget uśmiechnęła się słabo. Już zabrakło jej łez.

— Na cmentarzu był spory tłum, prawda, Bridget? — zapytała Lily. Bridget potaknęła. — Nie spodziewaliśmy się, że w pierwszy dzień świąt przyjdzie tyle osób.

— Tak — przyznała Bridget. — Wygląda na to, że mieli mnóstwo przyjaciół. Ludzie, których nie znałam, o których nawet nie słyszałam, przyszli na pogrzeb.

Siostry Bridget milczały. Sprawiały wrażenie zamkniętych w sobie. Lily podejrzewała, że całe to doświadczenie musi być dla nich cokolwiek nierealne. Żałowała, że obiad będą jeść w pubie, i miała nadzieję, że ta ironia losu ujdzie uwagi młodych dziewcząt. Poza tym powtarzała sobie, że teraz sala nie przypomina typowego pubu, raczej jadalnię w wiejskiej posiadłości.

— Skoro wszyscy już są, siadajmy — powiedział Jack wesoło. Wcześniej zsunął stoły na środek sali i nakrył blaty białymi obrusami. Na środku postawił bardzo długie świece i stopy świeżych soczystych pomarańczy. Lily rozrzuciła cukierki w pomarańczowych złotkach po całej długości stołów, a na końcu umieściła swój wspaniały keks. Kawałki suszonych pomarańczy oraz lśniące organdynowe wstążki stanowiły idealne ozdoby. Lily i Bridget polukrowały ciasto wieczorem, najpierw odprowadziwszy siostry do hotelu.

— Czas na prezenty! — zawołała Daisy, sięgając po torebkę. Wręczyła każdemu rękawiczki, które zrobiła z kawałków filcu. Co zaskakujące, pasowały idealnie. Miała też zszywane z kawałków portmonetki dla sióstr Bridget.

Bridget dała kobietom po flakoniku perfum, a mężczyznom płyn do golenia. Nie było jej stać na odkupienie butelki Chanel, ale Lily nie miała o to pretensji. Podziękowała Bridget za prezent i powiedziała, że na zawsze zachowa flakonik; Trudy przygotowała eleganckie belgijskie bombonierki, pięknie owinięte w czerwony celofan z fioletowymi kokardami z rafii na czubku. Marie dała wszystkim słoiki miodu i tabliczki zdrowej czekolady. Barney, Joey i Mac rozdali puszki z ciasteczkami i butelki wina. Byli wzruszeni, kiedy im wręczono prezenty. Nie spodziewali się takiej szczodrości.

Gerry Madden i bracia Devaneyowie kupili dla swoich dziewcząt biżuterię. Kilka dni temu w telewizji śniadaniowej usłyszeli, że to idealny prezent dla ukochanej, i byli z siebie bardzo zadowoleni,

kiedy Trudy i Marie ucieszyły się z podarków. Daisy ucichła na widok swojego prezentu, ale wszyscy założyli, że po prostu zabrakło jej słów. Lily podziwiała swój srebrny naszyjnik z wisiorkiem z kryształu, a Jack przymierzył ciepłą kurtkę.

Potem Lily i Jack wręczyli prezenty swoim pracownikom. Z podnieceniem czekali, aż dziewczęta zerwą jaskrawe opakowania. Bridget dostała długi ciepły szlafrok oraz śliczne filcowe papucie. Daisy w swojej paczce znalazła mały odtwarzacz CD i płytę z piosenkami biesiadnymi. (Jej stary magnetofon kasetowy odmówił posłuszeństwa dwa dni wcześniej.) Trudy bardzo się ucieszyła na widok eleganckiego notatnika oprawnego w materiał i szklanego wiecznego pióra; powiedziała, że jak tylko będzie miała chwilę czasu, przepisze wszystkie swoje ulubione wiersze. Marie zachwyciła się zegarkiem z kryształem górskim i kolczykami. Pomyślała, że Jack i Lily próbują jej w ten sposób przekazać, że czas najwyższy, żeby wyszła z cienia i zaczęła błyszczeć. Uściskała oboje serdecznie.

Na końcu dali siostrze Bridget szydełkowane szale w pastelowych kolorach. Dziewczęta bardzo wzruszyła troskliwość Lily. Barney już miał skomentować, że jako dziecko w skarpecie znajdował wyłącznie pomarańcze i orzechy, postanowił jednak, że nie będzie psuł nastroju. To nie wina tych młodych ludzi, że urodzili się o sto lat za późno, żeby wiedzieć, co to znaczy być biednym. A poza tym coś w powściągliwym wyrazie twarzy sióstr O'Malley mówiło mu, że one też mogłyby opowiedzieć parę historii o trudnych czasach.

Wszyscy usiedli. Na jednym końcu stołu miejsca zajęli Gerry i Trudy oraz Daisy i David. Lily, Jack i trzej starsi panowie usiedli w środku. Na drugim końcu wyznaczono miejsca dla Bridget, jej sióstr, Michaela i Marie. Ksiądz Damien także był zaproszony, ale zawsze spędzał święta w hostelu Armii Zbawienia, gdzie pomagał w wydawaniu świątecznego obiadu. Powiedział, że lubi być zajęty w dzień Pańskich urodzin, ale przyrzekł, że będzie wspominał O'Malleyów w swoich modlitwach.

Lily pomodliła się, Jack nalał zupę marchwiową i podał białe pieczywo, a Marie zapaliła białe świece. Bridget schowała twarz w Wielkiej chusteczce.

— Stół pięknie wygląda, Lily — powiedziała przez łyżę. — Ty sprawiasz, że obowiązki domowe wydają się proste, ale większość ludzi nie potrafiłaby czegoś takiego zrobić. Naprawdę.

— Czy to nie cudowne, że mamy wokół siebie tylu przyjaciół w ten wyjątkowy dzień? — powiedziała Lily łagodnie. — Mijający rok przyniósł wiele zmian, niektóre były smutne, inne szczęśliwe. Za przeszłość i za przyjaźń. — Uniosła kieliszek z winem.

— Za przyjaźń — powtórzyli wszyscy. Jack poszedł do kuchni po główne danie, by goście zaczęli jeść, nim nastrój spokojnego optymizmu zblaknie. Lily podążyła za nim: nie dałby rady wziąć wszystkiego. Kiedy wrócili, powiedzieli zebranym, że stary piec wreszcie odmówił posłuszeństwa po latach ciężkiej pracy.

— Drzwi piekarnika zostały mi w rękach — dodał Jack.

— Nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiony. Przez ostatnie sześć tygodni ani razu porządnie nie wystygł. Dobrze, że zdążyliśmy przygotować obiad. — Postawił tacę z indykiem na stole, po czym ujął w dłonie nóż i widelec.

— Nie sądzę, byśmy teraz znaleźli kogoś, kto go naprawi — powiedziała Lily ze smutkiem. — Przynajmniej się nie oparzyłeś. — Ustawiła stos podgrzanych talerzy i miskę z warzywami koło Jacka. Trudy wstała, by przynieść sos i pieczone ziemniaki.

— Uważaj na piec, kotku — zawołała za nią Lily.

— A co z gotowaniem na jutro? — zapytała Marie. — To wielka impreza, zamówili tony jedzenia. Poza tym w drugi dzień świąt w pubach zawsze jest pełno gości.

— Mam ochotę odwołać rezerwację — powiedział Jack. — Nie podobała mi się delegacja, która przysłała obejrzyć tawernę. Poprosili nawet, żeby pokazać im kuchnię.

— Banda nadętych zarozumialców — zgodziła się Lily. — Powinniśmy byli odmówić.

— Ach, ucieszyłabym się z wolnego dnia — mruknęła Daisy. — Zróbmy burzę mózgów i sprawdźmy, czy uda nam się znaleźć dobrą wymówkę.

— Ale przecież nie potrzebujemy żadnej wymówki, skoro piec się zepsuł — oznajmiła Bridget. — Powiemy, że nastąpiło zmęczenie materiału. To powinno do nich trafić.

— Daisy, Bridget, chyba nie mówicie poważnie? — wykrzyknęła Marie. — Lily, a co z reputacją tawerny? Ostatnio tak świetnie nam szło, mamy za sobą media. Nie możemy pozwolić, by mówiono, że nie dajemy sobie rady. — Wszystkich zaskoczył pełen emocji wybuch Marie. Zupełnie nie przypominała szarej myszki, którą poznali pierwszego dnia.

— Równie dobrze możecie o tym usłyszeć, dziewczęta... — zaczął Jack.

— Jack, nie! — krzyknęła Lily.

— To nie ma sensu, Lily, musimy im powiedzieć. Posłuchajcie, nie wydaje nam się, żebyśmy byli w stanie zatrzymać tawernę.

Goście w mniejszym lub większym stopniu okazali szok i rozczarowanie. Jack zalał się ciemnoczerwonym rumieńcem. Przyrzekł Lily, że w czasie świąt nie poruszy tego bolesnego tematu. Nie chciał psuć nastroju, ale nie potrafił dłużej oszukiwać. Dziewczęta ciężko pracowały, przyjmowały dodatkowe zmiany, nawet Daisy i Trudy, które wciąż jako studentki miało sporo nauki i zajęć.

— Kupimy jakiś tani elektryczny piec, żeby przeżyć do końca lutego — wyjaśniła Lily, spoglądając na męża z przyganą.

— Niewykluczone jednak, że potem będziemy musieli zrezygnować z prowadzenia tawerny.

— Ojej — westchnął Barney.

— Nie chcieliśmy na razie o tym mówić, ale wygląda na to, że my jako jedyni chcemy tu zostać. Wszyscy inni zgodzili się na warunki Vincenta Hallorana.

— Zdrajcy — szepnął Barney. Dzień stracił dla niego cały urok.

— Jak sobie poradzimy bez naszego przytulnego kąta? — zapytał Joey ze smutkiem.

— Zawsze jest dzienny ośrodek dla seniorów, no nie? — powiedział Mac. Jego przyjaciele wymienili przerażone spojrzenia. — Żartowałem — dodał pośpiesznie. — To poczekalnia Pana Boga. Nie jesteśmy jeszcze na to gotowi.

— Mówisz poważnie, Jack? — zapytał Barney. — Taką decyzję podjęliście?

— Obawiam się, że tak — przyznał Jack. — Nie było nam łatwo, ale omówiliśmy to wczoraj w nocy i uznaliśmy, że czas odejść z godnością. Nie chcemy skłócić się z sąsiadami. Ale Halloranowi jeszcze nie powiedzieliśmy.

— Poczekaj do ostatniego dnia — dodała Lily. — Tylko taką satysfakcję możemy mieć z całej sprawy.

— Straszna szkoda. — W głosie Joeya zabrzmiała gorzkość.

— Ten Halloran to gangster, bez dwóch zdań. Nie ma czegoś takiego jak uczciwy bogacz.

Bridget, Daisy i Trudy wyglądały na zmartwione, ale pogodzone z losem. Zresztą i tak nie planowały zostawać w tawernie na zawsze. Podobnie jak Marie, choć ona nie kryła szoku. Nie chciała, żeby Jack i Lily stracili swój dom w taki sposób jak jej rodzice.

— Ale wszystko tak dobrze się ułożyło — powiedziała. — Kogo obchodzą inni kupcy? Sami mówiliście, że interes kwitnie. Nie rozumiem was.

— I właśnie dlatego chcemy zrezygnować — odparł Jack.

— Nie mieliśmy wolnego dnia, odkąd zaczęła się ta sprawa z centrum handlowym.

— To prawda — dodała Lily. — Jesteśmy wyczerpani, codziennie wieczorem w tawernie są tłumy, a nie lubimy hałasu. Prawdę mówiąc, nie przyjmuję nowych rezerwacji na imprezy. — Nie powiedziała, że lwia część dotychczasowych zysków zostanie wykorzystana na pensje oraz wymianę uszkodzonych sprzętów, takich jak telewizor i sofa. Naturalnie z listy skreślili nowy dywan do salonu oraz malowanie drzwi w holu, za to z ostatniego rachunku telefonicznego wyraźnie wynikało, że dwadzieścia dziewięć rozmów z Ameryką nie jest rzeczą taną. Poza tym zamierzali dać dziewczętom szczodre premie z ostatnią wypłatą.

— Podejrzewam, że po Nowym Roku musimy rozejrzeć się za innym mieszkaniem — stwierdziła Marie ze smutkiem. Lily i Jack potaknęli przepraszająco.

— To dobry pomysł — powiedział Jack łagodnie. — Będziemy tu do końca lutego.

— A co zamierzacie robić potem? — zapytał nieoczekiwanie Gerry Madden. Po raz pierwszy tego dnia odezwał się do kogoś poza Trudy.

— Nie mamy pojęcia — odparł Jack. — Jakiś czas potrwa, nim przyzwyczaimy się do pomysłu wyprowadzki, ale przypuszczam, że zostaniemy w mieście.

— Dość tych pogaduszek, jedzenie będzie zimne jak nagrobek — wtrąciła Lily. Widząc miny sióstr, chętnie dałaby sobie kopniaka.

— Zerknę na ten piec — odezwał się Barney, by przerwać niezręczne milczenie, które nastąpiło po nietaktownej uwadze Lily. — Moja matka miała taki sam, zawsze go naprawiałem.

— Bardzo miło z twojej strony — powiedziała Lily. — Byłoby świetnie, gdyby udało ci się go naprawić. Ale najpierw zjedz obiad.

— Ach, Barney to złota rączka, pani Beaumont. Wszystko potrafi naprawić. — Mac wyczuwał, że do końca popołudnia rozmowa nie będzie się kleić. Niewykluczone, że jednak odkurzy parę swoich wspomnień z dzieciństwa.

Daisy włączyła płytę z kolędami, dodatek do niedzielnej gazety, żeby poprawić atmosferę. Na nowo napełniono kieliszki białym winem. Gerry i siostry O'Malley poprosiły o wodę gazowaną. Przez kilka minut słychać było tylko piosenki z wieży, trzaskające głośno od czasu do czasu polano w kominu i cichy szcęk srebra o porcelanę. Lily cieszyła się, że tak zręcznie udało jej się ukryć fakt, że podała to, co zostało z wczorajszego przyjęcia. Dobry zawiesisty sos i nikt niczego się nie domyślił. Wręcz przeciwnie, wszyscy byli pod wrażeniem, że przygotowała tak wiele różnych dań.

— Doskonały obiad, pani Beaumont — stwierdził Barney, wycierając usta serwetką. — Nie jadłem tak smacznego posiłku, odkąd moja droga żona Susan umarła, niech odpoczywa w pokoju. Zawsze na Boże Narodzenie piekła gęś.

— Nigdy nie jadłam gęsi — wtrąciła Lily pośpiesznie. Modliła się w duchu, żeby Barney nie opowiadał o swojej zmarłej żonie. Zwariuje, jak dłużej będzie słuchała o śmierci. — Mają dość intensywny smak, prawda?

— Nie, jeśli prawidłowo je przyrządzić. Gęsi tłuszcz jest świetny do smażenia.

— Muszę w przyszłym roku kupić gęś — powiedziała Lily zadowolona, że nie rozmawiają już o sprzedaży tawerny. Wiedziała, że trzej starszankowie odczują to najboleśniej. Dziewczęta pójdą swoją drogą. Trzy znalazły sobie sympatycznych chłopców, Bridget, biorąc pod uwagę tragiczne okoliczności, radziła sobie doskonale. Tak jak przewidywała Lily, siostry ucieszyły się z ponownego spotkania. Dotąd były przekonane, że Bridget odeszła z domu, bo nie chciała mieć z nimi nic do czynienia. Kiedy jednak żale i urazy zostały wypłakane, dziewczęta rzuciły się sobie w ramiona przyrzekając, że teraz już pozostaną w stałym kontakcie. Lily nie wiedziała, czy nie jest za późno, by znowu stworzyły bliską rodzinę, ale przynajmniej dostały drugą szansę.

— Ojej, zapomniałam o żurawinie — wykrzyknęła nagle. — Zawsze przypominam sobie o niej dopiero w połowie obiadu. Irytujące, prawda?

— Ja ją przyniosę. — Jack podniósł się z krzesła. Martwił się, że Lily za dużo na siebie wzięła. Już zaczynała ziewać. — Gdzie jest?

— W mikrofalówce, w szklanej sosjerce. Włóż rękawice, kochanie, chyba wciąż jest gorąca.

— Pozwólcie, ja to zrobię — odezwała się Bridget. Łzy znowu cisnęły się jej do oczu, a nie chciała zepsuć cudownej atmosfery, którą Lily i pozostali goście z takim trudem stworzyli. Wzięła rękę

kawice i pobiegła na górę, zamierzając spryskać twarz zimną wodą. Była teraz głową rodziny O'Maeyów i pragnęła, by siostry wiedziały, że mogą na niej polegać. Przez dwadzieścia pięć lat tłumiła rozgoryczenie na nieodpowiedzialne postępowanie rodziców i nie chciała, by teraz znalazło ono ujście na oczach tych wszystkich miłych i dobrych ludzi. Pobiegła do łazienki, gdzie na chwilę przysiadła na grubej macie. Serca z gałązek na parapecie prezentowały się ślicznie na tle matowej szyby. Uświadomiła sobie, że będzie tęskniła za tym mieszkaniem nie tylko dlatego, że pełno tu ładnych przedmiotów. Tutaj po raz pierwszy znalazła prawdziwy dom, w żadnym innym poprzednim lokum tak się nie czuła. Łzy popłynęły jej z oczu i nie potrafiła ich w żaden sposób powstrzymać. Postanowiła, że pozbiera myśli, umyje twarz i zniesie na dół żurawinę.

W tawernie rozmowa kuląła. Jack próbował rozśmieszyć gości, opowiadając zabawną anegdotkę o ukradzionym indyku, dwóch zagranicznych biskupach i zepsutym samochodzie. Nagle rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Wszyscy podskoczyli.

— Kto to może być? Zaprosiłeś kogoś jeszcze, Jack? — zapytała Lily.

— Nie. — Jack ruszył do drzwi.

Zerknął przez szybkę, obawiając się włamywaczy. Wiedział, że niekiedy pukają do drzwi, a potem siłą wpychają się do środka. Straszne rzeczy słyszało się w wiadomościach.

— To policjant.

— Tak? — Lily nieoczekiwanie się zaróżowiła.

— Bardzo wysoki, z wojskowym wąsem — uzupełnił Jack.

— To pewnie John, to znaczy posterunkowy John Kelly — powiedziała Lily drżącym głosem.
— Ciekawe, czego chce?

— Wpuszczę go, to się dowiemy. — Jack przekręcił w zamku ogromny klucz.

— Kto ma jeszcze ochotę na sos? — wtrąciła Lily śpiewnie. Dwa razy obeszła stół, robiąc wielkie zamieszanie. Pozwoliła sobie zadzwonić do Johna Kelly'ego na posterunek, żeby mu podziękować za uprzejmość, i przypadkiem w rozmowie wspomniała, że Bridget kilka razy powtórzyła, jaki miły z niego człowiek. Naturalnie nie zachowała się aż tak prostacko, by powiedzieć Johnowi, że wpadł w oko pogrążonej w żalobie dziewczynie. Wcale nie! Ale Lily na pierwszy rzut oka rozpoznawała zakochaną dziewczynę. Dostrzegła też czułość we wzroku Johna, gdy spoglądał na Bridget w tantym pełnym pajęczyn domku. Przekonała siebie, że nie popełni zbrodni, jeśli doprowadzi do połączenia tej pary.

— No tak, pewnie przyszedł do Bridget. Ciekawe, co ją zatrzymało? — powiedział Jack.

— Zobaczę. — Daisy zerwała się z krzesła i pobiegła na górę.

Pozostali odłożyli sztuce i odwrócili się w stronę nowo przybyłego.

— Dzień dobry — powiedział John. — Wpadłem zapytać, jak czuje się Bridget. Przepraszam, że przeszkadzam. Nie wiedziałem, że wciąż siedzicie przy stole.

— A może poczęstujesz się indykiem, John? — zaproponowała Lily. — Rozumiem, że masz przerwę na lunch?

— Uch, tak. Zwykle nie noszę munduru w wolne dni — odparł John, zmuszając się do śmiechu.

— Założę się, że nosi — szepnęła Mac do Joeya. — Założę się, że kładzie się w nim spać. Nie zdejmuje nawet czapki. — Joey szturchnięciem uciszył przyjaciela. Mac miał uraz do policjantów od czasu, kiedy mu kazali usunąć taczkę z bratkami ze ścieżki przed domem. Wyglądało na to, że jego śliczna kompozycja kwiatowa powodowała zakłócenia w ruchu drogowym podczas szkolnych godzin szczytu.

Nigdy nie ma gliniarza, kiedy jest potrzebny. Gdzie się podziewał ten John Kelly, kiedy jakiś mały złodziejasek opróżnił mi szopę z węgla? myślał gniewnie Mac.

— Usiądź i odpocznij — nalegała Lily. — Proszę wszystkich, byście zostawili kawałek indyka do żurawiny.

Kiedy Bridget usłyszała, że John Kelly jest w tawernie, ucichła i zamknęła się w sobie. Wycierała twarz puszystym ręcznikiem, gdy Daisy energicznie zapukała do drzwi, przez co o mało nie dostała ataku serca. Nie sądziła, że ktoś jej tu przeszkodzi, przecież na dole była druga łazienka. Daisy zobaczyła leżące w holu rękawice kucharskie i zastanawiała się, o co tu chodzi.

— Dobrze się czujesz? — zapytała, przyciskając twarz do drzwi łazienki. — Czekamy na żurawinę i jak mówiłam, masz gościa. Przystojniak z niego. — Chociaż za wysoki dla ciebie, pomyślała. Dostrzegła zmieszanie Lily i od razu się zorientowała, że Lily znowu bawi się w swatkę.

— Nie mogę wyjść — odparła po chwili Bridget.

— Dlaczego nie?

— Bo nie.

— Jesteś chora?

— Nie mam sił na przyjmowanie gości, pogrzeb mnie wykończył — odparła Bridget. — Powiedz mu, że się położyłam. I przeproś pozostałych, dobrze?

— Ale tam są twoje siostry, Bridget. Niedługo wyjeżdżają. Nie możesz cały dzień się tu ukrywać.

— Daisy, bardzo cię proszę. Padam z nóg. Możesz zrobić to dla mnie?

— Dobrze, ale jesteś pewna?

— Tak.

— Wiesz, według mnie on jest nieśmiały. Może tu nie wrócić.

Ale pewność siebie całkiem opuściła Bridget. Przywykła do dysfunkcyjnych mężczyzn, związków z góry skazanych na niepowodzenie i dziwnych zachowań. Miły mężczyzna z odpowiedzialną pracą, który przychodzi, żeby z nią porozmawiać: z czymś takim dotąd się nie zetknęła. Dostatecznie trudne było zachowywanie pozorów spokoju i kultury przy Gerrym Maddenie (mężczyźnie, z którym

dzieliła łóżko przez ponad trzy lata) oraz od dawna niewidzianych siostrach, by jeszcze miała dokładać starań i grzecznie rozmawiać z Johnem Kellym na oczach gości. A gdyby się okazało, że John Kelly nie przyszedł specjalnie do niej, tylko w jakiejś służbowej sprawie, serce by jej pękło.

— Daisy, on nie przyszedł, żeby umówić się ze mną na randkę, ty głupia — westchnęła, próbując czegoś się dowiedzieć.

— To, że ty jesteś zakochana po uszy, jeszcze wcale nie znaczy, że wszyscy jesteśmy.

— Zakochana po uszy? Przypomnij mi, żebyś wieczorem ci o tym opowiedziała — szepnęła Daisy do dziurki od klucza.

— A teraz pozbieraj się i wychodź, dobra? Nie możesz siedzieć tam wiecznie. W marcu chcą zburzyć tawernę, nie wiesz? Czy w ten sposób rozpoczynasz jakiś hardcorowy protest?

— O Boże — jęknęła Bridget. Miała ochotę wlać do gardła kilka kieliszków wódki, by wrócić jej pewność siebie, ale zaraz pomyślała o Gerrym i rodzicach. Na tym polegał problem z alkoholem: działał tylko przez jakiś czas, a potem znowu trzeba było stawiać czoło rzeczywistości.

— Dlaczego myślisz, że on mnie lubi? — zapytała.

— Bo w rękach trzyma solidny bukiet kwiatów. Nie mówiłam o tym wcześniej, bo nie chciałam psuć ci niespodzianki.

— Daisy ziewnęła. Ciekawe, czy zostało jej miejsce na deser?

— Kwiaty! — powtórzyła Bridget. To interesujące... Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

— Dzięki za cierpliwość, Daisy. Dzisiejszy dzień zupełnie mnie wykończył.

— Grzeczna dziewczynka — uśmiechnęła się Daisy. — A przy okazji przepraszam, że cię nazwałam suką wielkości kufelka. Wcale nie jesteś suką.

— Dzięki — odparła Bridget. — A twoje spodnie w serduszka nie były wołaniem o pomoc. Wręcz przeciwnie, całkiem mi się podobały.

Uśmiechnięte wróciły na dół, zapominając o żurawinie.

John nerwowo kręcił się przy zegarze. Odrzucił grzecznie zaproszenie do stołu. Byłoby to niezwykle krępujące, gdyby Bridget nie chciała więcej się z nim spotkać. Postanowił, że wręczy jej kwiaty i pójdzie sobie, jeśli spotka się z letnim przyjęciem. Zresztą jego przerwa na lunch i tak dobiegała już końca. Bridget przemierzyła tawernę tak szybko, jak na to pozwalały jej drobne stópki. Pozostali z teatralną przesadą zajęli się jedzeniem, choć ukradkiem nadstawiali uszu.

— Bardzo ci dziękuję za pomoc — zaczęła Bridget, gdy John wręczył jej wielki i kosztowny bukiet w szeleszczącym celofanie. (Kupił go poprzedniego wieczoru i włożył do szafki na posterunku.)

— Są prześliczne — dodała, spoglądając na strelacje i ciemnofioletowe tulipany. — Nie trzeba było.

— Nie musisz dziękować. Chciałem cię o coś zapytać.

— Chyba wszystko zostało załatwione? Nie ma testamentu, pieniędzy ani niezapłaconych rachunków z wyjątkiem rachunku za prąd. Ale ksiądz Damien powiedział, że się tym zajmie. — Bridget zdawała sobie sprawę, że papla chaotycznie, ale obawiała się tego bezpośredniego mężczyzny.

— Nie chodzi o twoich rodziców — powiedział John niemal szeptem. — Chciałem cię zapytać, czy któregoś dnia nie poszłabyś ze mną na kolację?

— Ojej! Mój Boże, nie spodziewałam się tego!

— Wiem, że pora jest bardzo nieodpowiednia, ale może kiedy poczujesz się lepiej?

— Nie wiem, co odpowiedzieć — zawahała się Bridget. Jego rzeczowość onieśmiałała, choć równocześnie była bardzo pociągająca.

— Sam kilka lat temu straciłem rodziców, więc domyślam się, co czujesz — powiedział John łagodnie. — Człowiek nie bardzo wie, co ze sobą zrobić, kiedy oboje rodzice odchodzą prawie równocześnie.

— Tak, masz rację.

— Więc jak? Może za kilka tygodni? Powiedzmy za miesiąc?

— Tak — uśmiechnęła się Bridget. — Zostaw mi swój numer, zadzwonię do ciebie.

— Wspaniale. — Wyjął z kieszeni karteczkę. — Będę się zbierał. Do widzenia! Życzę wszystkim wesołych świąt!

Odwrócili się, by pożegnać wielbiciela Bridget. Stali oboje w progu: przy liczącym sześć stóp wzrostu policjancie Bridget wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle, zwłaszcza że miała buty na płaskim obcasie i włosy zwinięte w ciasny kok. Stanowili dziwną parę. Bridget zamknęła drzwi za Johnem i oszołomiona wróciła do stołu. Miała nadzieję, że siostry nie pomyślą, iż flirtuje z człowiekiem, który pomógł przy organizacji pogrzebu rodziców. Uznała, że John przesadza z wypełnianiem obowiązków, kiedy wypatrzyła go w ostatniej ławce w kościele, ale nie wiedziała, że czasami chodził na pogrzeby ludzi, których poznał podczas służby. Nagle uświadomiła sobie, że John Kelly i Jack Beaumont to jedyni przystojni mężczyźni, z którymi nigdy nie flirtowała.

Lily znalazła wazon na egzotyczne kwiaty, potem zaproponowała, żeby zjedli deser. Żurawina przestała być potrzebna. Wszystkie talerze świeciły pustkami, wyjątkiem był tylko talerz Bridget, ale ona przebywała wiele mil dalej. Dziewczęta posprzątały ze stołu.

— Mamy do wyboru: ciasto czekoladowe, ciasto cytrynowe ze śmietaną, babeczki bakaliowe z lodami albo pudding i sos waniliowy — wyliczała Lily. Marzyła o schronieniu się w sypialni, zwinięciu się w kłębek obok Jacka i myśleniu wyłącznie o nim. Wypełniony emocjami dzień dobiegał końca. Jack mrugnął znacząco w odpowiedzi na jej uśmiech. Po tylu wspólnie spędzonych latach czytał w myślach żony. Sam też był zmęczony. Po raz pierwszy odczuwał swój wiek. Postanowił, że odwoła jutrzejszą imprezę i cały dzień spędzi w łóżku z bombonierką i pilotem.

— Najadłem się — powiedział Jack, klepiąc się po brzuchu. — Na co macie ochotę?

Ale siostry Bridget spoglądały na zegarki, nie mogąc się już doczekać wyjazdu na lotnisko. Pragnęły wrócić do swoich anonimowych domów na przedmieściu Londynu. Na ulicach, przy których mieszkały, nigdy nic się nie działo, i tak było dobrze. Odpowiadało im życie w wielkim mieście, gdzie nikt nie wiedział, że są dziećmi nałogowych alkoholików, i nie wypytywał codziennie, jak sobie radzą „biedni rodzice”. Ciężko pracowały, by odnieść sukces; najpierw ukończyły kursy, a potem znalazły pracę w sieci salonów fryzjerskich. Powoli traciły płaski północnoirlandzki akcent, nabywając w zamian łagodniejszej londyńskiej wymowy. Rano nad grobem rodziców złożyły przysięgę, że nigdy więcej nie wrócą do Irlandii. Pozostaną w kontakcie z Bridget, ale na następne spotkanie ona będzie musiała przyjechać do spokojnego Isleworth. Podziękowały za deser i poszły po płaszcze i torebki. Powiedziały, że przed wyjazdem na lotnisko chcą jeszcze odwiedzić cmentarz. Teraz grób będzie już zasypany i uporządkowany, dlatego chciały go zobaczyć. Bridget mocno je wyściskała i obiecała, że po zamknięciu tawerny przyjedzie do Anglii. Dziewczęta serdecznie pożegnały się z pozostałymi gośćmi, po czym ruszyły na postój taksówek przed ratuszem. Bridget poszła na piętro, żeby się położyć.

Po wyjściu sióstr O'Malley w sali zapanowało wrażenie pustki. Lily wiedziała, że bożonarodzeniowy pudding nie wystarczy do uratowania przyjęcia. Barney, Joey i Mac wyglądali na zmęczonych; oni także podziękowali za deser. Są najedzeni po uszy, powiedział Mac, a Joey potaknął. Lily zrobiło się ich żal. Pewnie od świtu stroili się na przyjęcie. zaproponowała, żeby przesunęli się z krzesłami bliżej kominka i odpoczęli przed powrotem do domu.

— Ktoś się czegoś napije? — zapytał Jack, gdy okazało się, że nikt nie ma ochoty na jedzenie.

— Nie odmówiłabym małej whisky z lemoniadą — powiedziała Lily. Towarzystwo mruknęło z aprobatą. Jack wszedł za kontuar i sięgnął po szklanki.

— David i Michael w przyszłym roku jadą do Londynu — oznajmiła Daisy, gdy po chwili popijali już drinki. — Mają zamiar wystąpić w telewizyjnym konkursie talentów. Projektuję im kostiumy. Właściwie to są garnitury. Ale kostiumy brzmią lepiej.

— Taa, uważam, że mamy sporą szansę — powiedział David. — Widzieliście, jakie miernoty brały udział w tych konkursach? Moim zdaniem producenci przyjmują ich po to, by mieć się z kogo śmiać. Ale warto się poświęcić, jeśli jest szansa, że wpadnie się w oko komuś liczącemu się w branży.

— O tak — potwierdziła Daisy. — Miliony ludzi oglądają takie programy.

Marie ujęła za rękę Michaela, którego twarz przybrała niezdrowy szary odcień.

— Kupimy nowe gitary, napiszemy nowe piosenki, a Michael ostrzyże włosy. Prawda, Michael? — droczył się z bratem David.

— Michael nie wie, czy jest gotowy na pełen blichtru świat show-biznesu — roześmiała się Marie. — Prawda, Michael?

— Co jest? — zdziwił się David. — O czym ty mówisz? Przecież wszystko zaplanowaliśmy.

— Myślę, że Michael wolałby nic nie zmieniać — oznajmiła Marie ze stalowym błyskiem w oczach. Lily, Jack i dziewczęta wiedzieli, że to skutek wypitego przy obiedzie alkoholu, ale bracia nie mieli o tym pojęcia. Wszyscy wstrzymali oddech.

— Michael nie chce być gwiazdą, David — westchnęła Marie. Najwyraźniej biedakowi trzeba było wszystko literować.

David po chwilowej konsternacji spojrział na brata z oburzeniem.

— Tylko mi nie mów, że zmieniłeś zdanie, Michael!

— Marie ma rację — powiedział Michael cicho. — Mówiłem jej o tym kilka dni temu. Nie wyobrażam sobie występowania przed kamerami i w ogóle. Przykro mi, David.

— Bzdury wygadujesz! To tylko zwykła trema! W czasie występu wszystko pójdzie świetnie, zaufaj mi.

— Nie, David, to nie trema. Dałbym sobie z nią radę, gdyby dostatecznie mocno zależało mi na wielkiej karierze. Ja po prostu nie chcę być sławny. Odpowiada mi spokojne życie. Będę w weekendy śpiewał w pubach, a w tygodniu uczył gry na gitarze.

— Ha, miło, że mówisz mi o tym akurat w Boże Narodzenie — stwierdził David z goryczą.

— Och, nie zaczynaj. Babcia Devaney tak samo zareagowała, kiedy ktoś jej powiedział, że Graham Norton jest gejem. — Michael skręcał się z zażenowania, że jego przyszłość omawiana jest w obecności tylu osób. Nagle jednak poczuł radość. Jeśli David zamierza z wysiłkiem wspinać się po błyszczącej drabinie sławy, jeździć na długie trasy koncertowe, wystawiać się na osąd zgryźliwych jurorów telewizyjnych i stosować się do długiej listy żądań firm płytowych, to proszę bardzo. Michael pragnął spokojnej pracy i takiego samego życia. Nie zależało mu na bogactwie. Ogarnęła go ulga, że wreszcie może wyznać to głośno.

— Nie mówisz poważnie, po prostu boisz się kamery. Posłuchaj mnie, możesz pójść do hipnotyzera — nalegał David.

— Słyszałem o facecie, który wszystko potrafi. Przyjmuje niedaleko Botanic Avenue. Jak on się nazywa? Alan jakiś tam...

Ale Michael ucałował dłoń Marie i z uśmiechem mu przerwał.

— Nie złapałem bakcyła sławy. Będziesz musiał wygrać konkurs i jeździć po świecie sam, Davidzie. Ja zostaję tutaj.

— Trudy, przemów mu do rozsądku — poprosiła Daisy. Trudy była najmądrzejsza z całej paczki, to nie ulegało wątpliwości, wzięwszy pod uwagę poezje, w których się zaczytywała. Trudy jednak dość miała własnych problemów, żeby jeszcze zajmować się cudzymi. Poza tym pielęgniarka w szpitalu powiedziała jej, żeby unikała niepotrzebnych stresów.

— Och, na mnie nie liczcie — oznajmiła. — Idziemy z Gerrym na spacer. — Włożyli płaszcze i wyszli obiecując, że niedługo wrócą.

Daisy, David, Marie i Michael także postanowili się przejść. Kiedy zamykali za sobą drzwi, słychać było, jak dyskutują o konkursie talentów. Lily i Jack zostali przy kominku z trzema starszszkami.

— Przed chwilą pokój był pełen ludzi — zauważył Barney.

— A teraz jesteśmy sami — westchnął Joey.

— Takie jest życie — dodał Mac.

21

BRIDGET RATUJE SYTUACJĘ

Nim nazajutrz rano Lily się obudziła, Jack cicho wstał, wziął telefon i poszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Wybrał całodobowy numer kontaktowy, który podała mu firma budowlana, i przez pięć sekund w napięciu czekał, aż ktoś odbierze.

— Witam, mówi Judy. Czym mogę panu służyć?

W głosie kobiety brzmiało zmęczenie i złość, ale Jack nie mógł wiedzieć, że przez dwa ostatnie dni pracowała do późna. Vincent Halloran płacił dobrze, za to nie miał najmniejszego szacunku dla ustawowego czasu pracy od dziewiątej do siedemnastej. Niepewny, czy projekt zbudowania centrum handlowego zakończy się sukcesem, sprawdzał plany, koszty i terminy przez cały pierwszy dzień świąt. Chciał się upewnić, czy nie mógłby zwiększyć sumy oferowanej upartym Beaumontom. A to oznaczało, że Judy także musiała zostać w biurze w Belfaście. Po osobie tak ważnej jak Vincent Halloran trudno było oczekiwać, że sam będzie sobie parzył kawę.

— Czym mogę służyć? — powtórzyła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

— Mówi Jack Beaumont. Obawiam się, że jest problem z dzisiejszą imprezą.

— Och, przykro mi to słyszeć. — Judy pomachała do Vincenta. — W tawernie mają jakiś problem, proszę pana. — Halloran podniósł wzrok znad biurka.

— Tak — ciągnął Jack. — Mamy awarię pieca.

— Nie można go naprawić?

— Nie.

— Na pewno?

Vincent wstał i podszedł do Judy.

— To bardzo stary piec — oznajmił Jack stanowczo. W żadnym razie nie zamierzał się ugiąć. Albo będzie miał wolny dzień, albo się załamie.

— Cóż, zimna płyta całkiem nam wystarczy — powiedziała pośpiesznie Judy. Halloran nachylił się ku niej z twarzą jak chmura burzowa. Zamówił to przyjęcie dla personelu z jednego tylko powodu:

jako pretekst do spotkania z Beaumontami i porozmawiania z nimi osobiście. Ponawiał prośby o audiencję, ale wszystkie zostały odrzucone. — Na przykład chipsy i orzeszki? — pisała Judy.

— Strasznie mi przykro, ale muszę zrezygnować z tego zamówienia — powiedział Jack. — Oczywiście zwrócę zaliczkę.

— Niech pan poczeka! Przecież możemy jakoś to rozwiązać? To znaczy macie bar, prawda? Czyli alkohole będą. Przyniesiemy własne jedzenie.

— Przykro mi, ale już za późno. Dałem personelowi kilka dni wolnego.

— Coś zorganizujemy. Wszyscy będą bardzo rozczarowani — błagała Judy, ale Jack już się rozłączył.

— Tylko mi nie mów, że imprezy nie będzie — huknął Vincent.

— OK, w takim razie to panu napiszę — warknęła Judy.

— Zadzwoń do Beaumonta i postaraj się, żeby zmienił zdanie — zażądał.

— Wracam do hotelu, żeby się przespać, panie Halloran — ziewnęła Judy. — Powieki same mi się zamykają.

— Jeśli teraz wyjdiesz, wyleję cię, Judy. Nie masz po co przychodzić tu jutro rano, słyszysz?

— Dobra — odparła Judy. Wstała i włożyła sweter. Vincent Halloran miał szczęście, że była samotną kobietą bez męża, który by się za nią wstawił, w przeciwnym wypadku takie traktowanie jej nie uszłoby mu na sucho. Vincent wyrzucał Judy z pracy co najmniej dwa razy dziennie.

— Nie będę zawracać sobie głowy przyjęciem — odpaliła. — Nie mam sił. Może pan powiadomić gości, jeśli pan chce. — Wręczyła mu listę. Zaprośili wszystkich, których znali w Irlandii Północnej.

— Judy, nie zostawiaj mnie. Dam ci tysiąc funtów, jeśli załatwisz spotkanie. — Vincent zawsze korzystał ze swego wdzięku, kiedy wszystko inne zawodziło.

— To bez sensu. Ten facet to świr, zresztą jak wszyscy w tym mieście, gdyby ktoś mnie o to pytał.

— Proszę, Judy. Od tego zależą miliony.

— Ale nie moje. — Judy zastanawiała się, czy jako jedyna dwudziestosiedmiolatka w Irlandii jest samotna, znudzona, pracuje w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i ma na sobie sweter w okropne róże, który zrobiła jej na drutach babcia. — I mam po uszy hotelu. Pakuję się i wracam dzisiaj do Dublina.

— Judy, dostaniesz dwa tysiące, jeśli mi pomożesz.

— Da mi pan to na piśmie? — Podsunęła mu kartkę papieru.

— Jasne. — Vincent napisał zobowiązanie.

— OK — westchnęła Judy, siadając na powrót za biurkiem.

— Grzeczna dziewczynka, postaraj się to załatwić — powiedział swojej lojalnej sekretarce Vincent. — I nie wygadaj się, że to ta firma, która buduje centrum. Nie przyjęliby rezerwacji, gdyby wiedzieli. — Po tych słowach pomaszerował do swojego biurka.

— Nie jestem głupia!

Judy była zła, że musi pracować w święta. Zależało jej na tym przyjęciu w tawernie. W takim małym lokalu na pewno poznałaby nowych przyjaciół. Może nawet nowego chłopaka, a strasznie jej się podobał pewien murarz z Ligoniel.

— A co z przyjęciem? — zapytała, wybierając numer.

— Jest bez znaczenia, cholera! — ryknął Vincent. — Zarezerwuj inną knajpę, skoro ci na tym zależy, mnie to nic nie obchodzi! Ale siedź przy biurku, dopóki nie połączysz mnie z Jackiem Beaumontem albo nie umówisz nas na spotkanie. Jeśli przez pół godziny to ci się nie uda, idź tam i się włam.

— Dobrze, proszę pana — odparła sucho, nienawidząc go z całej siły. Był maniakałnym tyranem. Co za człowiek podstępnie zamawia imprezę świąteczną w nieszkodliwym małym pubie, a kilka tygodni później wyrzuca właścicieli na bruk?

Lily uśmiechnęła się na widok smakołyków, które Jack przyniósł do sypialni. Odwróciła się, by spojrzeć na budzik, ale Jack ukrył go w szafie.

— Nawet o tym nie myśl — powiedział ostrzegawczo. — Czas dzisiaj nie ma znaczenia.

— A impreza?

— Została odwołana.

— Jak to?

— Przed chwilą dzwonili. Firma zbankrutowała — skłamał Jack.

— Ojej.

— Nie przejmuj się, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — powiedział wesoło. — A teraz jedz. Znalazłem opakowanie bekonu pod zieloną sałatą. Bridget zaczyna brakować pomysłów.

Oboje śmiali się, pochłaniając stos kanapek i popijając dymiącą herbatę z wielkich kubków.

— Och, Jack, ze wstydem muszę przyznać, że się cieszę z bankructwa tej firmy. Nerwy mam w strzępach, a plecy całkiem mi zeszywniały — powiedziała Lily, przeciągając się. — Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się.

— W takim razie to twój szczęśliwy dzień — zażartował, odstawiając naczynia na podłogę. — Spięte i nerwowe kobiety to moja specjalność. — Namiętnie pocałował żonę w szyję.

— Cudownie — mruknęła, gdy zaczął masować jej ramiona.

— A teraz mam iść w dół czy w górę? — zapytał z namysłem.

— Zaskocz mnie — szepnęła.

Idąc do kuchni zaparzyć kawę, Trudy znalazła notkę przyklejoną taśmą do schodów prowadzących do sypialni Lily i Jacka. Napisano na niej: „Nie przeszkadzać. Odpoczywamy. P. S. Dzisiejsza impreza odwołana. Jack B.”

— Hura! I kto by pomyślał! — wykrzyknęła Trudy, po czym biegiem wróciła do pokoju, by powiedzieć o tym pozostałym dziewczętom.

Marie i Daisy oznajmiły, że zadzwonią do braci Devaneyów i umówią się na cały dzień, ale kiedy poszły do holu, okazało się, że telefon został wyłączony. Na stoliku leżał kolejny liścik: „Pod żadnym pozorem nie włączać telefonu. Jack B.”

— Hmm — mruknęła Marie. — Wygląda na to, że naszych pracodawców dopadło zmęczenie. Najlepiej zrobimy, jak stąd znikniemy, i to szybko.

— Zadzwonię do Gerry'ego z komórki — oznajmiła Trudy.

— Dobry pomysł. — Daisy sięgnęła po swój telefon.

— Poproś Michaela, jak pogadasz z Davidem — powiedziała Marie. — Zapomniałam naładować komórkę.

— A ty, Bridget? Zadzwonisz do długiego ramienia prawa? — zażartowała Daisy. Dziewczęta wybuchnęły śmiechem. — Allo, allo!

— W żadnym razie, przecież dopiero co pochowałam rodziców — pociągnęła nosem Bridget. — Co on by sobie o mnie pomyślał? Aż taką zdzirą nie jestem.

— Przepraszam, Bridget — powiedziała Daisy. — Nie to miałam na myśli.

— W porządku — odparła Bridget. — Spędzę dzień w łóżku. Już się cieszę, że choć na chwilę zejdzicie mi z oczu. Bawcie się dobrze.

Bridget poszła do kuchni, żeby postawić na piecu patelnię, ale była ciepła.

W powietrzu unosił się smakowity aromat. Bridget ogarnęło straszne przeczucie, że Jack znalazł bekon, który wieczorem ukryła pod główką sałaty. Była bardzo rozczarowana, kiedy jej podejrzenia się potwierdziły.

— Cholera — syknęła, kładąc pokrywę na patelni i nastawiając czajnik. No dobrze, zajrzy do pojemników. Na pewno znajdzie w nich coś dobrego...

Godzinę później Lily i Jack leżeli w półśnie, przytuleni do siebie. Lily czuła mrowienie w czubkach palców, wszystkie bóle i skurcze mięśni minęły.

— To bije na głowę sprzątanie i gotowanie — westchnęła uszczęśliwiona.

— Bez dwóch zdań — mruknął Jack.

— Chyba słyszałam, że jakiś czas temu dziewczęta wyszły. Co zrobimy z tym nieoczekiwanym darem w postaci spokoju i ciszy?

— Będziemy leżeć do lunchu — odparł Jack. — A potem zadzwonię do hinduskiej restauracji po danie na wynos. Do końca życia nie chcę oglądać następnego wielkiego, zimnego gołego indyka.

— Zgoda. Jeśli jeszcze kiedyś usłyszysz, jak mówię o ratowaniu świata, zamknij mnie w piwnicy i nie wypuszczaj, dopóki się nie uspokoję — ziewnęła Lily. — Zagrzeję wody na kąpiel. Od wieków porządnie się nie wymoczyłam.

— Kocham cię, Lily — powiedział Jack czule.

— Ja też cię kocham, Jack.

Znowu zaczęli się całować, ale zaraz oboje podskoczyli i zderzyli się zębami, bo do drzwi ktoś głośno zapukał.

— Lily? Lily, nie śpisz? Jack, jesteś tam? — wołał podniecony głos po drugiej stronie.

— To ty, Bridget? — odskrzyknęła Lily, podczas gdy Jack udawał, że strzela sobie w głowę. — Myśleliśmy, że was nie ma. Dobrze się czujesz, kotku?

— Tak, dobrze, ale oderwałam spory kawałek tapety.

— Bridget, to naprawdę nie ma znaczenia — westchnęła Lily. — Niedługo cały dom zostanie zrównany z ziemią. Odpoczywamy.

— W każdym razie próbujemy — dodał Jack z nadzieją.

— Tak, ale pod tapetą coś jest — upierała się Bridget.

— Pewnie ściana — wyjaśnił Jack. — Twarda, płaska i zrobiona z cegieł.

— Och, skoro was to nie interesuje, to sobie idę — powiedziała Bridget z nagłą złością. — Nie musisz być taki sarkastyczny. — Usłyszeli jej kroki na schodach, a potem trzask zamykanych drzwi salonu.

— Co to jest, Bridget? — zawołała Lily, bijąc Jacka po ramieniu. Nie powinien był droczyć się z biedną dziewczyną tak szybko po pogrzebie jej rodziców. — Bridget, wróć! — krzyknęła. Drzwi salonu otworzyły się z hukiem.

— Namalowany but — odparła Bridget po chwili. — I podpis „J. Lavery”. Wygląda jak damski but, ale Bóg wie, że nie jestem ekspertem od staroświeckich strojów.

— Lavery? — powtórzyła Lily. — Żartujesz sobie ze mnie? Lepiej tego nie rób! — Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do drzwi. Dopiero kiedy ujęła klamkę, uświadomiła sobie, że jest naga. Rzuciwszy jej szlafrok, Jack rozejrzał się za swoim ubraniem. Może też powinien sprawić sobie szlafrok, pomyślał. Lily już była na dole, a on wciąż szukał dżinsów i czystego T-shirta w komodzie.

— Idziemy! — zawołała Lily. — Co się dzieje?

Bridget kręciła się po holu niepewna, co dalej robić.

— Przystawiałam łóżko na dawne miejsce — wyjaśniła. — Spadły mi za nie gazety. Tak czy owak łóżko jest ciężkie, więc porządnie popchnęłam i zerwałam tapetę.

— Na razie wszystko rozumiem — powiedziała Lily. — A teraz mi pokaż.

Weszły do pokoju. W miejscu wskazanym przez Bridget spod kilku warstw tapety i farby rzeczywiście wyglądał damski bucik. I widniał podpis, dokładnie tak, jak mówiła Bridget.

— O mój Boże! — Lily z wrażenia zabrakło tchu. — J. Lavery! Czyżby to był sir John Lavery? Oby malowidło było oryginalne! Nie wiedziałam, że malował freski. O mój Boże!

— Wiedziałaś, że to coś wyjątkowego — powiedziała Bridget zadowolona. — To stary plakat?

— Posłuchaj mnie, Bridget. — Lily delikatnie postukała palcem w ścianę. Malowidło znajdowało się bezpośrednio na tynku i sprawiało wrażenie prawdziwego. Lily była wielbicielką dzieł Lavery'ego, czasami nawet próbowała ubierać się jak eleganckie damy na jego pięknych obrazach. — Jeśli to jest to, o czym myślę i o co się modłę, to nasza tawerna jest na wieki uratowana!

— A o czym myślisz? — zapytała Bridget z podnieceniem.

— Malowidło na ścianie.

— Na całej?

— Niewykluczone, że na wszystkich czterech ścianach!

— Ale dlaczego ktoś zakrył je tapetą?

— Świat jest pełen tajemnic, Bridget, zgodzisz się chyba? Artysta musiał to namalować na początku kariery, później byłby dla nich za drogi. Najwyraźniej właściciele tawerny nie mieli pojęcia, że pewnego dnia będzie sławny!

Kiedy trzy minuty później Jack wszedł do pokoju, Lily i Bridget tańczyły po pokoju, śpiewając z radości. Jack szybko zorientował się w sytuacji i odsunął łóżko, by lepiej się przyjrzeć odkryciu.

— Zabierajmy się do zrywania tapety — zaproponował. — Gdzie odłożyliśmy skrzynkę z narzędziami, Lily?

— Och, najdroższy — roześmiała się Lily — nie możemy niczego tknąć. Trzeba sprowadzić ekspertów, konserwatorów dzieł sztuki. Jeśli na ścianie jest fresk, będzie miał niesamowitą wartość.

— A jeśli nie? Jeśli to tylko mały kawałek? — zapytał Jack.

— Tapeta odeszła bez problemu. Spróbujemy?

— W tym rogu ściana jest wilgotna i dlatego tapeta odpadła — powiedziała Lily.

— Zawsze mi się wydawało, że tu jest wilgoć. — Bridget roztarła sobie ramię.

Lily obrzuciła ją surowym spojrzeniem.

— Reszta pokoju jest sucha jak pieprz. Tapeta trzyma się mocno, a nie mam pojęcia, do czego jest przyklejona. Moglibyśmy zniszczyć malowidło, gdybyśmy potraktowali ścianę parą i papierem ściernym. Musimy zachować je dla innych.

— Co przez to rozumiesz? Ludzie będą chcieli je oglądać? — zdziwiła się Bridget.

— Oczywiście! — wykrzyknęła Lily. — To fantastyczne odkrycie!

— Ale co z nami? Czy to znaczy, że zatrzymamy tawernę? — pytał Jack. — A może przejmą ją ludzie od dziedzictwa narodowego?

— Och. — Lily nagle przestała tańczyć. — Nie mam zielonego pojęcia.

Oboje stali, rozważając tę ważną kwestię, kiedy rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Lily chciała poprosić Bridget o zejście na dół, ale dziewczyna zniknęła, a trzask zamykanych drzwi łazienki świadczył, że przypuszczalnie zamierza urządzić sobie długą kąpiel. Lily wyjrzała przez okno. Przed progiem stał dobrze zbudowany mężczyzna w kosztownym płaszczu oraz śliczna dziewczyna w grubym swetrze w różę. Vincent Halloran stracił wreszcie cierpliwość do unikających go Beaumontów i zjawiał się osobiście.

— Mamy gości i o ile się nie mylę, jest to sam Vincent Halloran z młodą kobietą, chyba sekretarką.

— Wpuścimy ich? — zapytał Jack radośnie. — Chcę zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy mu powiemy, że teraz tawerny nie można kupić za żadne pieniądze świata.

Dwie godziny i cztery filiżanki kawy później Lily, Jack, Vincent i Judy wciąż siedzieli przy kominku. Vincent nie potrafił jednoznacznie ocenić sytuacji. Beaumontowie byli bardzo przywiązani do swojego pubu, a on rozumiał, skąd się to bierze. Sala była przytulna, ciepła, przypominająca bezpieczne łono z niskim sufitem, ciemnymi ścianami i stłumioną akustyką. I oczywiście bardzo podekscytowało ich odkrycie malowidła na piętrze. Zaproсили Vincenta, żeby osobiście je obejrzał; uznał, że istotnie jest to fragment większej całości. Elegancki bucik może okazać się elementem nieznanego dzieła sir Johna Lavery'ego. Zaskoczył Lily swoją wiedzą na temat urodzonego w Belfaście malarza; dotąd uważała go za twardego biznesmena, który nie ma pojęcia o sztuce.

Z niejaką satysfakcją powiedział jej, że Lavery urodził się około 1856 roku w rodzinie zubożałego właściciela pubu, który utonął, gdy John miał zaledwie trzy lata.

— Matka Lavery'ego umarła niedługo potem — ciągnął Halloran cokolwiek pompatycznym tonem — a dziecko odesłano do krewnych w Szkocji. Uczęszczał tam do akademii sztuk pięknych, później wiele podróżował. Jego kariera rozwinęła się błyskawicznie, kiedy w roku 1888 namalował królową Wiktorię.

Lily z entuzjazmem podzieliła się z nim swoją wiedzą; że angielsko-irlandzki traktat z roku 1921 został ułożony i podpisany w londyńskim domu Lavery'ego przy Cadogan Gardens 15 w South Kensington. Oraz że ustalony w traktacie podział Irlandii stał się powodem wybuchu wojny domowej.

Rozmawiali o malarzu długo, aż Judy o mało nie zasnęła z wyczerpania. Wiedziała, że Vincent tylko przypochlebia się Lily. Lubił sztukę, ale jeszcze bardziej lubił przeprowadzać swoją wolę. Szukał po prostu wspólnego gruntu, jakiejś więzi z tymi ludźmi, nim sięgnie po zdobycz. W gruncie rzeczy zachowywał się jak wilk. Z wysiłkiem przywołała na twarz pełen zainteresowania uśmiech, zastanawiając się, czy Vincent faktycznie da jej te dwa tysiące funtów. W końcu naprawdę się starała, to nie jej wina, że stracił cierpliwość. Znając go, przypuszczała, że jeśli umowa dojdzie do skutku, Vincent będzie w doskonałym nastroju i zapłaci. Judy pojedzie wtedy na Wyspy Kanaryjskie z przyjaciółmi, kupi sobie czerwone bikini i zmieni fryzurę.

Vincent myślał, że Beaumontowie są nadmiernie przywiązani do tawerny. Uznał, że to prawie uzależnienie. Nie potrafili sobie wyobrazić mieszkania i pracy poza tym domem. Zapewne na Klono-wej są czymś w rodzaju instytucji i wiedział, że musi postępować ostrożnie. Kobieta była nieuleczalną miłośniczką sztuki, co bez wątplenia mogło ułatwić negocjacje. Lily zdawała się być stroną dominującą w małżeństwie, jej mąż zrobi wszystko, co ona powie, Vincent gotów był się o to założyć. Zgodził się, że Beaumontowie potrzebują czasu na przemyślenie swojej sytuacji, i poprosił o następną filiżankę kawy.

Tymczasem Judy przeniosła przyjęcie do włoskiej restauracji przy Malone Road i od pół godziny telefonicznie powiadamiała gości o zmianie lokalu. Przystojny murarz z Ligoniel potwierdził swą obecność. To poprawiło jej humor.

Barney, Joey i Mac przyszli niedługo potem. Usadowili się w swoim ulubionym boksie z kufkami piwa. Przez cały dzień bar był zamknięty dla innych klientów. Bridget spała smacznie na piętrze, pozostała trójka dziewcząt spędzała czas z chłopakami.

Trudy zadzwoniła, żeby powiedzieć, że z Gerrym wyjeżdżają do Donegal i chyba spędzą tam noc. Po niej zatelefonowała Daisy z wiadomością, że idą z Marie na lunch do Devaneyów.

— Widzieliście wiadomości? — zapytała na koniec rozmowy. — Ten straszny przypływ, okropne, prawda? Zginęły tysiące osób. — Jack natychmiast włączył radio; wszyscy ze skupieniem wysłuchali przerażających szczegółów o tsunami w Azji. Informacja wpłynęła na nich otrzeźwiająco. Bezdomność to globalny problem, stwierdziła nieoczekiwanie Lily. Vincent wyczuł, że Beaumontowie po chwilowym rozluźnieniu znowu wrócili na poprzednie pozycje.

— Istotnie — przytaknął. — Ale czy to nie pokazuje nam, że życie jest krótkie i nigdy nie wiemy, co zdarzy się jutro? Przypuszczam, że wszyscy powinniśmy wyciągnąć z tego wniosek, żeby żyć pełnią życia, tak jakby każdy dzień miał być naszym ostatnim.

Lily i Jack pokiwali głowami na zgodę, ale wtedy Judy zepsuła nastrój swoim burczeniem w brzuchu. Vincent był przekonany, że to najbardziej łakoma osoba, jaką w życiu spotkał. Wiecznie jadła, piła, latała za mężczyznami i rezerwowała wakacje.

— Umieram z głodu — oznajmiła głośno Judy. — Mogłabym dostać kanapkę albo coś w tym rodzaju, pani Beaumont?

Następna godzina została zmarnowana, bo Lily robiła kanapki, a Jack parzył kolejne dzbanki herbaty i kawy. Vincent obrzucił swoją sekretarkę gniewnym spojrzeniem, ale go zignorowała, pogrążona w marzeniach o czerwonym bikini. Rzuci pracę, jak tylko wróci do Dublina. Przemysł budowlany śmiertelnie ją znudził. Judy pragnęła czuć ciepły piasek na plecach i ramiona murarza w talii.

— Nie będę pani okłamywał, pani Beaumont — oznajmił wreszcie Vincent, wycierając usta serwetką. — Mogę zrezygnować z tego projektu. Jestem bogaty, nie potrzebuję pieniędzy. Ale nigdy w życiu nie poniosłem klęski w interesach i nie chcę, by teraz to się stało.

— A my byliśmy tu szczęśliwi przez dwadzieścia lat i nie rozumiemy, dlaczego powinniśmy się wyprowadzać — odparł Jack.

— Zwłaszcza żeby zrobić miejsce dla centrum handlowego. Gdyby to był szpital albo inna pozyteczna instytucja, nie sprzeciwiłbym się — dodała Lily.

— Rozumiem — Vincent stłumił ziewanie. Czas na kartę atutową. — Czy nie moglibyśmy osiągnąć kompromisu?

— Nie pojmuję, na czym miałyby polegać — powiedziała zdumiona Lily.

— No cóż, chcecie uratować tawernę od zburzenia, prawda? A ja chcę zbudować centrum. W porządku. Co pani powie na to, że zbudujemy centrum wokół tawerny?

— To znaczy, że przesunąłby pan centrum? — zapytał Jack. — Tylko że nie wiem, czy chciałbym sąsiadować z centrum.

— Nie o to mi chodzi. Miałem na myśli wybudowanie centrum dokoła tawerny. — Vincent naskicował kilka pomysłów w notatniku Judy. — Widzicie, jeśli w tym rogu zrezygnuję z czterech pięter biurowych i wstawię wielką szklaną ścianę, tawerna przez wiele dziesięcioleci będzie bezpieczna. Mój rzeczoznawca powiedział, że dach pilnie wymaga wymiany.

— To znaczy, że tawerna będzie w środku centrum? — Lily nie kryła zdumienia.

— Tak. Chroniona szkłem.

— I my wciąż będziemy właścicielami? — zapytał Jack.

— Nie, właścicielem będę ja, ale poniosę dodatkowe koszty odnowienia malowidła. Zrobię z tego atrakcję turystyczną. Może w ciągu dnia będziemy serwować ciasta i herbatę?

— Więc tawerna przestanie być pubem? — Jack był zdezorientowany.

— O, tak. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie palili tu papierosy albo płonął ogień w kominku. Dom mógłby spłonąć razem z malowidłem.

— Nie pomyślałam o tym — oznajmiła Lily poważnie. — Nie chciałabym wystawiać dzieła sztuki na niebezpieczeństwo, w żadnym razie.

Vincenta ogarnęło podniecenie. Wreszcie słuchali go uważnie. W końcu przekona ich do sprzedaży. Wiedział o tym.

— A co z kominkiem? — zastanawiał się Jack. — Skoro chce pan urządzić tu kawiarnię, nie będzie dobrze wyglądał bez palącego się ognia.

— Wstawimy elektryczny ze sztucznymi węglami. To powoduje o wiele mniejsze zanieczyszczenie.

— Hmm — mruknął Jack. — Może, ale nigdy nie dorówna żywemu ogniowi.

— Widziałam elektryczne kominki, które wyglądały jak prawdziwe — stwierdziła Lily.

Vincent pomyślał, że chyba zaczynają przyzwyczajając się do pomysłu sprzedaży. Nadeszła pora na zaryzykowanie wszystkiego i złożenie ostatecznej oferty.

— Oto moja ocena sytuacji — zaczął. — Potrzebujecie nowego dachu, a to będzie kosztowało wiele tysięcy. Na konserwację malowidła was nie stać, będziecie musieli współpracować z odpowiednimi władzami. Kompletnie zamieszają wam w głowie przepisami i regulacjami, uwierzcie mi.

— O Boże, przepisy i regulacje! — westchnęła Judy. — Doprowadzą was do szaleństwa.

— Trzeba też wziąć pod uwagę zagrożenie pożarowe — ciągnął Vincent. — A wy obecnie korzystacie z tego pokoju, co utrudni miłośnikom sztuki oglądanie malowidła, jeśli rzeczywiście znajduje się pod tapetą.

— To wszystko prawda — Lily przygryzła wargę.

— Ja dopilnuję, żeby tawerna zachowała się nietknięta, jeśli zgodzicie się ją sprzedać dzisiaj. Malowidło będę eksponował w szklanej gablocie jak Monę Lizę. Podwyższę ofertę do miliona funtów. Możecie oboje pojechać na wakacje swego życia, a po powrocie kupić sobie pub w jakiejś cichej okolicy. Co wy na to?

— Sama nie wiem — odparła Lily. — Milion funtów. To bardzo nęcące. Muszę się nad tym zastanowić.

— Jak pan przekona urbanistów do swojego pomysłu? — zapytał Jack.

— O to niech się pan nie martwi. To mój problem — powiedział Vincent.

— Ale przecież straci pan przez nowy projekt? — zauważyła Lily. — Będzie pan miał mniejszą powierzchnię biurową do wynajęcia.

— Jasne, ale jak wcześniej mówiłem, nigdy dotąd nie poniosłem klęski. Muszę myśleć o swojej reputacji. A poza tym to mi się podoba. Przypomina szklaną piramidę w paryskim Luwrze: stare i nowe współistnieją tam w idealnej harmonii.

— Zawsze chciałam pojechać do Paryża — westchnęła Lily. — Nigdy nie podróżowaliśmy. Nawet nie mamy paszportów.

— No proszę! — powiedział Vincent triumfalnie. — Sprzedajcie mi tawernę, złożcie wnioski paszportowe i ruszajcie w drogę. Paryż zimą jest piękny, tak mi mówiono. — Vincent miał drugi dom w słonecznej Marbelli. Nigdy jakoś nie marzył, by zamieć złapała go na szczycie wieży Eiffla.

— Och, ale dzisiaj nie możemy podjąć ostatecznej decyzji — powiedziała Lily.

— Musimy się nad tym zastanowić — dodał Jack.

— Ale ja oferuję wam milion funtów! — Vincent uderzył w stół wielkimi mocnymi dłońmi.

— Mimo to — odparła Lily.

— Musimy się rozejrzeć — uzupełnił Jack.

— Za czym?

— Na przykład gdzie będziemy mieszkać po powrocie z Paryża — wyjaśniła Lily.

Vincent wiedział już, że najgorsze ma za sobą. Mrugnął znacząco do Judy.

— Chodźmy. Pozwólmy tym dobrym ludziom zastanowić się, w jaki sposób chcą wydać milion funtów. Rozmowa z wami była prawdziwą przyjemnością.

— I wzajemnie — odparł Jack. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce, kobiety uśmiechnęły się do siebie.

Po wyjściu Vincenta i Judy Lily długo szeptała z Jackiem za kontuarem. Barney zapalił fajkę i powiedział:

— Wiecie co, chłopcy? Szykują się wielkie zmiany. Sam też się zastanawiałem, to znaczy nad nami. Posłuchajcie i powiedzcie, co o tym sądzicie? — Joey i Mac nadstawili uszu. Barney przez całe popołudnie niewiele się odzywał i wiedzieli, że coś poważnego chodzi mu po głowie.

22

PISTOLET MAGEE WRACA NA SZCZYT

Pozostałe imprezy odbyły się bez przeszkód. Daisy, Trudy i Marie dowiedziały się o malowidle i nowej ofercie Vincenta Hallorana, ale musiały przysiąc, że obie te sprawy zachowają w sekrecie. Wszystkie cztery nocami leżały w łózkach i zastanawiały się, co przyniesie przyszłość. Gerry poprosił Trudy, żeby się do niego wprowadziła, ale ona zaskoczyła go mówiąc, że jeszcze nie jest gotowa na poważny związek. Naturalnie Gerry natychmiast jej się oświadczył. W odpowiedzi usłyszał, że oboje mają przed sobą długą drogę do przezwyciężenia swoich problemów i nie powinni wprowadzać dodatkowych komplikacji do ich pączkującego związku. Powiedział jej, że marnuje się na geografii, bo byłaby z niej rewelacyjna psychoterapeutka. Trudy tylko się uśmiechnęła i stwierdziła, że geografia jest bardziej jednoznaczna.

Michael Devaney zaproponował Marie, żeby pewnego dnia założyli wspólną firmę. Przedtem jednak najlepiej zrobą, jeśli zdobędą doświadczenie zawodowe w hotelu albo restauracji. Nie potrafił wprawdzie gotować, za to umiał śpiewać i podawać drinki. Uważał, że powinni wziąć przykład z Lily i Jacka. Marie zadziwiła samą siebie mówiąc, że to rewelacyjny pomysł. W każdej wolnej chwili przeglądali w gazetach oferty pracy.

Za to Davidowi Devaneyowi zależało wyłącznie na tym, żeby Daisy uwolniła się ze swoich zszywanych z łątek sukni i rozsypała czerwone włosy na poduszce. Najszczęśliwszy z kobietą był wówczas, gdy oboje znajdowali się w pozycji horyzontalnej i byli lekko wstawieni. Daisy wiedziała, że tamtego wieczoru specjalnie zostawił portfel za koszem z torfem, żeby mieć pretekst do powrotu i pocałowania jej. Była trochę zła na niego, że wykorzystał ją, gdy była roztrzęsiona. Wybaczyła mu jednak, bo jego zaloty poprawiały jej samopoczucie. Spędzili kilka miłych chwil w ciągu ostatnich kilku dni, choć miała już dość tego, że na pożegnanie David znacząco bawił się zapięciem jej stanika

przez sukienkę. Znając swoje szczęście, Daisy była pewna, że za pierwszym razem zasłaby w ciążę, bo pękłaby prezerwatywa. I na dodatek przypuszczalnie poczęłaby bliźniaki. Widziała, ile trudu kosztowało jej rodziców utrzymanie drugich rodzin; nigdy nie mieli czasu ani dość pieniędzy na miłe spędzenie czasu. David był niesamowicie przystojny i zachwycało ją, że mimo tylu odpowiedzi odmownych nie rezygnuje z uwiedzenia jej. Mimo to zdawała sobie sprawę, że najlepiej zrobi, jeśli z nim zerwie. Ona miała sporo do przemyślenia, David zamierzał podbić świat show-biznesu. Poza tym nie wątpiła, że nigdy nie uda im się spędzić razem dwudziestu lat w takiej harmonii jak Lily i Jackowi.

W pewien styczniowy dzień, gdy mróz przenikał do kości, powiedziała mu z ociąganiem, że nie mogą dłużej się spotykać. Siedzieli w tawernie, popijając gorącą herbatę, gdy Daisy położyła dłoń na jego odzianym w skórę kolanie i przekazała złą wiadomość. David przyjął to spokojnie. Daisy dodała, że zawsze będzie bardzo go lubić i chciałyby zaprojektować mu garderobę, ale nigdy nie zostaną kochankami, po czym poszła na górę, by przygotować się do pracy. David przez dwadzieścia minut przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze i uznał, że ze złamanym sercem jest jeszcze przystojniejszy niż zwykle. Zmarszczka nad prawym okiem, smutne spojrzenie i lekko wydęte usta były niesamowicie seksowne. Przypominał trochę Elvisa z wczesnej młodości. Musi zapamiętać ten wyraz twarzy i wykorzystać go, kiedy w konkursie talentów będzie śpiewał piosenkę miłosną.

Bridget także miała problemy sercowe. Od czasu do czasu wyjmowała z kieszeni kartkę z numerem telefonu Johna Kelly'ego i mówiła sobie, że od razu do niego zadzwoni, ale naturalnie nie była w stanie. Wciąż dręczyły ją wspomnienia śmierci rodziców i bała się, że Johnem kierowało współczucie, kiedy przyniósł kwiaty i chciał się z nią umówić. Poza tym nie podobała jej się jego praca. Za bardzo by się martwiła, gdyby miał nocną służbę w okolicach Falls Road albo The Shankill. Bridget nie wierzyła w odporność ludzkiego ducha. Na pierwszą zapowiedź kłopotów ogarniał ją strach, a większość osób załamywała się w stresie. Dość miała do roboty, dbając o siebie, a co dopiero gdyby jeszcze miała się niepokoić o Johna Kelly'ego patrolującego w ciemności najgorsze dzielnice Belfastu. Tak więc jego numer pozostawał w jej kieszeni, z dnia na dzień coraz bardziej wymięty i postrzępiony.

W wolnym czasie pisywała widokówki i krótkie listy do siostr w Londynie, podpis ozdabiając mnóstwem całusów i serduszek.

Liam Bradley doskonale się czuł w swoim wygodnym apartamencie. Nowy materac był o wiele lepszy od starego, a kilka drogich obiadów zadowoliło jego zaniedbywany dotąd żołądek. Pół miliona wpłynęło na konto, Betsy ani jej wścibscy bracia nie kontaktowali się z nim od okresu sprzed Bożego Narodzenia. Perry Shaw zajmował się reklamą „Bum, bum” i Liama nie poproszono o ani jeden wywiad. Wszystko w życiu szło mu jak po maśle do dnia, gdy w porze lunchu włączył telewizor, spodziewając się jakiegoś sentymentalnego filmu, zamiast tego jednak przeżył straszliwy szok. Na ekranie widniało zdjęcie Lily i Jacka Beaumontów oraz czterech zwariowanych barmanek zrobione w czasie jednej z bożonarodzeniowych imprez. Potem zastąpił ich Vincent Halloran, wychodzący z dublińskie-

go biura i machający do kamery. Nikt nie wiedział, czy wielki projekt budowy centrum handlowego zostanie zrealizowany: Beaumontowie jeszcze nie podjęli decyzji o sprzedaży. Reporterzy ze stacji telewizyjnych odkryli jednak, że Halloran w tajemnicy zatrudnia mnóstwo robotników i rezerwuje im kwatery w Belfaście. Spiker powiedział, że tawernę na Klonowej codziennie oblegają dziennikarze i biznesmeni, pragnąc dowiedzieć się, co się dzieje, ale właściciele trzymają język za zębami, mimo że czas mija i zbliża się ostateczny termin.

Liam krążył po zielonym jak mech dywanie pokoju 401. Czuł się niespokojny i roztrzęsiony. Jeśli tawerna zostanie sprzedana, dokąd pójdzie uroczą Lily? Może nigdy więcej jej nie zobaczyć. Zaczynało brakować mu czasu. Opróżnił minibarek, doprowadził się do porządku i zszedł do baru, żeby sprawy przemyśleć. W ciągu kolejnych dni kilka razy zawędrował na Klonową, ale nie był w stanie wejść do środka. Z ciężkim sercem uświadomił sobie, że jego uczucie do Lily to nie jest przelotny pościg. On ją kochał. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochał.

W przedostatni dzień lutego Liam obudził się w nastroju ponurej determinacji. Włożył najlepszy garnitur i markowe okulary słoneczne. Pił tak długo, aż hotelowy barman odmówił mu dalszego obsługiwanie, po czym wgramolił się do taksówki, którą wcześniej zamówił. Wysiadł na Klonowej i chwiejnym krokiem powlókł się brukowanym zaułkiem ku swemu przeznaczeniu. Kiedy otwierał drzwi tawerny, nie miał pojęcia, co powie albo zrobi. Zamierzał improwizować, tak jak zawsze postępował Pistolet Magee.

Na nieszczęście za barem stał Jack. Lily była na górze, miotając się po kuchni. Wkrótce zamierzali poinformować Vincenta o swojej decyzji; wiedziała, że to będzie poruszający moment.

— Gdzie jest dzisiaj uroczą Lily? — zapytał Liam, zamawiając podwójną wódkę z colą. Oczy pływały mu pod czaszką, nogi się uginały.

— Moim zdaniem powinien pan wypić kawę, przyjacielu — powiedział Jack cicho, nie chcąc robić wstydu pisarzowi w obecności innych klientów.

— Słucham?

— Dobrze pan słyszał, panie Bradley. Już dość pan wypił.

— Proszę uprzejmie podać mi to, co zamówiłem, dobry człowieku. Sam zdecyduję, kiedy mam dość.

— Nie. Bardzo przepraszam, ale to dla pańskiego dobra. Już raz stąd pana wyniesiono.

— OK. Czy Lily jest w domu? Chciałem się z nią pożegnać. Wyjeżdżam z Belfastu. — Dobra, ciekawe, co Jack teraz robi, pomyślał Liam. Nie może mu odmówić pożegnania z Lily.

— Zobaczą, czy żona nie jest zajęta. Przepraszam na chwilę.

Liam dopiero po dziesięciu minutach doczekał się Lily, za którą szedł jej czujny mąż. Sprawiała wrażenie, że nie ma ochoty rozmawiać z Liamem, aczkolwiek nie potrafił pojąć dlaczego. Pragnął jej powiedzieć, że była inspiracją dla jego drugiej powieści i że ją kocha, nie mógł jednak wygłosić swojej

wielkiej przemowy w obecności Jacka. Marzył, żeby Jack poszedł wymienić beczkę albo coś w tym rodzaju. Ten facet miał Lily wyłącznie dla siebie przez tyle lat. Czas najwyższy, by ją od siebie uwolnił i pozwolił zostać muzą najlepszego autora świata. Najlepszego pisarza świata, poprawił się w myślach.

— Opuszcza nas pan, panie Bradley? — zapytała Lily wesoło, podczas gdy Jack brzydtko się wykrzywił. — A dokąd pan wyjeżdża? — zapytała, wyciągając do niego rękę.

— Tak. Przeprowadzam się na Bahamy. Nie miałyby pani ochoty uciec ze mną? — szepnęła, ujmując jej dłoń i całując.

— No nie, ale z pana żartownisi Co by na to powiedział Jack?

— Mówię poważnie — oznajmił Liam. — Zakochałem się w pani. Przecież pani to wie?

— Panie Bradley!

— Proszę mówić mi po imieniu.

— Na litość boską, opanuj się, Liam. Może przestaniesz pić, co? Zrobiłeś wspaniałą karierę i w ogóle. No, uspokój się.

— Mówię poważnie, Lily. Chcę, żebyś pojechała ze mną. Mam zamiar kupić domek na plaży. Wyobraź sobie, jak we dwoje będziemy spacerować brzegiem morza, trzymając się za ręce.

Ale Lily uwolniła dłoń z jego drżącego uścisku i cofnęła się.

— Jack, pan Bradley już wychodzi.

— Lily, kocham cię!

Jack już chwycił go za łokieć i poprowadził ku drzwiom.

— Kocham cię, Lily! — krzyknął Liam. Jackowi dech zaparło z oburzenia.

— Wracaj do domu i zachowuj się godnie — powiedział szorstko, wypychając Liama na bruk. Swędziały go ręce, by parę razy przyłożyć pisarzowi, ale przypomniał sobie, że Liam jest kompletnie pijany i pewnie nawet nie wie, co mówi. Poza tym Jack nie miał ochoty ponownie wylądować w areszcie.

Zaraz wszakże uśpiony temperament dał o sobie znać i Jack wymierzył jeden solidny cios w podbródek Liama. Pisarzowi spadły okulary od wibracji, jaką poczuł w całym ciele. Jack ze smutkiem pokręcił głową i wrócił do tawerny, zamykając za sobą drzwi z trzaskiem. Dość tego, pomyślał. Był gotowy na zerwanie z branżą wymagającą ciągłej uprzejmości.

Liam, oszołomiony i roztrzęsiony, zrobił kilka kroków w tył, potem potknął się i padł ciężko na metalowy kosz. Przeciął sobie ucho i rozerwał marynarkę na odłamku szkła. Co za klops, pomyślał. Spędził w tym cholernym pubie tylko kilka sekund, a teraz był ranny i krwawił, choć Jack Beaumont nawet nie dał mu tej satysfakcji, żeby porządnie go pobić. Uderzył go tylko raz i nawet nie poczekał, by zobaczyć, jak przeciwnik pada na ziemię. Co za upokorzenie! Liam leżał na ziemi kilka minut, czekając, aż Lily wyjdzie i przeprosi za zachowanie męża. Może nawet wyciągnie Liama. Nie wytarł

strumyków krwi, które ściekały mu po szyi, bo miał nadzieję, że będzie z nimi wyglądał bardziej męsko. Ale drzwi pubu pozostawały zamknięte.

Liam westchnął ciężko i wyjął z kieszeni komórkę. Na szczęście działała. Mógłby zadzwonić na policję i kazać aresztować Jacka Beaumonta. Mógłby zadzwonić do prasy i zyskać rozgłos. Ale nie miał ochoty ściągać sobie na głowę kłopotów. Serce mu się ścisnęło, gdy ogarnięty paniką uświadomił sobie, że jest samotny. W desperacji wybrał numer Betsy. Wiedział, że Betsy na pewno po niego przyjedzie, zabierze do domu przy Marlborough Avenue i poprawi mu samopoczucie. Niewykluczone nawet, że dojdzie do pożegnalnego aktu na kuchennym blacie.

Ale Betsy powiedziała tylko:

— Przykro mi, Liam, nie sądzę, żeby nasze spotkanie było dobrym pomysłem.

— Betsy, jestem ranny.

— Co się stało? — westchnęła Betsy.

— Jack Beaumont mnie uderzył.

— Więc miałeś ochotę na jego żonę? Wiedziałam.

— Betsy, daj spokój, ktoś musi mnie podwieźć — błagał Liam.

— A gdzie masz samochód?

— Na litość boską, kobieto, jestem zalany. Samochód został w hotelu.

— Możesz iść pieszo.

— Nie chcesz się ze mną zobaczyć?

— Nie chcę.

— I nie masz ochoty na pożegnalne bzykanko? Przez wzgląd na dawne czasy — rzucił z nadzieją.

— Odpieprz się, Limo — powiedziała Betsy i rozłączyła się.

GWIAZDA PROGRAMU

— Stańcie tu wszyscy — powiedziała Lily, ładując film do aparatu. Był ostatni dzień lutego 2005 roku: dzisiaj przekażą Vincentowi Halloranowi swoją decyzję. Za pół godziny miał się tu zjawić, by usłyszeć dobrą albo złą wiadomość. Z tej okazji tawerna była zamknięta. Wszyscy sądzili, że Lily i Jack sprzedadzą tawernę, ale zawsze istniała szansa, że zmienią zdanie. — Chcę wam zrobić zdjęcie.

— Nas też masz na myśli? — zapytał Barney, wyglądając z boku.

— Oczywiście — odparła z uśmiechem.

— Ojej — mruknął Joey, wygładzając starą marynarkę. — Nie wyglądamy najlepiej.

— Mów za siebie — powiedział Mac, zrywając się na nogi.

— Wspaniale, Mac — pochwaliła go Lily.

Tak więc Barney, Joey i Mac stanęli w rzędzie po jednej stronie wielkiego kominka i uśmiechnęli się pięknie do obiektywu, a Daisy, Trudy, Bridget i Marie zbiły się w gromadkę po drugiej. Daisy pochyliła się lekko do przodu, żeby nie górować nadmiernie nad koleżankami, Bridget splotła ciasno dłonie, Marie i Trudy objęły się, udzielając sobie moralnego wsparcia. Pomimo długich godzin pracy i ciągłego zmęczenia coś wyjątkowego wydarzyło się w tawernie podczas świąt. Dziewięcioro ludzi tworzyło coś w rodzaju rodziny i nawet Mac wyczuwał emocje unoszące się w powietrzu.

— Wy też chodźcie! — zawołał Barney.

— Potrzebujemy gwiazd — dodał Joey.

Ten jeden raz Mac nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Lily nastawiła samowyzwalacz, po czym z Jackiem zajęli miejsca w środku. Stali przed tańczącymi w kominku płomieniami, trzymając się za ręce.

— Powiedzcie: dżem! — powiedział ze śmiechem Jack. Błysnął flesz, scena została na wieczność uchwycona.

Kiedy do tawerny przyszedł Vincent Halloran, od razu wiedział, że jego wspaniałe plany będą zrealizowane. W powietrzu unosiła się lekkość i nie wątpił, że szczęście mu sprzyja. Jack wyszedł zza kontuaru i ciepło uściskał mu dłoń. Lily śmiała się i była bardziej ożywiona niż przy poprzedniej wizycie. Nie wiedział, bo i skąd, że nerwy Lily były w strzępach. Perspektywa przeprowadzki z jedyne go domu, jaki miała w całym dorosłym życiu, napawała ją śmiertelnym przerażeniem, nie chciała wszakże brać na barki podwójnej odpowiedzialności za opiekę nad malowidłem Lavery'ego i utratę pieniędzy przez innych kupców z zaułka. Była też wyczerpana organizowaniem imprez, obsługiwaniem gości oraz rozwiązywaniem domowych dramatów. Powtarzała sobie, że za kilka miesięcy będzie się świetnie

bawiła w Paryżu i znowu odzyska Jacka tylko dla siebie. Ale nawet to budziło w niej niepokój, bo nigdy nie leciała samolotem.

— Mam nadzieję, że wieści są dobre — zaczął Vincent. — Udzielicie mi dzisiaj odpowiedzi? Dłużej nie mogę czekać. Teraz albo nigdy.

— Zgadzą się — powiedziała bez tchu Lily. — Jeśli oferta jest aktualna, przyjmujemy ją.

— Cudownie! — niemal ryknął Vincent. — Wiedziałem, że tak będzie! To korzystne rozwiązanie.

— Decyzja nie była łatwa — dodała Lily.

— Jestem pewien, że nie — zgodził się Vincent. Twarz mu jaśniała.

— Nikomu nie powiedzieliśmy, wie pan o czym — szepnęła Lily, wskazując w górę. Uzgodnili, że zachowają istnienie malowidła w tajemnicy i zostawią Halloranowi załatwienie sprawy z odpowiednimi władzami w swoim czasie. Jak powiedział podczas spotkania w drugi dzień świąt, dysponuje bogatym doświadczeniem w radzeniu sobie z biurokratami i biurokracją. Ostrzegli Bridget, żeby zachowywała szczególną ostrożność w salonie, i przesunęli jej łóżko na sam środek, gdzie najmniej mogła zaszkodzić ścianom.

— Dobrze, bardzo dobrze. — Vincent pocierał dłonie z radości, chociaż żona radziła mu, żeby tego nie robił, bo wygląda przez to jak Dickensowski złodziejaszek.

— Ostatecznie to nas przekonało — powiedziała Lily. — Nie pieniądze, ale malowidło. Nie moglibyśmy wiecznie chować go pod tapetą. — Lily ze smutkiem myślała o dziele wybitnego artysty, które czekało na odsłonięcie w jej salonie. Wiele razy miała ochotę sama zerwać tapetę, wiedziała jednak, że musi zostawić to specjalistom. A to oznaczało, że trzeba czekać do ukończenia budowy centrum. Halloran nie chciał, żeby władze wtykały nos i wszystko psuły na początkowym etapie. Niewykluczone, że tawerna zostałaby zajęta nakazem sądowym, a prace wstrzymane na kilka lat, do uzgodnienia stosownych procedur. Kiedy nadejdzie pora pokazania malowidła światu, Lily i Jack oznajmia, że nie mieli pojęcia o jego istnieniu.

— Może pójdziemy na piętro i podpiszemy umowę? — zapytał Vincent, pragnąc jak najszybciej załatwić sprawę.

— Och, ale tam jest bałagan — odparła Lily. — Dziewczęta się pakują i w ogóle. Może skorzystamy z boksu koło zegara?

— Naturalnie — zgodził się Vincent. Weszli we trójkę i usiedli przy stole.

Trzej starszycy i barmanki wymienili zrezygnowane spojrzenia. Mimo wszystko sądzili, że Lily w ostatniej chwili się wycofa. Ona jednak doszła do wniosku, że bardziej niż tawernę kocha swojego męża. A Jack nie mógł się doczekać, kiedy porządnie odpocznie.

— Czy w umowie jest napisane, że tawerna zostanie zachowana? — zapytał cicho. — Musimy mieć gwarancję na piśmie, w przeciwnym wypadku nie zawrzemy tej umowy.

— O tak, kazałem prawnikom się tym zająć. Centrum zostanie zbudowane wokół tawerny, która podczas budowy będzie chroniona. Nie posunąłbym się do takiego brzydkiego kawału, żeby udawać, że pub przypadkiem został zburzony. W końcu słono za niego zapłaciłem. Nowy projekt już został zaakceptowany. Planistom z rady miejskiej bardzo się spodobał. Proszę, tu są papiery. — Vincent otworzył aktówkę i położył na stole obszerny dokument. — Podpiszcie w tych trzech miejscach. — Podał Jackowi nowe pióro i wstrzymał oddech.

— Zrób to szybko, Jack, zanim się załamie — szepnęła Lily.

Jack złożył staranny podpis, Lily swój ozdobiła zawijasami. Vincent wręczył im czek i kilka razy uścisnęli sobie ręce.

— Nie wydajcie wszystkiego w jednym sklepie — poradził, mrugając żartobliwie.

— Na pewno tego nie zrobimy — odparła Lily.

— Kiedy dostanę klucze?

— Za dwa dni, kiedy czek nabierze ważności. Bez obrazy, panie Halloran.

— Wcale się nie obrażem, panie Beaumont. Proszę zanieść je do biura, jak będziecie gotowi do wyprowadzki, a ja natychmiast przyślę ochroniarzy, żeby mieli oko na pub do czasu, nim zabezpieczymy go rusztowaniami. Życzę szczęścia i proszę mnie nie odprowadzać.

— Nie dopuści pan, żeby malowidło zawilgło, prawda? — zapytała Lily.

— W żadnym razie. Będę go strzegł jak oka w głowie, ma pani na to moje słowo.

Po jego wyjściu Jack i Lily objęli się. Lily dała upust łzom żalu.

— Więc to już koniec — powiedziała.

— Tak. Mam nadzieję, że wuj Ernest nam to wybaczy — westchnął Jack. — Myślisz, że teraz na nas patrzy?

— Och, Jack, uważasz, że postąpiliśmy słusznie? — pisnęła Lily, przyciskając dłonie do ust. — Jestem przerażona. Może powinniśmy byli zostać?

— Lily, już to omówiliśmy. Sprawy zaczynały się komplikować, to wszystko nas przerosło.

— A co z Barneyem, Joeyem i Makiem? I dziewczętami?

— Cichutko — uspokajał ją Jack. — Barney i jego kumple nie będą żyć wiecznie. A dziewczęta były z nami tylko przejściowo. Pewnego dnia zostalibyśmy tu sami z cennym dziełem sztuki na karku i też wcale nie bylibyśmy młodszy.

— Tak, ale co, jeśli będziemy tęsknić za tawerną? Albo jeśli Halloran nas oszukał, zburzy dom i powie, że sam się zawalił czy coś w tym rodzaju?

— Nie robi tego. Pokazał nam nowy projekt. Uważa, że jest lepszy niż pierwotny.

— A jeśli zniszczy malowidło, bo rząd zacznie się wtrącać?

— Kochanie, to tylko Lavery, nie płótno Picassa ani fresk Leonarda da Vinci.

— Jack, jak możesz tak mówić! Lavery to wspaniały malarz!

— Wiesz, co miałem na myśli. Malowidło nie jest warte wiele milionów i władze będą szczęśliwe, jeśli Vincent je odrestauruje i będzie się nim opiekował.

— Na pewno?

— Na pewno — odparł Jack. Zaczynał poważnie się martwić.

Nie miał pojęcia, co pocnie, jeśli Lily teraz zmieni zdanie. Sam z ciężkim sercem podjął decyzję o wyprowadzce z tego domu, toteż nie poradziłby sobie, gdyby Lily załamała się na myśl o opuszczeniu Klonowej. Podjął próbę manipulacji emocjonalnej: wiedział, że Lily przywiązana jest bardzo do idei aniołów.

— Wiesz co? — powiedział, dokładając starań, by sprawić wrażenie, że ta myśl właśnie przyszła mu do głowy. — Moim zdaniem nasz anioł stróż tak to zaplanował.

— To znaczy?

— Popatrz na to z tej strony, Lily. Wuja Ernesta musiały natchnąć anioły, bo zostawił mi ten pub, gdy byliśmy w potrzebie. A teraz nadeszła pora, żebyśmy ruszyli dalej, zaczęli robić coś innego, i dlatego Bridget przypadkiem odkryła malowidło. Dzięki temu tawernie nie grozi zburzenie, a Vincent podwoił ofertę. Ten milion funtów dostaliśmy głównie za to, żeby nie mówić o Laverym, to oczywiste. Ale mamy teraz mnóstwo pieniędzy i finansowo jesteśmy zabezpieczeni do końca życia. A gdybyś ty nie kochała sztuki, podpis na ścianie nic by ci nie powiedział. Pewnie zerwałbym całą tapetę i może nawet zniszczył malowidło. Sama więc widzisz, że wszystko pasuje do siebie jak kawałki układanki.

— Hmm — mruknęła z namysłem Lily. — Anioł wykombinował całkiem skomplikowany plan. Dlaczego po prostu nie wygraliśmy na loterii?

— Bo... bo musimy opuścić Klonową, żeby dostać pieniądze! I dzięki temu będziemy mogli robić wszystkie te rzeczy, na które wcześniej nie mieliśmy czasu.

— Jak wyjazd do Paryża? — Lily zaczynała się uspokajać.

— Tak, do Paryża, Rzymu, Nowego Jorku, Wenecji, Sydney, na Islandię, gdziekolwiek. A jak przestaniemy podróżować, możemy zamieszkać, gdzie zechcemy. Możemy kupić pub nad brzegiem morza albo ładne mieszkanie, zająć się pracą dobroczynną, czytać książki. Lily, będziemy prowadzić życie, o jakim marzą wszyscy ludzie na całym świecie. Będziemy wolni!

— Tak, masz rację — odparła Lily. — Chodźmy się pożegnać. To nie w porządku, że tak długo każemy im czekać.

ZA STARYCH PRZYJACIÓŁ!

Minęły tygodnie, nim Liam Bradley otrząsnął się ze wstydu po zajściu na Klonowej. Ten Jack Beaumont to skory do bitki jaskiniowiec, skarżył się barmanowi w hotelu. A Lily okazała mu zadziwiający chłód. Prawdziwa zimna ryba. Nie wiadomo czemu Liam sądził, że wystarczy, by pocałował ją w rękę, a natychmiast zaczęła zdzierać z siebie bluzkę, pieścić piersi i oblizywać z żądzły wargi, ale jego najśrodsze marzenia skończyły się nieprzyjemnie, kiedy oszołomiony padł na zimny bruk. Może ostatnio ogląda za wiele filmów pornograficznych? Wygląda na to, że jednak nie wszystkie kobiety są nimfomankami.

Nawet głupia Betsy Trotter już go nie chciała. Biedna ciemna Betsy, która nie odróżniała tomiuku poezji od uderzenia w pysk, w pół słowa odwiesiła słuchawkę. Powiedziała mu, żeby się odpieprzył. To nie mieściło się Liamowi w głowie. I to po tym, jak dostała od niego luksusowy dom. Mogła spędzić z nim jedną noc, żeby mu w ten sposób podziękować. Pocieszał się, że kobiety potrafią być okrutne. Uznał, że lepiej mu bez nich. A to nie był koniec jego rozczarowań, wręcz przeciwnie — dopiero początek.

W środku marca w trakcie tygodniowego pijaństwa Liam Bradley dowiedział się, że Perry Shaw zarobił ni mniej, ni więcej, tylko cztery miliony funtów na maszynopisie „Bum, bum”. Perry nie był na tyle przyzwoity, by osobiście przekazać tę wstrząsającą wiadomość Liamowi. O, nie. Liam musiał usłyszeć o tym z drugiej ręki, od ślicznej dziewczyny imieniem Maria, która zajmowała się zaopatrzeniem w jednej z większych księgarń na Royal Avenue. Jej firma już złożyła wielkie zamówienie na książkę, powiedziała mu, gdy poszedł tam, by kupić gazetę, i wpadł na nią za jednym z regałów. Perry sprzedał prawa do Pistoleta producentom filmowym na całym świecie.

Naturalnie Liam natychmiast zadzwonił do Perry'ego, ale ten zmienił numer, a żaden znajomy Perry'ego nie chciał mu podać nowego. Wyglądało na to, że okres, gdy Perry traktował Limo Bradleya uprzejmie, należał do przeszłości.

Liam kompletnie stracił poczucie czasu, topiąc smutki we wszystkim, co wpadło mu w ręce. O północy słyszano, jak głośno śpiewa w swoim pokoju i słucha heavy metalu. Dyrektor hotelu uprzejmie poprosił go, by na koniec tygodnia ich opuścił. W dniu wyprowadzki Liam obudził się w wannie. Woda była zimna jak lód, a na jej powierzchni unosiła się namoknięta kanapka z szynką. Pistolet Magee byłby dumny z tej żalosalnej sceny.

A potem, jakby sytuacja nie była już dostatecznie zła, Perry Shaw został bohaterem narodowym, przekazując trzy miliony z honorariów za „Bum, bum” na rzecz funduszu wspierającego emerytowanych i rannych żołnierzy. Och, co za niesprawiedliwość! Pieniądze, które Liam powinien był wy-

dawać na drogie wina i tanie kobiety, wykorzystano do zakupu protez i innych takich nudziarstw. Perry występował w nadawanych w ciągu dnia talk-show i wszyscy w kraju z szacunkiem powtarzali jego nazwisko. Fundusz rósł wspomagany przez donatorów i Perry przyrzekł, że zbuduje dom opieki dla owdowiałych żołnierzy, ośrodek rehabilitacyjny dla okaleczonych na ciele oraz gabinet terapeutyczny dla tych, których psychika ucierpiała podczas służby. Liamowi robiło się niedobrze. O nim nikt prawie nie wspominał.

Kilka dni później ukochany syn Perry'ego stracił stopę w akcji i odesłano go do domu, gdzie zgotowano mu burzliwe przyjęcie. Pani Shaw odstawiła środki uspokajające i cała rodzina zgromadziła się w Londynie na wielkiej uroczystości. Liama nie zaproszono. To była ostateczna zniewaga.

Liam Bradley spakował walizki i ruszył na lotnisko, by wsiąść do pierwszego samolotu lecącego do miejsca, gdzie jest ciepło i gdzie można kupić tani alkohol. Zajmie się emigracją na Bahamy, kiedy na tyle się uspokoi, żeby wypełnić odpowiednie formularze. Belfast stracił dla niego cały urok i nie interesowało go, co na to powiedzą jego wielbiciele. Czara przelała się, kiedy psujący zabawę idioci w rodzaju Lily i Jacka Beaumontów, ich kretyńskich barmanek, Betsy Trotter i jej chciwych na pieniądze krewnych bawili się lepiej niż pisarz takiego kalibru jak Liam. Gdy samolot wystartował, spuścił żaluzję na okno i poprosił śliczną stewardesę o brandy i piwo imbirowe bez lodu.

Klub Tenisowy Betsy Trotter okazał się wielkim sukcesem. Bank udzielił jej kredytu na rozkręcenie firmy, gdy tylko powiedziała, że ma dom na sprzedaż w najlepszej dzielnicy miasta. Chociaż na początku kierowały nią egoistyczne pobudki, z czasem stwierdziła, że bawi się tak dobrze jak ludzie, którzy przychodzą na korty. W pierwszym dniu przyjęła sześćdziesięciu pięciu płacących uczniów do klubu usytuowanego na starym boisku do rugby przy Ormeau Road. A także siedemdziesięcioro pięcioro dzieci i nastolatków, którym udzielała lekcji gry za darmo. Na otwarciu zjawili się dziennikarze z lokalnych dzienników, tych mniej ważnych, ale od czegoś trzeba zacząć. Jej bratanice i bratanki postanowili, że nie będą się fatygować na skromne przyjęcie; wciąż mieli pretensje o świąteczne prezenty, które Betsy zamieniła na stado kóz. Betsy jednak się tym nie przejęła. Klub był przeznaczony dla zwykłych ludzi, takich jak ona: ludzi, którzy chcą trochę poprawić swoje życie. Otrzymała telegram z poparciem od sir Cliffa Richarda oraz kilka podpisanych rakiet od sławnych tenisistów, co niezmiernie ją ucieszyło. Pierwsze opłaty poszły na wynajęcie instruktora, przystojnego chłopaka z Europy Wschodniej...

Dzięki ćwiczeniom jej kondycja znacznie się poprawiła; Betsy stwierdziła, że koncentrowanie się na innych ludziach sprawiło, że jest teraz bardziej zadowolona z życia. Niedługo po otwarciu klubu dostała listy od kilku rozwiedzionych kobiet z kraju. Chciały iść w jej ślady i założyć podobne firmy. Betsy musiała dokładać starań, by stłumić tę część swojej natury, która domagała się wizyty u fryzjera i odzyskania blond przedłużeń, ale to nie trwało długo. Dość szybko poznała wszystkie tajniki biznesu, jej planom i kosztorysom nikt nie mógł nic zarzucić. Kiedy w końcu nominowano ją do nagrody,

stwierdziła, że na takich sprawach przestało jej zależeć. A kiedy doszły do niej plotki, że Richard Allen oświadczył się dziewczynie nazwiskiem Sara Jones, wcale jej to nie obeszło.

Z końcem lata wyburzenia budynków na Klonowej trwały w najlepsze, ale wtedy tawerna była już dokładnie osłonięta rusztowaniami i plandekami. Łóżko z brązu oraz zabytkowe naczynia i garnki Lily i Jacka znajdowały się w magazynie, natomiast wyczyszczony piec pozostał na miejscu. Po zakończeniu budowy centrum, w którego środku niczym owad w bursztynie tkwić będzie bezpiecznie tawerna, Vincent Halloran ogłosi światu o odkryciu nieznanego malowidła Lavery'ego i otworzy pub dla publiczności. Już wynajął emerytowanych konserwatorów sztuki i zlecił im odsłonięcie jednej ściany. Znaleźli na niej piękny zbiór portretów dziewiętnastowiecznych pijaków, tancerek, śpiewaków, służących, dam i dżentelmenów, namalowany w ślicznych odcieniach błękitu, szarości i czerwieni wprost na tynku. Malowidło zachowało się w nietkniętym stanie, ponieważ zaraz po ukończeniu nie spodobało się żonie właściciela pubu, która kazała zakryć je tapetą. Na szczęście jej brak dobrego gustu dla Jacka i Lily wart był fortunę.

Sprytnie umieszczone w suficie centrum reflektorki oświetlać będą tawernę; Vincent wiedział, że dzięki temu zdobędzie szereg nagród za oryginalność. Czuł, że postąpił słusznie, wprowadzając zmiany do pierwotnego projektu, mimo iż stracił przez to większą część zakładanych zysków. Z drugiej jednak strony dostał potężny kontrakt na budowę centrów handlowych w całej Europie, w których współczesność koegzystować miała w harmonii z historią. Taki był zadowolony, że zafundował sobie i żonie weekendowe zakupy w Nowym Jorku. Judy zrezygnowała z pracy, umieściwszy premię w wysokości dwóch tysięcy funtów w banku, po czym ruszyła na lotnisko z największą butelką kremu do opalania, tanią powieścią i czerwonym bikini w torbie.

Trudy i Gerry zakończyli terapię i postanowili, że rok poświęcą na pracę dobroczynną i dopiero potem osiądą w ślicznym mieszkaniu Gerry'ego. Naturalnie jeśli wciąż będą dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Oboje jednak sądzili, że tak będzie. Gerry odzyskał dawną pracę w szpitalu, a Trudy ukończyła studia z najlepszą lokatą. Co bardzo się przydało, kiedy pod koniec czerwca wyruszyli do Peru, za cały bagaż mając dwa plecaki i podwójny śpiwór. Oraz czek na dziesięć tysięcy funtów, który Jack i Lily dali Trudy na pożegnanie. Jej rodzice byli oburzeni, że nie zaprosiła ich na wręczenie dyplomów. Odpowiedziała, że po co mieli przyjeżdżać z Birmingham, skoro jej dobrzy przyjaciele Jack i Lily byli pod ręką?

Zblakły też jej fobie związane z brudnymi rękami, guzikami i ciemnością. Siedząc w samolocie koło Gerry'ego, uszczęśliwiona uświadomiła sobie, że wypila szklankę lemoniady z trzema plasterkami cytryny na wręczeniu dyplomów i nawet nie kichnęła.

Po powrocie z wymarzonej podróży do Paryża Beaumontowie kupili dom Betsy Trotter przy Marlborough Avenue. Odebrali z magazynu swoje piękne łóżko oraz inne rzeczy i świetnie się bawili, urządzając nowe lokum.

Sąsiedzi z radością rozstali się z Liamem Bradleyem i urządzili dla nowych mieszkańców podwieczerek w ogrodzie, przyjmując ich w ten sposób do swego grona. Lily cieszyła się jak dziecko, korzystając z doskonale wyposażonej kuchni Betsy. Jack zajął się malowaniem — okazało się, że ma niejaki talent. Tuż przed wyjazdem Trudy do Peru Lily upiekła dla niej tort z marcepanowym zwojem przewiązany sztyfem wstążką na czubku, a Jack umieścił w „Belfast Telegraph” jej zdjęcie z podpisem: „Gratulujemy, Trudy!”

Nadeszła pora zaplanowania następnych wakacji. Zdecydowali, że pojedą do Australii. Lily powiedziała, że najpierw chciałaby kilka tygodni odpocząć. Jack odparł, że nie ma nic przeciwko temu, po czym poszedł do sklepu po farby, pędzle i wielki zwój płótna.

David Devaney pojechał sam do Londynu. Wziął udział w konkursie talentów i doszedł do finału. Co prawda nie wygrał, ale zaproponowano mu kontrakt na płytę. Skórzane spodnie wylądowały w koszu, zastąpił je kremowy garnitur w paski i krawat, które wybrała dla niego Daisy. Wciąż się przyjaźnili i co kilka tygodni do siebie dzwonili. Daisy wykorzystwała dziesięć tysięcy od Lily na zakup domku przy Larkspur Avenue. Przyjęła dwie lokatorki, żeby przy ich pomocy spłacić hipotekę, i szybko się z nimi zaprzyjaźniła.

Marie i Michael znaleźli pracę na statku wycieczkowym i zamieszkali w ślicznej kabinie z dwoma bulajami. Marie pracowała jako cukierniczka, a Michael był barmanem. W każdej chwili mógł wziąć do ręki gitarę i zaśpiewać, co stanowiło jego wielką zaletę. Marie знаła kilka języków, rzecz bardzo przydatna zważywszy na tłumy turystów, które spotykali co tydzień. Marie także na pożegnanie dostała czek od Beaumontów i natychmiast oddała go swoim rodzicom, którzy tracili już zmysły w pensjonacie w Rosetcie. Wykorzystali pieniądze na zakup małego baru z mieszkaniem na piętrze w Portavogie. Marie przysyłała im widokówki z całego świata, które przypinali do ścian baru, i wszystkim klientom opowiadali, jak dumni są ze swojej najstarszej córki Marie.

Bridget O'Malley pojechała do sióstr w Londynie i spędziła u nich kilka miesięcy. Znalazła pracę w barze, ale w rozmowie telefonicznej z Lily zapewniała, że to tylko chwilowe, niedługo poszuka sobie czegoś lepszego. Powtarzała, jak bardzo jest wdzięczna za czek. Po tych wszystkich szkodach, które spowodowała jako główna barmanka, nie spodziewała się takiej dobroci ze strony Lily. To Bridget powinna dać Lily dziesięć tysięcy, a nie odwrotnie.

— Ależ nie — zaprzeczyła wielkodusznie Lily. Przecież właśnie Bridget dzięki swoim niszczycielskim skłonnościom odkryła malowidło, a bez niego nie mieliby pieniędzy i nic nie mogliby jej dać. Byli bardzo szczęśliwi w swoim pięknym domu, otoczeni ulubionymi przedmiotami. Jack wreszcie mógł otworzyć szeroko oczy, bo nie drażnił ich tytoniowy dym. Powoli zapełniał ściany barwnymi obrazami. Naturalnie tęsknili za dawnym domem, ale będą mogli go odwiedzić, gdy zostanie otwarty dla publiczności jako muzeum Lavery'ego i kawiarnia.

Lily zapytała Bridget, czy myślała o tym, żeby zadzwonić do Johna Kelly'ego. Dziewczyna zaprzeczyła; dodała, że nie sądzi, by była gotowa do nowego związku, a zresztą John przypuszczalnie już o niej zapomniał.

— Dbaj o siebie, kotku, i dzwoń, jak będziesz chciała pogadać, dobrze? — powiedziała Lily.

— Dobrze. Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

Kiedy Lily odłożyła słuchawkę, z wyrazu jej twarzy Jack odgadł, że czasy swatania wcale nie minęły. Powiedział jej, żeby robiła, co musi, pod warunkiem że jego nie będzie wplątywać w swoje intrygi. Lily natychmiast skontaktowała się z Johnem Kellym i dała mu adres Bridget w Isleworth. John wsiadł w najbliższy samolot, a na lotnisku kupił pierścionek zaręczynowy.

Kiedy Bridget zobaczyła go w irlandzkim pubie, w którym pracowała, wybuchnęła płaczem. Pomyślała o obrazku z Przenajświętszym Sercem i swoim szczęśliwym kamyczku zastanawiając się, który z tych przedmiotów pomógł jej w zdobyciu tego wspaniałego mężczyzny. John oświadczył się jej, przyklękając na zakurzonej podłodze, co spotkało się z głośnym aplauzem popołudniowych gości.

— Zwariowałeś — roześmiała się Bridget.

— Wcale nie, zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, ale to nie była odpowiednia pora, żeby cokolwiek mówić.

— Naprawdę? — Z jej wielkich błękitnych oczu pociekły strumieniem łzy. — A może mówisz tak przez grzeczność?

— Naprawdę. Już wtedy powiedziałem Stevenowi Butterworthowi, że się w tobie zakochałem. Możesz go zapytać, jeśli mi nie wierzysz. A przy okazji, będzie drużbą na naszym ślubie.

— To jest po prostu cudowne — odparła Bridget. — Ale ja zapłacę za wesele. Tak się składa, że mam trochę pieniędzy. Chciałabym, żeby ślub był skromny, dobrze? Tylko moje siostry i kilkoro bliższych przyjaciół.

— Oczywiście. Mnie to odpowiada. Zrobimy, jak zechcesz.

— Wolałabym jednak nie wracać do Belfastu.

— Zgoda, przeprowadzę się tutaj i wstąpię do londyńskiej policji. Kocham cię, Bridget. Co jeszcze mógłbym powiedzieć?

— Nic nie musisz mówić. Czekałam na takie słowa całe życie.

A Barney? W dalszym ciągu spędzał dni, czytając książki i paląc fajkę przy torfowym ogniu, choć już nie w dawnym boksie w tawernie. W dniu, w którym pub został sprzedany, Barney wpadł na pomysł: zaproponował przyjaciołom, żeby zamieszkali razem, przecież i tak większość czasu spędzali wspólnie u Beaumontów. Miejsce nie ma znaczenia, ważne jest to, by mieli towarzystwo.

Wszyscy trzej sprzedali swoje małe domki w sercu miasta i przeprowadzili się do niewielkiej wioski pod Bangor. Lily Beaumont kupiła tam domek ze słomianym dachem i widokiem na ocean, po

czym wynajęła go starym przyjaciołom, którzy przenieśli swój skromny dobytek. Oznajmiła, że to dobra inwestycja, a oni mogą tam mieszkać, jak długo będą chcieli. Na początku uważali, że trzech starsi wiekiem mężczyźni zajmujący jeden dom to trochę kłopotliwy układ, ale miejscowi im nie dokuczali. Jaki sens samotnie zmagać się ze światem, jeśli nie ma takiej potrzeby? Mleczarzowi, listonoszowi i dostawcy torfu wyraźnie dali do zrozumienia, że szczęśliwym trafem w domku są trzy sypialnie. Nie chcieli pozostawiać żadnych niedomówień w tej kwestii.

Joey zajął się łowieniem ryb, a Mac kupił sobie spaniela, który dotrzymywał mu towarzystwa w czasie długich spacerów po plaży. Na zmianę gotowali obiady, a Lily wynajęła kobietę, która raz na tydzień przychodziła z puszką pasty do podłóg i utrzymywała dom w nieskazitelnej czystości.

— Lily i Jack zachowali się wspaniale, że pamiętali o nas, kiedy się wyprowadzili z Klonowej, prawda? — powiedział pewnego dnia Barney, spoglądając na morze przez okno. — Dobrze jest dożywać ostatnich dni, mając taki widok, przyjaciół przy sobie i przyzwoitego gospodarza.

— Tak, masz rację — zgodził się Joey. — Ale chętnie bym poznał tego idiotę, co zakrył takie śliczne malowidło. — Lily i Jack zdradzili przyjaciołom wielką tajemnicę. — Choć pewnie dzięki temu nie zblakło, co?

— Niech spoczywa w pokoju. Mam nadzieję, że poszedł do nieba — powiedział Barney. — Ktoś ma ochotę na piwo? — Pozostali dwaj potaknęli, nalał więc do trzech szklanek. Postanowili, że będą prowadzić zdrowszy tryb życia, skoro zamieszkali na wsi i drastycznie ograniczyli spożycie alkoholu. Mimo to w taki letni wieczór jak ten, kiedy nad zatoką krążyły mewy, a na falach unosiły się jachty, nie było nic przyjemniejszego niż łyk piwa i godzinna pogawędka przy kominku.

— Za Lily i Jacka. — Barney uniósł szklanę. — I za ich szczodrość.

— A także za tawernę przy Klonowej — powiedział Joey. — Niech stoi cała i bezpieczna długo po naszym odejściu.

— To prawda. — Mac poklepał psa. — Ale mam nadzieję, że tak szybko nie kopniemy w kalendarz. — Wszyscy trzech wybuchnęli śmiechem. — Zdrowie!

